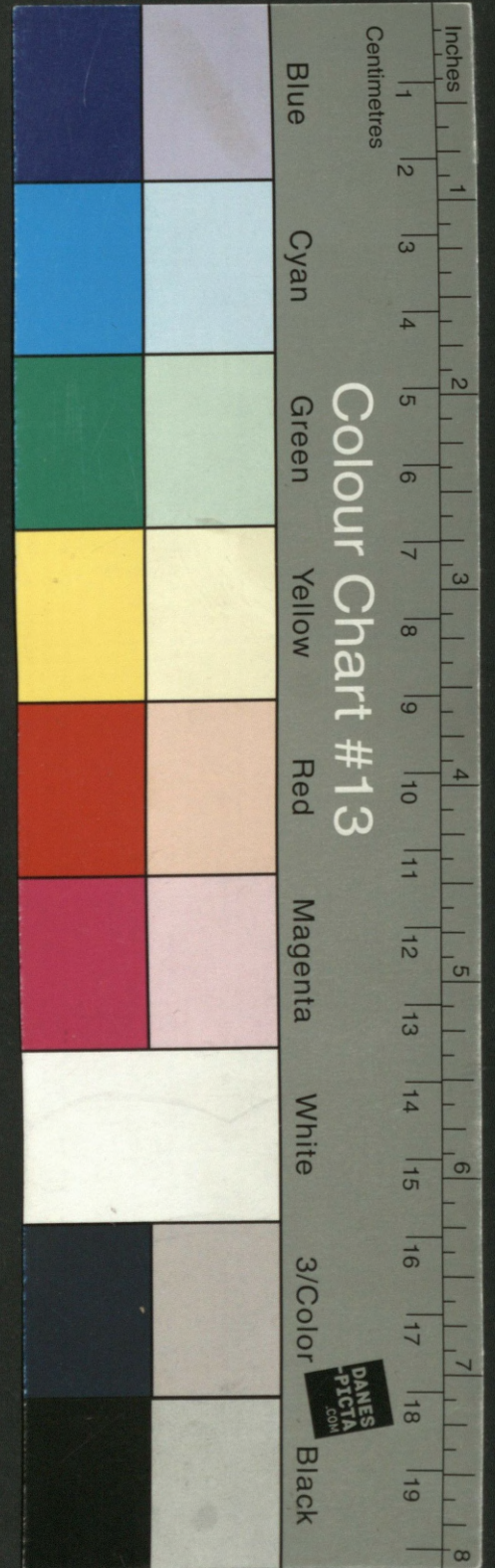


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

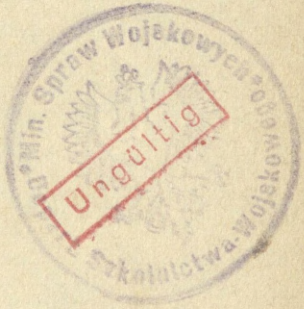
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres

Inches







WPK

PISMA
BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO.



LIBRARY OF THE
BOSTON PUBLIC LIBRARY

m.c.

PISMA

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO

b 228

TOM III.

STUDYA NAD LITERATURĄ POLSKĄ
WIEKU XVII

(PIOTR KOCHANOWSKI. — TWARDOWSKI. — POTOCKI. —
MASZKIEWICZ. — PASEK).



D1940.557

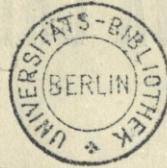
1709

WARSZAWA — 1912.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ WARSZAWSKIEJ.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA
(T. HIŻ I A. TURKUŁ KRAK. PRZEDM. 9.).

1709

883

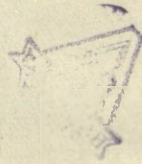


Druk Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

12948 / III

P.S.P.

32526 / 2



TREŚĆ

tomu trzeciego.

	<i>Str.</i>
1) Przekład „Jerozolimy“ Tassa przez Piotra Kochanowskiego	1
2) Samuel ze Skrzypny Twardowski	50
3) Daphnis, sielanka miłosna	100
4) Nadobna Paskwalina	132
5) Wacław Potocki jako autor „Wojny Chocimskiej“	153
6) Pamiętniki husarza (Samuel Maszkiewicz)	250
7) Jan Chryzostom Pasek i jego Pamiętniki	306



Przekład „Jerozolimy“ Tassa

przez

Piotra Kochanowskiego,

w stosunku do współczesnego stanu polskiej poezji i jej
dalszego rozwoju.

I.

Omnium polonorum poematum rex jure
merito vocatur.

J. A. Załuski, „Bibliot. poetarum“, 11.

Literatura polska wieku XVI-go była wyrazem potrzeb i dążeń realnej przeważnie natury, stąd poezja tej epoki nosi, w większości utworów, satyryczno-dydaktyczny charakter. Wyobraźnia i fantazja, nie znajdując w ówczesnych duszach bodźców ni treści, podrzędną odgrywa rolę w procesie twórczości poetyckiej. Świadomość wymagań odnoszących się do kompozycji i stylu, zdolność stworzenia artystycznej formy, posiada przedewszystkiem Kochanowski, po za nim tylko Szymonowicz i Szarzyński. Z uczuć, religijne głównie odbiło się w szeregu pieśni i przekładów psalterza. Wprawdzie Kochanowski jest przeważnie śpiewakiem, lirykiem, lecz w jego duszy dwa tylko uczucia: religijne i rodzicielskie dosięgły do tego stopnia intensywności, który wznosi duszę na wyżyny natchnienia.

Gdy ruch reformatorski, religijny i polityczny, wypowiedziawszy swe dążenia i nie osiągnąwszy zamierzonych rezultatów, zaczął zanikać (po 1570 r.), literatura utraciła najbogatsze źródło swego rozwoju. Wtedy to grupa humanistów, dbałych o podniesienie życia duchowego, z Zamojskim na czele, usiłowała zasilić piśmiennictwo narodowe przyswajaniem pomników literackich świata starożytnego. Stąd wynikł ponowny rozwój poezji łacińskiej (Szymonowicz, Klonowicz), stąd cały szereg przekładów z literatur starożytnych, stąd próby przeniesienia form greckich do poezji polskiej („Odprawa“, „Sielanki“ Szymonowicza).

Klonowicz, szczęśliwym wiedziony instynktem, w naturze i życiu ludowym znajduje bogaty, nie zużytkowany materiał, lecz nie spotkawszy oddźwięku w sercach czytelników dla swej „Roxolanii“, zwraca się ku satyrze. „*Victoria Deorum*“ i „Worek Judaszów“ — to ostatnie, spóźnione owoce prądu pojęć reformatorskich, nieudolne, co do formy i kompozycji, próby posługiwania się formą poematu dla propagandy pojęć moralnych czy społecznych. Poemat przechodzi u Klonowicza w wierszowany traktat o prawdziwym szlachectwie, lub różnych sposobach przyswajania cudzej własności.

Nim nowe prądy życia narodowego uwydatnią się w wybitnych faktach, nim pod wpływem nowych czynników duchowych i społeczno-politycznych ustalą się nowe pola i drogi działalności, literatura będzie przedstawiać zwykłe cechy epok przejściowych. Przerabianie i powtarzanie myśli, obrazów, zwrotów z utworów Reja i Kochanowskiego u jednych (Paprocki, Grochowski, Zbylitowscy), a opieranie się na obcych wzorach i pomysłach, stąd brak związku z życiem narodowym, u drugich (Szymonowicz i grono tłumaczy: Górnicki, Jędrzej Kochanowski, Ciekliński, Żebrowski i Otwinowski). Wyrazem świadomości dokonywającego się przekształcenia w stosunkach jest bogata literatura historyczna. Podczas gdy bystrzejsze umysły zajmują głównie doniosłe współczesne wypadki (Heidenstein, Orzelski, Warszewicki),

mniej zdolni, ale za to pracowici szperacze zwracają się ku przeszłości. Paprocki w „Herbach rycerstwa“ (1584) kreśli historią rodów szlacheckich, małopolskich i wielkopolskich przeważnie, które odgrywały wybitną rolę w kończącej się epoce. Strykowski zaznajał z dziejami nowo-wstępujących na widownię polityczną prowincyi.

Panowanie Batorego daje nowy impuls działalności społeczeństwa szlacheckiego, otwierając w wyprawach wojennych pole dla zużytkowania zasobów energii życiowej, która w małej tylko części mogła być spotrzebowaną, w rozwijającej się dopiero (we wschodnich prowincjach) pracy rolniczej i organizującym się życiu publicznem.

Młodzieńcza energia, ruchliwość i liczebna przewaga tych nowych żywiołów, nadały im, mimo niższości umysłowej i obyczajowej, przewagę polityczną, której nie będą umiały wyzyskać z pożytkiem dla kraju. Tym nowym obywatelom brak przedewszystkiem świadomości potrzeb i interesów ogólnopństwowych, a nawet stanowych, stąd nie można od nich spodziewać się jakiegoś programu działania, dążeń reformatorskich, jakie cechowały działalność szlachty małopolskiej i wielkopolskiej. Zetknięcie się z wyższą kulturą, z której przyswoją sobie przeważnie materyalne formy (ubiór, sprzęty, pokarmy, zwyczaje towarzyskie), pobudzi w młodych duszach popęd do swobodnej, samowolnej działalności, pragnienia uciech i bogactw, upodobanie do ruchliwego, zgiełkliwego życia.

Kraków, ognisko religijnego, umysłowego i politycznego życia dawnej Polski w XV i XVI w., traci swe znaczenie na korzyść Warszawy, która w XVII wieku przedstawia rozległy karawanseraj, obozowisko magnackich rezydentów i gospód szlacheckich, zalegających obszerne płaskowzgórze (z najwyższem wzniesieniem w Woli elekcyjnej), którego nadwiślańskie stoki zajmowały ruchliwe, lecz ubogie w cywilizacyjne zasoby miasteczka: Stara i Nowa Warszawa. Szkół, drukarni, ludzi światłych wśród mieszczan i duchowieństwa, spotykało się tu bardzo mało, za to głośnie były warszaw-

skie piwiarnie, winiarnie, zgrabne i zalotne dziewczęta. Górnicki („Rozmowa o elekcyi“), Grochowski („Skarga snu nocnego“), Maszkiewicz i Pasek skreslili jaskrawe obrazy szlacheckich rozrywek w Warszawie.

Niepowodzenie reformatorskich dążeń, utrata dworu popierającego, jeszcze za Batorego, rozwój życia duchowego, wywołały wśród Małopolan zubożenie dla wyższej oświaty i stopniowe obniżanie się poziomu umysłowego. Zestawienie pojęć religijnych i politycznych Reja, Kochanowskiego, Górnickiego z przekonaniami Potockiego i Kochowskiego wymownie uwydatnia tę różnicę. Brak bodźców, wywołujących pracę myśli, sprzyjał rozbudzeniu uczuć i wyobraźni. Postępy kultury obyczajowej rozwijały wrażliwość i delikatność uczuć, które domagały się odpowiedniego pokarmu, podnieć, jakich dostarczała religia, poezja, muzyka, życie towarzyskie, miłość.

Zarówno rozgłos świetnych tryumfów oręża w pierwszej połowie XVII w., jak i smutna konieczność odpierania późniejszych najazdów, powołują całą szlachtę małopolską do służby wojennej, od której tak stroniła w XVI w. Gdy Rej, Trzycieski, Kochanowski, Górnicki nie widzieli nigdy placu boju, to w XVII w. każdy poeta, nie wyłączając dworaka Morsztyna, jest zarazem żołnierzem.

Najwybitniejszą jednak różnicę między XVI a XVII w. przedstawiają pojęcia i uczucia religijne. Po racjonalizmie i krytycyzmie, których krańcowym wyrazem był deizm socyniański, wraca średniowieczna wiara, pożądana cudów i przyjmująca za takowe zarówno senne widzenia, jak złudzenia zmysłów, niezrozumiałe zjawiska fizyczne, a wreszcie kłamliwe relacje lub sztuczki wyzyskujących łatwowierność ludu oszustów. Klonowicz w „Worku Judaszowym“ podaje ciekawe co do tego szczegóły. Jednocześnie kult Chrystusa, jako ideału moralnego (u Reja, Modrzewskiego, Lubelczyka) materializuje się poniekąd, przyjmując średniowieczną postać kultu męki odtwarzanej realistycznie, zarówno w poezjach Miaskowskiego, Kochowskiego, Potockiego, jak i w lic-

nie zakładanych na całym obszarze kraju Kalwaryach („Kalwarya Zebrzydowska“, 1601 r.). Stopniowo wreszcie kult Maryi występuje na pierwszy plan, znajdując swój wyraz w licznych cudownych obrazach, pielgrzymkach i obchodach koronacyjnych. Do poezyi wprowadzają ten kult Sarbiewski i Zimorowicz (1640 r.). Przyczyn tej zmiany szukać należy przede wszystkim w warunkach psychicznych. Działalność Jezuitów nie wystarczyłaby do wywołania takiego przekształcenia, gdyby nie było gruntu w samych duszach ludzkich. Praca myśli i kontrola samego siebie, jakiej wymagał protestantyzm, były dla szlachcica polskiego za uciążliwe i zbyt krępujące. Dla kobiet, których uczucia rozbudzone przez postępy kultury, domagały się odpowiedniego pokarmu, katolicyzm jedynie mógł zadość czynić potrzebom wrażliwych dusz. Kobiety też odegrały ważną rolę w reakcyi katolickiej. Im głównie przypisać trzeba zaszczerpienie w duszach szlacheckich dewocyi i kultu Maryi. Wyobraźnia i uczucie rozwijały się w duszach młodego pokolenia, bez udziału i kontroli myśli, zaniedbywanej zarówno w szkolnej nauce jak w ruchliwym, na grze popędów i uczuć polegającym życiu.

Skąd to wyniknie, przy dość wysokiej obyczajowej oglądzie, przy delikatności i podniosłości nawet uczuć, upodobaniu do poezyi (u szlachty małopolskiej), ta ograniczoność i słabość umysłowa uwydatniająca się czy to w politycznej działalności (rozprawy sejmowe i programy polityczne), czy to w pojęciach społecznych, religijnych, naukowych.

Rzecz naturalna, że to przekształcenie duchowe musi znaleźć swe odbicie w literaturze. Przewaga wyobraźni i uczucia wywołała rozkwit epiki i liryki; zwrócenie energii społeczeństwa na pole wojennej działalności, dostarczyło, w licznych wojnach i zwycięstwach, w szeregu wielkich wodzów i rycerzy, materiału dla rycerskich pieśni i poematów. Gorąca religijność uwydatnia się również w licznych poematach i pieśniach, przedstawiających nie czyste uczucia i pojęcia religijne, jak pieśni reformatorów z XVI w., lecz przedmioty

tych uczuć i same uczucia w szeregach obrazów, porównań uplastyczniających je zmysłowo. Z podobnym realizmem zmysłowym malowane bywają uczucia miłosne, sceny życia towarzyskiego, obrazy obyczajowe. Te drobne fraszki i obrazki obyczajowe stanowią główny węzeł, łączący poezję wieku XVII z literaturą XVI w.

Przy małej ilości pisarzy posiadających, przy uzdolnieniu artystycznym, świadomość swego zadania i potrzeb duchowych chwili, celów i środków działania, nie łatwoby poezya polska odpowiedziała nowym wymaganiom i nie wywiązałyby się ze swej misyi, stosunkowo do ciężkich warunków, tak zadawalniająco, gdyby nie znalazła wzoru i drogowskazu w utworze, który, mimo swego obcego pochodzenia, mimo treści dalekiej, co do miejsca i czasu, okazał się jednak i sam przez się i przez zmiany wprowadzone przez tłumacza, zarówno postaciami, obrazami, położeniami, jak pojęciami i uczuciami, bliskim, zrozumiałym, zajmującym i ujmującym w wysokim stopniu dla polskiego czytelnika.

Utworem tym była „Jerozolima wyzwolona“ Torkwata Tassa, przełożona, a właściwiej spolszczona, przez Piotra Kochanowskiego i wydana 1618 r. w Krakowie.

II.

Poemat Tassa, ogłoszony drukiem w 1580 r., stanowi dla poezyi włoskiej, ostatni, najwyższy szczebel w rozwoju epepei rycerskiej. Ten rycersko-romantyczny świat, którego obrazami od lat dziecięcych karmiła się fantazya poety¹⁾, uległ w jego duszy marzycielskiej, uczuciowej, przejętej platońsko-chrześcijańskim idealizmem, przekształceniu i w formach i w treści. Gdy Ariost, ze swą sceptyczną ironią, olśniewa raczej niż pociąga czytelnika, fantasmagoryą postaci, po-

¹⁾ Ojciec Tassa, Bernard, był autorem rycerskiego poematu „Amadys“ (przeróbka z hiszpańskiego).

łożeń, wypadków ze sfery rzeczywistości i uludy, Tasso wierzy w swe postaci, kocha je i część własnej duszy, uczuć zwłaszcza, udziela bohaterom i bohaterkom. Jego uroczę Saracenki czują, mówią i postępują, jak piękne i szlachetne damy dworu w Ferrarze, na którym, pod okiem księżniczek (Eleonory i Lukrecyi), poeta tworzył i odczytywał częściowo „Jerozolimę“. Nic więc dziwnego, że Krzyżowcy poematu przypominają więcej uczestników zabaw dworskich i turniejów książęcych z XVI w., niż prostaczych, gwałtownych, męźnych, niesfornych towarzyszków Goffreda.

O życiu polskiego tłumacza posiadamy nieliczne wiadomości. Syn Mikołaja, podstarościego radomskiego, brata Jana, urodził się Piotr Kochanowski w Sycynie 1566 r. Sycyna należała do Mikołaja tylko w połowie; współwłaścicielem był, na podstawie działu z 1572 r., brat jego Jakób. Według rejestrow poborowych z 1569 r. płaci Mikołaj od 4 łanów (Pawliński, Małopolska, 320). Na tak szczupłej części wychować starannie kilku synów nie było rzeczą łatwą. Musieli oni w służbie dworskiej, wojskowej lub w stanie duchownym szukać chleba. Mikołaj Kochanowski umiera w 1582 r. Ogłoszone po śmierci „Rotuły“ rzucają sympatyczne światło na jego pojęcia religijne i moralne.

Jeden z synów, Adam, pozostaje widocznie na gospodarstwie, drugi, Jan, przywdziewa sukienkę duchowną i dochodzi godności kanonika krakowskiego i gnieźnińskiego († 1613 r.), trzeci, Mikołaj, żeni się z Podłodowską (w 1601 r.), Piotr zaś szuka chleba w służbie dworskiej i wojskowej zapewne. Stosunki z Tęczyńskimi i tytuł „sekretarza królewskiego“ wskazują, w jakich kołach się obracał. W 1598 roku uczestniczy w działach majątkowych, zapewne po dojściu do pełnoletności młodszych braci. W 1603 r. umiera owdowiała matka, Katarzyna z Jasińca. W następnym roku spotykamy Piotra na Malcie, gdzie bawi w towarzystwie Bartłomieja Nowodworskiego i bierze udział w morskich wyprawach wojennych. Szczegóły swego pobytu opisywał w listach do Jana Próchnickiego, sekretarza królewskiego (póź-

niej arcybiskupa lwowskiego), bawiącego w Neapolu z polecenia króla, w sprawie sum neapolitańskich. Próchnicki, wyświęcony na biskupa w Neapolu 1607 r., został przez kawalerów maltańskich wybrany na protektora zakonu w Polsce. Listy, jakie pisywał do Szymona Rudnickiego, bisk. warmińskiego, miały się znajdować w Heilsbergu. Krasicki odszukał tam jeden list Piotra Kochanowskiego z Malty. Kawalerstwo maltańskie tłumacza „Jerozolimy“ jest więc dość prawdopodobne. Domysły o znajomości z Tassesem († 1595 r.), który utrzymywał stosunki z Reszką Stanisławem († 1603), posłem polskim w Neapolu, mniej mają cech prawdopodobieństwa. W 1611 roku bracia Piotra, Adam i Jan kanonik otrzymują przywilej królewski na wydawanie dzieł Jana Kochanowskiego. W tym czasie zapewne Adam buduje przy kościele w Zwoleniu kaplicę z grobami rodzinnymi. Piotr przyozdabia tę kaplicę, wedle słów nagrobka, obrazami i sprzętami, tudzież uposaża zapisem. Zachęcony przez Tęczyńskiego, podkomorzego królowej, ogłasza drukiem przekład „Jerozolimy“ w 1618 r. W dwa lata potem umiera w Krakowie 2-go sierpnia 1620 r. Pochowany u Franciszkanów, otrzymał tablicę grobową z napisem, a jednocześnie brat Adam umieścił drugi nagrobek w Zwoleniu. Napisy grobowe milczą o podróżach i kawalerstwie maltańskim zmarłego¹⁾.

Stopniem kultury umysłowej nie dorównywa Piotr Kochanowski, ani Tassowi, ani swemu stryjowi, Janowi. Doświadczenie życia wojskowego, żywa wyobraźnia, religijność szczerą lecz prostaczą, wrażliwość na wdzięki niewieście, rozwinięta we Włoszech zapewne, wreszcie, obok znajomości romansów rycerskich włoskich, pilne odczytanie się w utworach Reja i Jana Kochanowskiego—oto zasoby i cechy umysłowe tłumacza. Wierzy on niewątpliwie w rzeczywistość piekielnych czy czarodziejskich obrazów, które Tasso niezbyt udalnie wytwarza z połączenia postaci i tradycyi cudowności

¹⁾ Szczegóły biograficzne, oparte przeważnie na pracy ks. Gackiego „O rodzinie Kochanowskich“.

klasycznej, średniowiecznej i chrześcijańskiej. Ogłąda obyczajową, jak o tem świadczy język przekładu, stoi on niżej nie tylko od Włochów współczesnych, lecz i od polskich dwoznan z otoczenia Kochanowskiego i Górnickiego.

Te właściwości wszystkie czynią jednakże Piotra Kochanowskiego bliższym postaciom rycerskim z epoki krucyat, niż był nim Tasso, wychowaniec wykwintnej cywilizacji odrodzenia włoskiego. W przekładzie polskim odzyskują na nowo rycerze krzyżowi swą obozową szorstkość, rubasność, sceny czarodziejskie swą średniowieczną jaskrawość i niesmaczną dziwaczność.

To, co stanowi główną piękność oryginału, delikatny rysunek postaci, subtelne stopniowanie i cieniowanie uczuć, wdzięk, szlachetność i podniosłość, z jakim się wszystkie osoby poematu poruszają, mówią, działają, ta niemożliwa do odтворzenia muzykalność i słodycz języka, odbicie miękkiej, rozmiłowanej w platońskim idealizmie duszy, znika i zniknąć musiało w przekładzie polskim, zarówno ze względu na różnicę w rozwoju obu języków, jak też z powodu warunków duchowych tłómacza i ogółu jego czytelników. Polski tłómacz, opuszczając lub zacierając delikatne rysy i odcienia oryginału, przekształcając wykwintny idealizm, z jakim włoski poeta przedstawia ludzi i rzeczy, na naiwny, często prostaczy realizm, kopiując delikatne freski Tassa, ciężką ręką poczynającego władać pędzlem ucznia, uczynił „Jerozolimę“ tem przystępniejszą i bardziej pociągającą dla polskich czytelników, nie zdolnych pojąć i ocenić subtelnych piękności oryginału. Bliższe poznanie się z utworem Tassa, w polskim przekształceniu, odsłoni nam tajemnice jego niezwyklej popularności i dwuwiekowego przeszło wpływu na poetów i czytelników polskich ¹⁾.

¹⁾ Przekład Kochanowskiego miał dziewięć wydań: w Krakowie 1618, 1651 i 1687 r., w Warszawie 1772 r., w Połocku 1818 r., we Wrocławiu 1820 r., w Wilnie 1826 r. (według pierwszego wydania) i w Sanoku 1856 r. Najnowsze wydanie ukazało się r. 1903 w Krakowie w „Bibliot. pisarzy polskich“ (2 tomy, w opracowaniu

III.

Akcyą poematu rozpoczęła się zstąpieniem Anioła, oznajmującego Goffredowi, iż wołą jest Pana zastępów, by zgromadził rozproszone i od kilku lat na własną rękę i dla własnych interesów walczące hufce krzyżowców, i poprowadził je pod Jerozolimę. Ta samowolna działalność ksiąząt i rycerzy, żywo przypominała polskiemu czytelnikowi świeże wyprawy ochotnicze w sprawie Dymitra lub gospodarów wołoskich.

Z głównymi postaciami obozu chrześcijańskiego poznajemy się w chwili, gdy krzyżowcy, wskutek zabiegów Goffreda, który:

Zacne panięta, swoje towarzysze
Zwoływa, którzy po leżach leżeli.
Gęste śle posły, listy częste pisze,
Prosi i radzi, aby się zjeżdżali (I, 19)

trybem polskiego rycerstwa nadciągają opieszale do obozu. Gdy Piotr pustelnik w przemowie swej poucza rycerzy, że stąd „waśni“ między niemi rosną, że wszyscy rządzić jednako chcecie

A wzajem sobie nie ustępujecie...
.....
Gdzie wszyscy władną, gdzie jeden nie rządzi.
Który ma w mocy kaźni i nagrody
Tam rządu nie masz (I, 31)

dla czytelnika polskiego zniknął „wieków przedział“, różnica miejsc i plemion. W tem złudzeniu utrzymuje go ciągle tłumacz, podsuwając coraz to jakiś polski rys, obcy oryginałowi.

L. Rydla). W tejże „Bibliotece“ wydany został po raz pierwszy w całości przekład „Orlanda Szalonego“, dokonany przez P. Kochanowskiego (Kraków 1905, trzy tomy pod red. J. Czubka). Nad nowymi przekładami pracowali: Trembecki, Lipiński, Albert Mier (prozę II pieśń), Euz. Słowacki, wykończył zaś i ogłosił Lud. Kamiński w 1846 r.

Zebranemu rycerstwu, po wysłuchaniu przemowy Piotra, naznacza Goffred dzień następny na „popis“ (Aby się żołnierz pisał i ukazał). Nazajutrz, skoro świt, każdy jako mógł najstrojniej ubrany, przybywa tam, „gdzie nad łąkami stał w miejscu hetman“. Armia krzyżowców dzieli się na pułki, chorągwie, roty, pod wodzą pułkowników i rotmistrzów, za broń służą „szable“ i „rohatyny“. W czasie pochodu otaczają się taborem z pozpinanych wozów (VIII, 13, w oryginale mowa o rozłożeniu się obozem). Nietylko jednak zewnętrzne podobieństwo (wskutek zmian i dodatków tłumacza), zbliża te dwa rycerstwa. Ścisłszym węzłem łączy je pokrewieństwo temperamentów, uczuć, pojęć. Wspólną im jest ta burzliwa ochoczość, nieznosząca żadnych karbów. „Łatwiej szaloną Wisłę nakierować, Łatwiej wiatr wstrącić... Gdy Krępak z lasów wysokich odziera“ (III, 2), powiada Tasso-Kochanowski, o trudnościach, jakie w przewodniczeniu temu rycerstwu musiał przewycięzać „hetman“ Goffred. Oto np. dzielny, lecz ambitny i zawistny Gernand, widząc, iż dowództwo po zabitym Dudonie, ma objąć młodszy od niego Rynald, który: „Nietylko śmie i nietylko prosi, I towarzystwo na się praktykuje“, a Goffred zaś „zachwalstwo to znosi, albo go i sam na to forytuje“ (V, 22), rozwija śród rycerstwa opozycyjną agitacją i oczernia swego rywala:

„...w towarzystwa nie małej gromadzie,
Wszystek obracał język uszczypliwy.

Usłyszy Rynald, że nań potwarz kładzie

Nie może wytrwać, ale niecierpliwy,

Dobycy broni, głosem mu to zada:

Że łże, jako pies, i że fałsz powiada“.

„Przez pięć tysięcy, podobnom rzekł mało,

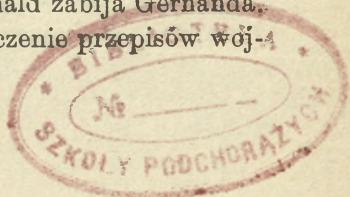
Dobitych szabel w ten czas widać było,

Bo co raz ludzi więcej przybiegało

I na tamten plac gwałtem się kupiło,

Powietrze z głosów pomieszanych drżało“ (V, 26, 28).

W wynikłym stąd pojedynku Rynald zabija Gernanda. Goffred chce surowo ukarać to przekroczenie przepisów woj-



skowych. Gdy towarzysze wstawiają się za Rynaldem, podnosząc „zaczne jego urodzenie, rodowitość i zawołanie“, nieugięty Goffred-Chodkiewicz odpowiada:

Cóż będzie za rząd jeśli źli, zuchwali,
Grzeszyć bezpiecznie bez karania mają,
Nie na toście mi tę bulawę dali...
.
Malowanym być nie chcę na urzędzie.
Ja tu hetmanem, ja tu sam chcę rządzić.
.
Możnym i chudszym jednoż prawo będzie (V, 36, 38).

Czyż polski czytelnik, jeśli służył wojskowo za Zygmunta III, nie znalazł w tej scenie wiernego odbicia własnych wspomnień obozowych? Nazwiska rycerzów mogły mu jedynie przypominać, że ma przed sobą obcy utwór, obraz obcego życia.

Ileż to razy w XVII w. przywódcy obozowych rokoszów, wojskowych konfederacyi, przemawiali do współtowarzyszów słowami Argillana:

A kiedy się bić, kiedy wyciągają
Czasy przewagę albo męstwo jakie:
Nami najgorszą dziurę zatykają,
I na złe razy idziemy wszalacie,
Kiedy zaś zdobycz i łup dzielić mają
Myśmy na stronie i niegodni. (XIII, 65).

Niejednokrotnie do nich możnaby odnieść rysy charakterystyczne włoskiego podżegacza, który: „Na brzegu Trentu zrodzony, zehowany w zwadach, był nocnym domów na jezdni, potem banitem, i z ziemi wygnany, łupił po drogach“ (VIII, 58). Tasso powiada, że „wyrósł śród wojen domowych“, Kochanowski zaś, wierny przyjętemu systemowi, wstawia na to miejsce rysy polsko-szlacheckiego życia.

Za to na polu walki ten burzliwy indywidualizm wywołuje liczne przykłady niepospolitej odwagi i dzielności. Rycerze ci, uprawiający sztukę wojenną z namiętnem zamiłowaniem, szukający sposobności do popisania się ze swą si-

lą, zręcznością, odwagą, uważają pole bitwy za arenę, na której mają swój artyzm rycerski uwydatnić. Walczyć w zwartych szeregach to rzecz motłochu, harc popisowy, pojedynk ze znakomitym przeciwnikiem, oto jedynie godne rycerza zadanie. Pod okopami Chocima powtarzają się podobne harce, rozwija się ten sam rodzaj sportu wojennego, jakiego obraży, z pod murów Jerozolimy, kreśli nam poeta włoski. Bohaterski odwrót Żółkiewskiego pod osłoną taboru, zakończony rzezią cecorską, ma w Jerozolimie odpowiedni epizod w pochodzie i zagładzie oddziału królewicza Swenona (VIII), który pod osłoną „pozpinanych wozów“ posuwa się osaczony przez przeważne siły i ginie wraz z swoim hufcem śmiercią rycerską i męczeńską zarazem. Gdy z całego hufca została się mała garstka,

Królewicz widzący
 Pobite pierwsze swoje wojownicy:
 Nie dał tego znać, tak do swych mówiący:
 Mamy, o bracia, dobre przewodniki
 I my za niemi, w niebo ich przykładem
 Idźmy
 I wesół z śmierci, że już była bliska,
 Niósł piersi pełne niebieskiej ochoty:
 Nieprzyjaciel nań zewsząd gęste ciska
 Miecze, kopie, strzały, ostre groty.
 że jego ciało
 Skłóte, jedną się tylko raną zdało.
 Nie żywot trzyma, ale niepożyty
 Węzeł dzielności, członki już zemdlące,
 Kole sam skłóty, i bije sam zbity,
 I w skłutem ciele serce jeszcze śmiało. (VIII, 21, 23).

Gdy wreszcie padł pod gradem pocisków, z martwej ręki nie wypuścił miecza, „drugą do piersi nabożnie przykładął, tak jakoby się za grzechy spowiadał“. Dzieje wojenne nasze przedstawiają niejeden przykład takiej śmierci, po nad którą zespolenie i podniecenie rycerskich, narodowych i religijnych uczuć roztaczało niejako aureolę męczeńską. Czy na polach

Cecory, czy na murach Częstochowy w sercu niejednego z walczących i ginących rycerzy, można było odnaleźć to spotęgowanie uczuć, które zgonowi nadawało podniosłość świadomie spełnionego aktu ofiary. Sienkiewicz w śmierci Podbięty odtworzył obraz takiego męczeńskiego heroizmu.

Łatwiej było tłumaczowi wprowadzić narodowe rysy do charakterystyki życia obozowego i mas walczących, niż do szeroko rozwiniętych wizerunków głównych bohaterów chrześcijańskiego obozu.

I tu jednakże Kochanowski, częścią z konieczności (ubóstwo językowe i trudności formy oktawowej), częścią pod wpływem przyjętego w pracy systemu, przez zacieranie subtelniejszych rysów, wkładanie w usta polsko-szlacheckich zwrotów i archaistycznych form językowych (liczba podwójna), dokonywa, częściowego przynajmniej przekształcenia bohaterów Goffredowych na rycerzy z pod Chocima.

Do spotęgowania wywołanego przez to złudzenia, pomaga istotne powinowactwo duchowe pojęć i uczuć, zbliżony stopień kultury obyczajowej. Goffred, taki, jakim go przedstawia Tasso, z łatwością by się zrozumiał z Chodkiewiczem i wybornie by go zastąpił pod Chocimem.

„Pobożny“ hetman ten, dzieląc z przedniejszymi towarzyszami swemi, dzielność rycerską i zapał religijny, góruje nad nimi siłą moralną, władzą, jaką ma nad własnymi namiętnościami, uczuciami i rozważą, płynącą z doświadczenia życiowego i wojskowego. To zespolenie rzadko się schodzących przymiotów, w połączeniu z pewną bystrością umysłu, spotykamy również u zwycięzcy z pod Kircholmu. Do spolszczenia postaci Goffreda przyczyniają się najwięcej jego przemowy, którym tłumacz nadaje czysto polsko-szlachecką barwę. Poznaliśmy powyżej jedną. Jeszcze wybitniej cechy te występują w chwili, gdy Goffred widząc, że żaden z jego rycerzy nie śmie wystąpić do boju z dzielnym saraceńskim rycerzem Argantem, zrywa się oburzony i sam chce stanąć do pojedynku:

. porwał się z ławy,
 Co w nim żal i gniew pobożny sprawował:
 Byłbych, pry, nie mąż lecz niewieściuch prawy
 Gdziebych żywota dziś nie odżałował,
 I gdziebym sławę memu narodowi
 Zdeptać dopuścić miał poganinowi. (VII, 60).

Inni rycerze, jak potężnej ręki i wielkiego serca Tankred, gorący lecz młodzieńczo-lekkomyślny Rynald, rycerskość swą uwydatniają działalnością na placu boju, zaś słowami wynurzają częściej uczucia i pojęcia natury romantycznej, stąd trudno było tłumaczowi zastosować do tych postaci system polszczenia. Za to saraceński Argant:

Wściekły, okrutny, hardy, niecierpliwy
 A wszystką słusność w szabli swej położył.

Gdy sułtan jerozolimski chce używać czarów przeciw chrześcijanom, Argant, odradzając, powiada:

W te bałamuctwa my się nie wdawajmy,
 Szabla rzecz nasza i tej się trzymajmy.

Z ust saraceńskich wychodzą słowa, które w drugiej połowie XVII w. stały się hasłem rycerzy Czarneckiego:

Dla wiary wszystko uczynić się godzi
 I dla ojczyzny, bo to społem chodzi. (IV, 26).

W innym miejscu znów Argant powiada:

To wiem, że umrę, szablę w rękę mając,
 Sławy i śmierci poczeiwej szukając. (XI, 5).

Nie ufając chrześcijanom, zamieszkałym w Jerozolimie, sułtan wysłał ich „na Ukrainę“ (II, 54). Piękna Armida, godząc zabierających się do bójki, zawistnych o jej względy rywalów, powiada:

. że mnie przybywa czeladzi
 A towarzystwo tobie, cóż, pry, wadzi. (V, 83).



Czysto polską jest także kłótnia dwu saraceńskich rycerzy, przechwalających się przed królem i Armiadą ze swego męstwa.

Tyzafern na przechwałki Adrasta woła rozjątrzony:

„A tyś kto, prawi, który tak zuchwale
Mówisz przy królu, przy nas chłopie gruby,
Milczą tu drudzy, choć mężniejszy: A ty
Tak się skoro wprzód wymykasz przed swaty.
Odpowie Adrast: ja nie mówię wiele
I daremnych słów nierad puszczam z gęby,
Ale by nie tu, nie rzekłbyś tak śmieie,
I po ziemibys pewnie zbierał zęby. (XVII, 50, 51).

Jak polską również jest opowieść rycerza o znalezieniu zwłok bez głowy, w których domysłano się trupa znikłego Rynalda.

„Obaczę chłopą niedaleko, który
Tę samą tylko powiadał nowinę,
Że wczora, kiedy bydło pasł z chłopięty,
Zajrzawszy konnych, skrył się w rokinę
.....
I serdecznem go, Bóg widzi, żałował. (VIII, 54, 55).

Jak widzimy, krzyżowcy i saraceni rozmawiają i opowiadają językiem, z którym spotkamy się dopiero w opowiadaniach Soplicy i powieściach Sienkiewicza. A przecież drukowano to w 1618 r. Jedynym skutecznym hamulcem na te, popędami rządzące się natury, było uczucie religijne, które w danych chwilach wybucha w najprostszej formie afektu, wstrząsającego cały organizm, wywołującego spazmatyczny płacz i westchnienia. Gdy hufce krzyżowców spostrzegają po raz pierwszy mury Jerozolimy, po wykrzyku radości, następuje chwila rozrzewnienia:

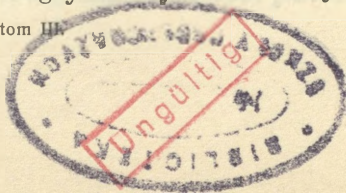
Później, w nabożne myśli nastąpiła
Pełna pokory Bogu milej skrucha,
A bezwątpienia sama to sprawiła
Łaska świętego, w twardych sercach, ducha.
Nie śmie, wzrok śmieie, patrzeć upłakany
Tam, kędy odniósł Bóg śmiertelne rany.
.....

Ciche wzdychania, słowa przerywane,
 Łzy a łkanie tylko słyszeć było

Ten udatny, w oryginale zwłaszcza, obraz wzruszenia religijnego burzliwych krzyżowców, odtwarzał również stan duszy husarza polskiego, gdy w przerwach między jedną a drugą wyprawą, odbywał pobożną pielgrzymkę do jednej z licznych Kalwaryi, lub cudownego obrazu Matki Boskiej, by spowiedzią uspokoić sumienie obciążone licznymi wybrykami życia wojskowego. W procesyi obozowej, jaką maluje Tasso (XI, 4—13), nieraz uczestniczył rycerz polski, polecając Bogu los walki i własną duszę. Uczucia religijne, jakkolwiek stanowiły tak silny bodziec wypraw krzyżowych, w poemacie włoskim występują dość skąpo i blade. Katolicyzm Tassa był przeważnie artystycznej natury a jego zasadnicze pojęcia religijne opierały się więcej na Platonie, niż na Piśmie Świętem. Umieszczając na czele poematu wezwanie do Muzy, która w gwiazd koronie i gronem błogosławionych otoczona, unosi się w sferach niebiańskich, Tasso uosabiał tu niejako, w dziewiczej postaci, ideę piękna, która ma, jak Beatricze, przewodniczyć mu w pracy artystycznej; tłumacz, oddając „Musa“ przez „Panno“, nadał obrazowi wyraźnie katolickie piętno. Ten sam stosunek między wybitnie katolickim charakterem przekładu, a platońsko-dantejskimi obrazami sfer niebiańskich w oryginale, spotykamy w wielu innych miejscach.

Gdy Tasso przedstawia nam (IX, 56) króla niebios, który „dobry i sprawiedliwy daje wszystkiemu prawa, wszystko ozdabia i wytwarza w ciasnym obszarze niskiego świata, skąd ni zmysłami, ni rozumem człowiek go osiągnąć nie może“, polski tłumacz podstawia w to miejsce rysy z Psalterza (w przekładzie Jana Kochanowskiego) i powiada:

Płaszczem odziany chwały i wieczności,
 Mając wszystkie swe stworzenia na pieczy:
 Siedział na tronie swojej wielmożności,
 Kędy zmysł nigdy nie dojdzie człowieczy.



Kiedy, wspominając o modłach zanoszonych przez obrońców Jerozolimy, Tasso zaznacza ich bezskuteczność, posiłkując się przytem dantejskim obrazem:

. ne fur le voci intese
Laggiù tra il pianto dell'eterna morte.

tłómacz niesmacznie i nielogicznie przerabiając, powiada:

. lecz w piekle fałszywy
Bóg tego nie chciał rozumieć języka. (XI, 30).

Rzecz naturalna, iż nieprzystępnem było polskiemu poecie filozoficzne stanowisko, z jakiego oceniał Tasso dzieje ludzkości, gdy przedstawiając Solimana, przypatrującego się ostatecznemu szturmowi krzyżowców, powiada:

Mirò, quasi in teatro ad in agone,
L'aspra tragedia dello stato umano
.
E i gran giochi del caso e della sorte.

W polskim przekładzie czytamy:

I widział, jako odmienna mieszała
Fortuna rzeczy rodzaju ludzkiego. (XX, 73).

W innem znów miejscu włoskie: „*Onde piace lassù*“ przekłada Kochanowski: „Bóg w dyamencie wyrok ten wykował“.

IV.

Najwdzięczniejszemi i najudatniej skreślonymi postaciami Jerozolimy są trzy uroczę saracenki: Klorynda, Ermينيا i Armida. Dzieje ich uczuć, podbojów, przygód, wypełniają przeważną część poematu. Właściwa akcyja wojenna stanowi jakby tylko tło dla szeroko rozwiniętych scen romantycznych. Choć tłómacz poopuszcza i pozaciera wszystkie delikatniejsze linie i odcienie, choć w usta saracenek, zamiast wykwintnej mowy włoskich dworów, włoży często ru-

baszne zwroty obozowej polszczyzny, przecież nawet w tych węglowych kopiach z rysunków Tassa, Rafaela poezji, pozostanie tyle piękna, iż dla polskich poetów, do czasów Mickiewicza, stanowiąc one będą wzory niedoścignione.

Piękność tych postaci i obrazów jeżeli nie ocenić to odczuć umieli już polscy czytelnicy XVII w. Rozszerzenie wśród szlachty, przy pomocy szkół jezuickich, ogłady umysłowej, opartej na humanistycznej oświacie, podniesienie dobrobytu i kultury obyczajowej, umożliwiała to uszlachetnienie stosunków między mężczyzną a kobietą, jakiemu towarzyszy zidealizowanie uczuć miłosnych.

W poemacie Tassa spotykał polski czytelnik po raz pierwszy zarówno obrazy nieprzeparłej potęgi i uszlachetniającego wpływu jak i różnorodne formy i stopnie miłości. Pierwiastek zmysłowy występuje tu jedynie—z piętnem czarodziejskiego uwiedzenia—w obrazie pobytu Rynalda, w zaczarowanych ogrodach Armidy — zresztą wszędzie miłość przedstawiona jest jako czynnik idealny, pobudzający do poświęceń, uszlachetniający człowieka. Zaraz na początku, w drugiej pieśni poematu mieści się głośny w swoim czasie, ustęp o Sofronii i Olindzie. Chrześcijanka Sofronia dla odwrócenia kary, grożącej jej współwyznawcom za porwanie z meczetu, umieszczonego tam obrazu chrześcijańskiego, bierze dobrowolnie na siebie winę i ma ponieść za nią śmierć. Na wieść o tem, kochający ją bez wzajemności Olind, śpieszy do sądu i siebie za winowajcę podaje. Zdumiony i rozgniewany tem niepojętem mu współubieganiem się o śmierć, sułtan skazuje oboje na stos. Olind uszczęśliwiony, wynurza swe uczucia, przywiązanej do jednego z nim pała, Sofronii. W stanowczej chwili pojawia się, śpiesząca na pomoc zagrożonej Jerozolimie, rycerska saracenka Klorynda i rozczulona poświęceniem się tej pary, uwalnia swem wstawiennictwem od śmierci.

Przez dwa wieki opowieść ta, stanowiąca epizod bez związku z całością poematu—rozzewniała polskich czytelników, nie zrażających się wcale, wobec podniosłości uczuć

i poświęceń, trywialnością formy, jaką jej tłumacz nadawał. Stanąwszy przed sądem woła polski Olind: „Nie wierz jej królu, plotkić powiadała“ (*Non é, non é gia rea...*). Słowa Tassa („*Mentre sono in tal rischio*“), odnoszące się do grożącej obojgu śmierci, oddaje Kochanowski trywialnie przez: „Już ich tylko co w ogień nie włożyli“.

Epizod ten wprowadza na widownię Kloryndę, o której powiada poeta:

Do igły i do wrzeciona nie chciała
 Nigdy obrócić swojej pysznej ręki.
 Miękką twarz i strój pieszczony złożyła
 A męską na się postawę włożyła.
 Jeszcze z dziewczyny była nie wyrosła,
 A już szalone konie objeżdżała:
 Kopię w rękę, miecz u boku niosła,
 Łuk tęgi dziewczą ręką wyciągała,
 A jeśli w lasy na łów kiedy poszła
 Nie raz się ze lwy mężnie uganiała.

Wprawdzie i na obszarze rzeczypospolitej, jak świadczą opowiadania Rollego (Niewiasty kresowe), bywały kobiety odznaczające się siłą męską, odwagą i wojowniczymi popędami, lecz zbywało im na tej szlachetności uczuć, rycerskości ducha, które wraz z niezwykłą urodą i wdziękiem czynią z Kloryndy kobietę wyższą, piękniejszą, energią ciała i ducha, nie zaś tylko wojowniczą amazonkę. Wraz z kilkoma pokoleniami czytelników i tłumacz uległ czarowi tej postaci, wrażeniu jakiego doznaje wyobraźnia wobec artystycznie odтворzonej sceny odsłonięcia się oblicza Kloryndy z pod szyzaka, strąconego kopią Tankreda, który zamiast walczyć z uroczą przeciwniczką, wynurza jej w ognistych słowach swą miłość:

I spadł jej z głowy na ziemię, że potym
 Błysnęła twarzą i warkoczem złotym.
 Oczy się, jako słońca, rozświeciły,
 Wdzięczne, chocia się była rozgniewała:
 Cóż, kiedyby się do śmiechu skłoniły,
 Cóż, kiedyby w nich łaskę ukazała.

Olśniony tem uroczem zjawiskiem Tankred:

. skamieniały
 I jako martwy, w ziemię wryty stoi,
 Ona naciera, on na inszych śmiały
 Tej się obrazić, jej się ranić boi.

 Jej pięknej twarzy pilnuje w pogoni.
 Mówi sam z sobą: otom nieraniony,
 Chociaż mam ciężkie rany od jej broni.
 Ale te cięcia, które wypadają
 Z jej pięknej twarzy, w serce ngadzają.

Gdy Klorynda, na propozycję Tankreda, ustępuje z głównej linii walki, sądząc, że chodzi o wybór miejsca dogodniejszego do odbycia pojedynku, on tymczasem zamiast kruszyć kopią, atakuje piękną przeciwniczkę ognistą deklaracją swych uczuć:

Nim dobrowolnie umrę od żalości,
 Wydrzyj mi serce albo utnij głowę,
 Kiedy mieć niechcesz nademną litości;
 Twoje to serce, a jeśli go żywo
 Niechcesz mieć, niechaj umrze kiedy krzywo.

W chwili tego miłosnego wyznania, jeden z przebiegających rycerzy chrześcijańskich rani w przelocie odsłoniętą głowę Kloryndy:

. . . raz był słaby, jako to kwapiony:
 Jej warkocz złoty taki miał blask nowy,
 Kilką kropli krwi rumianej zmoczony,
 Jaki więc miewa kamień rubinowy,
 Misterną ręką w złoto oprawiony.

Na widok ten Tankred rzuca się w pogoń za napastnikiem, a Klorynda zdumiała nie umie sobie zdać sprawy z tego, co koło niej zaszło. Niewątpliwie większa część czytelników polskich podzielała uczucia Tankreda i w wyobraźni swej gończyła za tym zuchwalcem, który śmiał zadrasnąć Kloryndę, tem piękniejszą jeszcze z krwawemi rubinami na złotym warkoczu.

Dla tych, którym gwiazdziste oczy i złoty warkocz nie wystarczał, Armida roztaczała całą pełnią wdzięków niewieścich nie ukrytych pod pancerzem.

Włos z przyrodzenia ukędzierzawiony
Puszczony na wiatr, w pierścienie się wije,
Wzrok sam w swe oczy wszystek zgromadzony
I skarb miłości i swój własny kryje.
.

Śnieg biały z piersi i z szyje wynikał
Gdzie ma swe gniazdo miłość przeraźliwa:
Mniejsza część piersi na wierzch się wymyka,
Większą część kryje szata zazdrościwa,
Ale chociaż je przed okiem zamyka,
Przechodzi rąbek i szatę myśl chciwa. (IV, 30, 31).

Była to synowica sułtana jerozolimskiego, która, chcąc przyjść z pomocą sprawie saraceńskiej, postanawia, potęgą swej piękności i przy pomocy duchów piekielnych, uprowadzić z obozu chrześcijańskiego najdzielniejszych rycerzy. Przybrawszy rolę skrzywdzonej i wygnanej z własnego księstwa władczyni, przybywa do Goffreda ze skargą i prośbą o pomoc w nieszczęściu. Pobożnego wodza nie zmiękczyły ni łzy, ni kokieterya czarodziejki, lecz rycerstwo za to, gdyby nie interwencya Goffreda, byłoby gromadnie za nią pośpieszyło. Prócz dziesięciu losem wybranych, mnóstwo potajemnie opuszcza obóz, by zasłużyć się uroczej księżniczce. Między niemi znajduje się młodziutki i piękny „jak Kupido“ Rynald, którego Armida osadza pod strażą duchów, w swym zaczarowanym pałacu. Któryż z czytelników nie pozazdrościł mu tego losu?

Dla tych co od ideału niewieściego wymagali prostoty, tkliwości, nieśmiałości, których więcej zachwycało tajone, łzami się objawiające uczucie, niż rycerska dzielność Kloryndy lub zimna kokieterya Armidy, stworzył poeta uroczą Erminię, jakby dziewczę z polskiego dworku szlacheckiego, kochające wojaka, bawiącego na niebezpiecznej wyprawie i zalewające się łzami na myśl o możliwym jego zgonie. Uko-

chanym tym jest rycerz i bohater chrześcijański — Tankred. On to, przy szturmie miasta, w którym władał ojciec Erminii, wyrwał ją wraz z matką z rąk rozjuszonego żołnierstwa i najtroskliwszą otoczył opieką. Utraciwszy rodziców, znajduje Erminia schronienie w Jerozolimie, gdzie przebywa na dworze sułtana wraz z Kloryndą. Wdzięczność dla szlachetnego wybawcy przerodziła się w miłość bez nadziei, tem silniejszą, iż tajoną przed całym otoczeniem. Z murów miasta śledzi z utęsknieniem i niepokojem przebieg każdego boju.

Łzy bez przestanku smętnie wylewała
Z frasunku, strachu, żalu, z niepokoju,
Nakoniec już lez tak wiele nie miała,
.
A wszystka srodze wyschła i wybladła.

Pomimo iż z Kloryndą:

Bardzo się w sobie obiedwie kochały,
Na jednej z sobą pościeli sypiały,
Jedna się drugiej wszystkiego zwierzała;

miłość swą kryła przed przyjaciółką:

A mając często zapłakane oczy:
Gdy o przyczynę Klorynda pytała,
Wszystko na swój stan składała sierocy. (VI, 79, 80).

Na wiadomość, iż Tankred ranny leży w namiocie, zdobywa się na rozpaczliwą energię. Przywdziewa zbroję Kloryndy, by w tem przebraniu dostać się do obozu chrześcijańskiego i pielęgnować rannego.

Noc na się była rąbek z gwiazd włożyła,
A niebo jasne świeciło pogodnie,
Już i Cynthia pełna prowadziła
Swe złote wozy między mniejsze ognie;
Erminia też swoje rozłożyła,
Pospołu z niebem, gorące pochodnie,

Czyniąc ich świadkiem: zycziwe milczenie
I nieme pola i miesięczne cienie.

Więc po poświecie szata się bielala,
A na szyszaku tygrys się błyszczała (VI, 103, 106).

Romantycznie ale niepraktycznie obmyślana wyprawa nie prowadzi do celu. Siły zawodzą Erminię. Spłoszona przez rycerzy chrześcijańskich, ucieka ponoszona przez konia:

Wodze puściwszy za lęk się trzymała,
A koń ją, gdzie chce, po krzewinie niesie.

Spłoszony rumak zatrzymuje się dopiero wśród puszczy, gdzie Erminia znajduje schronienie w chacie starego pasterza. Zbroją swoją wywołuje przestraszonych w cichej ustroni:

Ujrawszy zbroję, poczęły przez płoty
Uciekać w gęstwą dzieci wylęknione:
Erminia im włos ukaże złoty,
Z hełmu i oczy do śmiechu skłoniłone.

Przywdziawszy strój wieśniaczy bierze udział w czynnościach pastuszej rodziny:

Lub owce pasie, lubo ogród piele,
Lub z lasu bydło do domu zwoływa,
Lub krosien, lubo pilnuje kądziele,
Lub z motowideł na kłębki prządziłona
Zwija (VII, 17, 18).

Tłómacz polszczy ten sielankowy obrazek, dodając obce oryginałowi szczegóły. (Płoty, pielienie, krosna, motowidła, przędziwo). Po wielu trudach i przygodach ziszcza swe pragnienia Erminia, spotyka Tankreda, ale ciężko rannego i bezprzytomnego leżącego na pobojowisku. Zrozpaczona, własny rąbek drze na opatrunek, obciętych warkoczy używa do przewiązania. Przywrócony do zmysłów, rycerz pyta ze zdumieniem:

A tyś kto? droga, o lekarko moja!

Pełnęła wstydem na on czas dziewczyna (XIX, 114).

Nawet Armida, zdradliwa zwodnica, używająca wdzięków na zgubę rycerzy, zapłonęła namiętnym uczuciem dla Rynalda i gdy ten wydostał się z jej zaczarowanego pałacu, nie waha się błagać go o litość nad opuszczoną.

Chciała zawołać: postój, postój mało!
 Ale nie mogła, od żalu wielkiego,
 Wymówić dobrze i słowo musiało
 Wrócić się nazad do serca smutnego.
 Tak była pyszna, i tak pełna wzgardy,
 Że w samej sobie tylko się kochała,
 Chciała, żeby ją miłowali wszyscy,
 Lecz wszystkich przecie miała w nienawiści.
 A teraz tego, widząc się wzgardzoną,
 Który nią gardzi, goni

 Ciebie, oh nieboga,
 Ciebie, ach mieć chce samego za Boga.

Zaklina go, by pozwolił jej iść za sobą, chce być mu służką, niewolnicą; widząc, że prośby jej nie odnoszą skutku, pada bez przytomności.

Rynaldowi się też serce kraje, tłumi tylko łzy i westchnienia, z jakimi, idąc za głosem obowiązku i honoru, opuszcza rozkoszną siedzibę i jej uroczą władczynię. W myśli mu się przesuwają owe tak świeże:

Pieszczone gniewy, nieszczyre odmowy,
 Prędkie jednania, miękkie całowania,
 Ucieszne śmiechy, łagodne rozmowy,
 Krople słodkich łez, ucięte wzdychania.

Przypomina sobie, jak się czuł szczęśliwy, gdy

. . . ona głowę do niego schyliwszy,
 Ssie wdzięczne usta
 gdy wzrok w gładki kryształ kładła,
 Czynił z jej oczu wesołych zwierciadła.

. . . . że ledwie dusza w onym czasie
 Nie zbiegła do niej

 Cóż, kiedy w śmiech twarz wesolą oblecze,
 Kamienie miękczy: cóż serce człowiecze.

Cóż dziwnego, że miłość do Kloryndy, o tyle wyższej pięknoscią ducha nad Armidą, tak góruje w sercu Tankreda nad innemi uczuciami, że zapomina często o obowiązkach rycerza-krzyżowca. Chrzesz Kloryndy, niezręcznie przyczepiony do sceny jej zgonu, ma służyć niejako za usprawiedliwienie i uświęcenie miłości Tankreda i sympatyj poety dla rycerskiej i szlachetnej saracenki, która w chwili zgonu:

Mało co pierwszej straciwszy piękności,
 Jako lilia białą barwą bladła:
 Na jasne niebo, zda się, że z litości,
 Gdy w nią patrzyło, czarna chmura padła.

Nieszczęśliwy Tankred, mimowiedny zabójca, wzywa śmierci, któraby położyła koniec jego cierpieniom i połączyła „z szlachetną duszą, co go uprzedzała“. Nieustraszony rycerz na widok zwłok ukochanej „mdleje trupowi rówien“. Przyszędłszy do przytomności, zrywa opatrunek z własnych ran, chcąc sobie zgon przyspieszyć. Surowo skarcony przez Piotra pustelnika, który mu przypomina o powinnościach rycerza chrześcijańskiego, uspakaja się nieco, lecz cierpieć nie przestaje.

Lubo wieczorne, lubo wstają rane
 Zorze, jej woła, jej płacze, jej prosi,
 Tak jako słowik, co mu nieodziane
 Pióry dziecińcy, myśliwiec unosi.

Po wielu bezsennych nocach,

. . . . Kiedy świtać poczynąło
 Między lzy w oczy wpadło mu snu mało.
 W tem mu się w szacie gwiazdami natknionej
 Kochana jego, przez sen, ukazała:
 Dobrze piękniejsza i w jasności onej
 Niebieskiej będąc, poznać mu się dała.

I zdało się, że w postawie skłonionej
 Do śmiechu, łzy mu z oczu ucierała,
 Przypatrz się (prawi) teraz mej piękności
 I mej ozdobie, a skróć swej żalosci. (XII, 90, 91).

Gdyby nie współczesność, wykluczająca hipotezę pożyczki, możnaby sądzić, iż Kochanowski od Tassa wziął pomysły do ostatniego trenu. W przekładzie podobieństwo wzrosło jeszcze przez obcy oryginałowi, a z tego trenu wzięty dodatek („w postawie skłonionej do śmiechu“).

Jak w sercach bohaterów poematu uczucia miłosne górują nad innymi, tak i w poemacie samą główną ideą: walki o grób Chrystusa, boju między dwoma prądami religijnych uczuć, ustępuje na drugi plan wobec uwydatnionej we wszystkich prawie postaciach, i przeprowadzonej z całą potęgą talentu i zapału, idei: zwycięstwa miłości, jako najwyższej potęgi duchowej, której zadaniem jest przekształcać bolesną tragedię życia ludzkiego w harmonijną pieśń szczęścia. Cała przyroda wraz z człowiekiem podlega potędze tego uczucia:

Znać ją w jaworze, znać ją w twardym dębie,
 Lipy, topole, miłość wydawały
 W ziemię i w wodę i w każde stworzenie
 Pożądaną miłość lało przyrodzenie.

Jak róża „co w półwychylona dopiero swoje opowiada przyjscie“, aliści po chwili przekwita i więdnie „i już się nie godzi na wieńce“, tak w życiu człowieka przemija szybko „kwiat wesołej młodości“ i „choć się kwiecień wraca w każdym lecie, on więcej nie kwie“, przeto „póki w świeżym kwiecie, zbierajmy różę pożądaną miłości póki nie zwiednie“ (XVI, 14, 16). To wezwanie, jakkolwiek wygłoszone przez czarodziejskiego ptaka w ogrodzie Armidy, ale płynące niewątpliwie z niezawsze platonicznych pobudzeń serca poety, znalazło żywy odgłos w duszach polskich czytelników.

Tłumacz sam, ulegając czarowi obrazów i języka w scenach miłosnych, odtworzył je, dzięki pobudzeniu wyobraźni,

z możliwą wiernością i harmonią treści z formą, zdobywając się niekiedy na szczęśliwe oddanie subtelnych rysów. Kiedy np. mówi o Armidzie:

Jako drży promień na wodę ciśniony,
Tak niespokojne źrenice toczyła.

lub gdy Rynald prosi, by wzrok swój odwróciła ze zwierciadła ku niemu:

Czy nie wiesz, że twych piękności prawdziwy
Wyraz jest ogień i moje zapaly,
I lepiej ci ich cudowny kształt, moje
Serce ukaze, niż zwierciadło twoje.

.....
Wierciadła godne ciebie, same nieba,
W gwiazdach ci patrzeć twych podobieństw trzeba.

Takich ustępów nie powstydziliby się i Słowacki, który nie darmo woził ze sobą po świecie „Jerozolimę“ w przekładzie Kochanowskiego.

V.

Ze scenami romantycznymi łączy się zwykle odpowiednio tło krajobrazowe. Piękność nocy włoskich żywo odczuwała marzycielska dusza i wrażliwe nerwy Tassa, stąd najczęściej sceny miłosne, a nawet czyny rycerskie przedstawia przy oświetleniu księżycowym.

Rzecz dziwna, iż tłumacz, dla którego obrazy natury znaczne mogły przedstawiać trudności, wcale dobrze, a niekiedy bardzo udatnie wywiązał się ze swego zadania. Poznaliśmy powyżej obraz nocy księżycowej, wśród której odbywa swą wyprawę Erminia. Dodatkami swemi nadaje często Kochanowski krajobrazowi charakter polski. Las, o który toczy się walka między rycerstwem a broniącymi go duchami, składają obok cedrów i cyprysów: buki, jesiony, sosny, je-dliny, świerki, modrzewie. Gdy Rynald wchodzi w głąb tego lasu:

. usłyszysz głosny
 Dźwięk, który błagał serce przerażając,
 Strumień żal jakiś wydawał nieznośny,
 Wiatr między brzegi wzdychał powiewając,
 Na wodzie łabęć narzekał żaloszny
 A słowik płakał nie odpoczywając. (XVIII, 18).

Rozkoszny kobierzec miękkiej trawy wabi rycerza wonnemi ziołami, ciemny las ziębi chłodem, straszy szumem gałęzi i hukiem wód potoku biegnącego w bystrych zakrętach. Gdzie stąpi odurzony wędrowiec, tam mu z pod nogi

Zdroje i wonne kwiecie wynikają;
 Tu kwitną róże, tu białe lilie,
 Tu źródło, tu piękne strugi wypadają.

Las cały brzmi melodią pełnych słodyczy głosów (XVIII, 23, 24).

W dwa wieki dopiero rozbudzi się w duszach polskich wrażliwość na objawy życia natury i w związku z nią popęd do ożywiania tej natury, przez objaśnianie jej zjawisk w duchu pojęć ludowych, jako objawów działania nadprzyrodzonych istot i dopatrywanie tajemniczego związku między człowiekiem a otaczającymi go czynnikami fizycznymi. Zaleski i Słowacki będą niejednokrotnie podobnymi wielce rysami malować tajemniczy związek człowieka z przemawiającą do niego przyrodą. Pomiedzy wrażeniami Cislawa przedzierającego się do jaskini rusałek a głosami i zjawiskami, jakich doznaje Rynald w lesie zaczarowanym, związek zachodzi bardzo bliski. Gdy o zabłąkanej wśród puszczy Erminii, tłómacz powiada:

A między wodą i lasem się zdało,
 Że ją coś znowu do płaczu wołało (VII, 5).

to bezwiednie zapewne, przez lekką zmianę w formie wyrażenia, nadaje ustępowi piętno ludowej polskiej opowieści, powtarzające się w balladach z epoki romantyzmu. Czyż nie

polskim jest ten udatny obraz natury, ożywiającej się wśród skwarów letnich po ulewnym deszczu:

Jako gdy lecie deszcz, w czasy gorące,
Spadnie na zboża i na wyschłe sady,
Na brzegu wodne ptastwo świegocące
Czeka i kaczek pierzchliwych gromady,
I rozciągając na dżdże spadające
Skrzydła, skubią się wdzięcznej rosie rady. (XIII, 76).

Najmniej udatnemi i w oryginale i w przekładzie są postaci świata duchów, zarówno aniołowie, jak szatany, nimfy ogrodów Armidy, dryady lasu zaczarowanego.

Tasso nie posiadał ni potęgi wyobraźni dantejskiej, ni gorącej wiary w postaci, które przedstawiał, stąd przypominają one teatralnych duchów, spuszcających się na drutach, i działających na widza maską, kostiumem i sztucznym oświetleniem.

Światu temu brak jednolitości. Cudowność chrześcijańska miesza się z pogańską i płodami średniowiecznej wyobraźni. Zapożyczywszy od Vidy (z poematu *Christiada*) obraz narady piekielnej, wprowadza w miejsce przewodniczącego jej szatana, starożytnego Plutona, którego wizerunek bierze z Claudiana.

Kochanowski, a z nim cały poczet czytelników polskich XVII w. przyjmuje ten udział świata nadziemskiego w sprawach krzyżowców, jeżeli nie za wierne odbicie tego, co zaszło w rzeczywistości, to za prawdopodobne, zbliżone odtworzenie rzeczywistych stosunków.

Wyobrażenia i uczucie ludzkie, jeżeli nie zostają pod kontrolą rozwiniętego należycie rozumu, gonią skwapliwie za cudownością i chętnie biorą jej pozory za rzeczywistość. Stłumiona w XVI w. przez racjonalizm reformacyjny i humanizm w duszach światlejszych jednostek, wiara w cudowność, wraca z tem większą siłą i wzrastać nie przestanie, aż do połowy XVIII wieku.

W przekładzie Kochanowskiego sceny piekielne przed-

stawiają się jaskrawiej niż w oryginale. Wykwintny smak Tassa każe mu łagodzić wstrętność i dziwaczność postaci, któremi młodzieńca wyobraźnia ludów zapełnia piekielne podziemia. Kochanowski pojmuje dyabła w duchu ludowo-szlacheckich wierzeń. Gdy Tasso powiada:

Tutt' i Numi d'Inferno a se raccoglie
L'Imperador del tenebroso regno.

Kochanowski tłumaczy:

Wszystkiej piekielnej zwoływa czeladzi
Do jednej kupy, Pluton zagniewany.

Charakteryzując potworność postaci piekielnego świata, do podanych przez Tassa rysów dodaje:

. jedni kurze nogi,
Drudzy wielbłądzie, trzeci mają krowie. (IV, 4).

Tym sposobem i świat duchów przybiera cechy, wzięte z ludowych polskich wyobrażeń. Gdy jednak dodatki są wytworem wyobraźni samego tłumacza, odsłaniają nam zwykle upodobanie prostaczej duszy w jaskrawych, niesmacznych rysach. W charakterystyce Plutona dodaje od siebie:

. tak i jemu z gęby
Śmierdziało właśnie, a z nosa bez miary
Puszczał, aż brzydko, plugawe otręby.

Dla czytelników polskich te jaskrawości miały swój powab. Jak ów szlachcic z fraszki Potockiego, który po włoskim, wytwornym obiedzie, wraca głodny do swej gospody i woła na czeladź o pieczeń z bigosem, tak samo czytelnik ówczesny potrzebował dla swej wyobraźni jaskrawych barw, grubych, wydatnych rysów.

Jak widzimy, główną cechą przekładu Kochanowskiego, ujemną odnośnie do dzisiejszych wymagań, ale prawie nieuniknioną w XVII wieku, stanowi wprowadzanie narodo-

wych, bądź dodanych, bądź podstawionych rysów, obniżanie podniosłości i wykwintności oryginału przez używanie w opowieściach, dyalogach, charakterystykach, wyrażenia języka obozowego i powszedniego szlacheckiego, zacieranie barwnych rysów przez blade ogólniki, delikatnych odcieni i stopniowań przez jedną grubą linię. Obrazy procesów psychicznych, poprzedzających czyny jednostek lub towarzyszących im słowom i działaniu, znikają zupełnie, albo też przedstawione są ciężkimi, ogólnikowymi rysami. Tłómacz często opuszcza to, czego nie może zrozumieć i wypowiedzieć, częściej streszcza lub kopiuje blade i nieudolnie, wreszcie zastępuje własnymi, niefortunnymi wstawkami. Język jego, jakkolwiek obfitujący w całe zdania żywcem wzięte z „Szachów“, „Psałterza“, „Trenów“, „Pieśni“, skutkiem częstego używania liczby podwójnej, zwrotów i wyrażenia języka obozowego, przybiera często archaiczny wygląd. Cecha ta jeszcze wybitniej występuje w przekładzie „Orlanda szalonego“, pisanego językiem „Wizerunku“ rejowskiego.

Ciężkie warunki nowej formy, oktavowej zwrotki, krępowały poetę. Przekładając poemat Tassa „ośmiorakim rymem, jakim go on sam pisał i jakim Włoszy, Hiszpani, i insze narody polerowańsze swoje Heroika piszą“, pomimo, iż wiersz ten „uszm polskim póki się weń kto nie wczyta, niesmaczny“, pragnie tłómacz pokazać światu: „że język nasz nie jest nad insze uboższy“ i utorować drogę „szczęśliwszym dowcipom do ubogacenia go“. Pod tym względem oczekiwania poety nie zostały zawiedzione; praca jego stała się jednym z najdzielniejszych bodźców dalszego rozwoju poezji polskiej.

Jeżeli zaznaczone powyżej cechy przekładu usprawiedliwiały warunki i potrzeby ówczesnego stanu duchowego czytelników polskich, to inne ujemne cechy przekładu w części tylko usprawiedliwić może trudność formy oktavowej.

Do rzędu takich braków, odnośnie do udoskonalenia formy, jakiego dokonał Jan Kochanowski, należy: częste rozstawianie przymiotników z należącymi do nich rzeczowni-

kami, słów, z rządzonemi przez nie wyrazami. Tę naiwną metodę ułatwienia w doborze rymu wprowadził do poezyi Miaskowski. W pieśni do Ducha św. powiada on:

Hamując boską, krwawe, ręką groty;

w elegii pokutnej czytamy:

Przez, o sukienkę los, twą dzianą dłonią.

Przekład „Jerozolimy“ dostarcza ciekawych przykładów, takich łamigłówek dowolnego szyku wyrazów:

I z chęcią, moje ostatnie, życzliwą
Tchnienie w się weźmiesz. (II, 35)

W językach, jego, ujrzycie wnet nowych,
W miedzi i słupach, imię, marmurowych. (IV, 13).

I śmieie ostrej, gołych piersi, broni,
Dla lubych murów ojczystych niechroni. (XI, 58).

Innego rodzaju środkiem ułatwiającym jest częste wstawianie zbytecznych, bez znaczenia, dodatków: „Według mego zdania“, „Tacyż to proszę“, „w on czas“, „w owej dobie“. Ta ostatnia wstawka wraz z towarzyszącemi jej rymami: sobie, sposobie, powtarza się niezmiernie często¹⁾. Najczęstszym jednak środkiem dociągania rwącego się wiersza, lub brakującego rymu, jest powtarzanie tuż po sobie jednej myśli, w zmienionej tylko formie wyrazowej.

Gdzie stąpi i gdzie ziemię bije nogą (XVIII, 23).
Bez wielkiej pracy, bez wielkiego trudu (ib. 45).
Nic nie przeszkodzi, nic im już nie wadzi (ib. 68).
Tam śmieie pójdźmy i tam się udajmy (ib. 73).

W jednej strofice aż trzy w ten sposób rozciągnięte wiersze spotykamy; jestto ustęp z mowy Rynalda:

¹⁾ Ob. V, 40; VI, 12, 46, 59, 81; VII, 16, 30, 34, 41, 65; IX, 98; X, 3, 47; XI, 1, 21 i inne.

W jednym zwycięstwie wszystkie mieć będziemy,
 Bez wielkiej pracy, bez wielkiej trudności;
 A nie bójmy się, że wojsko widzimy
 Ich takiej liczby, i takiej wielkości.
 Samo się w sobie, jako wnet ujrzemy
 Wikle w niezgodzie i w swojej różności (XX, 15).

W poprzedzającej ten ustęp oktawie spotykamy pierwowzór owego, mniej świadomie tylko i zręcznie użytego, przeniesienia połowy wyrazu do następnego wiersza, którym twórca „Pana Tadeusza“ upamiętnił nazwisko soplicowskiej gospodyni. Jeżeli dodamy do tego nieudolne posługiwanie się spójnikami w łączeniu zdań, to wyczerpiemy szereg ujemnych właściwości pracy Kochanowskiego, która jest jednocześnie znamieniem upadku i zapowiedzią dalszego postępu poezji polskiej.

VI.

Pierwsze ślady wpływu pracy Piotra Kochanowskiego na dalszy rozwój poezji polskiej, występują w niedługim stosunkowo czasie po ukazaniu się książki. Chwila, w której pojawił się przekład „Jerozolimy“ przedstawiała najprzyzyjniejsze warunki dla powodzenia utworu. Poemat ten czytało pokolenie, które świeżo odbywszy cały szereg wypraw w odległe strony wschodnie (w sprawie Dymitra), gotowało się do boju z potężną jeszcze monarchią turecką. Dobrobyt materialny, nie zniszczony jeszcze przez wewnętrznych i postronnych nieprzyjaciół, sprzyjał rozwojowi kultury obyczajowej i umysłowej, zarówno u szlachty, jak i mieszczan. Katolicyzm, tryumfujący za sprawą niepospolitych bojowników, wywoływał liczne objawy egzaltacji uczuć religijnych. Ni Rej, ni Jan Kochanowski nie mogli być karmicielami dusz ówczesnych. Liczne przedruki utworów śpiewaka czarnoleskiego ustają właśnie w tym czasie.

Uczucia religijne, wywołane przez reakcję katolicką, znalazły już swe odbicie w poezjach Miaskowskiego i Gro-

chowskiego. Jako śpiewak miłości, występuje teraz wykształcony, z wysoką ogładą obyczajową i wielką wrażliwością uczucia obdarzony, młody mieszczanin lwowski, Szymon Zimorowicz. „Roksolanki“ jego (z 1629 r.) jakkolwiek niezależne treścią i formą od „Jerozolimy“, mieszczą ślad wpływu tego poematu, zarówno w formie oktawowej, użytej w przedostatniej pieśni, jak przedewszystkiem w obrazie tych palm z doliny Jordanu, do których poeta przyrównywa bliskich sercu oblubieńców :

Jak dwie Palmie w Idumskim ogrodzie,
Kiedy się wzrostem jednostajnym zgodzą,
Głową tykają nieba, a na spodzie
W bystrym strumieniu Jordanowym brodzą:
Wszystkie zazdroszczą drzewa ich urodzie,
A one owoc co rok smaczny rodzą;
Tak też dwie duszy wasze w jednym ciele,
Wydadzą kwiatów i owoców wiele.

Poeta, którego cała działalność nosi wybitne ślady wpływu „Jerozolimy“, jest śpiewak bojów i miłości, a prztem panegirysta królów i panów, dworak, ziemianin i żołnierz zarazem: Samuel Twardowski. Kto wie, czy nie „Jerozolima“ była tym bodźcem, który młodego wielkopolanina zaprowadził na dwór Krzysztofa Zbaraskiego, udającego się w poselstwie do Konstantynopola, na wiosnę 1622 r. Choć w ciągu podróży, spotykał on zamiast Turków, ludność słowiańską a i w samym Konstantynopolu znalazł stosunki bardzo odmienne od świata saraceńskiego Jerozolimy, młoda wyobraźnia, nie zrażona zawodami, miała tu dla siebie obfity pokarm, zarówno w cudach przyrody południowej, rozkosznych krajobrazach górskich i nadmorskich, we wspomnieniach mitologicznych i historycznych, w tajemniczo osłoniętych, jak cienie przesuwających się postaciach kobiecych, w których można było domyślać się wdzięków Armidy, złościstych warkoczów Kloryndy. W obrazach swych wrażeń, jakimi przeplata Twardowski, wierszowany opis poselstwa Zbaraskiego („Legacya“), wspomina między innymi, jak pe-

wnego razu przyjazny posłowi polskiemu pasza, w chwili bardzo ciężkich przejść z wrogim Polakom wezyrem, przysłał grono śpiewaczek i tancerek dla rozweselenia posła i jego orszaku. Weszły one w zwykłych zasłonach i dopiero w chwili rozpoczęcia swego popisu, odkryły nagle swe twarze i figury:

Ułożone na głowie missury i bindy
Jakie Harpalice albo i Kloryndy.

Powiada poeta, któremu ten ciekawy, dla młodzieńczej wyobraźni, moment, przypomniał piękną scenę odsłonięcia się bohaterki poematu Tassa.

Wezyr Dziurdzi, którego nienawiść ku Polakom dała się we znaki poselstwu, przypomniał znów obliczem, na którym się malował dziki fanatyzm, postać Plutona z narady piekielnej. Kreśląc wizerunek wściekłego Turka, użycza mu rysów oblicza władzcy duchów piekielnych:

U rydzej brody wąs miąższy, pomięty,
Czoło rugi zzymają
Na łonie trzyma brzydkiem tablicę kamienną¹⁾.

Zbiór pieśni, któremi Twardowski z prawdziwie rycerskim ogniem i siłą upamiętnił „Szczęśliwą ekspedycją Władysława IV“ z 1633 r., jest, jak „Roksolanki“ dla uczuć miłosnych, pierwszym poetycznym wypowiedzeniem uczuć rycerskich. Ten nieoceniony dotąd, prawie że nieznanymi historykom literatury, utwór, godzien uwagi zarówno dla treści swej, jak i bogactwa nowych form strofkowych, jakie dla odtworzenia nowych uczuć wprowadził tu poeta, posiada parę pieśni pisanych oktawami. Wzywając w ostatniej pieśni, młodego króla by zwałił potęgę turecką i zatknął krzyż na kopule Św. Zofii, zostaje śpiewak pod wpływem tego rycersko-religijnego entuzjazmu, na którym oprzeć chciał Władysław

¹⁾ Legacya, punkt III; podobną zależność od obrazów Jerozolimy spotykamy jeszcze w kilku innych ustępach.

sław IV wielką wyprawę, mającą ziścić przepowiednie poety. Wesołe życie na dworze Wiśniowieckich, oddane łowom i zabawom, wśród bogatej w piękności przyrody okolicy nad Horniem, w otoczeniu żywych, czarnookich dziewcząt, z koźczą duszą niekiedy, umieszczanych przez rodziców w dworskim fraucymerze, rozwinęło w duszy poety uczucia miłosne i dostarczyło mu bogatego doświadczenia. „Jerozolima“ nauczyła odtwarzać rozmaite stopnie uczucia i stany dusz kochających, wskazała w krajobrazach najwłaściwsze tło dla scen miłosnych. Wynikiem tych zespolonych wpływów była „Daphnis“, udramatyzowana sielanka, uwydatniająca w szeregu par kochających się różne formy i stopnie miłości. Za tło służy puszcza leśna, w której świat roślinny, zwierzęcy i nawet czynniki fizyczne (zefiry), biorą udział w tej pięknej pieśni na cześć miłości.

Nie jest to kompilacja, ale swobodna fantazyja, mówiąc językiem muzycznym, osnuta na tematach romantycznych „Jerozolimy“. Uczucia swoich bohaterów i bohaterek poeta odczuwał we własnej duszy także, lecz wpływ, jaki na niego wywierały romantyczne obrazy Tassa, był tak silny, że nie mógł się uwolnić od przyswajania sytuacji, obrazów, wyrażeń i zwrotów, jakie spotykał w pierwowzorze. Talentem, siłą uczucia i wyobraźni, góruje on nad Piotrem Kochanowskim, stąd udatniej odtwarza, poprawia niejako monologi i dialogi miłosne, zapożyczone z „Jerozolimy“¹⁾.

„Daphnis“ wyszła z druku 1638 r. (w Lublinie), „Legacja“, napisana o wiele wcześniej, 1633 r. Oktawową strofką posługuje się także Twardowski w zręcznym panegiryku: „Książę Janusz Wiszniowiecki“, wydanym 1646 r. Dwa wielkie poematy historyczne: „Władysław IV“ (1648) i „Wojna domowa“ (1660), nie noszą na sobie śladów wybitniejszych wpływu „Jerozolimy“. Pierwszy jest właściwie wielkim pa-

¹⁾ Szczegóły tej zależności „Daphnis“ od „Jerozolimy“ podane będą w pomieszczonej w tomie niniejszej pracy: „Daphnis, sielanka miłosna“.

negirykiem dla Władysława IV-go, drugi rymowaną kroniką wojen od 1648 do 1660 r. Na obrazy romantyczne i udział świata nadziemskiego nie było tu miejsca, uczucia religijne obudziły się w pocie dopiero w późnej starości, rycerskie chwilę tylko gościły w jego sercu. Żywość wyobraźni idzie głównie na posługi panegirycznych uniesień poety-dworaka, lubującego się w obrazach obchodów dworskich, wjazdów, widowisk, choć nie szczędzi też miejsca na szeroką i żywą opowieść boju pod Chocimem. Ascetyczno-moralizatorskiej tendencji romans wierszem: „Nadobna Paskwalina“ (1653 r.?) zawiera w sobie obok przypomnień „Daphnis“, zapożyczony z „Jerozolimy“, pomysł chaty pasterza, w której (jak zbłąkana Erminia), znajduje przytułek odbywająca pielgrzymkę pokutniczą Paskwalina. Podczas gdy Twardowski wcielił do swych utworów romantyczne, a w części czarodziejskie obrazy i postacie „Jerozolimy“, to drugi utalentowany rymotwórca tej epoki, Wacław Potocki, przyswoił przeważnie rycersko-religijne czynniki. Być może, iż zapoznanie się z „Jerozolimą“ obudziło we wrażliwym ziemianinie małopolskim upodobanie do rycersko-romantycznych obrazów i skłoniło do skierowania pióra, wyrobionego na drobnych, żartobliwych wierszykach, do obrabiania romantycznych tematów. Przyjąwszy „Historję Wirginii“ za najwcześniejszy z tej seryi utwór Potockiego, znajdziemy w niej niewątpliwe oznaki wpływu „Jerozolimy“, zarówno w użyciu oktawy, jak i formie opowiadania i obrazowaniu. Scena egzekucyi Sofronii i Olinda posłużyła za wzór do obrazu śmierci Wirginii. Potocki, malując wrażenia widzów, powiada:

Tłum wszystko wzdycha albo cicho płacze—

w „Jerozolimie“ powiada Kochanowski:

Płakał też, ale skrycie lud wybrany.

Spotykamy dalej wyrażenie: „Te twoje emiry“, świadczące, iż poeta miał tu na myśli śmierć Sofronii z rozkazu

sultana i przeniósł stąd wyrażenie tureckie do stosunków rzymskich. Wpływ „Jerozolimy“ na „Argenidę“ i „Syloreta“ występuje, pominawszy pokrewieństwo rycersko-romantycznej osnowy, w formie oktawowej przyjętej w „Sylorecie“, wprowadzaniu rysów życia polskiego, obozowego i sejmikowego, do obcych i dalekich stosunków, wreszcie w sposobie opowiadania przygód rycerskich i malowania uczuć miłosnych (w „Sylorecie“ zwłaszcza).

Rzecz naturalna, iż w najważniejszym utworze Potockiego: „Wojnie Chocimskiej“, znajdziemy liczne przypomnienia, pokrewnego jej treścią i charakterami bohaterów, poematu o czynach pobożnego Goffreda i jego towarzyszków.

Forma oktawowej strofki wydawała się zapewne Potockiemu za mało poważną, a zwłaszcza za zbyt krępującą i zniewalającą do żywej opowieści sprzecznej z nastrojem 50-letniego poety, wprowadzającego do poematu bohaterskiego formę i ton jowialny szlacheckiej gawędy, przeplatanej od czasu do czasu poważniejszymi zwrotami satyrycznymi, religijnymi lub patriotycznymi. Bierze on z Tassa, wybornie ku temu się nadające w przeróbce tłumacza, mowy. Kopią mowy Solimana (IX, 17, 19), usiłującego podnieść ducha w wojsku przez uwydatnienie słabości i nieudolności Krzyżowców, spotykamy w ustach Chodkiewicza, charakteryzującego w ten sposób Turków („Woj. Choc., 2 wyd., IV, 189). Przemowę Goffreda do szemrzących na brak żywności żołnierzy (V, 89), powtarza u Potockiego Sobieski (str. 253). Drugą jego przemowę przed ostatecznym szturmem do Jerozolimy (XX, 14—20) i współczesną mowę Saladyna, powtarza Chodkiewicz (284—6), któremu tak samo, jak Goffredowi, nadziemski blask oświeca postać.

Modlitwę Rajmonda (VII, 76, 79), znajdujemy w ustach Lubomirskiego (str. 291). Wywołuje ona ten sam skutek, co i pod Jerozolimą, a mianowicie interwencję niebios, wyrażającą się w zesłaniu archanioła Michała, o którego jednak udziale w boju nie umie nam nic poeta powiedzieć. Na wizerunek Chodkiewicza złożyły się rysy pożyczone od Goffreda

(pacierze odmawiane w namiocie) i cechy skrzywionego od starości, lecz rycerskiego mimo to Rajmonda.

Lubomirski przypomina znów Rynalda. Nawet stary Lipski, walczący w otoczeniu swych synów, ma jakby swój pierwowzór w Ardelionie, „dwu tuż przy sobie synów mającego“. Kochanowski zamienił, jak zwykle czyni, plastyczny obraz oryginału na bezbarwne wyrażenie, otóż rzecz ciekawa, iż Potocki, jakby znał „Jerozolimę“ w oryginale, opowiadając o braciach Pisarskich, wyraża się:

. . . . obydwa boki bracią swą ustalili,
Jakby dwoma basztami

Co odpowiada słowom Tassa: „*Ardelio... di vecchierra indomita e munita di duo gran figli...* (III, 35).

Ciekawym przykładem, jak drobne nawet i bezbarwne rysy i obrazy „Jerozolimy“ przyswajane były przez poetów polskich, jest ustęp, w którym Tasso, malując rozruch wywołany w obozie przez podżeganie Argillana, przyrównywa wzburzenie namiętności żołnierskich do wrzenia wody, która podnosi się w naczyniu, pieni, bucha parą i rozlewa dokoła.

Kochanowski w przekładzie swym zamienia delikatne rysy i odcienia oryginału na grubo naszkicowany, niezdatny obraz:

Tak bywa w garcu, kiedy woda wrząca
Wewnątrz bełkoce u zawartej dziury:
I nie mogąc się w sobie zmieścić, rąca
Wylewa na brzeg i pnie się do góry.

Otóż Potocki, w „Peryodach“ napisanych na śmierć syna, posługuje się tym obrazem dla odmalowania uczuć ojcowskich i rozwleka to porównanie na kilkanaście strofok. Woda jest u niego rosołem, piana szumowinami, w których poeta macza pióra dla skreślenia swego żalu.

Pokrewny Potockiemu uczuciami, upodobaniami i przekonaniami, drugi małopolski poeta-ziemianin, Kochowski, zostaje również pod wpływem „Jerozolimy“, nie w „Liry-

kach“ naturalnie, choć i tam można spotkać drobne pożyczki¹⁾, ale w dwu większych poematach. Że „Pieśni Wiednia wybawionego“ będą wzorem skopiowanych z poematu Tassa obrazów i charakterystyk, tego można się było spodziewać. Rycerstwo Sobieskiego śpieszyło pod Wiedeń pod wpływem prawie tych samych uczuć i idei, jakie żywili w swych duszach Krzyżowcy. Sobieski ze swym zapalem, pobożnością i tkliwością serca na wdzięki niewieście przypominał i Tankreda i Goffreda zarazem. Liczne analogie upoważniały i zachęcały niejako poetę do oparcia się w pracy, przechodzącej zresztą jego siły, na gotowym już wzorze. Ktoby się jednak spodziewał, że apologia wierszowana Lubomirskiego, ów „Kamień świadectwa“ jest także w swym głównym pomysle reminiscencją „Jerozolimy“. Rada piekielna, z udziałem Kalimacha, popierająca projekt partii francuskiej co do tronu polskiego, jest wierną kopią takiejże narady duchów podziemnych nad sposobami obrony Jerozolimy przeciw Krzyżowcom. Porównanie użyte w 16-ej strofiec poematu Kochowskiego, jest wzięte z innego znów miejsca „Jerozolimy“ (III, 45).

Możemy z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że trzeci poeta małopolski, Gawiński, pokrewny tak duchowo z poprzednimi, zostawał także pod urokiem „Jerozolimy“, choć w drobnych jego utworach, przeważnie lirycznych, prócz wzmianki jednej w „Dworzankach“, możnaby tylko w pieśni „Do Jutrzenki“ upatrywać związek z obrazem poranku w „Jerozolimie“ (III, 1). Największem rozmiarami choć nie najlepszem pod względem wykonania odbiciem wpływu „Jerozolimy“ na twórczość wieku XVII jest pozostający dotąd w rękopisie utwór niewiadomego autora: „Oblężenie Jasnej Góry Częstochowskiej“, pochodzący z cza-

¹⁾ Tak np. w wierszu „Zuzanna“ mamy zapożyczony rys z obrazu Armidy płaczącej i budzącej ogień jednocześnie (III, 76), stąd Kochowski mówi o biblijnej Zuzannie, „że ogień zajmuje się z wody“.

sów Michała Wisniowieckiego. Wiadomość o nim wraz z rozbiorem i wyjątkami podał świeżo p. Roman Pollak w Bibliot. Warsz. z r. 1912 (tom I, str. 492 i nast.).

VII.

Śród martwoty duchowej czasów saskich śledzić wpływ „Jerozolimy“ możemy jedynie w działalności Drużbackiej i Lubomirskiego. Że autorka „Historyi o ks. Elefantyny“ czytała ten poemat, w szeregu nielicznych polskich utworów, którym zawdzięczała swe ukształcenie i uzdolnienie, tego rękomią jest jej stosunek z Załuskim, uważającym przekład „Jerozolimy“ za najważniejszy z polskich poematów. Brak jednak polotu wyobraźni, praktyczny, moralno-dydaktyczny nastrój jej umysłu nie pozwolił śpiewacze „Czterech pór roku“ i „Historyi o św. Dawidzie“ ocenić i zużytkować piękności poematu Tassa. Za to w poematach Stanisława Lubomirskiego („Tobiasz wyzwolony“ i „Aman poniżony“), spotykamy zarówno w formie oktawowej, jak języku, obrazach natury, malowidłach uczuć, zjawisk nadziemskich, liczne odbicia wpływu „Jerozolimy“, a w części i „Orlanda“¹⁾.

Pod wpływem racjonalizmu i krytycyzmu reformatorskiego, cechującego światlejsze umysły z czasów Stanisława Augusta, uczucie i wyobraźnia uległy zacieśnieniu i przytłumieniu. Po dworach szlacheckich czytają Argenidę, Syloreta i Jerozolimę, po dworach pańskich i w stolicy francuscy pisarze i Krasicki dostarczają pokarmu i rozrywki umysłowej. Trwałą sympatyę dla „Jerozolimy“ spotykamy tylko na dworze Czartoryskich. Posągi Tankreda i Kloryndy, stojące przed pałacem puławskim, i „Myśli o pismach polskich“ stwierdzają to upodobanie, oparte zresztą na górującej w tej

¹⁾ Wybitniejsze miejsca są: Zesłanie anioła Rafała (Pieśń III, 26 strof.), obraz poranku (VII, 1 str.), podróż Tobiasza (VII, 2—10), obraz rumieniącej się Sary (VII, 30--36) i inne.

rodzinie uczuciowości, którą się odznacza zarówno księżna Izabella, jak jej dzieci.

Jednakże gdy poeci z czasów Stanisława Augusta zechcą przedstawiać rycerskie czyny przeszłości, wypowiadać uczucia narodowe, wywołane wspomnieniami dziejowemi, szukać oni będą w „Jerozolimie“ wzoru i formy.

Krasicki w „Wojnie Chocimskiej“ jest wiernym naśladowcą Tassa, za którym postępuje krok w krok, jak niewidomy za swym widzącym przewodnikiem. Na nieszczęście porozumienie między nimi jest prawie niemożliwe, dla braku choćby słabej łączności duchowej. Nie mając tego rycersko-szlacheckiego zacięcia, którym pokrywa wielkie braki swego przekładu Kochanowski, daleki od marzycielskiego platonizmu, którym, jak błękitem włoskiej atmosfery, Tasso przysłańca i teatralną mechaniczność postaci świata nadziemskiego i jaskrawość namiętności ludzkich, nie mógł naturalnie twórca „Myszejdy“ podołać wymaganiom epopei rycerskiej i stworzył bezbarwną kopię, w której zamiast rycerzy, ukazuje nam figury bez wyrazu, deklamujące podpowiadane im frazesy.

Przedstawiciel wprost przeciwnego Krasickiemu kierunku, „poeta serca“ Karpiński, znalazł w poemacie Tassa zarys pomysłu do najpodnioslejszej ze swych pieśni— „Żalów Sarmaty“, które w zawiązku mieści w sobie jedna ze strof „Jerozolimy“.

Drugim rezultatem takiego podbudzającego twórczość oddziaływania „Jerozolimy“ na rozczytujących się w niej poetów polskich, są niewątpliwie „Śpiewy historyczne“.

Jak genealogia rodu książęcego w „Orlandzie“ posłużyła Janowi z Czarnolasu za wzór do znanej pieśni „Kto mi dał skrzydła“, będącej treścią charakterystyką królów z rodu Piastów i Jagiellonów, tak podobnie naśladowana w „Arjosta“, opowieść o czynach książąt Esteńskich (XVII, 65—87), którą wygłasza starzec Rynaldowi („Ujrzysz w nich sławne i bitne twe dziady, ujrzysz ich męstwo z dziełami wielkimi... pobudź się synu, a bierz z nich przykłady“), dała nie-



wątpliwie pochoop Niemcewiczowi do upamiętnienia w popularnej formie pieśni, wspomnień dziejowych. Przypuszczeniu temu nadaje cechę pewności szczegół, że właśnie w jednym z dwu najpierwej ogłoszonych śpiewów, w „Dumie o Żółkiewskim“, znajdujemy na początku pożyczony od Tassa pomysły owej zawieszanej na krzaku „ku miesiącowi“ zbroi, na której były wykute obrazy, przedstawiające dzieje rodu książęcego, opowiadane przez starca¹⁾. Nawet u Woronicza, tak dalekiego rodzajem talentu i nastrojem ducha od twórcy „Jerozolimy“, spotykamy w „Zjawieniu Emilki“ wpływ zespolony zarówno snu z „Trenów“, jak i ukazania się zmarłej Kloryndy we śnie Tankredowi.

Sprawa dalszego rozwoju literatury skupiła w Towarzystwie przyjaciół nauk grono wybitniejszych ludzi. W gronie tych mężów, którzy uważali sobie za obywatelski obowiązek z bogactw piśmiennictwa narodowe mozolnie ukutymi przekładami, lub ciężkimi naśladownictwami klasyków francuskich, znajdowali się, i to wpływowi bardzo pisarze, co zakres wzorowych literatur rozszerzali nieco, dopuszczając włoskich i angielskich nawet poetów. Niemcewicz, Czartoryski, Woronicz, Dmochowski reprezentowali tę lewicę obozu literackiego. Że i samo społeczeństwo sprzyjało więcej pojęciom lewicy, świadczy wzmagające się znowu zajęcie dla „Jerozolimy“, wychodzącej 1818 r. w Połocku (X pieśni tylko), 1820 r. we Wrocławiu i 1826 r. w Wilnie. Dotąd bowiem, mimo ponownego rozkwitu literatury w drugiej połowie XVIII w., nie pojawił się utwór, któryby potrzebom wyobraźni i uczuć czynił zadość w tym stopniu i w tak narodowej prawie formie, jak spolszczona „Jerozolima“.

¹⁾ Duma o Żółkiewskim ogłoszona w 1794 r. wraz z dumą o Stefanie Potockim p. t. „Dumy Polskie“, rozpoczyna się obrazem księżycowej nocy, wśród której „rycerz żalem obciążony po bladym promieniu błyszcząca widzi stał pomiędzy krzaki. Był to hełm; na nim w zbyt drogim kamieniu, herb Żółkiewskiego i krwi drogiej znaki“.

I rycersko-narodowe i romantyczno-fantastyczne popędy młodych serc spotykały w „Jerozolimie“ jedyny polski poemat, odzwierciadlający tę stronę duszy. Sama forma oktawy, powabna, nawet w nieudolnym tak często przekładzie Kochanowskiego, język tak barwny, żywy, tak swą rubasznością i szorstkością odbijający sympatycznie od wypolerowanej, bladej polszczyzny współczesnych rymotwórców, musiały sympatycznie oddziaływać na młodych czytelników. Rzecz naturalna, że zapoznanie się z literaturą niemiecką i angielską oziębi entuzjazm dla bohaterów i bohaterek, cudowności i romantyczności „Jerozolimy“, ale mimo to wpływ najwcześniej na młodą wyobraźnię oddziaływających obrazów, a szczególnie niczem nie zastąpiony wpływ języka, pozostaną i odbijać się będą w utworach największych mistrzów naszej poezji: Mickiewicza i Słowackiego.

U pierwszego wpływ ten najwybitniej uwydatnia się w „Grażynie“. Zarówno sama bohaterka, przypominająca wieloma rysami Kloryndę, jak i otaczające ją postacie, tło krajobrazowe, przemowy i dyalogi, wreszcie ciągle wracająca forma oktawowa i ten rycerski, rubaszny niekiedy język, noszą odbicie wpływu „Jerozolimy“ i języka Kochanowskiego. W balladach i drobnych poezjach spotykamy również tak w obrazach, jak i języku liczne ślady tego wpływu ¹⁾.

Słowacki, dzięki nieporównanej łatwości i obfitości w wysnuwaniu, i malowniczem a oryginalnem kombinowaniu obrazów, umiał tak szczęśliwie przyswajać i przekształcać cudze pomysły, że tylko potężne kreacje szekspirowskie opierały się temu procesowi asymilacji. Nie zapuszczając się w doszukiwanie śladów niewątpliwego wpływu „Jerozolimy“ na twórczość — język zwłaszcza — Słowackiego, poprzestaną na zaznaczeniu pewnego pokrewieństwa, łączącego najpopularniejszy może utwór tego arcy-mistrza wyobraźni, poemat „W Szwajcaryi“ z romantycznymi kreacjami Tassa. Miłość,

¹⁾ Szczegółowsze uwydatnienie wpływu „Jerozolimy“ na „Grażynę“ zawiera rozprawa pomieszczona w tomie I niniejszego zbioru.

której dzieje osłonięte tęczami górskich wodospadów i mgłami tajemniczych ustroni, opowiada osierocony kochanek, ma pewne powinowactwo z uczuciami Tankreda dla Kloryndy.

W obu sercach powstaje ona błyskawicznie, pod wrażeniem piękności dziewczęcej, ukazującej się niespodzianie i w niezwykłych warunkach, olśniewającej wyobraźnię jak meteor, po którego zgaśnięciu wszystko się koło nas szarem i bezbarwnem wydaje. Ztąd pokrewieństwo w objawach żalu po utracie tego nadziemskiego zjawienia, ta tęsknota raczej niż rozpacz, tęsknota, połączona z nadzieją spotkania utraconej.

. . . . jeśliś jest gdziekolwiek na ziemi
 Że cię gdzie najdę, jestem tej otuchy

mówi Tankred, który:

Lubo wieczorne lubo wstają ranne
 Zorze, jej woła, jej płacze, jej prosi.

Słowackiego kochanek podobnie tęskni i podobnie chce szukać tej, co:

„Zniknęła, jak sen jaki złoty“.

W ostatnim nawet swym wielkim utworze, w „Królu Duchu“, poeta mozoląc się nad stworzeniem dla swych wizyi formy odpowiadającej poważną prostotą doniosłości treści, usiłuje (Druga pieśń trzeciego rapsodu), posługiwać się językiem i stylem Piotra Kochanowskiego.

Są to ostatnie już potrącenia fali słabnącej, nietyle w miarę przebytej czasowej przestrzeni, ile w miarę napotykania zawracających ją nowych prądów. Wobec potęgi uczucia, którem weszło serce Adama, czarodziejskich zasobów wyobraźni Juliusza, doniosłości idei nadających nowej poezyi powagę moralnej przewodniczki narodu, zbladły postacie i obrazy rycerskiej idylli śpiewaka włoskiego. Usługi jednak, jakie ona oddała naszemu duchowemu rozwojowi, zastępując narodową epopeję, dostarczając poetom wzorów i podnieć do twórczości samoistnej, czytelnikom pięknych, szlachetnie

czujących i działających postaci, obowiązują nas do wdzięczności dla jej twórcy i dla społeczeństwa włoskiego, któremu winniśmy tyle pod względem rozwoju umysłowego i obyczajowego.

VIII.

Najwłaściwszym wyrazem naszej wdzięczności będzie przyznanie, przez historię literatury polskiej, poematowi Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego, pierwszorzędnego stanowiska w rozwoju poezji XVII wieku.

Ponieważ żaden z naszych źródłowych badaczy dziejów literatury, nie objął swą pracą wieku XVII, przeto znaczenie spolszczonej „Jerozolimy“, jasne tak już dla Załuskiego, uszło uwagi późniejszych pokoleń. Podręczniki, wysuwając na pierwszy plan oryginalnych pisarzy, zostawiały w cieniu przekład Kochanowskiego, zbywany ogólnikowemi pochwałami. Przyznanie „Jerozolimie“ w historii literatury polskiej stanowiska, jakie ona zajmowała w samym życiu duchowym i twórczości poetyckiej XVII w. i następnych stuleci, rozstrzyga zarazem kwestyę rozgraniczenia czasowego zjawisk literackich tak zwanego złotego wieku od następującej, rozlicznie nazywanej i oznaczanej czasowo doby. Pozostawiając na boku kwestyę nazwy, gdyż takowa musi być wynikiem zbadania i systematycznego ugrupowania zabytków literackich danej chwili epoki, zajmijmy się czasową granicą obu okresów.

Oznaczenie chwil zwrotnych w dziejach literatury polskiej sprawiało i dotąd sprawia niemało kłopotu historykom i autorom podręczników. Posiłkują się oni przeważnie następstwami dynastji a nawet pojedynczych panowań, jak gdyby pojęcia i uczucia narodu zmieniały się razem z panującymi.

Ścisły związek między życiem politycznym, a odbijającym je piśmiennictwem, sprowadza w istocie niekiedy współczesność przekształceń polityczno-społecznych i umysłowych,

to przecie nie daje podstawy do przenoszenia cech charakterystycznych jednego szeregu zjawisk na drugi i nazwy takie, jak wiek Leona X, Ludwika XIV, czasy Zygmuntofskie, mogą mieć swe uprawnienie, jako dogodne uogólnienia, jeżeli pod nimi rozumieć będziemy cały ogół zjawisk życia narodowego, w odniesieniu zaś do pewnej grupy zjawisk, mogą być pożyteczne jako tymczasowe uogólnienie, które po naukowym rozbiorze danych pojavów, ustąpić musi nazwie, obejmującej główne cechy charakterystyczne takowych.

Czasową granicą dwóch okresów literatury może być jedynie zjawisko, koncentrujące w sobie cechy obce poprzedniej grupie, a właściwie następnej, pojav, który zostaje w związku z wydatniejszymi zjawiskami danej grupy, stanowiąc bodziec i wzór dla działalności pisarzów.

Kłótnia jezuitów z akademią krakowską i przewaga jezuickich szkół, są to pojawy, zostające w ścisłym związku z życiem duchowym społeczeństwa, ale nie należące do historii literatury, tak samo, jak rokosz Zebrzydowskiego, wstąpienie na tron Zygmunta III, lub wojny kozackie, przyjmowane także za granicę Złotego wieku z siedemnastym. Wpływ szkół jezuickich był zapewne ważnym czynnikiem w przekształceniu duchowym narodu i odzwierciedlającym takowe w piśmiennictwie, ale zmiany w systemacie nauczania mogą być tylko przedmiotem historii szkół, której rezultatami posługiwać się winien historyk literatury tak samo, jak się posługuje rezultatami historii politycznej.

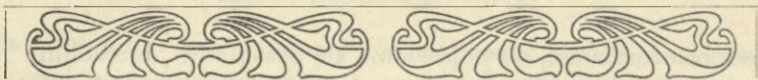
Ścisłego rozgraniczenia między dwoma okresami nie podobna przeprowadzić. Pomiedzy ostatniem wybitniejszym zjawiskiem kończącego się a pierwszym nowego okresu, istnieje peryod mieszanych drugorzędnych pojavów, które bez względu na ścisłość chronologiczną, historyk musi przyłączać do jednej lub drugiej grupy zjawisk, opierając się na powinowactwie wewnętrznem.

Takim przejściowym peryodem pomiędzy XVI a XVII wiekiem są lata 1600 do 1618, od ogłoszenia „Worka judaszowego“, ostatniego wybitnego utworu, natchnionego ideami

reformatorskiemi, do pojawienia się przekładu „Jerozolimy“, w której społeczeństwo polskie znalazło, obok obrazów, jakby własnego rycerskiego życia, odtworzenie religijnych i romantycznych aspiracyi, zaspokojenie potrzeb młodzieńczej wyobraźni, a poeci piękny, pożądany wzór i żywą podnieętą twórczości.

„*Rex polonorum poematum*“, mówiąc słowami Załuskiego, ma prawo, jako najwcześniejsze, najwydatniejsze i najdonioślejsze zjawisko literackie, zajmować pierwsze, wytyczne stanowisko w dziejach poezyi XVII wieku.

1890.



Samuel ze Skrzypny Twardowski.

I.

Nazwisko, jakie nosił ten rozgłośny w swoim czasie wierszopis, nie ukazuje się wcale na kartach dziejowych. Szlachta wielkopolska, przywiązana do swych siedzib i swej starodawnej kultury, nie miała tego przedsiębiorczego ducha, jaki skłaniał mazurów do szukania w odległych prowincjach Rzeczypospolitej fortuny i chleba.

W rodzinie Twardowskich nie trafiały się widocznie zdolniejsze ni ambitniejsze osobistości; wszyscy niemal, o których życiu doszły nas jakiegokolwiek wzmianki, przebywali w Wielkopolsce, jak gdyby przyłączony do nazwiska dodatek „ze Skrzypny“, przypominając o wspólnem przedwiekowym gnieździe, nie pozwalał na zbytne oddalanie się od niego. Skrzypna owa, wioska położona w dzisiejszym w. ks. poznańskim, w powiecie pleszewskim, nad rzeką Lutynią, była niegdyś dziedzictwem szlacheckiego rodu Ogończyków, którego jedna część osiadła następnie w pobliskim Twardowie. Od siedzib poszły i nazwiska. O Skrzypieńskich zarówno Paprocki jak i Niesiecki niewiele wiedzą; o Twardowskich, nieznanych jeszcze autorowi „Herbów rycerstwa“, bardzo nam też mało „Korona polska“ powiada. Dwóch zaledwie wyszukać zdołał Niesiecki przodków Samuela przed

XVII wiekiem żyjących; jeden z nich Jan kanonik poznański jeździł do Rzymu, a drugi Wawrzyniec ożenił się z niejąką Barbarą Kowalską, nie spodziewając się zapewne, że w trzy wieki po zgonie, imię jej będzie wspomniane.

W XVII wieku dopiero występuje ta rodzina na szerszą widownią, choć zawsze tylko w obrębie Wielkopolski. Zjednawszy sobie szacunek i zaufanie u współziemian, spełniają liczni jej członkowie rozmaite obywatelskie posługi i otrzymują dość wysokie publiczne godności. Andrzej ze Skrzypny Twardowski, żupnik bydgoski, a przytem podsedek ziemski, zostaje wyznaczony jako komisarz w sprawie rozgraniczenia Szlązka, Polski i Brandeburgii w 1642 r., posłuje na ów pamiętny sejm z 1646 r., na którym jest jednym z najgorliwszych popieraczy żądań szlachty wielkopolskiej, przeciwnych wręcz planom królewskim; wreszcie mianowany komisarzem do wypłaty zaległego żołdu 1642 r., deputatem na trybunał radomski 1650 r. i powtórnie posłem w 1653 r. Blizki zapewne krewny poprzedniego, Zygmunt, sekretarz Władysława IV, należy razem z Andrzejem do komisji, rozgraniczającej i płacącej żołd wojsku. Również liczne godności piastuje w tym czasie Krzysztof Twardowski, który, wraz z Aleksandrem i Mikołajem, ma udział w komisji do spraw ze Szlązkiem w 1649 r., a następnie jest z kolei deputatem na trybunał radomski 1655 r., pisarzem grodzkim poznańskim, posłem z Kaliskiego i podwojewodzym generalnym konfederacji z 1668 r.

Z pomiędzy innych wymienionych u Niesieckiego, lub też w „Vol. Legum“ znalezionych imienników naszego poety, wspomnieć tu jeszcze muszę Macieja, pisarza grodzkiego kaliskiego, i deputata na trybunał radomski w 1694 r., którego nieuwaga dwóch naszych poszukiwaczy zrobiła ojcem autora „Legacyi“, bez względu na to, że ojciec w 60-ym roku zmarłego syna, w trzydzieści przeszło lat po jego zgonie, a więc co najmniej w 110 r. życia byłby już chyba niezdatnym do zasiadania na trybunale. Niesiecki zresztą po wyrazach „Maciej pisarz grodzki kaliski... żona jego Zofia Rejówna, syno-

wie Zygmunt i Jan“ zamieszcza kropkę, a po niej dopiero „Samuel w wierszu ojczystem bardzo gładki“. Tymczasem Jabłonowski, nie zważając na tę kropkę, robi z owego Jana i poety Samuela jedną osobę „Joannes Samuel“, a Święcki wyraźnie powiada, iż był synem Macieja i Zofii Rejówny.

Czyim jednak rzeczywiście był synem, gdzie i kiedy się urodził nasz Samuel, o tem, dla braku danych, nie stanowczego powiedzieć nie możemy i zresztą historyk się tem trapić wiele nie powinien, bo czy Maciej, czy Krzysztof był ojcem jego, czy data urodzenia jest nieco późniejsza lub wcześniejsza od powszechnie przyjętego 1600 r., to dla dziejów literatury jest rzeczą dosyć obojętną. Jeden z drobnych utworów Twardowskiego daje nam wskazówkę, że wioska jego rodzinna leżyć musiała w pobliżu obu gniazd familijnych, Skrzypny i Twardowa, a może nawet jedno z nich było kolebką poety. Znajdująca się w tym wierszu wzmianka „o przezroczystej wodzie ojczystem Lutyni“, która w swym siedmiomilowym biegu przepływa właśnie przez obie powyższe miejscowości, jest dość stanowczym na to dowodem. W całym ciągu tej pracy, dla braku bezpośrednich świadectw, będę musiał opierać się na takich z pism Twardowskiego czerpanych dowodach i domysłach. Zaraz oto tak ważny dla biografa i krytyka szczegół, jakim jest wiadomość o szkołach, w których rozwijał się młodociany umysł poety, oprócz musimy na niezbyt wyraźnej wzmiance jednego z utworów, pozwalającej wnosić, iż nauki szkolne pobierał on u Jezuitów w kaliskiem kolegium, które swą bliskością od nadlutyńskich okolic następczo się jako najdogodniejsze. Niewiele niestety mógł z tej nauki odnieść korzyści nasz poeta, bo właśnie w latach, w których prawdopodobnie w kaliskiem kolegium przebywał (od 1613 do 1620), brak funduszków i nierozłączny z tem nieład tam panował ¹⁾.

Prócz znajomości łaciny i tych historycznych, filozoficznych i literackich wiadomości, jakie dać mogło pewne oczy-

¹⁾ Jezuici w Kaliszu—C. Biernacki, Bibl. Warsz. 1857, t. IV.

tanie w klasykach łacińskich, nie wyniósł ze szkoły nic więcej nasz przyszy „Maro“; co jednak nie przeszkadzało mu w opinii współczesnych używać sławy uczonego. „Vir eruditione et nobilitate insignis“, powiada o Twardowskim zaszczycony przez akademią krakowską doktorskim tytułem Kuszewicz; „zacyjny cnotą, urodzeniem i mądrością“, wtórzy mu w pół wieku później wileński Jezuita Narewicz:

Szlachcic, byle się przedać po łacinie
 Nie dał, byle rozumiał w kościele i grodzie,
 Krzywda cudzym językiem w swym mówić narodzie,—
 Byle umiał Tacyta zażyć z Cyceronem,
 A Seneki do tego—dosyć jest uczonym.

Oto co wymagał od szlachcica ówczesnego Potocki, biorący zresztą za normę swoją wyjątkową, dość gruntowną znajomość łacińskich klasyków, o czem świadczy gęstemi cytamentami zapelniony wstęp do „Wojny chocimskiej“.

To ograniczenie maximum uczoneści szlacheckiej do znajomości samej tylko starożytnej literatury, wiązało się ściśle z powszechną w owym czasie opinią, iż w starożytności klasycznej ludzkość dosięgnęła najwyższego szczytu swego rozwoju. Starożytność, w przekonaniu ówczesnych, była nie- skończenie wyższą, pod względem moralnym i umysłowym, od czasów w których sami żyli. Jakkolwiek bowiem Grecy i Rzymianie (rozumowano sobie), byli poganami, nie spodziewającymi się prócz sławy, innej za swe czyny nagrody, żyli jednak cnotliwiej niż my chrześcijanie, którym przecie obiecano zbawienie za dobre w tem życiu uczynki. Pisma też same starożytnych autorów są jedynem źródłem, z którego czerpiemy materyał do naszych mów, listów, kazań, tak, że jeżeli nie wszystko ze zmienionemi tylko słowy, z dawnych bierzemy autorów, tedy wielką ich część w uczonych cytujemy sentencyach. Według Twardowskiego wzrost oświaty był główną przyczyną upadku Aten i Rzymu. Zdania te, na pozór tak dziko brzmiące, tak rażące nasze dzisiejsze pojęcia, łatwo jednak wytłumaczyć i usprawiedliwić ówczesnym sta-

nem umysłów. Nauka bowiem udzielana w szkołach jezuickich służyła nie do oświecania dusz, lecz do z bogacania pamięci zapasem sentencji, anegdot i porównań, przydatnych w tych ciągłych popisach oratorskich, jakie na wszystkich sejmikach, zjazdach, trybunałach, ucztach i pogrzebach odgrywały rolę koniecznej ozdoby tych zebrań i uważane były za najpewniejszą tarczę złotej wolności wygadania się. Otóż światlejszym, choć pomimo to krótkowidzącym umysłem zdawało się, iż ta łatwość z jaką każdy niemal szlachcic mógł wygłosić parogodzinną, naszpikowaną uczonemi cytatami mowę, dowodziła wysokiego stopnia oświaty, skutkiem rozszerzenia się której znikła dawna prostota życia i obyczajów, znikło dawne męztwo i gotowość do boju. Zamiast orężem zasłaniać kraj i swe przywileje, rozprawiano z hałasem, stanowiąc coraz nowe dla osłony tej złotej wolności konstytucye. Płytkie rozumienie historii Grecyi i Rzymu podtrzymało silnie tę opinią, a jednoczesność rozkwitu wymowy z upadkiem politycznym obu tych narodów, przyczyniła się do złudnego wnioskowania ze współczesności dwóch faktów o ich przyczynowym związku. Rzecz naturalna, że ów „Maro“ polski, mimo swej zachwalonej erudycyi, nie posiadał więcej nauki od każdego innego zdolniejszego nieco ucznia szkół jezuickich, że jego „eruditio“ nie przewyższała zapewne znajomości literatury starożytnej i zapasu sentencji łacińskich, jaki spotykamy u Wacława Potockiego.

Panujący w owych czasach obyczaj, wywołany społeczno-ekonomicznymi warunkami, nakazywał każdemu chcącemu dojsć do jakiegoś stanowiska szlachcicowi, uzupełnić szkolne wychowanie przez praktyczne obznajmienie się, na dworze którego z możliwych obywateli, zarówno z biegiem spraw publicznych, jak i z różnorodnymi obowiązkami, obyczajami i formami, potrzebnymi dla zyskania estymy u sąsiadów, a łaski i chleba u panów. Naszemu pocie nadała się sposobność do odbycia tej szkoły innym, pożyteczniejszym od zwykłego, trybem.

Po szczęśliwem odparciu w r. 1621 jednego z najgroź-

niejszych szturmów, jaki fanatyzm turecki przypuścił do granic Polski, potrzeba było wyprawić do Konstantynopola poselstwo, dla ostatecznego zatwierdzenia ułożonych pod Chocimem warunków. Poselstwo takie, prócz trudności, jakie przedstawiało samo traktowanie o pokój z nieznanymi zwykłych form dyplomatycznych dygnitarzami tureckimi, prócz kosztów niezmiernych, jakie w części tylko zwracano ze skarbu posłowi, narażało jeszcze odprawującego je na liczne niebezpieczeństwa, zarówno w czasie podróży przez nienawidzane do dziś jeszcze od cywilizacji strony, jak i podczas samego pobytu w stolicy, zakłócanej ciągłymi buntami janczarów, tudzież zmianami sułtanów i wezyrów. Zaszczyt spełnienia tak ważnego i trudnego obowiązku przypadł na jednego z ukraińskich magnatów, ks. Krzysztofa Zbaraskiego. Zarówno niebezpieczeństwa podróży, jak i powaga posła wymagały przydania mu jaknajliczniejszego orszaku. Nie zbywało pomiędzy młodzieżą szlachecką na chciwych wrażeń i sławy sercach; to też na wieść o wyjeździe Zbaraskiego zbiegło się z całego kraju liczne grono ochotników, między którymi znalazł się i nasz poeta. Kamieniec był punktem zbornym dla tej honorowej gwardyi Zbaraskiego, który tymczasem z licznym dworem wyruszył w końcu 1622 r. ze swego majątku Końskowoli, na Lublin ku Wołyniowi. We wszystkich niemal biograficznych wzmiankach czytamy, iż Twardowski był sekretarzem księcia, choć wiemy z samej „Legacyi“ i z opisu Kuszewicza, iż obowiązek ten spełniał Urzędowski, a poeta nasz należał do grona owych towarzyszących księciu dworzan, zapewne w charakterze płatnego sługi.

Sprawy polityczne nie interesowały wiele młodzieńca, który za to skwapliwie zwracał uwagę na dziwy nowego a tak różnego od rodzinnych okolic świata. Inne widział tu niebo, inną przyrodę, innych ludzi. Obok szczątków dawnej greckiej cywilizacji, miejsce, w których niegdyś przebywali bogowie i bohaterzy opiewani przez poetów klasycznych — spotykał świeże jeszcze pobojuwiska, na których przelał krew

niejeden z jego współzemiań i powinowatych. Ludność przedstawiała mu mieszaninę na wespół barbarzyńskich plebion, różnych obyczajami lecz blizkich tak zrozumiała, słowiańską przeważnie mową.

W głębi horyzontu ukazywały się w tajemniczym mroku nieznane synowi równin śnieżyste szczyty i lesiste stoki Bałkanów, to znowu ciemne fale morza Czarnego. Dokoła nowy zupełnie świat roślinny i zwierzęcy, pełen bujności, życia, bogactwa. A ponad tem wszystkim jaśniał rozkoszny błękit południowego nieba. Dziś choć od dzieciństwa oswajamy się z cudami natury przez liczne opisy, ryciny, obrazy, jednakże znalazłszy się po raz pierwszy we Włoszech, czujemy się odurzeni tą zmianą warunków bytu, tą nowością i cudownością całego otoczenia. W XVII-ym wieku geografii nie uczono w szkołach, opisów podróży nie wydawano, krajobrazy i ryciny z widokami obcych krajów były bardzo rzadkie— podróży nie był przeto przygotowany do wrażeń jakich doznawał. Prawda, że wrażliwość ówczesnych ludzi była o wiele słabszą, że u poetów i pisarzy wieku XVI, znających Włochy, nie spotykamy śladu niemal zachwytu nad przyrodą południową — ale z czasem wrażliwość ta wzrasta i pod tym względem Twardowski góruje nad dawniejszymi poetami, choć skąpo i tylko ubocznie dzieli się z czytelnikiem wspomnieniami swej podróży. Piękne położenie Kamieńca i zamku Chocimskiego nie uszło jego oka, zarówno dla strategicznego znaczenia tych warowni „baszt przednich Europy“, jak wspaniałości widoku, w którym „uciesznym wieńcem skał ogromnych natura miasto w okrąg toczy“, lub jak w Chocimiu „piękny zamek wydawszy się (stercząc) z rogu skały jednej ogromnej o krawędzie której Dniestr się tłucze“. Ogląda tu świeże pobojuwisko i ubolewa na widok „ciał i kości zbutwiałych, starzanych w popiele na bestyi wszystkich wstręcie, których żywa cnota warta była piramid i odwagi złota“¹⁾. Na każdym kroku spotyka ślady dawnych i świeżych bojów.

¹⁾ „Odwagi złota“, znaczy tu tyle, co „odważenia złotem“.

W słotny pochmurny dzień staje orszak poselski nad Dzieżą. „W niebieskim posepie, dżdżem i zimnem strudzeni“, tym smutniej patrzą na „mętne nurty, które po dziś dzień świeżą toczą krew młodzi żywej onej przed lat kilka z Potockim niekczemnie zgubionej“. Ale nazajutrz, skoro „słońcem rozeznane z gór opadną chmury“, znika smutny nastrój ducha, zwłaszcza pod wrażeniem wjazdu do Jass, gdzie gospodar Kantymir przyjął orszak poselski świetną ucztą. W dalszej podróży zbliżają się nareszcie ku brzegom Dunaju rozlewającego się niezmiernie szeroko przy ujściu. „Podniósłszy się w górę, obaczym w równinie Dunaj jako i bystro i szeroko płynie... po niem żyzne ostrowy, gdzie, po wdzięcznej trawie, gęsi i białopióre pasą się zórawie... brzegi bluszcz bujnie snuje, z tej i owej strony smakiem najdoskonalsze zółcą się melony. Ciekawych pełno pływa rybołówów wszędy, ci po jaczach jesiotry, ci na silne wędy biorą wyzy ogromne, ci w lekkie sageny, czeczugi i barwiste imają barweny“. Nasyciwszy oko wspaniałym krajobrazem, orszak poselski przeprawia się przez rzekę. „W powiewnym chybkie czajki zaniosą się biegu, że osiąknem w Ruszczuku Bułgaryi brzegu“. Jakby dla kontrastu z piękną i bujną przyrodą trafiają tu na morową zarazę. „Orły widzim i sępy a one świeżymi przez zarazę morową żerują się ciała“. Wszedłszy do ludnego Rozgradu zastają trwogę ogólną, „trupy zewsząd niosą a blada Tyzyfona z gołą ciecze kosą“.

Ta długa, niebezpieczna a ciekawa podróż, staje się dla młodego Wielkopolanina praktycznym kursem geografii i historii, wykładanym metodą poglądową w całym znaczeniu tego wyrazu. Podróżując powoli z częstymi i długimi odpoczynkami, ma czas rozpatrzyć się we wszystkim, co godniejszego uwagi spotyka zarówno w szczegółach krajobrazu jak i zabytkach przeszłości, obyczajach i stroju mieszkańców. Cieszy go, iż tak daleko od ojczyzny czuje się „w przyjacielskiej ziemi“, spotyka się ze zrozumiałą mu „słowiańską mową“, że poznaje „waleczne przodków naszych plemię“, co opuściwszy Sarmacyą przed laty dla przykrości Tryonu

„osiedli Serbią, Bośnią i Dalmaty... po włoskie aż Liburny i weneckie brzegi Iliryk i Kroaty shołdowali bitne“. Góry i rzeki, ruiny i stare mosty przywodzą mu na pamięć mityczne i historyczne czasy greckiej przeszłości. Śnieżyste Bałkany przypominają Hemus starożytny, gdzie „swej Eurydyce płakał długo Orfeus... po jego tu lutni słonie, lwy i pardwo-wie skakali okrutni“. Dzikość górskiej przyrody przeraża mieszkańca równin wielkopolskich: „gór ogromnych cienie słoneczne nam zawałą promienie, po skałach huk, wiatry się po przepaściach duszą... drogi ciemne zaległy pustynie i łązy, po których daniela, mufroni i kozy wieszają się. Tu z sobą chmury się zlegają gdzie kto okiem pokinie, nad sobą obłoki pod sobą ujrzy przepaść“. Przykrości wdrapywania się po stoku północnym nagroził wspaniały widok ze szczytów łańcucha—(„Zkąd morze oboje, Kaffę widzieć i wieżę sławną Warno twoją“) i wesoła kraina rozciągając się na południowych stokach. Orszak poselski trafił na świąteczną zabawę wśród wsi bułgarskiej. „Spadniem do Dąbrowy na dobrą myśl Bułgarów i taniec gotowy, ci pośród wsi wesołej ujawszy się społem, rej corocznych prazdników pięknem toczą kołem, ci płaszą, ci w fujary i dzingi brząkają, a młodzi i dziewoje w takt im napiewają“. Baczny na szczegóły tego nowego dłań świata, młodzian nie zapomina zanotować i z wielką plastyką skreślić strój niewiast bułgarskich. „Z tureckich aspr pleciona na jej głowie misiurka, taftą uściągniona biała pierś; u gładkich wiszą nausznicę skroni a skóra się niedźwiedzia toczy z tyłu po niej“. W miarę posuwania się ku południowi zmienia się charakter kraju i obyczaje ludności, wśród której przeważa już element turecki. Nad brzegami morza Egejskiego „gdzie tuż Propontydy nabrzmiałe od Egeu podnoszą się fale szumiejąc po marmurach i treickiej skale“—roślinność południowa występuje w całym przepychu, zdumiewając nienawykłe do niej oko syna północy. „Pyszna Pomona ściera już z Florą harce. Ta-li w składne grona i chłodniejsze cytryny owa-li naprzemiany w pinole i dojrzałe pierwsza pomograny. Tu przy wdzięcznych dolinach i poto-

kach żywych, pomarańcze z gałęzi wieszają się krzywych, tu i dREW kasztanowych w ukochanej cieni sarn i stada smukownych pasą się jeleni. Tu i zimie po polach cażyje, cypry-sy zielenią się bobki i wdzięczne narcyzy“. Dusza rolnika oburza się na gnuśność poganina, „co na brzeg i samo spuściwszy się morze tak żyznych ziem nie orze, które ryżu przed laty pełne i oliwy lada dziś żółwiom rodzą chwasty i pokrzywę“. To też bogate niegdyś miasto Selimbra, port handlowy na drodze do morza Czarnego „w pogańskiej niewoli niema portu (handlu) innego prócz dREW a soli“. W Bojug Ciakmadze podziwia wędrowiec most, „jaki drugi nierówna z nim w Europie, z marmuru frambuży i piętra mając pyszne“, wreszcie ukazuje się jego oczom Konstantynopol, „patrzają pyszno ku niebu bramy i pałace“, lecz nadzieję przyjemnego wypoczynku, po trudzącej podróży, niweczą niepomyślnie wiadomości, z jakimi wraca wyprawiony naprzód dla przygotowania kwater, członek orszaku Kulikowski. Donosi on, iż „z wewnętrznego buntu wszystko się miasto mięsza i porusza z gruntu“. Wojsko rozjuszone uszczupleniem przeznaczonych na jego utrzymanie dochodów i nie wypłaconiem należnego za chocimską wyprawę żołdu, występuje z groźną protestacją, gotowe poprzeć orężem i ogniem swe żądania. Wielki wezyr dla uspokojenia zbuntowanych, obiecuje im między innymi, iż zaległy żołd otrzymają z haraczu, który na stu wozach prowadzi ze sobą polski poseł. Jednocześnie zaś, chcąc zaimponować poselstwu, niechce mu naznaczyć kwater odpowiednich i domaga się przedewszystkiem daniny dla sułtana (niby obiecanej pod Chocimem) i cła od towarów, które odwiecznym zwyczajem prowadzili kupcy pod osłoną orszaku poselskiego. Zbaraski, zniósłszy się poprzednio z posłami i rezydentami innych mocarstw i poinformowawszy się o stanie rzeczy w stolicy, odmawia stanowczo zarówno cła jak i haraczu i domaga się odpowiednich dla siebie honorów. Wezyr wobec groźnej i nieugiętej postawy posła, ustępuje i książę odprawia uroczysty wjazd do Konstantynopola. Czytelnik ciekawy szczegółów pobytu orszaku posel-

skiego znajdzie je w „Legacyi“, poemacie osnutym na dyaryuszu, spiswanym przez poetę w ciągu podróży. Pobyt ten całoroczny dostarczał uczestnikom poselstwa różnorodnych wrażeń. Wszystko dokoła było tak nowe, tak ciekawe, od morza i nieba do ludzi, obyczajów i urzędzeń. Mimo całej nienawiści ku niewiernym, profanującym grób Konstantyna, Twardowski jednak podziwia u nich nietylko bogactwo i przepych, świadczący o wyższym stopniu kultury, ale i porządek, do którego nie nawykł w ojczyźnie. Skoro noc zapadnie liczne stráže przebiegają ulice Stambułu z pochodniami „i przeto nikt przed sobą w nocy tam nie trąbi, nikt okien i niewinnych podwojów nie rąbi“, powiada, wspominając na burdy pijanej szlachty po miastach Wielkopolskich. Meczet Solimana imponuje mu wielkością i pięknnością. Sułtańskie ogrody i pałace zdumiewają obszarem, bogactwem i przepychem. Cudowne widoki wybrzeży, „gdzie natura jeżeli ludziom w czem dogodzić chciała, wszystko to jako na sznur jeden tu zebrała“, olbrzymi ruch handlowy w dwóch portach, gdzie z całego świata przybywają rozliczne wyroby, płody. „I nic słońce nie rodzi i nic ludzkie dzieło nie dokaże takiego, na czemby schodziło do uciechy i oczu i sytości żądze“. Potęga arsenału i floty wojennej budzą podziw młodego wędrowca, który dobrawszy sobie dwóch towarzyszy, ogląda starannie wszystkie osobliwości Stambułu, a przedewszystkiem zabytki greckich czasów, jak wodociąg Adryana, hipodrom, kolumny i obeliski, dalej świetne meczety sułtańskie, zdobiące każde ze siedmiu wzgórz, na których wznosi się ta nowa Roma. Bezestan olśniewający ruchem handlowym i bogactwem towarów, zwierzynce cesarskie, w których lwy i tygrysy „tak ugłaskani, że jak szczenięta się łaszą“, a „urodziwa sarnapa“ (żyrafa) zaciekawia polskich wędrowców swą postacią. „Wyższa wprzód a niż nazad, szyją wielbłądowi, głową sarnie podobna, sierścią lampartowi“. Wsiadłszy do łodzi, puszczają się na dalszą wycieczkę w okolice Stambułu, zwiedzają Bosfor, przypatrują się azyatyckim wybrzeżom, gdzie „Olimp się podnosi pełen mgły i śniegu“ a „przy won-

nych dolinach pod lubemi chłody tulipanem i różą natknione ogrody... po górach zaś nie przykrych pełno widzieć wszędy rozmarynu i wonnej lada gdzie lawendy“, wysiadają na ląd, oglądają warowne zamki Dardanelskiej ciałniny, a w oddali „widzim morza niezmiennosc i we mgle insuly Cyany“. Co krok to spotykają się ze wspomnieniami historycznymi: to szczątki mostu, który miał stawiać Cyrus, idąc przeciw dzikim plemionom północy, tu ślady drogi wykutej przez Filipa macedońskiego, gdy szedł przeciw Trakom, to znowu „w przykrym parowie ostre tkwią haki, na których wisiał Wiśniowiecki z innemi Polaki i przez trzy dni nie umierał“, dalej zamek, gdzie „dotąd naszymy więźnie siedzą“. Jak widzimy zarówno ciekawością jak i wrażliwością na piękno natury i poezją wspomnień dziejowych, nie ustępuje Twardowski nowoczesnym podróżnikom. Jedyłą wadą tych wszystkich cudów i piękności było, że stanowiły dzieło lub własność niewiernych. „Miejsce samo (jeśli gdzie porównane jemu) zda się światu panować jakoby wszystkiemu, przez liche kaukazyjskie zdeptane tułacze, przeszłej dziś kondycyi i ozdoby płacze“. Daremnie oczekiwać wyzwolenia tej cudnej ziemi z rąk bisurmanów. „My do Indów żeglujem i Chiny, z nagimi się w Afryce bijem Abissyny, płaszczem się religii pokrywa ochota, a w rzeczy nic innego jedno chciwość złota. Gdzie w oczu prawie naszych zdeptane ofiary i chwala Najwyższego, tu patrzym przez szpary... Jeżeli jednak któremu kiedy Bóg narodu do pysznego ułatwi przystęp Carogrodu, tedy pewnie Polakom, gdzie bez wieści snadnie tysiąc czółnów kozackich kiedy chce przypadnie... a przyszłemu wodzowi Bóg sam serca doda“.

Obok przyjemnych nie zbywało przecie i na przykrych wrażeniach, w chwilach trwogi i rozpacz, gdy skutkiem niepomyślnego przebiegu układów, cały orszak poselski ujrzał się zagrożony więzieniem tureckim. Zbaraski miał być osadzony w Jedykule, towarzysze zaś zakuci w kajdany cierpieć na galerach, dopóki wysłany do Polski poseł od sułtana, nie przywiózłby potwierdzenia roszczeń tureckich. Niechcąc do-

browolnie poddać swych rąk w kajdany, postanowił Zbaraski z całym orszakiem bronić się do upadłego w swej siedzibie. Zabarykadowano bramy, osadzono strzelcami okna i noc całą spędzono na wyczekiwaniu ataku Turków. „Wszystka noc ona była częścią nic niespana, częścią święta, łzami gorzkimi oplakana, co dłużniejszy w sumieniu z niem się rachowali i do ucha kapłana winni się dawali... Westchniem ciężko na miłą wspomniawszy ojczyznę, na ołtarze i zeszlą rodziców siwiznę i kto miał co w kochaniu... Byli i ci co owe trwogi i frasunki z głowy sobie rzeźwymi wybijali trunki... ci po kątach ku niebu skruszeni wzdychają, owi huczą i spore imbryki spełniają“. Nazajutrz z rana podczas gdy cały orszak poselski wysłuchawawszy mszy i przyjąwszy komunię czeka z rezygnacją swego losu... „Jakie animusze Rzymscy mieli kwirytes Gallow gdy nawalnych czekali na kurulach owych tryumfalnych... Oto we wszystkim biegu, co siły, co chuci, zwiera konie i wodze samopas wyrzuci jeden z naszych janczarów: Hej *musztuluk* woła, *musztuluk* pośle gotuj, nowina wesoła... dobra, dobra nasza, wezyrazem Husseim“... Istotnie w ciągu nocy zaszła niespodziewana lecz zwykła w rządzie tureckim zmiana: Dziurdzi usunięty, a jego miejsce zajął Husseim, przyjaciel Polaków. Sprawa traktatu została teraz szybko i dosyć pomyślnie załatwiona i polscy wędrowcy zażywszy jeszcze na końcu „di Chio (wina) i cywonu ku swemu piwnemu powrócim Tryonu“.

II.

Brak zupełny pewnych wiadomości o kolejach życia Twardowskiego od chwili powrotu jego z Turcyi (na Wielkanoć 1624 r.) aż do 1633 r., w którym spotykamy się z nim na dworze Wiszniowieckich, nie pozwala nam bliżej wyjaśnić okoliczności i warunków, w jakich rozpoczął się rozwijać jego talent poetycki i powstały pierwsze utwory. Rozstawszy się (w Końsko-Woli zapewne) ze Zbaraskim, który udał się

do Warszawy, dla zdania sprawy królowi z odbytego poselstwa, wrócił prawdopodobnie nasz wędrowiec w swe rodzinne strony, by powitać zostających jeszcze przy życiu rodziców i podzielić się z dawno niewidzianymi krewnymi i przyjaciółmi wrażeniami z tak dalekiej i niebezpiecznej podróży. Bezzasadnie całkiem twierdzi Chodyniecki i jego przepisowacze, iż Twardowski towarzyszył Władysławowi IV w podróży po Europie, w którą wyruszył król w maju 1624 r., a więc zaraz po powrocie poselstwa z Turcyi, bowiem ani w opisującym ją bardzo szczegółowo poemacie Twardowskiego (Władysław IV, punkt II), ani też w wyliczeniu osób królewskiego orszaku, jakie podają Kobierzycki i Jagodyński (Wyzwolenie Ruggiera), najmniejszej nie znajdujemy wzmianki o tym uczestnictwie, wysnutym niezawodnie z mylnie rozumianego ustępu z „Władysława IV“ (str. 144).

Powrót do rodzinnego gniazda i pierwsze chwile pobytu nad brzegami „ojczystej Lutyni“, dostarczyły prawdopodobnie młodemu wędrowcowi całego szeregu przyjemnych wrażeń. Obok radości, z jaką powitał starych rodziców i rodziną strzechę po tak długim niewidzeniu, niemałej zapewne rozkoszy dostarczyło mu samo opowiadanie krewnym i sąsiadom trudów i niebezpieczeństw, jakie przechodził i dziwów, jakie oglądał w swej podróży, sama chwała uczestniczenia w tak ważnym akcie, załatwionym z chwałą i pożytkiem Rzeczypospolitej. Podziw, jaki budził swemi opowieściami, rozgłos, jaki dzięki pomysłnym rezultatom uzyskało poselstwo Zbaraskiego w całym kraju, podniecały ambycją w młodym wielkopolaninie. W pierwszych chwilach wystarczał mu rozgłos i wrażenie, jakie obudzał w kole najbliższych mu osób. Gospodarując na małym kawałku ziemi, a może wyręczając tylko starego ojca w gospodarstwie, pocieszał się w mierności swego bytu marzeniami o sławie, której rozkoszy zakosztował. On co niedawno stapał śladami Orfeusza, po skałach, które ten poruszał swym pieniem, on który wypatrywał po za błękitną mgłą szczyty Olimpu, oddychał powietrzem, które ożywiało piersi wielkich poetów starożytno-

ści, podziwiał to słońce południa, to lazurowe niebo i morze, tę cudowną przyrodę, która używała swego uroku i piękności tworum śpiewaków greckich, czyż nie był więcej niż ktokolwiek inny uzdolnionym i uprawnionym do uderzenia w struny lutni i pozyskania chwały, jaką od tylu wieków cieszy się Homer, Wirgili i Horacy? Czyż sama mierność materialnego bytu nie stanowiła dlań jednego jeszcze tytułu i bodźca do sławy, jednego jeszcze węzła, łączącego go z dawnymi poetami? Rozczytując się w Horacym, który widocznie był ulubionym mu w tym czasie autorem, bierze ody jego za wzór do swych pierwszych utworów, jakie prawdopodobnie krążyły tylko w odpisach między krewnymi i sąsiadami.

Tymczasem szczęśliwe i spokojne chwile pobytu w ojczystym gnieździe zakłócił szereg klęsk, jakie zwały się podówczas na Wielkopolskę i kraj cały. Rozpoczął je najazd Szwedzki w 1626 r., sięgający aż po Toruń, gdzie dopiero trafił na skuteczny opór. W owych czasach równie groźni byli własni jak i nieprzyjacielscy żołnierze; nieudolnie prowadzona wojna narażała spokojnych mieszkańców na kolejne rekwizycje i rabunki to jednej to drugiej strony, wśród wążących się szal powodzenia. Szczupłość sił zbrojnych Rzeczypospolitej była powodem, iż przeciw Szwedom trzeba było ścierać wojska aż z kresów Ukrainskich. Chorągwie te nawykle do bojów z Turkami i Tatarami, bojów, które dla lichego uzbrojenia i niekarności przeciwników, nie przedstawiały ani wielkiego niebezpieczeństwa, ani też pola do wyrobienia w wodzach taktycznych zdolności, a w rycerstwie przymiotów prawdziwego żołnierza, występowały do walki ze Szwedami pełne zarozumienia o swej niezwykłości i lekomyślniej wzgardy dla tych zamorskich „śledzi“. „Przypatrzyć się im było jakim świetni strojem i spojrzeniem ogromni do Prus przyjeżdżali, jakoby już wygrali, już tryumfowali!“ powiada Twardowski, którego pochód tych wojsk prowadzonych przez Hetmana Kalinowskiego tym więcej obchodził, iż znajdowały się tam chorągwie Zbaraskiego, a sam Koniusz także za nimi podązał. Prawdopodobnie młody poeta

pośpieszył na spotkanie i powitanie swego protektora i wtedy mógł nasłuchać się z ust rycerstwa przechwałek, iż „morskich tych szewlubów śmierdzących śledziami nie mieliby za morze zasieć nahajkami?“ Zarozumiałość ta została boleśnie ukarana w niepomyślnych ze Szwedami spotkaniach. „Tamemy widzieli, co za niezwyciężone dotądem się mieli, tyły swoje zelżywe i dotarte ledwie czoła z wstydu, że marnie zane te obiedwie straciwszy prowincye“¹⁾. W czasie tej kampanii rozchorował się, na tyfus prawdopodobnie, Zbaraski i w Toruniu zakończył życie (1627) w chwili, gdy tam przybył król Zygmunt i zbierał się sejm. — Twardowski utracił wyborną sposobność pozyskania spodziewanej a zapewne i przyobiecanej mu nagrody za udział w poselstwie tureckiem. Był to przecie początek tylko szeregu klęsk i niepowodzeń, które wraz z krajem całym dotknęły poetę w następnych latach. Niezmiernie silne deszcze, trwające przez lipiec i sierpień 1627 r., zniszczyły zupełnie plony rolników; Wisła i inne rzeki, wezbrawszy gwałtownie, szeroko rozlały, zatapiając łąki i łany zbożowe. „Zdało się, że koniec i ruina świata, albo wiek Pyrrhy i ona powódź spaść miała Deukaliona... Widzieć szumnemi Wisłę było mętną, miecąc się flagi, skąd oną pamiętną powodzią brzegi nabrzmiałe, miasta i wsi pożerała całe“. Zniszczenie plonów, straty w budynkach, inwentarzu sprowadziły w zimie straszliwy głód: „Chlebem—rzęsa i leśne żołądzie, tak nie na swoich zemdlony gmin nogach padał lada gdzie po stęgnach, po drogach... Jako z pół śniegi potem ustąpiły a chwast i cierpkie żagwie się rozwiły, opar on jedli surowy, że trucizną i chleb był im nowy“²⁾. Naturalnym wynikiem takiego stanu rzeczy była straszliwa śmiertelność. Morowa zaraza, a właściwie epidemia tyfusu głodowego, wyludniała wsie i miasta, szerząc nieopisany postrach w nieznanym zaradczych środków społeczeństwie. „Z wież kościelnych chorągwie wywieszają ciemne, bramy

1) Władysław IV, 180.

2) Tamże, str. 87.

razem otworzą wszystkie się podziemne. Po miastach trwogi z dział ogromnych wyją, łupem ach ludzkim zwierz i krucy tyją, tenże nieprzyjacielowi grób co bratu, zenie i synowi. A po powietrzu błyska anioł mieczem. O gdzie się schronim! o gdzie się ucieczem. Kto w zapalczywości Twojej, kto się żywy, Boże nasz, ostoi!“ Zrozpaczony poeta zazdrości tym szczęśliwym, „co świadomi zatopów morskich i flagi zniknąć mogli tej plagi“. Ustała nareszcie zaraza, ale ślady jej nie prędko się zatarły. Miasta wyludnione, domy obleciałe z dachów, pola chwastem porośłe, świadczyły o rozmiarach klęski. „I który mimo insze żyzny trakt kujawski obrócił w głuche się dziczyzny“ powiada o swych rodzinnych stronach poeta. Ruina materyalna, która dotknęła zapewne zarówno rodziców (jeżeli przeżyli te lata), jak i samego Twardowskiego, skłoniła go prawdopodobnie do zwrócenia się o pomoc ku Jerzemu Zbaraskiemu, bratu zmarłego Koniuszego, który wynagradzając dawniejsze zasługi poety, oddał mu w dzierżawę wieś Zarubińce pod Zbarażem, dokąd skwapliwie zapewne podążył młody ziemianin, by ująć kłopotów i trudności, jakie przedstawiało gospodarowanie w wyludnionej okolicy, jak też otrząsnąć się z niemiłych wrażeń, jakich tu przez tak długi czas doznawał. Zasmakowawszy zresztą zarówno „w stanach wysokich“ jak i ruchliwym życiu, nie mógł tymbardziej dosiedzieć w szczupłej i zrujnowanej zapewne chudobie nad brzegami Lutyni. Rwał się więc w świat szerszy, do którego wstęp znaleźć mógł jedynie pod skrzydłami możnych protektorów. Niedługo przecież dosiedział i na nowem gospodarstwie. Śmierć niespodziewana Zbaraskiego (30 lipca 1631 r.) sprowadza go do Krakowa, gdzie wraz z całym gronem dworzan i klientów uczestniczy w pogrzebie swego protektora. Przy tej sposobności nawiedza zapewne swe ojczyste strony czy to dla odwiedzenia rodziny i urzędnia interesów majątkowych, czy też dla szukania nowych protektorów.

Jeżeliby można przyjąć za zasadę, iż panegiryk każdy wynikał albo z chęci zyskania sobie protekcji osoby, dla której był napisany, albo też był wywdzięczeniem się za do-

znane względy, że więc inne, mniej egoistyczne cele nie wystarczyłyby do wytworzenia tych bezmyślnych i prawdziwego uczucia pozbawionych utworów, tobyśmy mogli, na podstawie kilku pierwszych poezji Twardowskiego, wnosić, iż nie mając nadziei lub chęci dostania się na tak daleko położony dwór Wiszniowieckich, którzy obecnie wraz z majątkiem przejęli po Zbaraskich i opiekę nad ich protegowanymi, starał się o zwrócenie na siebie uwagi innych, również dostojnych a bliższych protektorów i w tym celu, zaprzestawszy dotychczasowych poetycznych igraszek, gwoli sobie, a co najwięcej gwoli uciesze podziwiających nowego Horacego sąsiadów, zaprzął muzę do niewdzięcznej pracy nad mającemi mu zjednać łaskawe względy panegirykami.

Najpierwszą ku temu sposobność nastreczył przypadły w dniu 5 października 1631 r. wjazd Macieja Łubieńskiego (późniejszego prymasa) na biskupstwo włocławskie. Ogłoszona z tego powodu „Oda winszująca“ była pierwszym drukowanym utworem młodego poety który, polecając występującą nieśmiało swoją muzę Łubieńskiemu, spodziewa się w nim znaleźć „obroncę i patrona osobnego“. W następnym zaraz roku zwraca się Twardowski ku nowemu królowi z wierszem na „Szczęśliwą elekyą“, mając może zamiar dostać się, za przykładem jednego ze swych krewnych, w liczbę dworzan albo sekretarzów królewskich. W tymże zapewne czasie napisana była „oda winszująca“, Stanisławowi Łubieńskiemu, biskupowi płockiemu ofiarowana. Zdaje się jednak, iż te rozliczne polecenia usług nie przyniosły oczekiwanego skutku, że trzeba było uciec się do łaski dalekich ukraińskich protektorów. Ukończywszy wierszowany opis poselstwa Zbaraskiego, do którego wątku dostarczył mu głównie własny, skreślony w ciągu drogi dyaryusz, zwrócił się z dedykacją poematu ku Januszowi Wiszniowieckiemu który, siedząc w otrzymanem po Zbaraskich dziedzictwie, jako „smakujący helikońskie zdroje“ i „kochający się za przykładem owych Aleksandrów nad insze w uczonych“, najpewniejszy zdawał się skutek obiecywać.

W 1633 r. ukazuje się w Krakowie „Legacya“, przedstawiająca, w ramach panegiryku dla Zbaraskiego (wuja Wiszniowieckiego), szereg ustępów, malujących z wielką prawdą, siłą i pięknnością, wrażenia, wyniesione przez poetę z tej dalekiej podróży. Jak żywo czuł piękno południowej przyrody, jak barwnie i plastycznie odtwarzał rysy wschodniego życia i obyczajów, jak malował tę nową mu cywilizację, o tem dać mogą wyobrażenie urywki, przytoczone powyżej w opowieści o kolejach poselstwa. Tym bardziej rażąco, od piękności tych obrazów, odbijają niesmaczne panegiryczne przybory, którymi, według wyuczonych w szkołach reguł i wzorów, przyozdobił a raczej zesześcił swój piękny utwór. „Legacyą“ możnaby porównać do pięknego brylantu, osadzonego w niesmacznej oprawie. Na wstępie zaraz roztacza nam poeta obraz, odbijający wiernie to „barocco“ literackie, w które przerodził się klassycyzm „renesansu“. Oto w „cyrku Marsowym“ odbywa się pogrzeb Zbaraskiego, „korona świętych bogów“ otoczyła katafalk zmarłego. „Tam Belona z muzyką zasiadła ogromną, tam skruszyl i Herkules kopię niezłomną i przy bogu ognistym pacholęta małe na szczupłych dęły surmach dumy wiecznie trwałe... Apollo z helikońskiej góry zwiódł do tej ceremonii Pieryj swoich chóry, które ciemny katafalk otoczywszy kołem, rzewnie płaczą nad swego kochanka popiołem“. Minerwa zawiesza „swoją tarcz złotą: na której wielowładnych Zbaraskich spisała komputa“. Poeta, ze swej strony, jako świadek jego cnót i czynów, pragnie uświetnić ten żałobny obchód przypomnieniem zarówno zasług całego rodu jak i kolei życia i czynów przedwcześnie zmarłego Ks. Krzysztofa. Pierwszy punkt (część) swego poematu poświęca szczegółom z epoki życia poprzedzającej wyjazd do Turcyi; trzy następne zajmuje opis podróży i negocyacji poselskich w Stambule, w piątej, ostatniej, szczęśliwe zawarcie pokoju i czyny ostatnich trzech lat życia po powrocie z Turcyi. W tym utworze, podobnie jak w dwóch następnych wielkich poematach, chciał Twardowski osiągnąć trzy różne a trudne do pogodzenia cele. Nie poprzestając na wier-

nem odbiciu własnych żywo odczutyh wrażeń i bogatych wspomnień, na opisie krajów ciekawych pod względem przyrody, obyczajów i urzędzeń, pragnął jeszcze upamiętnić dla potomności szczegóły zawarcia pokoju, mającego uwieńczyć wielki tryumf chocimski, a temu wszystkiemu nadać zarazem formę panegiryku; pomnik sławy narodowej zjednoczyć z grobowcem swego protektora. Gdy własne wypowiada wrażenia i czucia, jest wtedy i malowniczym i naturalnym, miejscami pełen wdzięku i siły plastycznej; wymowa i zapał patryotyczny cechuje opis głównych momentów negocyacji poselskiej, w których występowały naprzeciw siebie dwie różne tak cywilizacye, przedstawiciele nienawistnych sobie plemion, religii, interesów. Przeciwnieństwo to rozumiał poeta i czuł całą moralną doniosłość tryumfu dyplomatycznego, jakim należało uwieńczyć tryumf oręża. Ujęcie w artystyczną całość tego rodzaju szczegółów, pogodzenie wymagań wierności historycznej z układem poetycznym, przechodziło zakres sił i zdolności nietylko Twardowskiego, lecz każdego z dawniejszych poetów, nie wyłączając Kochanowskiego. To też w opisach podobnych sytuacji i szczegółów, ograniczali się oni do roli historyków, opowiadających z drobiazgowością przebieg wypadków, układów, treść rozmów, listów, aktów dyplomatycznych, uważając każde opuszczenie lub dowolne przekształcenie za występki przeciw obowiązкови głośzenia prawdy jedynie, gdyż wymagania piękna i cele artystyczne, podrzędną tu odgrywały rolę. Dopiero gdy przychodzi poecie wysławiać samego Zbaraskiego i ród jego, wtedy jedynie opuszcza go i nastrój poetyczny, z jakim malował swe prawdziwe zachwyty i wrażenia i wymowa podniosła, pełna patryotycznego zapału, cechująca opis poselstwa, a występuje natomiast namiętność, wyszukane obrazy i przesadne porównania, nieodpowiadające ani wartości charakteru i zasług księcia, ani uczuciom, jakie mógł żywić dla niego poeta. W całej działalności poetyckiej Twardowskiego spotykać będziemy ciągle ścieranie się tych trzech różnych czynników: egotycznego, patryotycznego i panegirycznego, od

których wzajemnego stosunku zależy zawsze większa lub mniejsza wartość jego utworów.

Czy talent, jakim zabłysnął w „Legacyi“, czy też wzgląd na stosunki ze Zbaraskimi, uitorował pocie wstęp na dwór Wiszniowieckich, tego nie wiemy. Faktem jest przecie, że jednocześnie z wydaniem „Legacyi“ w Krakowie, pojawia się Twardowski na dworze książęcym bądź to w roli dworzana, bądź też tylko nadwornego poety. Przebywa on zarówno w Wiszniowcach, rezydencji głośnego Jeremiego, jak i w Zbarażu, którego dziedzic miał sobie zleconą obecnie straż granic wschodnich. Nie był to łatwy do spełnienia obowiązek, bo przeciw najazdowi tureckiemu, korzystającemu ze zwrócenia całej zbrojnej siły na współczesną wyprawę pod Smoleńsk, nie można było, prócz nadwornych milicyi książęcych, innych znaczniejszych sił postawić. Tymczasem stotyściężna armia turecka, pod wodzą Abazego, wkracza w okolice Kamieńca. Z niewielką garstką odpiera szczęśliwie to najście hetman Koniecpolski, wsparty hucem Wiszniowieckich, w którym znajdował się także nasz poeta. W parę miesięcy (w styczniu 1634 r.) nowe siły tureckie wkraczają do Polski, znów Koniecpolski z hucem Wiszniowieckich ruszył przeciw nim, a tymczasem i sam Władysław, zakończywszy pomysłnym pokojem swą wyprawę, pospieszył naprzeciw Turkom, pragnąc stanowczy im cios zadać, ale zarówno wahanie się nie dość silnych najeźdźców, jak i niechęć szlachty ku dalszemu prowadzeniu wojny, spowodowały zawarcie pokoju, wbrew zamiarom króla.

W tym to czasie ofiarował nasz poeta Władysławowi wiersz, opiewający jego świeże zwycięstwa¹⁾. Z dedykacji możnaby wnosić, iż wręczenie go królowi miało miejsce gdzieś w okolicy Dniepru. Treść tego utworu stanowi opis zwycięskiej wyprawy Władysława IV, zakończonej oswoobodzeniem oblężonego Smoleńska. Zamiast jednak zwykłej

¹⁾ „Szczęśliwa ekspedycja“, przedrukowany w wydaniu Turawskiego.

epicznej formy używa tu poeta lirycznej zwrotki najróżnorodniejszego układu i każdemu epizodowi wyprawy poświęca osobną pieśń. Nie są to ody tryumfalne, ale raczej peany zwyciężkie. Uczucie poety, radośnie podniecone tryumfami oręza polskiego i widokiem rycerstwa, nieomytego jeszcze z kurzawy i dymu bojowego, nastrojone wojowniczo osobistym udziałem w odparciu współczesnego najazdu tureckiego, wybucha radosną pieśnią pełną siły i zapału. Takiej pobudki wojennej, jak pieśń trzecia, w której poeta wzywa króla by spieszył z wojskiem bronić zagrożonych granic, nie spotykamy w całej naszej poezji, nie wyłączając Pieśni Janusza. Sama forma jej, ta zwrotka drgająca rytmem rycerskich polonezów Szopena, odtworzyła z całą prawdą i świeżością zapał poety.

Nie mieszkaj, a na koń mściwy
 Wielki siadaj bohaterze,
 Sam ich, sam wzrok twój gniewliwy
 W złamanym potępi mirze;

Jako słoma splaną,
 Gdy na to wspomioną.

Czyli raz przodkom twym nowy,
 Nierówne wygrywać boje,
 Twarde im ucinąć głowy
 I o stołeczne podwoje,

Gdzie próg nietykany
 Zapierać tarany?

Deptała karki uparte
 Ich niewytrzymała siła,
 Mury i bramy otwarte
 Nogą suchą przestąpiła,

Twardo ouzdany
 Wódz sam brzmiał kajdany.

.

Teraz, o jako się wstydzą,
 I patrzą ponurem okiem,
 Gdy twoje ozdoby widzą,
 I na tronie tak wysokim;

A ty tem ochoczej,
 Następuj im w oczy.

Tedy, pod ogromnym grzmiotem,
 Dźwięki Etna wyda swoje,
 Wulkan zarudzi się potem,
 Szyszaki kując i zbroje.

Echo wiatry goni:
 Do koni! do koni!

Nie podobna wymagać od poety, by we wszystkich sze-
 snastu pieśniach utrzymał ciągle ten zapał i energię wysło-
 wienia. Jak w „Legacyi“ tak i tu występują wszystkie owe
 trzy cechy twórczości poety. Wybuchy zapału rycerskiego,
 poetycznego i uczucia patryotycznego przeplatane są przez
 panegiryczne zwroty i ustępy opisowe, w których, mimo lek-
 kości i żywości lirycznej formy, mieści się suchy kronikarski
 opis szczegółów wojennych. Od czasu do czasu przecie,
 w obrazach bitew, wracają świetne przymioty jego rycerskiej
 muzy. Oto jak opisuje scenę wojenną:

Do nich, do nich zarazem,
 Tyzenhaus i z Płazem
 Jednem sercem skoczy.
 Uderzą się, że luny
 I puszczone pioruny
 Ogniem ich okryją!
 Świszczą kule, grzmia groty,
 Ziemia huczy z ochoty
 I powietrza wyją.
 Aż co dotąd się chwiała,
 Ku naszym się rozśmiała
 Fortuna wesolo.
 Gromią, gonia, ścinają,
 Co celniejszych imają,
 Niemieckich głów czolo.

 Madaliński przypada,
 Jakim gwałtem wypada
 Tagus ze swych zabrzegów.
 Dopiero, jak z rękawa,
 Gdzie krew kogo, gdzie sława.
 Szalona uwodzi.

Dźwięk zbrój, drzew chrzęst i lomy,
Jakie Mongibel gromy
Na dnie samem rodzi.

Przesada w uwydatnianiu znaczenia epizodów wojennych, nadętość w wysławianiu odniesionych tryumfów, przeniesienie całego Olimpu pod zimny Tryon, mniej nas tu rażą niż w innych utworach. Zapał patryotyczny, usprawiedliwiony świetnem powodzeniem, świeżość wrażeń jakie, współcześnie z wypadkami niemal, wypowiada poeta, żywość i muzykalność lirycznej formy, urozmaiconej różnorodną budową zwrotek, siła i plastyczność wysłowienia, równoważą, jeżeli nie przewyższają, ujemnych stron utworu, który umieszczony w zbiorze panegiryków dzielić musiał ich niepomysłne koleje.

III.

Zalety, jakimi jaśnieje „Szczęśliwa Ekspedycja“, ni kną w utworach, które miały swe jedyne źródło w osobistych widokach poety, szukającego skwapliwie środków do zdobycia względów możnych protektorów. Podczas pobytu na dworze książęcym, Twardowski nauczył się sztuki korzystania z każdej sposobności do zawiązywania stosunków z panami, których protekcya mogła być przydatną i wydoskonalił talent zręcznego schlebiana ich próżności, a zarazem podnoszenia wartości każdej wyświadczonej im przysługi.

Zabiegi swe zaczął od króla. Świeże tryumfy Smoleńskie pozwoliły mu, po raz wtóry, przypomnieć się Władysławowi, powtórzyć pochlebstwa, które po części tylko usprawiedliwiały świeże powodzenie wojenne i nasunąć obraz upragnionego przez króla pogromu Turków i wypędzenia ich z Europy. „Ty masz krwawego młodzika ukrócić, Ołtarze Bogu, światu słońce wrócić... tryumfy te tobie gotują nieba ku twojej ozdobie; układa Dunaj grzbiet nieujeżdżony z swemi Trytony. Chyląc się góry, Hemus się ściele, wynijdą w wieńcach starzy przyjaciele (sławianie tureccy) i spólnem,

panów okrutnych, żelazem, pomocą razem“. Wierzylibyśmy w prawdziwość zapału poety i w szczerość jego pochwał, gdyby z równą hojnością i napuszonnością nie głosił ich osobistościom nie zasługującym na nie, takiemu królewiczowi Aleksandrowi Karolowi, którego śmierć przedwczesna daje pochop Twardowskiemu do wystąpienia z wymuszonym panegirykiem, dedykowanym „Najjaśniejszej Pannie Annie Katarzynie Konstancyi królownie Polskiej i Szwedzkiej“. Nie poprzestając na królu i jego rodzinie, stara się poeta pozyskać sobie najwyższych dostojników koronnych i w tym celu przekłada i przerabia na wiersz polski, łaciński panegiryk, jakim Jezuici krakowscy powitali objęcie kasztelanii krakowskiej przez Stanisława Koniecpolskiego. Utwór ten świadczy swym układem o wielkiej zręczności autorów, którzy korzystając z okoliczności, iż znaczna część ówczesnych senatorów pochodziła z ziemi Sieradzkiej, dają swemu panegirykowi tytuł: „Siradia trabeata“ i chwając Koniecpolskiego, nie szczędzą pochwał innym żyjącym dygnitarzom Sieradzanom, tak, że z wszelką łatwością mogli zabiegli Ojcowie wiersz ten ofiarowywać, ze zmianą dedykacyi jedynie, po kolei każdemu z opiewanych senatorów. Twardowski w tym samym zamiarze przełożył i „przyczynił“, a więc dla swych celów przerobił ten utwór i dedykował aż dwom biskupom: Stanisławowi Łubińskiemu, któremu już dawniej posyłał „Odeę winszującą“ i Jakóbowi Zadzikowi, kanclerzowi wielkiemu koronnemu, który świeżo położył wielkie zasługi w wyprawie Smoleńskiej przy zawieraniu pokoju w Polanówce i cieszył się ztąd pełnem zaufaniem królewskim. Schlebając dałszym nie można było pominąć i najbliższego protektora — zręczny dworak, znając najczulszą stronę swego pana, zwraca się nie wprost ku niemu, lecz wysuwa na pierwszy plan jego kilkoletniego zaledwie synka Dymitra, któremu opowiada świetne dzieje przodków i czyny ojca, by przykładami takimi obudzić w nim te same cnoty. Ztąd daje swemu utworowi tytuł: „Pobudka cnoty“. Nie ufając przecie domyślności księcia, który, o ile się zdaje, więcej znał się na myśliwstwie niż na

retoryce i literaturze i ztąd nie okazywał Twardowskiemu oczekiwanych względów, umieszcza poeta w tym panegiryku dość natarczywe przypomnienie swych usług i należnej za nie wdzięczności: „Twoje zwycięstwo, twoja ręka biła“, powiada wspominając o świeżem odparciu najazdu tureckiego przez hufce Wiszniowieckiego. „Jakażkolwiek służ była twoich siła — jednak o Panie, nie wszystko jednemu ale cokolwiek przyznaj i drugiemu. Wiesz jako serca bohaterskie budzą, dzięki powinny. Jako zaś na cudzą patrząc kto sławę a krew swoją leje co ma za dalsze cnoty swej nadzieje?“ Czy przypomnienie to odniosło pożądany skutek, nie wiemy, zdaje się przecie, że nic nie wskórał poeta, bowiem wkrótce po napisaniu „Pobudki cnoty“ zmarł Janusz Wiszniowiecki (1636 r.), a Twardowski wtedy dopiero uczcił jego pamięć panegirykiem „Ks. Janusz Wiszniowiecki“ (1646 r.), gdy małoletni synowie doszli do lat, w których mogli zrozumieć i opłacić tę przysługę dworakowi-poecie. Zresztą w swych utworach wynurza otwarcie wdzięczność Zbaraskim, Sieniutom, Leszczyńskim, z których to łaski „żył jego Apollo“ — jednych Wiszniowieckich tylko nie zalicza do szeregu swych dobrodziejów.

Wszystkie dotychczasowe utwory Twardowskiego, z wyjątkiem Legacyi, dla swego panegirycznego charakteru, uległy losowi tych na wieczne zapomnienie skazanych płodów służalczej Muzy, których szczegółowszym rozbiorem żaden dotąd nie zajął się badacz. Pełne nadętości i wyszukania tytuły, tudzież bezmyślna treść, w pompatyczne przybrana formy, nie mogły istotnie zachęcać do rozczytywania się w tych na utrapienie bibliografom i pastwę mólom licznie tak pojawiających się drukach. Jednak z drugiej strony sama ilość sypiących się przez półtora przeszło wieku na świat wierszydeł, świadczy o ich znaczeniu. Był to objaw chorobliwy wprawdzie, ale przytem samą długotrwałością i rozległością świadczący, właściwym sobie sposobem, zarówno o sile i rozmiarach złego, nurtującego organizm ówczesnego społeczeństwa jak i o wyrodzeniu, jakiemu w całej zresztą Europie

uległo Odrodzenie, przekształcone w niesmaczne „barocco“. Dla zrozumienia powodów istnienia panegiryków, dla poznania wpływów, pod którymi wyrobiła się tak rażąca nas dziś swą nadętością forma, dość zwrócić uwagę na otoczenie, w jakim tak Twardowski, jak i inni panegirycy spędzali swoją młodość i dalsze lata.

Szkolne czasy najpierwsze i najsilniejsze wyciskały na młodzieńczym umyśle piętno. Ten szereg nieustanny różnorodnych obchodów, odpustów, pogrzebów, wjazdów dostojnych osób i t. p., których wyprawianiem zajmowali się z wielkim zamiłowaniem jezuici, używając do tego pomocy swych uczniów, nie mógł pozostać bez silnego wpływu na smak i imaginację młodzieży.

Obchody podobne, z coraz to cudaczniejszymi dodatkami, urządzały wszystkie kolegia jezuickie po kilka razy do roku. Każdy odpust, pogrzeb, przejazd jakiegoś możnego pana przychylnego zakonowi, imieniny lub wesele którego z protektorów, w podobny uświetniano sposób. Przedstawienie teatralne, na którym uczniowie odgrywali odpowiednią do obchodu treścią sztukę, stanowiło zwykle konieczne całej uroczystości dopełnienie. Apollo, Minerwa, Muzy, enoty, grzechy, bogowie i aniołowie, ludzie, zwierzęta i t. p. figury, przesuwają się przed oczami widzów. Piramidy, obeliski z napisami, tarcze herbowe, portrety, apoteozy tryumfalne—oto tło i dekoracye, wśród których odbywała się akcyja, jeżeli tak można nazwać kolejne występowanie coraz to innych postaci, dla wygłaszania bezmyślnych dyalogów.

Wejdźmy teraz w położenie młodego chłopca który, w ciągu swego pobytu w szkołach, bierze kilka razy do roku udział w tych upragnionych dla siebie uroczystościach, dla którego Apollo, Muzy, czarty, sława, zazdrość, czystość, poezja, wymowa, od najmłodszych lat, przedstawiają się jako żyjące osoby, w którego oczach najwyższym szczytem sławy pośmiertnej jest piramida tekturowa, wieńcami i napisami pokryta. Przyucza on się tu zawczasu najprostsze myśli w najwyszukańszy wyrażać sposób, unosić się, z kłamanym

zapalem, nad całkiem obojętnemi mu osobami i wydarzeniami, przywyka słowem do znajdywania piękna w nagromadzeniu najnienaturalniejszych obrazów i porównań, do pokrywania braku myśli i uczucia deklamacyjną nadętością upstrzonego obcemi wyrazami języka. Zważmy dalej, iż tenże sam młodzieniec ćwiczy się, podczas pobytu w szkołach, przedewszystkiem w pisaniu mów, powinszowań, wierszów na herby, wesela, pogrzeby, że wreszcie po ukończeniu nauk, skutkiem nienormalnego stanu rzeczy w kraju, nie zajmie żadnego wyższego stanowiska w społeczeństwie, nie mając protekcyi jakiegoś magnata lub dygnitarza, do uzyskania której pochlebstwo i uniżoność były, jak zwykle, najskuteczniejszymi środkami.

Oto pierwiastki, które się na wytworzenie panegirycznej literatury złożyły. Treści do nich dostarczyło położenie ówczesnej szlachty i jej do magnatów stosunek. Pobyt w szkołach jezuickich uczył wypowiadać napuszonym językiem uczucia, jakich nie czuł rymotwórca i myśli które nie płynęły z jego przekonania; wyćwiczył go w sztuce zlepienia, z okrucichów szkolnej erudycyi, z porównań i wyrażań, czerpanych z mitologii i literatury starożytnej, ze wspomnień, jakie pozostawiły obchody i dyalogi szkolne, pstrej mozaiki, w którą cudacznie się wplatały koleje życia samego bohatera, jego dziecinne lata, nauki szkolne, podróże, wyprawy wojenne i funkcyje publiczne.

Twardowski jest jedynym panegirystą, który dzięki talentowi rzeczywistemu, zajął wybitne stanowisko w dziejach literatury wieku XVII. W panegirykach swych przecie jest on tylko wierszopisem, zręczniejszym jedynie od wierszokleatów ówczesnych i bieglejszym w posiłkowaniu się erudycją szkolną. Za przykładem Jezuitów, którzy jeden i ten sam panegiryk dedykowali kolejno kilku osobom, Twardowski nie wiele sobie robi zachodu z układaniem tego rodzaju utworów; przygotowawszy pewien zasób obrazów, zwrotów, epitetów, posiłkuje się niemi we wszystkich kolejno tworzonych

panegirykach, wiedząc, że żaden z chwalonych protektorów nie zada sobie trudu porównywania ich ze sobą.

Przedewszystkiem stara się wierszopis wywieść ród swoich bohaterów z jaknajdalszej starożytności i w jaknajświetniejszym przedstawić go blasku. W tych jedynie wywodach genealogicznych zadawał też sobie nieco pracy nasz poeta, bo zresztą, skoro tylko rozpoczynał opowiadanie kolei samego bohatera, nie robił sobie najmniejszego skrupułu z przepisywania całych ustępów z dawnego do wszystkich następujących panegiryków.

W „Pamięci Śmierci“ tak mówi o dzieciennych latach królewicza:

Ani piosnek pieoszonych mamki mu śpiewały,
Ale między zarazem bębny kołysały
Wychowanki Marsowe; siercią i pancerzem,
Nie bawełną, nie miękiem przetykając pierzem.
Jako bowiem najechać, jako drzewem toczyć,
Ułożyć się wężyka, do pierścienia skoczyć
Wszystkie jego pociechy, wszystkie i zabawy.

Tenże sam ustęp ma „Pobudka cnoty“, „Władysław IV“ i „Książę Janusz Wiszniowiecki“. Jak królewicza, tak Dymitra Wiszniowieckiego i Koniecpolskiego, w dzieciennych jeszcze latach, Mars owinąwszy w pieluchy (sic) i ucałowawszy, stawia na szczycie Karpat i grozi nimi Turkom i Tatarom, zapowiadając, iż każdy z tych młodych bohaterów przepłynie Dunaj i „ouzdawszy twarde Euksynowe brody“, otrzyma w zdobyczy tamtejsze ziemie. Również opisując nauki i podróże przez swych bohaterów odprawiane, wszędzie też same powtarza ustępy. Wszyscy wysławiani przezeń dostojnicy: Zbaraski Krzysztof, Wiszniowiecki Janusz, królewicz Aleksander Karol, Władysław IV, odbywali w swej młodości liczne podróże i zwiedzali Włochy. Korzystając z tego, poeta wciela, z małą zmianą, ustęp o podróżach Zbaraskiego, zamieszczony w „Legacyi“ do „Pobudki cnoty“ i „Pamięci śmierci“, obszerniejszy zaś opis, zamieszczony we „Władysławie IV“, spotykamy z niewielkimi zmianami w „Ks. Ja-

nuszu Wiszniowieckim“. Wiersz „Na szczęśliwą elekcyą“ wcielił Twardowski do „Władysława IV“ z nieznacznymi różnicami. Przy dalszych kolejach życia, o ile tylko pozwalała na to ich różnorodność, możnaby wskazać mnóstwo podobnych powtarzań; nawet dla umierającego królewicza Aleksandra nie mógł obmyśleć innych, na wezwanie o ratunek, słów, jak te, które już włożył poprzednio w usta zagrożonego utratą życia Zbaraskiego. Wszystkim swym bohaterom wynurza jednakowe życzenia: „by doczekali lat Nestorowych“, „by zakwitnęli jego rymy zmogą li co one“, upewnia „że będą mogli spokojnie się zdrzymnąć na łonie kochających przyjaciół“ i t. p., bez względu na to, czy przemawia do Władysława IV, czy też do najeżdżającego Polskę króla Szwedzkiego, czy zwraca się do Stanisława Łubińskiego biskupa płockiego, czy do Zbaraskiego. Po śmierci wreszcie tych bohaterów, wstrząsają się Karpaty, wyje w Wisle Nereusz, płaczą skały, lasy, pola, góry, jeziora, przy pogrzebach kamienie mówią, konie nawet łzy ronią. Jakkolwiek możnaby daleko więcej wynaleść podobnego rodzaju przykładów, sądzę jednakże, iż to wystarczyć może tak dla dania wyobrażenia o panegirycznych utworach Twardowskiego, jako też dla uzasadnienia tego, com powiedział o przyczynach na wytworzenie się tych utworów wpływających.

Na szczęście jednak ta nawała panegiryków z 1635 r. ustaje. Czy, co najprawdopodobniej, śmierć ks. Janusza Wiszniowieckiego (11 listopada 1636 r.), czy też jakieś inne wpływały na to przyczyny, słowem od 1636 r. następuje w losach i działalności poetyckiej Twardowskiego dość korzystna zmiana, spowodowana, jak się zdaje, usunięciem się poety z dusznej pałacowej atmosfery. Przynajmniej na początku i końcu tego 12-letniego, najmniej dającego się wyjaśnić okresu życia autora Legacyi (od 1636 do 1648), musiał on przez jakiś czas bawić w swej chudobie, wśród nieodłącznych od małego gospodarstwa trosk, jak o tem świadczą wyrażne wzmianki w pismach jego przechowane.

IV.

Zawiedziony w ambitnych oczekiwaniach i zabiegach, znużony krępowaniem swej myśli i uczucia przy wypowiadaniu kłamliwych pochwał i udanych afektów, zamknął się teraz nasz poeta w skromnym dworku cichych Zarubiniec i wśród „nieodłącznych od małego gospodarstwa trosk“, oddał się używaniu cichego domowego szczęścia i pracy nad utworami, które mu miały zapewnić nieśmiertelność.

Jedną z pobudek tej zmiany w upodobaniach i trybie życia poety, była niezawodnie miłość, uwieńczona wreszcie małżeństwem. Ni daty, ni bliższych szczegółów tego faktu podać nie mogę dla braku świadectw; dzięki notatce prof. Przyborowskiego, wiemy tylko, iż tą wybraną była wielkopolanka, Elżbieta z Gaju Obornicka (czy też Gajewska?). Do niej to, a raczej o niej zapewne mówi poeta w dwóch pieśniach, ogłoszonych jako dodatek do „Daphnis“:

Aza nie krzywda? ledwo ujrzałem
Wdzięczną perelkę, z którą mniemałem
Żem swej miał dłużej użyć pieśczoły
I dłużej patrzeć na jej przymioty,
A wyście z ręku, czyście zajrzeli?
Drogi kochanie moje wyjęli.
Precz ma pociecha, gdy od twej twarzy
Odjeżdżam, w której róża się żarzy;
Precz ma pociecha, kiedy me oczy
Po twej pogodzie zażyją nocy.
Sam nie wiem kiedy twarz twą obaczę,
A nieraz w żalu serce zapłacze.

W drugiej pieśni upewnia o swej miłości niezmiennej: „Wstawać li słońce lub spadać będzie Ty przecie zemną przytomna wszędzie. O to cię proszę racz moje chęci nie w wywietrzanej chować pamięci, nie bądź tyranką pamiętaj tego który cię kocha, kochajże jego“.

Szczyście jakie znalazł w miłości pozwoliło pocię zapomnieć chwilowo o troskach materyalnych i nadało inny

kierunek jego ambitnym dążeniom. Rozgłos, jaki uzyskała „Legacya“, która w 1639 r. w powtórnej już wyszła edycji, uznanie, jakim się cieszyć musiała „Szczęśliwa ekspedycya“, opiewająca tak żywo i wiernie świeże wrażenia i tak pomyslnie boje, rozbudziły w Twardowskim świadomość talentu i nadzieję pozyskania na tej drodze sławy i znaczenia. Rozczytując się w Horacym i dopatrując analogii między swem położeniem a głoszonymi przez niego zasadami, tłumaczy z zapalem ody poświęcone pochwałom cichego wiejskiego życia („Beatus ille..“ i „Non ebur neque aureum“), cieszy się swą niezależnością, spokojem cichego żywota przy boku ukochanej małżonki i tworzy plany przyszłych utworów, które mu zapewnią nieśmiertelną sławę. Tymczasem upojony powodzeniem „Legacyi“ parafrazuje Horacego i z dumą głosi:

A snąć mię sprzyjaznych siła,
 Między już poety polskie policzyła.
 Jakoż i wena i cnotą
 Zwyciężyłem zazdrość.

 twoim ja to chęciom (Melpomeno)
 Powiniennem i ozdobie,
 Że mię teraz palcem pokazują sobie,
 Parnasu wieszczka polskiego.
 Co tchnę i podobam się, mam to z daru twego.

 Woda przezroczysta ojczystej Lutyni,
 I kołem gaje rozwite
 Dadzą żyć mym wierszom lata nieprzeżyte.

Prócz Horacego rozczytuje się Twardowski w jego znakomitym naśladowcy Sarbiewskim i tłumaczy kilka ód: „Aeterna magnis carmina Carpati“ i „Ad principes Europae“, zagrzewające do wyprawy przeciw Turkom, oraz „Exteros muros“, wzywającą do zgody wewnętrznej i „De puero Jezu“, zachęcającą do miłości. Najlepiej udał mu się przekład ody „De puero Jezu“, tchnący prawdziwym uczuciem i wdziękiem. Tłumacząc, musiał patrzeć się poeta na własne dziecię, piastowane przez matkę a wyciągające doń swe ręce:

Na szyjkę białą kędziorki spuszczone
 Złotem słońca powleczone,
 Nad kość słoniową bielsze ściąga ręce,
 Wydrzeć się każe mateńce.
 Z płaczem być pragnie gościem twego łona
 I więźniem twego ramiona.

To szczęście, jakiego doznawał poeta w uwieńczonej małżeństwem miłości, w niezależności swobodnego bytu, oddziaływało nadzwyczaj korzystnie na rozwój jego talentu i nadało jego twórczości najwłaściwszy kierunek. Wyrazem i wynikiem tego zwrotu jest „Daphnis“, udratyzowana sielanka, w której opiewa on z nieporównanym wdziękiem i uczuciem miłość, swobodne życie wśród przyrody, szczęście na miłości jedynie oparte i z całym humorem i lekkością maluje obyczaje dworskich panien, ich lekkomyślność i zmysłowość. Gdy z czasem ostygł zapał miłosny a cisza i kłopoty domowe i gospodarskie zaczęły się dawać we znaki nawykłemu do ruchliwego i swobodnego życia poecie, rozpoczyna on pracę nad utworem olbrzymich rozmiarów, którym spodziewał się niezawodnie zapewnić sobie nieśmiertelność. Był to poemat opiewający życie i czyny panującego podówczas Władysława IV. Rozpoczął nad nim pracować Twardowski zaraz po ogłoszeniu drukiem Daphnis, około 1639 r., jak o tem świadczy dopisek „o pogromie i uniżeniu kozaków w 1638 r.“ (Władysław IV, str. 61 na marginesie). Praca ta postępowała bardzo wolno, bo oprócz zajęć gospodarskich odrywały od niej poetę ciągle podróże. W 1639 r. spotykamy się z nim w Warszawie podczas sejmu. Wszystkie umysły poruszała wtedy kwestya tytułów, jakie niektóre rodziny możniejsze zaczęły, na mocy przywilejów cesarza lub papieża, bezprawnie przybierać. Gdy jeszcze, niechętnie widziany z tego powodu, Ossoliński obraził jednego z posłów, wybuchła ztąd straszna wrzawa, skutkiem której sejm został zerwany. Wypadek ten spowodował Twardowskiego do napisania (i ogłoszenia zapewne) wiersza „Na sejm rozerwany“, w którym, występując głównie w obronie zapewnionych konstytu-

cyami tytułów książęcych niektórym starożytnym rodzinom na Rusi, jak Wiszniowieccy, Zbarascy i inni, śmiało przytem karci nieufność szlachty i przesadną troskliwość o zachowanie przywilejów.

Co w domu serca prorockie wieszczyły,
Które i w drodze wieści o tem były,
Że na tym stanąć nie miało
Strojnym sejmie, już się i tak stało.

.....
Komu mam przyznać? gorącym-li falom,
Czyli nieszczęsnym względom i prywatom?
Przez co dziś zrywają sejmy,
Przez co wkrótce rozerwiem się i my.

Jakkolwiek jednak oświadczą się dalej bardzo stanowczo przeciw przyzwoleniu na przybieranie nowych tytułów, jednak sam w kilka lat potem zaledwie (w 1643 r.), ogłaszając panegiryk na wjazd Leszczyńskiego Bogusława na wielkopolską generalią, tytułuje go „hrabią na Lesznie“. O ile z rozmaitych wskazówek możemy wnosić, to Twardowski, utraciwszy ze śmiercią obu Zbaraskich i Janusza Wiszniowieckiego protektorów, na których wiele rachował, krzątał się żywo koło zawiązania nowych stosunków.

Jeszcze w czasie pobytu w Wiszniowcach miał zapewne sposobność poznać Sieniutów, mozną wołyńską rodzinę, mającą swą siedzibę w pobliskich Lachowcach nad Horyniem. Jednocześnie posiadali oni znaczne dobra w Wielkopolsce (Kobylin i Zduny) i to zapewne utorowało im drogę do stosunków z Leszczyńskimi, z których jeden zeni się w tym czasie z siostrą Piotra Sieniuty, dziedzica Lachowiec i Kobylina. U tego ostatniego Twardowski umieszcza, obyczajem ówczesnej średniej szlachty, lokującej swe oszczędności u możnych panów, spory stosunkowo kapitalik bo 6000 złp. i przy tej sposobności zapewne przyjmuje stanowisko komisarza dóbr Kobylińskich. Nowe te obowiązki ułatwiają mu zawiązanie stosunków z Leszczyńskimi, najpierwszą ro-



dziną wielkopolską, której dzieje i zasługi wysławiał poeta w obszernym panegiryku „Pałac Leszczyńskich“, ogłoszonym w Poznaniu.

Z pobytem poety w Wielkopolsce i z wpływem, jaki na jego pojęcia wywarł zarówno bieg spraw na sejmie warszawskim z r. 1639 jak i zetknięcie się ze świątliwszymi senatorami i ziemianami wielkopolskimi, wiąże się ciekawy, rozumnie i wymownie skreślony utwór satyryczny, jakby zapowiedź mających się niezadługo ukazać „Satyr“ Opalińskiego, wydany po raz pierwszy bezimiennie w r. 1640 i w ciągu następnych lat (do 1645) kilkakroć przedrukowywany (z inicjałami: S. T. Z. S.) „Satyr na twarz Rzeczypospolitej“. Idąc za wzorem Kochanowskiego, wkłada poeta w usta Satyra, mieszkającego od wieków w budzie leśnej pod Beskidem, zarys wad ówczesnych (szlachty, księży, kobiet) i czarny obraz życia publicznego (prywatna, cześć gadulstwo na sejmach, zdzierstwa, przekupstwa), przedajność sądów (trybunału lubelskiego), zudzoziemczenie (na dworze królewskim zwłaszcza), służalstwo dworzan. Z pomiędzy mniejszych rozmiarów utworów Twardowskiego, po za trzema wielkimi poematami, pieśni „Szczęśliwej ekspedycyi“, „Daphnis“ i „Satyr na twarz Rzeczypospolitej“ stanowią trzy najdoskonalsze pod względem artystycznym utwory poety wielkopolskiego, dające najlepsze pojęcie o różnostronności jego natchnień i uzdolnień. Śpiewak miłości, przyrody i czynów rycerskich okazał w „Satyrze“ niezwykłą siłę oburzenia w odmalowaniu złego ¹⁾.

Jak nieznaną nam jest data ożenienia się poety, tak również brak wskazówek do oznaczenia roku, w którym przypadła śmierć jedynej córki, oplakanej trenami, całkowiec z wierszy arcydzieła czarnoleskiego wieszczą pozlepianemi. Utwór ten, raczej z chęci zadowolenia miłości

¹⁾ Ustęp ten dodany później. W latach, gdy praca ta była wykonywaną i ogłoszoną (1872) „Satyr na twarz“ uważany był powszechnie za utwór Rysińskiego i z tego powodu nie był przez piśmiennictwo brany pod uwagę.

własnej poety, pragnącego, za przykładem licznych kolegów, podzielać z ogółem czytelników swe osobiste cierpienia i straty, niż z prawdziwie cierpiącego ojcowskiego serca wypłynął. To też zabrakło mu nietylko uczucia, którego nigdy zbyt wiele nie ujawniał, ale nawet zwykłej łatwości wierszowania. Podczas gdy dla opłakania śmierci Zbaraskiego i innych protektorów poety „idejskie źródlice“ nie wystarczały, utrata córki jedynaczki nie zdołała o tyle poruszyć serca Twardowskiego, by z niego wydobyć choć jedną prawdziwą skrę uczucia.

V.

Biografia autora „Legacyi“ ciężkie przedstawia piszącemu zadanie, dla braku bowiem świadectw i ruchliwego życia poety, trzeba często poprzestać na samem wyliczaniu faktów, bez organicznego ich powiązania. Jak powyższych kilka szczegółów, tak również data i powody osiedlenia się Twardowskiego w Zarubińcach, przy jednoczesnem pełnieniu obowiązków komisarza dóbr Kobylińskich, nie dadzą się dostatecznie wyjaśnić. Wiemy tylko tyle, iż wypadki 1648 r. zastają poetę w jego dawnej siedzibie. W braku innych śladów, możnaby uważać datę wydania panegiryku pod tytułem „Książę Janusz Wiszniewiecki“ (1646 r. w Lesznie) za ostateczny termin pobytu poety w Wielkopolsce i zarazem za dowód chęci odświeżenia stosunków z dorastającymi już synami dawnego protektora, co mogło być powodem do tych ponownych przenosin. W tym to czasie napisał zapewne większą część olbrzymiego, choć zaledwie do połowy (do r. 1635) doprowadzonego utworu „Władysław IV“. Gdyby nie obszerny, kilka tysięcy wierszy liczący epizod, poświęcony walkom cecorskiej i chocimskiej, miałyby cały ten poemat czysto panegiryczny charakter. Spotykamy tu bowiem wszystkie cechy powyżej rozbieganych panegiryków, z których całkowite ustępy powłączał nasz poeta, swym zwyczajem, do „Władysława IV“, prowadząc w ulubionej mu formie

kronikarskiej opowieść o młodych latach, naukach, podróżach i początkach panowania swego bohatera. Utwór ten jest ciekawym jednak z wielu względów świadectwem dziejowym. Spotykamy tu naprzód żywe odbicie tego błęgiego *farniente*, jakim rozkoszowała się szlachta za rządów Władysława IV.

Za niego wiek on Augustowy złoty
 Polsce zakwitnął, kiedy piękną zgodą
 Wszystkie za ręce ujęły się cnoty;
 Rząd, prawo, wolność z rodzoną swobodą
 Rozkosz i pokój ze swymi przymioty,
 Pomona z florą; fawoni z pogodą—
 Tak że w tej cerze wdzięcznej i spokojnej
 Nawet już była zapomniała wojny.

Spokój i zamożność sprzyjały wesołemu życiu; król sam przywiózł z podróży po Europie upodobanie do zabaw i obchodów. Urządza na zamku Warszawskim teatr, sprowadza śpiewaków i muzyków. Zamiłowanie do obchodów rozpowszechnia się w całym kraju. Przepych z jakim Ossoliński odprawiał swój wjazd do Rzymu rozniósł imię po całym świecie. Każdy dostojnik ziemski, obejmując nową godność, urządza uroczysty obchód przy obejmowaniu swego urzędu; każdy magnat a nawet zamożny szlachcic naśladuje ten przepych i okazałość zarówno w urządzeniu domu jak i przy każdej uroczystości. Jednym z uświetnień każdego takiego obchodu jest wiersz pochwalny, panegiryk, którego mistrzem jest Twardowski. Szereg wielkich tryumfów wojennych, których uczestnikiem i kierownikiem po części był Władysław IV, utrwalił w umysłach przekonanie o niezwyciężoności Rzeczypospolitej i o jej niewzruszonej potędze. Lekceważono sobie wszystkich nieprzyjaciół i trwałe środki obronne. Już nawet po wybuchu kozackim łudzono się długo, że samo ukazanie się rycerstwa przerazi zbuntowane chłopstwo, „że skoro mu pokaże twarz srogą i kij niewolniczy zaraz się za-
 boi“. To lekceważenie rozciągnano również do wschodnich sąsiadów Rzeczypospolitej. Zarówno Twardowski jak i Po-

tockki, w opisach wojen z Moskwą, Tatarami i Turkami, odzywają się o wrogach z największym lekceważeniem i pogardą, utrwalając w społeczeństwie polskim przeświadczenie o niezmiernej wyższości i przewadze tak moralnej jak i materialnej nad sąsiadami. W klęskach wojennych widziano karę Bożą za grzechy, nie zaś wynik błędów lub słabości.

Wprawdzie brak samodzielności w charakterze pozbawił przekonania polityczne Twardowskiego interesu, jaki w nas obudza sąd wytworzony w tego rodzaju kwestjach przez samoistną, żywo czującą i głębiej myślącą osobistość; przytem zdrowy pogląd spotykamy u naszego poety wtedy dopiero, gdy smutna rzeczywistość roztrzeźwiła zobojętniałe na wszystko umysły. Być może, iż w znacznej części osobisty udział w spadłych na naród klęskach wywołał te pełne smutku skargi na nierząd i wynikłe ztąd nieszczęścia, lecz przez to Twardowski jest właśnie wiernym przedstawicielem średniej szlachty ówczesnej, czującej złe, znającej jego przyczyny, ale nieposiadającej dość energii i samodzielności, dość zdrowego sądu i miłości kraju, by wprowadzeniem stosownych reform wlać w społeczeństwo nowe siły i zatamować źródło choroby.

Wobec trapiącej środkową Europę 30-letniej wojny, czasy Władysława IV w Polsce wydawały się saturnowymi laty. Wejrząwszy przecie głębiej w stan rzeczy, przekonujemy się, że brak wybitnych stronnictw w narodzie skupiającym się jedynie dokoła magnackich dworów, reprezentujących najczęściej tylko swe osobiste interesa i poziome ambicje, pod pokrywką obrony złotej swobody szlacheckiej; że obojętność na dobro kraju, z jaką się w pierwszej połowie XVII wieku u nas spotykamy, ubezwładniała cały organizm społeczny. Jedna tylko opozycja przeciw każdemu zamiarowi króla do usunięcia złego zmierzającemu, przeciw każdemu domaganiu się spełnienia choć w części należnych dla państwa obowiązków, zdołała jednoczyć i obudzać energią w samolubnych sercach; z drugiej znowu strony lada fraszka zapalała między magnatami straszne zawiści, sprowadzające zrywanie sejmów, zajazdy, procesy.

VI.

Rok 1648 położył koniec temu błogiemu farnientejakiem cieszyła się Polska za rządów Władysława IV. Pograżone w uciechach społeczeństwo nie chciało wierzyć przestrogom rozważnych doradców i zająć się, podczas ciszy i pogody, naprawą okrętu, ażeby mógł stawić czoło spodziewanym burzom i posuwać się pomyślnie po drodze swych przeznaczeń.

Spółczeństwo ówczesne nie dojrzało jeszcze do swej roli, nie dojrzało nadewszystko do tej swobody politycznej jaka przyszła mu tak snadnie, tak wcześnie, bez trudów i zasług. Bawiło się ono wolnością, lecz użyć jej nie umiało, bo nie dostrzegało różnicy między wolnością a samowolą, nie pojmowało warunków bytu państwowego a nadewszystko nie było zdolnem do wytrwałego a dobrowolnego pełnienia obywatelskich obowiązków. Życie nad stan rujnowało materialnie, upodobanie w zmysłowych uciechach i ślepe samolubstwo upośledzały i wykrzywiały moralnie. Pieniądz i uciechy zmysłowe stały się najsilniejszymi pragnieniami dusz ówczesnych. Szereg klęsk poniesionych w walce z koczowniczą i powstaniem ludowem, ujawnił całą siłę tego zepsucia i wyrodzenia.

Zagrożony od rabujących szlacheckie dwory band w czasie oblężenia Zbaraża (lipiec 1649 r.), opuszcza poeta swe Zarubińce:

..... Tużem też nie czekał
I ja dłużej i równo z drugimi uciekał,
Przyznam się nie leniwiej: fanty prócz domowe
Mielsze z sobą i zbiory wiotche papierowe
W małym pudle uniosszy. Lubo (co za dziwy?)
Uciekał i Pindarus: w tym jednak szczęśliwy
Że, gdy Teby zgorzały, Filip mu ochronił
Jego tam muzeolu. Mego nie obronił
Żaden dźwięk Apolinów, ani głos łabęci
Niebieskiej Melpomeny. O słodkiej pamięci

Dziedzino! o nad Hybłą kochańsza pasieko!
Tożeś od swej ozdoby bardzo dziś daleko¹⁾.

W ucieczce tej nie oparł się jak w Wielkopolsce, po odbyciu stomilowej podróży. Prócz dość licznej familii, przebywało tu jeszcze dwóch możnych protektorów poety, wspomnianych już poprzednio: Piotr Sieniuta i Bogusław Leszczyński, którzy, nie zapomniawszy o dawniejszych usługach poety, pośpieszyli teraz okazać mu swą życzliwą opiekę. Krótko zabawiwszy w Wielkopolsce, ruszył Twardowski, zapewne w towarzystwie Leszczyńskiego lub którego ze swych krewnych, do Warszawy, na upragniony przez wszystkich sejm, od którego jedynie oczekiwano skutecznych środków, na wydobycie kraju z rozpaczliwego położenia w jakim się znalazł po klęsce piławieckiej. Jednak dopiero nacisk zbliżającego się ze swą armią Chmielnickiego, skłonił obradujących do zaniechania bezowocnych rozpraw i przystąpienia do elekcji, której rezultatem było osadzenie na tronie miłego Kozakom Jana Kazimierza.

Elekcya pod Krakowem ściągnęła mnóstwo szlachty. Przybył tu i Jeremi Wiszniowiecki „z potęgą i fakcją“²⁾ jak o nim mówili nieprzyjaciele, było też tu i kilku Twardowskich ze Skrzypny, a mianowicie: Andrzej, Zygmunt były sekretarz Władysława IV, Aleksander, Krysztof i Mikołaj³⁾. Zdaje się, że i nasz poeta znajdował się wtedy w Krakowie, przy opisie bowiem elekcji używa 1. os. l. m.

Tedy na kolana

Przed Boskim Majestatem nizko się posławszy
Prosim o to, aby nam jednostajną dawszy
Zgodę wszystkim, przynajmniej kiedy już giniemy
Rady pobłogosławił; a wprzód obierzemy
Wielkiej tej prowincyi, czyja była kolej
Wodzem Obuchowicza⁴⁾

-
- 1) Wojn. Dom. str. 36 (I).
2) Wojn. Dom. str. 46 (II).
3) Patrz wyżej.
4) Wojn. Dom. str. 37 — (I).

Gdy w końcu 1649 r. zawarto z Kozakami pokój pod Zborowem, zaczęła szlachta wracać do swych opuszczonych włości.

..... Kiedy nam po boju
I tak przykrych włóczęgach, powrócić się było
Do swych nazad zgorzelisk i przynajmniej miło
Obejrzeć ich popioły. Aż my, miasto chłopów
Poddanych nam dopiero, jakichś Cyklopów
Okrutnych tam zastali, takie stawiać czoła
Takie twarze, jakoby nie znali nas zgoła.
.....
..... z którego nad sobą ciężaru
I przykrej opressyi, nie śmiał ani zionąć
Biedny szlachcic ¹⁾.

Zapewne i Twardowski powrócił wtedy do Zarubiniec i bądź, że zastał swą zagrodę całkiem spustoszoną, bądź też dla niebezpieczeństwa grożącego ciągle ze strony wzburzonego wieśniactwa, nie pozostał tam nadal, lecz przeniósł się do Wielkopolski. Daty tego wypadku nie można ściśle oznaczyć, najprawdopodobniej miał on miejsce w 1650 r. W dedykacji Władysława IV (1650) Bogusławowi Leszczyńskiemu czytamy:

Ale powinna niemniej i ta tobie
Królewska muza, żeś ją, w tej żalobie
I grubym dotąd wstydliwą opale,
Oświecił pierwszy, wielki generale!

Z tych słów wnosić można tak o pobycie poety w Wielkopolsce w 1650 r. jak i o stosunkach z Leszczyńskimi, których dla braku świadectw wyjaśnić nie możemy.

Jeszcze wyraźniejszy dowód pobytu w tamtych stronach, znajdujemy w Wojnie Domowej.

..... a my tu, gdy oni tam giną,
Nowin pierwszych z Krasnego smakiem opojeni
Rozumiemy że tem już szczęściem poniesieni

¹⁾ Wojn. Dom. str. 4 (II).

Blizko gdzie są Czechryna i na kark samemu,
Goniąc go ku Donowi, dotąd Chmielnickiemu
Ostrząc szable, zwłaszcza co Warty tu i Prośny
Przylegliśmy około.....¹⁾

Ustęp ten odnosi się do 1651 r., w lutym bowiem t. r. zaszła walka pod Krasnem. Wnosićby należało, iż poeta znajdował się wtedy w swych rodzinnych stronach, ponieważ Lutynia jak również Skrzypna i Twardowo, leżą w kącie przez rzeki Wartę i Prośnę utworzonym. Lecz i tu niedługo trwała spokojność poety. W tymże samym roku (1651) zwołano pospolite ruszenie przeciw Chmielnickiemu i Twardowski, mimo niechęci jaką w wielu miejscach Wojny Domowej przeciw temu rodzajowi prowadzenia wojny okazuje, musiał rad nie rad wyruszyć w pole.

Opisując zebrane już wojsko powiada:

.....bo byli tu wszyscy
I co Wisły początku i co wrót jej blizcy,
Sanu, Steru, Horynia i Pilce i Warty..
.....i kto urodzony
Tylkoż szlachcic.....
.....że się pogranicznym zdało
Nam sąsiadom, jakoby w Polsce być nie miało
Więcej ludzi.

Nikt bowiem w domu się nie został:

.....prócz księżą w kościele modlącą
I pod ich się Azyle słabszą pleć tulącą²⁾.
.....bo cóżby bronilo
Doma więcej i którzy sąsiedzi tak blizcy
W posiłku nam przybyli, *kiedyśmy tu wszyscy*³⁾.

Z powyższych ustępów jak również z ciągłego używania 1. os. l. m.⁴⁾ wnosimy o udziale Twardowskiego w wojnie z 1651 r.⁵⁾.

¹⁾ Str. 15 (II).

²⁾ Str. 18.

³⁾ Str. 30.

⁴⁾ Wojn. Dom. str.

⁵⁾ Może w związku z tym pozostają następne słowa poety:

..... straszliwe te wojny,
Ostrzelany któremi huku już nie słyszę. (Woj. Dom. str. 203 (II)

Znalazłszy bezpieczny przytułek w Wielkopolsce, odechnął Twardowski po doznanych wrażeniach i klęskach i chcąc oderwać swą myśl od smutnych współczesnych stosunków krajowych, odmalowanych tak czarnymi barwami na kartkach Wojny Domowej, wziął się do pracy nad przekładem a raczej swobodną przeróbką romansu (łacińskiego zapewne) p. t. „Nadobna Pasqualina“. Mimo wspomnień i postaci z „Daphnisa“ wziętych, „Pasqualina“ innym zupełnie tchnie duchem i nosi wybitne znamię czasu, w którym powstała. Gdy Daphnis odbija to swobodne „farniente“ saturnowych lat za rządów Władysława IV, wesołe, zmysłowe używanie życia bez troski o jutro—nad Pasqualiną ciąży ponura, pokutnicza atmosfera wojen kozacko-szwedzkich, atmosfera reakcyi religijnej, przemieniającej wesołych rozpustników w zakapturzonych pokutników, nasuwającej zamiast wesołych uciech, obrazy śmierci i sądu ostatecznego. To samo pióro, które w Daphnis kresliło wesołe, zmysłowe używanie życia, nawołuje w Pasqualinie do upamiętania się, do pokuty i moralnego odrodzenia. Trafny też zrobił poeta wybór, zwracając się z dedykacją Pasqualiny do Krzysztofa Opalińskiego, którego satyry tchną takim pesymizmem i goryczą. Romans ten jest jednym z pojawów rozbudzenia się religijnych uczuć w społeczeństwie, które ujrzało się naraz zagrożone nieochybną zgubą, utratą nietylko dobrobytu i potęgi, ale istnienia samego. Pioruny dziejowej sprawiedliwości wstrząsnęły do głębi grzesznika, który nie czując się na siłach by wejść na drogę poprawy, wolał w ascetycznej pobożności szukać łatwiejszego środka do przejednania zagniewanego Boga. Prąd ten ogarnął i Twardowskiego; śpiewak zmysłowej miłości i uciech życia, zapisuje się w 1653 r. wraz z żoną do bractwa Ś-ej Anny w Kobylinie i swą pobożnością zdobywa sobie godność seniora brackiego ze stanu szlacheckiego, w r. 1659. Nie poprzestając na tem, zapisuje się przed samą śmiercią do drugiego bractwa: Niepokalanego Poczęcia P. Maryi.

Najlepszą miarą tej apatyi, tego upadku ducha, wywołanego szeregiem walących się na kraj klęsk, jest poddanie

się dobrowolne Wielkopolski królowi Szwedzkiemu. Ciekawą ilustracją tego aktu, którego hańbę zwalono potem wyłącznie na Krzysztofa Opalińskiego, jest krótki lecz charakterystyczny wiersz Twardowskiego: „Omen królowi Szwedzkiemu“. Nie przynosi on zaszczytu autorowi, bo przecie po wszystkie czasy powołaniem poety było budzić do wielkich czynów, rozniecać podniosłe uczucia. Wprawdzie przez wystawienie faktu we właściwym świetle łagodzi się bardzo wina autora którą na wiele głów rozdzielić należy; mimo to, wyjaśnienie nie jest usprawiedliwieniem, wskazanie właściwego znaczenia faktu nie uwalnia od odpowiedzialności wobec potomnych tego, który, jako dobrowolny przedstawiciel swych współbraci, przyjął na się większą część winy. Najazd Szwedzki, wskutek wplątania się w tę sprawę Radziejowskiego, obałamucił szlachtę, tem chętniej obiecane nieprzyjaciela słuchającą, im mniej czuła się sama na siłach do ratowania ze wszystkich stron zagrożonego kraju. Śród powszechnego rozbicia, Szwed wydał się deską ocalenia.

„Jakimkolwiek on będzie“, mówi, powtarzając te głosy Twardowski, „gorzej nie może być jak dotąd“. Czyż bowiem nieprzyjaciel mógł więcej dokuczyć niż bezkarna swawola własnych żołnierzy, wysączających ostatnie krople krwi z nieszczęsnego kraju. Czyż ujęcie rządów przez silną rękę monarchy szwedzkiego nie było pożądanem gdy:

W domu niezgoda i szkodliwe rady,
Przy boku pańskim rzadko bez przysady,
Rada zasiada, a niechaj i głupi,
Czego niegodzien, za pieniądze kupi.
W izbie swar próżny i głosy żarliwe
Tylko o wolność – ach! w tem nieszczęśliwe,
Że przez nie ginie, jako i zginęły
Ateny tedy, gdy najmędrze były.

W takim stanie rzeczy szlachta ówczesna utraciwszy wiarę w przyszłość, pozbawiwszy się dawnego męstwa przez zbytne umiłowanie spokojnego życia i dostatków, nie bez

pewnego może zadowolenia wyciągała ręce ku temu, „nowemu światłu“ z północy powstającemu, ku temu królowi, który gdy:

. stoimy jak na szrót wydani
 Sami od wszystkich, ach nieratowani!
 Nie chciałeś z naszych piersi uroszczonych
 Budować mostu, aleś ukorzonych
 Przyjął w obronę i dał wdzięczne domy
 Przez ognie widzieć i straszne swe gromy.
 Jużci pójdź dalej, gdzie cię niebo wzywa
 I zkąd fortuna niesie przyjaźliwa.
 I żadne, tuszę, nie oprąć się tamy,
 Aż do stolicy i korony samej.

Nie było to żadną nadzwyczajną rzeczą powierzać tron polski obcemu monarsze; cóż więc dziwnego, iż imponujący swoją wojskową potęgą i zaręczający wszystkie swobody szlachcie król szwedzki, mógł znaleźć chętne przyjęcie, zwłaszcza gdy od niego można było jedynie oczekiwać skutecznego odparcia innych nieprzyjaciół? To też poeta dyktuje mu „pacta conventa“ i to bardzo ciężkie, wkładając nań obowiązek poskromienia wszystkich innych przeciwników, powrócenia utraconych prowincyi, przywiedzenia do „swej kluby“ tego co z niej wyszło i t. p., a obiecując za to wieczystą unię Polski ze Szwecyą:

. czem królestw oboich
 •Zwiążesz granice, że nierozzerwaną
 Sklejone ligą wiecznie już zostaną.

„Omen królowi Szwedzkiemu“ jest prawdziwie wyrokiem zagłady, napisanym przez szlachtę na samą siebie, na swe odrębne stanowisko, swe przywileje. Dopóki bowiem, wierna swemu rycerskiemu powołaniu, była puklerzem dla ogołoconego z twierdzy i naturalnych granic kraju, dopóki była tarczą Europy przeciw tureckiej i tatarskiej dziczycy, dopóty miała prawo domagać się społecznego wywyższenia. Lecz teraz, gdy zarówno posłannictwo walczenia z niewiernymi,

o którego wskrzeszenie napróżno się troszczył Władysław IV, jak i obowiązek obrony kraju zaczęto uważać za nieznośny i niezgodny z wolnością szlachecką ciężar, gdy przytem nie dozwolono sformowania porządnej siły zbrojnej, gotowej na każde zawołanie, ku czemu tak łatwo było zużytkować dzielność Kozaków, przez nadanie im słusznych praw i wynagrodzenia, — teraz istnienie szlachty, jako uprzywilejowanego stanu, stało się niesprawiedliwością historyczną, która dłużej nie mogła trwać bezkarnie. Czuły to i wypowiadały wszystkie znamienitsze społeczne umysły: Skarga, Starowski, Opaliński, Potocki, a wreszcie i Twardowski; nie umiano jednak podać skutecznego na złe środka. Egoizm zanadto serca dla dobra publicznego wyziębił, ciemnota nadto zaślepiła umysły, by najzbawienniejsze zamiary znaleźć mogły należyte poparcie.

VII.

Bolesne doświadczenie miało dopiero zwoľna rozbudzać z uspienia serca i umysły, zdzierając jedną po drugiej wszystkie iluzje, jakiemi starano się pokryć nasuwającą się ciągle przed oczy rzeczywistość. Tak miłą np. dla Wielkopolan zwłaszcza, wiarę w przyjazne zamiary Szwedów zniszczyły wkrótce czyny dowódców szwedzkich, postępujących nie jak sprzymierzeńcy, ale w charakterze zdobywców, tak iż szlachta zmuszoną została do zbrojnego przeciw niedawnym przyjaciółom wystąpienia. Powodowani zemstą Szwedzi rozpoczynają szerzyć wszędzie spustoszenie i wypłaszają znowu naszego poetę z Kobyłina, zmuszając go do szukania bezpieczeństwa w obozie pospolitego ruszenia, które pociągnęło wtedy na zajmowany przez Szwedów Kalisz.

Skoro najeźdźnicy w zmiennej kolei losów wojny musieli opuścić te strony i granice Rzeczypospolitej, wrócił nasz poeta zapewne do poprzedniej siedziby, by zająć się wykończeniem swego olbrzymiego poematu, który się rozszerzał w miarę rozwoju wypadków.

Nie tyle wiek, ile zdrowie stargane dawniej w życiu dworskiem a później ciężkimi przejściami, trudami życia obywatelskiego, wraz z przygnębieniem moralnem, osłabiły energię Twardowskiego i spowodowały cechujące te czasy rozbudzenie uczuć religijnych w formie dewocyjnej.

Utraciwszy nadzieję doczekania się pokoju, mającego „ukoronować“ jego wielki poemat, chciał już zaniechać dalszej pracy.

..... Zaczem poglądam
 Na rzeczy te zdaleka i widząc daleką
 Nadzieję ztąd pokoju, bodaj czy doczekam,
 Łaty i afekcją przyciśniony swoją,
 Czemu ja miał za łaską, Melpomeno, twoją
 Pracę tę nieskończoną i niespanych wiele
 Nocy ukoronować. Próżno w słabem ciele
 Sforsować się nad siłę. Gdy niebieskie sfery
 Po cyrku się nie toczą ziemskiej manery
 Prócz jako kres zamierzy Stwórca im Najwyższy.
 (Wojna Dom. II, 255).

Wkrótce jednak wypadki szczęśliwszy przybrały obrót i upragniony pokój zawarty został w Oliwie (r. 1660, dn. 3 maja).

Choć przykuty do łoża chorobą, chwytając jednakże osłabioną ręką poeta za pióro, by tym radosnym faktem zamknąć swój największy i ostatni utwór. Tegoż samego roku zakończył życie i pochowany został — w grudniu — przy kościele Bernardynów w Kobylinie.

W zakończeniu „Wojny domowej“, pisanem przed samą śmiercią, wraca schorzałemu wierszopisowi nałóg i nastrój panegirysty. Zwracając ostatnie swe myśli ku królowi, wyprowadzającemu się przeciw zalewającym Litwę wrogom, w ten sposób do niego przemawia:

..... Jako piesek, który
 Między się rozkoszami u jedynej córy
 Pana swego wychował, służąc mu przy stole,
 A prócz się z nim przechodząc, w blizkie czasem pole;

Ale kiedy przeczuje drogę dalszą jego,
 Z domu wyprowadziwszy, wróci się do niego,
 Acz po nim sennie i tęskni. Cóż, nie ma z—to siły
 Żeby mu w kompanii dopomógł tak milej!
 Także i ja, przykuty do łoża chorobą,
 W przykrym czasie, nie mogąc dalej iść za tobą
 Tu cię pozostawuję, życząc nodze twojej
 Gdziekolwiek się obróci, gdziekolwiek zastoi,
 Na ostrym się krzemieniu nigdy nie obrazić
 Deptać lwy, bazyliżki.....

Tak więc, w tym nawet jedynym, wyłącznie dziejom
 narodu poświęconym utworze, nie może się poeta otrząsnąć
 z zakorzenionego przez wychowanie szkolne i warunki życia
 nałogu, na łożu śmiertelnem nie może się jeszcze powstrzymać
 od służalczości i panegiryzmu.

Ilekróć jednak przemawia do ogółu, zdobywa się,
 w ostatnich latach zwłaszcza, na siłę wysłowienia i prawdo-
 mówność. Oto jak np. przemawia do współbraci z powodu
 klęski pod Batowem:

Przecież jednak nie wszystko na futa składajmy,
 Ale sami cokolwiek sobie też przyznajmy,
 Żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy,
 I więcej, prócz uciekać grubo, nie umiemy.
 (Wojna dom. II, 172).

Zrywanie sejmów, wywoływało w poecie żywe oburze-
 nie na „liberum veto“, które pod pozorem obrony wolności,
 stało się narzędziem prywaty, przyczyną anarchii.

Ojczyzno nieszczęśliwa! Że chcąc mieć inaczej,
 Rzeczę kto: Nie pozwalam! Życzyłbym ci raczej,
 (Z żalu ci to wymowię), wszystkich tych wolności
 Nieco skrócić. Zaczembyś w swojej dojrzałości
 Rady prędsze i głowy spokojniejsze miała,
 Gdybyś ani niewoli zupełnej nie znała,
 Ani całej swobody.
 Nie skarżmy na fata,
 Bo sami w nie wpadamy, gdy jedno prywatą
 Wszystko u nas przemoże.... (Wojna dom. II, 117).

Podobne refleksye i upomnienia, w których powstaje poeta na nierząd, nadużycia, zbytki i prywatę, dodają wiele interesu temu ciężkiemu poematowi, niemającemu ni cienia układu artystycznego, ni śladu natchnienia. Po przedstawieniu wyrazów, niweczającem układ wierszowy, poemat zmieni się na kronikę wypadków współczesnych, pozbawioną życia i piętna indywidualnego, jakie spotykamy w wielu dyaryuszach i ubogą w szczegóły charakterystyczne, rzucające światło na daną chwilę.

Mimo rozsianych po utworach głębszych i trafnych myśli, błysków niepospolitego arcyzmu, poważnych dążeń, Twardowski jest, przedewszystkiem najwyżej uzdolnionym z całej falangi wierszopisów, których utwory głównie dla genealogicznych szczegółów lub danych historycznych zasługują na uwagę badacza. Wprawdzie i Stan. Konarski rozpoczął swą działalność piśmienniczą od długiego ciągu panegiryków, ale Twardowski nie przestał ich tworzyć do zgonu. Tym więcej nad tem ubolewać należy, iż, obok łatwości wierszowania, posiadał autor Legacyi i Szczęśliwej ekspedycyi niepospolitą siłę wysłowienia, mającą swe źródło nietyle w głęboko czującym sercu, ile w wyobraźni żywo i dosadnie odtwarzającej kształty i ruchy — w przyrodzie i świecie ludzkim. Przy tych warunkach nie stałby się Twardowski przemawiającym do serc śpiewakiem, ale mógłby obdarzyć literaturę ciekawemi, gładko się czytającemi opowieściami dziejów ojczystych i przygód fikcyjnych bohaterów w przeróbkach obcych romansów. Na nieszczęście panegiryczne ramy w jakie oprawił swe poematy i olbrzymie rozmiary tych kronik wierszowanych, ogarniających przebieg wydarzeń dziejowych sześćdziesięciolecia całego (1600 — 1660), odstręczając mniej wytrwałych czytelników, sprawiły, iż utwory te i autor ich uległy zapomnieniu u obojętnej dla nich potomności, dzieląc zresztą los ten z całą niemal produkcją literacką wieku XVII. Podczas gdy współczesny Kochowski wielbiąc twórcę Wojny Domowej, zestawia go z Homerem i Wirgiliuszem i obiecuje nieśmiertelną sławę jęgo gniazdu rodowemu (Skrypnie) to

w pół wieku później gdańszczanin Braun w swem „Judicium“, wydaje sąd bardzo surowy o dziełach Twardowskiego. Zwrot ku przeszłości i zajęcie się wiekiem XVII, z powodu odnalezienia wielu rękopiśmiennych zabytków (Pamiętniki Paska, Wojna Chocimska), wywołały przesadne w pochwałach sądy o Twardowskim, ogłoszone przez Wójcickiego i Mecherzyńskiego.

W ciągu całej niniejszej pracy starałem się przede wszystkim o wyjaśnienie każdego podanego szczegółu i uzasadnienie każdego twierdzenia, z pomocą danych, zebranych z pism poety i innych świadectw wiarogodnych.

Niewszystko zapewne i niezawsze zadawalniająco udało mi się wyjaśnić. W każdym razie, opracowując nietykaną dotąd przez badaczyw postać, uchyliłem zasłony, jaką obojętność i zapomnienie potomnych otoczyło życie i prace Twardowskiego.

1866—1874.



DAPHNIS,

sielanka miłosna.

Dawniejsza nasza literatura posiada bardzo niewiele utworów, które możemy oceniać według skali dzisiejszych naszych wymagań estetycznych. Przeważna większość pomników poezji XVI i XVII wieku przedstawia nam mniej lub więcej nieudolne próby, przeróbki albo kopie z rozmaitej wartości wzorów. Cenimy je i zachowujemy, jako szacowne pamiątki usiłowań i uzdolnień naszych ojców, jako niedołęzne co do formy, lecz wierne i prawdziwe, co do osnowy, obrazy życia minionych wieków; daremnie przecie szukalibyśmy w nich ogólnoludzkiej treści i wiecznotrwałego piękna.

Do nielicznego szeregu pomników, świadczących że i praojcom naszym nie zbywało na artystycznym uzdolnieniu, że przy zbiegu przyjaznych warunków umieli oni trafić do głębin serca i ducha ludzkiego i wydobyć z nich treść wypowiedzieć z równą prawdą, siłą i wdziękiem, jak spóźnieńsi im poeci włoscy, francuzcy, angielscy—zaliczyć należy mało znany i nieoceniony dotąd należycie utwór najmniej popularnego z dawniejszych poetów. Utworem tym jest „Daphnis“, a poetą Samuel Twardowski, znany jako nadęty panegirysta i autor rozwlekłych poematów historycznych. Czytając „Wojnę domową“ a nawet głośną „Legacyą“, trudno uwie-

rzyć, by z pod tego samego pióra wyjść mogła tak urocza sielanka miłosna, jaka kryje się pod nieobiecującym nadpi-sem „Daphnis (która) w drzewo bobkowe przemieniła się“¹⁾. Trzy wydania w ciągu lat 60 świadczą, iż współcześni umieli oceniać piękność tego utworu, o którym tak niesłusznie zapomniali następne wieki, uważając „Daphnis“ za lichą przeróbkę nędznego włoskiego oryginału. Ztąd Turowski wolał w swej „Bibliotece“ przedrukować zbiór panegiryków Twardowskiego, niż ten zapomniany kwiat poezji wieku XVII, czekający od dwustu niemal lat na nowe wydanie.

I.

W 1635 r. wystawiono na teatrze urządzonym przez Władysława IV w nowo zbudowanym zamku warszawskim operę włoską p. t. „Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe“. Autorem libretta był prawdopodobnie Jeremiasz Pascati, muzykę zaś dostosował zapewne jeden z licznych włoskich artystów, których ściągał na swój dwór lubujący się w tej sztuce Władysław IV. Dla dogodności widzów nierozumiejących po włosku, wydrukowano krótkie streszczenie polskie tej sztuki, nazwanej na tytule: „Apolog, albo baśń Owidyuszowa, która była reprezentowana muzyką, nakształt komedyi, przed obecnością króla J. Mości, królewiczów Ich Mościów i Ich Mości panów senatorów koronnych w Warszawie, po sejmie roku Pańskiego 1635“²⁾.

Bardzo być może iż Twardowski, jako dworzanin ks. Janusza Wiszniowieckiego, znajdował się podczas sejmku w Warszawie i był obecny na przedstawieniu teatralnym.

¹⁾ Ten tytuł nosi „Daphnis“ w drugim wydaniu z 1661 r. i trzecim z 1702 r. w Krakowie. Na pierwszym (Lublin 1638), stanowiącym wielką rzadkość bibliograficzną, tytuł brzmi: „Daphnis drzewem bobkowem“.

²⁾ Streszczenie to przedrukował K. Wł. Wójcicki w swym „Teatrze starożytnym“.

Znał się on także widocznie z autorem sztuki, skoro ten stat-
ni wydaje własnym nakładem „Daphnis“ w Lublinie.

Jakie stanowisko zajmował Pascati na dworze królew-
skim, nie wiemy. Na tytule pierwszego wydania czytamy:
„Sumptibus Hieremiae Pascati C. B. L.“, zaś na dedykacji
ks. Eugenii z Tyszkiewiczów Wiszniowieckiej, datowanej
z Lublina d. 8 kwietnia, podpisał się: „Hieremiasz Pascatius
M. B. L.“. Prawdopodobnie, jak to pozwalają przypuszczać
litery podpisu, wskutek zasług położonych na dworze kró-
lewskim, został on burgrabią zamku lubelskiego, a przytem
łączyły go jakieś stosunki z Wiszniowieckimi.

Czy Twardowski umiał po włosku, tego nie wiemy i ni-
gdy się zapewne nie dowiemy, dla braku dowodów. Być mo-
że, iż zostając w stosunkach z Pascati'm, przebywając zresztą
na dworze Wiszniowieckiego, który dość długo bawił we Wło-
szach, mógł przyswoić sobie pewien zasób wyrazów i fraze-
sów; ale taka znajomość nie uzdolniała jeszcze do rozumienia
poetów¹⁾. Sama zresztą znajomość języka, a nawet literatu-
ry włoskiej, nie dostarczałyby dostatecznej podstawy do wy-
jaśnienia źródła niepospolitych piękności „Daphnis“. Czy
Twardowski osnowę swego utworu zaczerpnął z pierwowzo-
ru włoskiego, czy też posiłkował się jedynie polskiem stre-
szczeniem, jest dla nas dość obojętną rzeczą, dzięki piętnom
indywidualności i oryginalności, jakie wycisnął na każdej
niemal karcie tej sielanki, dzięki wiejącej z jej strof woni wołyń-
skich lasów, dzięki wreszcie tej „muzyce serca“ (słowa Twar-
dowskiego), którego bicie czujemy wyraźnie w każdym li-
rycznym wybuchu. Stosunek Twardowskiego do zapożyczo-
nej treści jest równie swobodny, jak na przykład Szekspira
odnośnie do legend, kronik i noweli, z których twórca Ham-
leta czerpał osnowę i postacie swych dramatów.

¹⁾ Możemy na pewno twierdzić, iż „Jerozolimę“ Tassa czy-
tywał tylko w przekładzie Kochanowskiego, o czym świadczą liczne
pożyczki, tak w „Daphnis“, jak i w innych utworach spotykane.

Poszukiwania współczesnych krytyków wykazały, że zarówno w Fauście Goethego, jak i w utworach Szekspira większa część zachwycających nas szczegółów i postaci była wziętą z dawniejszych opracowań. Porównanie Romea i Julii z trzecią już z rzędu przeróbką legendy werońskiej, dokonaną przez dominikanina Matteo Bandello, przekonywa iż zarówno spotkanie na balu u Kapuletów, jak postać ojca Laurentego, tak samo krwawa awantura, prowadząca wygnanie Romea, jak zamiar Kapuleta wydania Julii za mąż, udana śmierć bohaterki, przyspieszony przez to powrót Romea do Werony, przedwczesne otrucie się jego przy trumnie Julii, znajdują się już w opowieści Bandella. Nawet charakterystyczna postać mamki i samo rozwiązanie dramatu nie są pomysłem Szekspira, lecz znajdują się też we francuzkiem przeobrażeniu włoskiej noweli. Własnością wielkiego poety jest tylko postać Mercutia i pomysł roznieceniu się miłości w sercach kochanków za pierwszym spotkaniem. Nic dziwnego, iż krótkowidzący a niechętni Szekspirowi współcześni zwali go: „Krukiem strojącym się w cudze pióra“. Czy jednak te pożyczki zmniejszają w naszych oczach wartość genialnych arcydzieł poety?

Epoka Odrodzenia, zwracając się ku literaturze i życiu świata starożytnego, otworzyła poetom i artystom niewyczerpaną skarbnicę podań, postaci, obrazów, które przez kilka wieków stanowią jeżeli nie osnowę, to niezbędną ozdobę każdego utworu literackiego i dzieła sztuki. Starożytny grecki męt o Daphne—rózowej barwie niebios o świecie—znikającej przed pogonią Apolina-słońca, zmieniony stopniowo został na powieść o miłości Apolina dla nimfy, która, uciekając przed jego natarczywością, zwraca się o pomoc do Dyany i zostaje zmienioną w drzewo wawrzynowe, dostarczające odtąd na pamiątkę tego faktu wieńców dla wielkich czynów i talentów.

Opowieść ta, idealizująca czystość dziewiczą i jej tryumf nad zmysłową miłością, przedstawiała wdzięczne bardzo pole popisu dla rymotwórców włoskich, uprawiających z takim zamiłowaniem poezją miłosną; nadawała się również wybor-

nie, jako osnowa, dla przedstawień scenicznych, rozpowszechniających się w XVI wieku we Włoszech, a następnie i w całej Europie. Przedstawienia te polegały na zręcznym zespoleniu z mytologicznego charakteru treścią, śpiewów, tańców i alegorycznych obrazów. Było to jakby połączenie dramatu, baletu i kantaty okolicznościowej. Dekoracje, tańce, grupy alegoryczne, śpiewy stanowiły tu rzecz główną; osnowa sama podrzędne miała znaczenie. Z tego wytworzyła się z czasem forma opery.

Gdy Władysław IV, jako królewicz, w swej podróży po Europie, przybył do Florencji w 1625 r., przedstawiono na jego cześć, podczas mięsopustu, na dworze księżęcym w *Villa Imperiale*, sztukę z tańcami i muzyką p. t. „Wybawienie Ruggiera z wyspy Alcyny“, której osnowę stanowił również tryumf uczciwej miłości nad wszeteczną. Treść sama ginęła tu jednakże w nawale czarodziejskich figlów, ciągłych zmian dekoracyj, cudów mechanizmu scenicznego, tańców i śpiewów. W prologu Neptun i Wisła witały gościa z dalekiej północy i głosiły jego wojenne tryumfy. Obecny temu dworzanie królewski Jagodyński, oczarowany urokiem nieznanego mu dotąd widowiska, przełożył na język polski libretto włoskiej sztuki i wydał w Krakowie 1628 r. Przekład ten uchodził bardzo długo za arcydzieło języka miłosnego.

Twardowski, z tej samej prawdopodobnie pobudki, wziął się do napisania „Daphnis“, lecz zamiast przekładać libretto, utworzył, na zapożyczonych osnowie, z niewielkimi lecz bardzo właściwymi zmianami, sielankę udramatyzowaną.

Porównanie „Daphnis“ Twardowskiego ze streszczeniem polskim utworu przedstawionego na zamku warszawskim, świadczy korzystnie o dobrym smaku poety, który pominął wszystko co nie harmonizowało z prostotą głównej mitycznej osnowy, a miało na celu bądź efekt wystawy, bądź też okolicznościowe alegoryczne znaczenie. Opuścił więc niesmaczną scenę pomiędzy Wenerą a Neptunem, płynącym na wielorybie, z którego głowy wychodzą „Trytony jako Meluzyny“ i wysławiają pieśniami swemi Wenerę; wyrzucił również

i końcowy epilog, w którym szczęście siedzące na kuli ziemskiej przepowiadało przyszłe tryumfy Władysława IV nad Turkami. Artysta zapanował tu nad panegirystą i dla prawdy a piękna wyrzekł się sposobności pochlebiania królowi, którego tryumfy niedawno opiewał w „Szczęśliwej ekspedycyi“.

Zato główną mityczną osnowę poprzepłatał, z wielkim smakiem i głębszym rozmysłem, scenami, charakteryzującymi rozmaite formy i stopnie miłości, wśród których powtarza się gorąca a wymowna apologia tego uczucia. Jest to prawdziwa symfonia miłości, malująca i wysławiająca ją to w pełnym zycia i zapału *allegro*, to w żartobliwym z początku a w końcu dramatycznym *scherzo*, to znów w uroczym *andante*, w którym, jak w Beethovenowskiej symfonii pasterskiej, muzyka serc łączy się z głosami przyrody; wreszcie w namiętnym *finale*, zakończonym poważnymi akordami tryumfu ducha nad zmysłami, nieśmiertelnej idei nad korzącą się przed nią siłą fizycznych popędów. Ztąd to „Daphnis“ możemy zaliczyć do modnych wówczas w Europie dramatów pasterskich, które wprowadził do literatury Tasso.

Zkądże się jednak wzięły w Polsce z połowy XVII w. grunt i atmosfera, na którym i wśród której mógł wyrosnąć taki kwiat uroczy? Rozpatrzenie się w literaturze poetycznej tego wieku, w utworach Morsztyna, Kochowskiego, Twardowskiego, ukazuje nam w ówczesnym społeczeństwie stopniowe uszlachetnianie zmysłowego popędu, przez budzącą się wrażliwość na piękno wogóle, a na wdzięki kobiece w szczególności. Coraz wyraźniej występuje tu wymaganie harmonii między zewnętrznymi a wewnętrznymi przymiotami kobiety, dążenie do oparcia sympatyj na podstawach trwalszych, niż chwilowe pobudzenie. Uczucie miłości zyskuje coraz większą moralną i estetyczną wartość i poeta nie tylko może już wprost z serca dobywać i na rodzimy ton nastrajać pieśń miłosną, ale też znajduje słuchaczy, zdolnych odczuć jego pieśni. Na wytworzenie tego stanu złożyły się dwa rodzaje przyczyn: na-przód wiekowe przeszło oddziaływanie czysto fizyologicznej

natury bodźców, podniecających wrażliwość i potęgujących czułość systematu nerwowego, jak: wygodnie i zbyt kownie urządzone mieszkania, wytworne ubiory, wyszukane pokarmy i napoje, nadmierne używanie korzennych przypraw i t. p., a obok tego stopniowe przyswajanie pojęć i coraz subtelniejsze odczuwanie uczuć, które wytworzyły i utrwaliły w literaturze i sztuce społeczeństwa starożytne i współczesne: włoskie i francuskie. Asymilacją tę ułatwiały częste podróże, przedsiębrane w XVI w. dla studyów naukowych, w XVII zaś przeważnie dla oglądy obyczajów i rozrywki. Podczas gdy początkowo jeździli do Włoch synowie mieszczan i średniej szlachty, dla słuchania teologii, prawa lub medycyny na uniwersytetach Padwy lub Bolonii, to następnie i możni panowie i panowie, udają się w podróż po całej zwykle Europie, dla nabrania po dworach monarszych i magnackich elegancji, znajomości spraw i stosunków politycznych, obeznania się ze sztuką wojenną i dyplomacją. Każdy z nich prowadzi ze sobą orszak młodzieży szlacheckiej, która za przykładem pana studyjuje z zamiłowaniem wesołe życie Florencji, Rzymu, Neapolu, Paryża, Wiednia, uczestniczy w zabawach, obchodach okazałych i przywozi z sobą do kraju, zamiast klasycznej erudycji podróżników wieku XVI, układność manier, wrażliwość na piękno niewieście, zamiłowanie do elegancji w ubiorze, urządzeniu mieszkań, zabawach, a niekiedy, jak widzimy z dziennika Stanisława Oświecimy, rozumienie arcydzieł sztuki włoskiej i odczuwanie uroku pięknej przyrody.

Każde pokolenie, o ile traci na sile muskularnej w stosunku do poprzednich, o tyle zwykle zyskuje na pobudzalności i sile nerwów; w miejsce brutalnych upodobań, polegających na pochłanianiu przerażających ilości pokarmów i napojów, na zabawach i żartach, jakie obecnie tylko po karczmach i szynkowniach przedmiejskich można spotykać, występują zamiłowania coraz szlachetniejsze. Zamiast rubasznych żartów i bijatyk, występują gry towarzyskie i szermierki słowne, popisy dowcipu, elegancja wysłowienia, ma-

nier i stroju. W podobny sposób i popęd płciowy, przy wzrastającym udziale i czułości nerwów, łączy się stopniowo z procesem psychologicznym i rozkosz miłości potęguje się przez zidealizowanie jej przedmiotu, przez nadanie trwałej duchowej podstawy dla uczucia, które opierało się dotąd na chwilowem podnieceniu.

Nie posiadamy wprawdzie bezpośrednich świadectw, któreby nam pozwoliły odtworzyć z całą wiernością i ścisłością nastrój duchowy otoczenia, w jakim poeta przebywał, tworząc „Daphnis“. Sam ten utwór jednakże i rymowana biografia księcia Wiszniowieckiego, skreślona po jego śmierci przez Twardowskiego, dostarczają nam pewnych wskazówek. Siedziba księcia, Wiszniowiec, leży w uroczej okolicy Wołynia, nad Horyniem (o 24 mil od Krzemieńca), wśród rozległych lasów dębowych, poprzerzynanych głębokimi jarami. Ponad rzeką występują miejscami urwiska skaliste, nadające dziki i malowniczy charakter jej wybrzeżom. W biegu swym Horyń rozlewa się w olbrzymich rozmiarów stawy, obfitujące w niezliczoną mnogość ryb. W XVII wieku naturalnie lasy były o wiele rozleglejsze i dziksze, bo nietknięte siekierą, obfitość wód o wiele większa, a roślinność bujniejsza. Niedźwiedzie, wilki, jelenie, sarny zapełniały te dziewicze bory. Polowanie stanowiło ulubioną rozrywkę księcia Janusza: „ze psy życzliwemi, wśród głuchego lasu za zwierzem wiatronogim z Dyaną myśliwy, wybijając sobie myśli i humor tęskliwy“. Upodobanie pana podzielało i dworskie otoczenie. Młody poeta, Wielkopolanin, nawykły do ubogiej stosunkowo roślinności i przetrzebionych lasów ponad brzegami Lutyni, oczarowany być musiał wspaniałą dzikością i bujnością przyrody Wołynia. Polubił on namiętnie swobodne życie myśliwca i na kartach swojego poematu poświęcił mu kilka wymownych, pełnych zapału oktaw:

Ziemia mu łożem, niebo go przykrywa,
Zapomni w domu i małżonki młodej,
Która nań czeka długo w noc tęskliwa,
Wytrwa pod niebem bez ognia, bez wody,



Co w nim chęć sama sprawuje cierpliwa.
 Jednak w niewczasie i w nędzy takowej
 Jako wesoły, jako on i zdrowy!

I wiele dali zaprawdę Bogowie,
 Komu myśliwe dali przyrodzenie;
 Ciężka Minerwa zaroi się w głowie,
 Aż ją swym wiatrem Eolus wyżenie.
 Tu ptacy mężni—a tu ogarowie
 Kwilą, w głębokie zacieklszy się cienie;
 Nie tak tubalne erytrejskie dzwony,
 Jako ich cieszy krzyk nieutulony.

Nie kupidowe zapala fawory,
 Które z pieszczonych myśli więc pochodzą,
 Ani łakome uwiodą go zbiory,
 Które się w gnuśnem próżnowaniu rodzą.
 Tęskliwe wiatrem wywieje humory,
 Które subtelnym kompleksyom szkodzą.
 Jeśli jest żywot na ziemi szczęśliwy,
 Nie może inszy, jedno być myśliwy¹⁾.

Ta piękna przyroda wołyńska, wdzięki czarnookich Rusinek, życie swobodne, wesołe a wygodne, złożyły się na wytworzenie w duszy młodego dworzanina uczucia szczęścia, harmonii wewnętrznej, które każdego człowieka choć na chwilę czyni poetą, podnosząc ducha ponad drobiazgi życia, nad egoistyczne troski, a wzniecając sympatyczny popęd ku temu co piękne. Nie też dziwnego, że w takim otoczeniu i w takim nastroju ducha, wychowaniec kolegjum jezuickiego zapomina o szkolnych wzorach i formułach, o panegirykach, któremi sobie torował drogę do zdobycia stanowiska, a młodzięczy polot wyobraźni i wezbrane uczucia odzwierciedla w pełnych wdzięku, swobody i muzyki wrotkach.

Mitologia, jedyny zabytek szkolnych studyów, gra wprawdzie w „Daphnis“ ważną rolę, ale technicznie poezji, która z otoczenia przeszła do duszy poety, ożywiło nanowo martwe postacie bóstw Hellady. O ile śmiesznie i niesmacznie

¹⁾ Scena II, wrotka IV, VI i VII. Późniejszy znacznie wiersz Kochowskiego „Myśliwstwo“, nosi cechy wpływu tych oktaw.

wyglądały ugrupowane przy katafalku Zbaraskiego, lub wiotające na rynku Włocławka obejmującego katedrę biskupią Łubińskiego, zmieszane z tłumem szlachty i mieszczan, o tyle tu, wśród dębowych gajów, tajemniczych jarów i skalistych ustroni nadrzecznych — te nimfy, zefiry, Dyana polująca z gronem towarzyszek, Apollo w stroju myśliwca czy pasterza — ukazują się w swem właściwym otoczeniu, uosabiają nanowem tę poezją i filozofią przyrody, która dała początek ich postaciom w pierwotnej dobie dziejów ludzkości. To też nie tylko nas nie razi, ale owszem, dodają uroku obrazom przyrody i scenom miłosnym, uszlachetniają swemi idealnymi postaciami dziką poezją puszczy leśnej. Pod tym względem Daphnis stanowi jeden z nielicznych kwiatów, wywołanych na naszej chłodnej glebie przez ożywczy podmuch włoskiego Odrodzenia. Z wyjątkiem Kochanowskiego, żaden z poetów nie umiał tak szczęśliwie, tak organicznie pogodzić starożytności klasycznej z rodzimą przyrodą i życiem.

II.

Choćby pomysł przedstawienia różnych form i stopni miłości w kilku zakochanych parach był zapożyczony przez Twardowskiego z jakiegoś obcego utworu, samo jednak wykonanie przynosi zaszczyt poecie i stawia go ponad wszystkimi śpiewakami miłości, do czasów Mickiewicza, nie wyłączając ni Morsztyna, ni Karpińskiego. Góruje on ponad nimi zarówno ogniem, na jakim zbywa sentymentalnemu śpiewakowi Justyny, jak siłą, świeżością i szczerością uczucia, niemożliwą w tym stopniu u Morsztyna, którego zapały hamował sceptyczny i refleksyjny nastrój umysłu.

Poeta przedstawia nam w „Daphnis“ całą gamę miłosną, poczynszy od lekkomyślnego, wesołego zalotnictwa, aż do burzliwej namiętności, gotowej niebo i ziemię poruszyć dla osiągnięcia celu. W sferę idealnych uczuć nie wkracza

Twardowski, bo jej nie znał; ale szczerłość zapału, prawda i prostota uczucia, cześć dla piękna i wdzięku niewieściego, przyoblekają idealną osłoną zmysłowe pochodzenie afektu.

Zmysłowość ta nie razi nas tyle nawet, co u takiego mistrza jak Andrzej Morsztyn, górującego nad Twardowskim wykształceniem, smakiem, elegancją — a to dzięki otoczeniu w jakim poeta umieszcza swe zakochane pary. Wspaniała przyroda leśna, tajemniczy półcień gąszczów i jarów skalistych, rozkoszna samotność leśnych polanek, świat zwierzęcy pełen bujności — wszystko to pobudza i zachęca, ułatwia i usprawiedliwia miłosne zapały. Człowiek staje się tu częścią świata przyrodzonego i dostraja swe uczucia do ogólnej harmonii. Nie potrzebując kryć się w dusznych alkowach, miłość traci charakter zakazanej, niemoralnej uciechy, a staje się niewinną, naturalną, szlachetną. Toż samo słońce, które „przezroczyście ocknąwszy krynice, srebrne lekuczko porusza piany, aż pełne ducha i nowej nadzieje, trzępią skrzelami pod wodą Napee“ — wpuszcza swój różowy promień w ustroń, „kędy na piersiach swej oblubienice poległ miłośnik dopiero kochany“. Czyż dwa młode serca mogą pozostać chłodnymi, gdy żadne formy i względy ich nie krępują, gdy zamiast ciasnych ścian mieszkania, prozaicznych sprzętów, natrętnych spojrzeń ludzkich, widzą dokoła majestatyczną przyrodę, słyszą zewsząd tony i szmery wielkiej symfonii miłości?

..... w wesołej na wiosnę porębie
 I drzewa same miłością pałają;
 Znać ją w modrzewiu, znać ją w twardym dębie,
 W ciemnym gdzie liściu gżegżulki kukają,
 Pieszczone mile karmią się gołębie,
 Grzywacze skrzydły wartkiemi turkają
 I po rozwitem wieszając się drzewie,
 Zbierają srebrne piany swe cietrzewie.

 A pod gładkimi pieszczą się jodłami
 Satyry leśne z swemi Dryadami.

Królestwo przyrody, a królestwo miłości, to jedno prawie.
W tem ostatniem:

..... wieczny dzień się śmieje,
Wieczne różańce kwitną i ogrody,
Miłość gdzie stąpi, rozkoszy swe leje
W drzewa, kamienie, kryształowe wody.
Wieczna pogoda, wieczny zefir wieje,
Dorodne mirty lube czynią chłody.

Pocóż sprzeciwiać się temu rozkosznemu prawu, zada-
wać gwałt pragnieniom serca? Przecież miłość daleką jest
od tej srogości, jaką jej przypisują niechętni.

Wdzięczne to jarzmo na pokorne głowy,
Niewola słodka i złote okowy.

Nikt zresztą nie uniknie jej wszechwładzy, a przede-
wszystkiem ci, co na nią „następują bystrze, sami najpierwej
unoszą się mistrze“. Nie zagłuszą głosu serca ni samotność
celi klasztornej, ni pobożne praktyki, „ni surowe reguły we-
stalek“; darmo zazdrośni o córkę rodzice strzegą jej przed
nierozważnym afektem. Zakochani znajdują zawsze środki po-
rozumienia się, chociażby „ojciec przedzierzgnął się w smoka,
coby strzegł we dnie dziewczki swej jedynej, a matka w sowę,
żeby gdzie z wysoka hukala w nocy na sąsiedzkie syny“. Pamię-
tajmy lepiej, że zamiast opierać się tej „wdzięcznej
wodzie“, lepiej puścić się z prądem, póki młodość nie przemi-
nie. Namyslać się długo nie można.

„Czyż nie widzicie, jako rączo płynie
Na nieścignionej, znikomy czas, łodzi?
Tak młodość, która rano się rozwinie,
Z wieczornem słońcem na wieki zachodzi.
Przeto niż zajdzie, niż południe minie,
Świata ja radzę zażywajcie młodzi.
Nie jest jedno dziś, a co ma być potem,
Stugłowy Argus niechaj myśli o tem.

Że wygłoszona tu filozofia życia stanowiła istotne prze-
konanie poety, świadczy powtórzenie tej samej rady w za-
kończającej utwór pieśni Hesperusa.

Kto przy konwi zorze rad dosiada,
 Nie dba i niebo choć się nań obali,
 Szczęśliwy tylko, że nic nie odkłada
 Do jutra, ani pyta się o dalej.

Wrotki te brzmią echem swobodnego i wesołego życia szlacheckiego, w ciągu „saturnowych lat“ panowania Władysława IV, w tej błogiej epoce, kiedy, wedle słów Twardowskiego, ujęły się za ręce w Polsce „pokój z rozkoszą“.

Rycerska rzeczpospolita, ukołysana i rozpieszczona przez to błogie *far niente*, „nawet już była zapomniała wojny“. W literaturze kwitnie sielanka i pieśń miłosna. W obyczajach upowszechnia się galanteria. Kobieta siłą swej urody zaczyna coraz ważniejszą rolę odgrywać w życiu społeczeństwa. Zarówno wśród zamożnego i światłego mieszczaństwa większych miast, jak i po dworach magnatów i szlachty wielkopolskiej i małopolskiej, razem z wyższym stopniem uobyczajenia, rozszerza się zamiłowanie wygodnego, spokojnego a wesołego życia, upodobania artystycznej natury, i powoli budzi się i kształci poczucie piękna. Gdyby stosunki polityczne, społeczne i ekonomiczne mogły być dostarczyć trwałej podstawy dla dalszego rozwoju tych upodobań i uzdolnień, to kto wie czy północna Europa nie ujrzałaby nowego wieku Odrodzenia. Niestety jednak, ten sztuczny i przedczesny rozkwit był tylko nienormalnem wybuchaniem, które tem więcej osłabiło roślinę, niemającą należytego gruntu dla swych korzeni, ani odpowiedniej atmosfery dla tak delikatnych liści i pędów. Bądźcobądź, zostało nam się po tej przyspieszonej wiosnie kilka kwiatów, które nigdy nie tracą swej piękności. Jednym z nich jest „Daphnis“. Przyjaźniejsze warunki dzisiejszego życia duchowego mogą przywrócić mu, choć w części, przyblakłe barwy, utraconą woń i świeżość.

Rozpatrzywszy się bliżej w uczuciach i pojęciach kochanków wieku XVII, przekonamy się, że pomimo nieuchronnych różnic, głębie serca ludzkiego, podobnie jak głębie morza, nie ulegają tym szybkim i częstym zmianom, jakie za-

chodzą w wierzchnich warstwach, że każdy poeta czy myśliciel, który z nich zaczerpnie treści, może być pewnym, iż zrozumieją go najdalsze pokolenia ludzkie.

III.

Trudno doprawdy wyrzec stanowczo, czy głębszy rozmyśl przewodził w tworzeniu „Daphnis“, czy też bezwiednie, czerpiąc z życia i serca ludzkiego treść swych obrazów, osiągnął poeta to wymowne i trafne ustopniowanie uczuć w kilku parach miłosnych. Pierwszy najniższy stopień przedstawia nam stosunek lekkomyślnego Korydona do zalotnej a przebiegłej Phillidy. Pragnąc nanowo uwikłać w swe sieci motylkującego kochanka, który wtedy dopiero stał się naprawdę drogim, gdy zwrócił ku innej swe zaloty, obdarza go Phillis wiankiem z rozmarynu i fijołków, obiecując hojniejsze dary w przyszłości. Odepchnięta wzgardliwie kochanka wybucha potokiem wyrzutów. Przypomina niewdzięcznemu „słowa i ofiary“, czynione pod lipą w gaju. Korydon z całą oziębłością odpowiada, iż nie pamięta by jej kiedy ślubował i „wdał się słownie w sakrament tak srogi“; być może, iż uniesiony szałem, gotów był przysiądz na niebo, na bogi, lecz to nie może go obowiązywać. Zresztą przyznaje, że „niż się zeszczył i niż sprofanował, kwiat to był wdzięczny i na onczas drogi“; dziś przecie znikł jego powab. „Teraześ tańsza“—dodaje z przekąsem dawny kochanek. „O niecotliwy Promethów narodzie“, woła ukłuta dotkliwie Phillis i zaczyna wyliczać swe zasługi względem niewdzięcznika, który z zimną krwią odpowiada:

Nie ufać w onczas, ni wierzyć mi było,
A przy niewinnym trzymając się wstydzie,
Tego przestrzegać, co sławie wadziło.

Widząc bezskuteczność żalów i wyrzutów, łagodnieje Phillis i zwraca się ku wspomnieniom przeszłości.



Nie był mój nigdy z twoim porównany
 W kochaniu afekt, o zmienniku srogi!
 Pomnisz, wiem, pomnisz, ledwie dzień wstał rany,
 Aż ja małdrzyki tobie i pirogi
 I co najśodszej zebrawszy śmietany,
 W spore pod wieczór naląła trzynogi.
 O co gdy się więc matka kłopotąła,
 Tom ja na czeladź, to kotki zmawiała.

Niewzruszony Korydon przypomina, że i on również odwzajemniał się podobnemi grzecznościami, to „wybornych malin obsyłał kozubkiem, to z rannemi się wodząc Dryadami, słodkiego soku brzozowego kubkiem. Chęci za chęci i dary za dary, acześ ty, przyznam, nie miała w tem miary“.

Spór teraz przechodzi w dysputę o wyższości uczucia kobiecego nad męzkim. Phillis twierdzi, iż wielka czułość serc niewieścich gubi je, bo „jako w ogniu niecierpliwa cyna, tak się w miłości naszej rozplywamy“; ubolewa, że ród męzki poniewiera niewieścim: „tak nas wazysz, jakoby nas z pięty, a nie z twojego żebra Bóg sformował“. Całe szczęście nasze — odpowiada z ironią Korydon — że nieba wam nie dały siły i do „wrodzonej subtelnosci“ nie przyłączyły rozumu, bo „światbyście wszystkim nogami zdeptały“. Widząc bezskuteczność swych sposobów i argumentów, Phillida ucieka się do próśb i pokory:

Zkąd ci się tak srogi
 Niesmak wziął do mnie?—o duszo moja, Korydonku drogi!
 Jeżelim winna, padnę i przeproszę.

Nieubłagany Korydon zwraca jej uwagę na zeszpecenie rysów pod wpływem czasu i wręcz oświadcza:

Już mnie nie zwabisz, a pieszczoty twoje
 Jako o kamień zrażają się głuchy.

Zazdrość i urażona miłość własna sprowadzają wreszcie gwałtowny wybuch. Zawiedziona w swych rachubach i uczuciach, Phillis nie może znieść tej myśli, że insza „panią

się hardą do boku przysiadzie, a jam wzgardzona“. Czując się bezsilną, wzywa Bożej pomsty na kochanka.

Sprawiedliwy Boże!
Czemu pioruny na pustynie jakie,
A nie na ludzie wystrzeliwasz takie?

Końcowy monolog, w którym po odejściu Korydona wypowiada opuszczona kochanka swoją rozpacz i miłość, tchnie istotnie dramatyczną siłą wysłowienia, prawdą i potęgą wybuchającego uczucia.

Idź choć na kruki! O z głuchym kamieniem
Nieporównany. Czyli jedno słowo
Dał mi łagodne? Albo i spojrzeniem
Rzucił wesołem? Nędzna białogłowo!
Umrzyj coprędzej, że przynajmniej cieniem
Trapić go będziesz...

Wprost przeciwny stosunek zachodzi między czułym Tyryntusem, a zalotną i chłodną jego kochanką.

Testylli moja jako jest nadobna.
.....
Gdy wstyd i miłość razem ją rozpali,
Oczy nad kruki, płeć nad śnieg ozdobna,
Usta kanarskich rumieńsze koralu,
Piers w alabastrze...

Na nieszczęście świadoma potęgi swej urody, woli widzieć dokoła siebie liczne grono zalotników, niż oddać serce wdychającemu Tyryntusowi.

Ach jako dawno cieszy mię nadzieją,
A coraz drażni, coraz mnie omyli,
Lub wdzięczne ku mnie oczy się jej śmieją,
Lub białych nówek ostrożnie uchyli.
.....

Napróżno nieszczęśliwy, „tonąc w westchnieniu głębokim“, równo ze świtem śpieszy zbierać dla niej maliny i czerśnie; napróżno wygrywa na fujarce i wyspiewuje „pochle-

bne pieśni“; niestała „jak wiatr“ Testylli „maliny zjadła, fu-jarki słuchała“, lecz mimo to „fortele wszystkie moje ubie-żała“.

Z westchnień i cierpień sentymentalnego Tyryntusa śmieje się lekkomyślny bałamut Licyniusz. „Że jedna omyli, małoż jest innych?.. Dwie w kierz za jedną wpadają te sroki“.

Przejąłem, przejął dobrze ja ich sztuki,
Przypatrując się przy dworze czas długi
Jako swe owy traktuje nieuki,
Kto się w ich harde zaprzęże posługi.
Raz wdzięcznym śmiechem, raz nagłemi fuki,
Raz w sowy, a raz mienią się w papugi.
Tak przy zwyczajui i naturze dziwnej
Tai się w tej płci duch jakiś przeciwny.
Bo gdy je gonisz, w rzeczy uciekają,
Jako przestaniesz, a one cię gonią;
Śmiejesz się—płaczą, ty płaczesz—śpiewają,
Zaniechasz—proszą, masz się do nich—stronią;
Gniew knują z wierzchu, a wewnątrz kochają,
Nie widząc—widzą, broniąc się—nie bronią,
To ich obłudą, ten postępek szczery
Syren tych chytrych z swymi bohaterzy.

W usta Licyniusza kładzie Twardowski rezultaty swo-ich doświadczeń i obserwacyi z czasów pobytu na dworze Wiszniowieckich. Tej dowcipnej a trafnej i prawdziwej cha-rakterystyki kobiet nie powstydziliby się i Krasicki.

W przeciwstawieniu do rozpustnego Licyniusza, który nie dbając „o cnotę tam czyje.. igra z nimfami i na wiarę żyje“ — przedstawia nam poeta wiernego małżonka, który w spokojnem pożyciu z młodą żoną znajduje prawdziwe szczęście:

Jeden mnie domek ojczysty zawiera,
Jedno z nią szczupłe łóżeczko utrzyma.
Ona mnie jedna pracowicie zbiera,
W szafunku wierna, w kochaniu uprzejma.
Nikt mnie nie budzi, nikt ścian nie podpiera,
.....
Od brukowników i żądze wszetecznej
W chruszczanej budce śpię sobie bezpieczny.

Słowa te brzmią znowu echem szczęścia, jakie znalazł Twardowski w związku z Elżbietą Gajewską Wielkopolanką, którą poślubił, o ile się zdaje, wkrótce po opuszczeniu dworu Wiszniowieckich. Świeże wspomnienia ślubu i pierwszych miodowych chwil pożycia odbijają się także w obrazku oblubienicy, co „wstydlive zmrużywszy źrenice, wzrok do ołtarza niesie zapłakany“ i z trwogą przestępuje progi komnaty małżeńskiej, aż „dopieruczko kogo się lękała, nad serce swoje więcej ukochała“.

W „Daphnis“ zostawił nam poeta dzieje własnego serca. Postacie Tyryntusa, Licyniusza i wiernego małżonka Philindusa, to tylko odbicie różnych momentów życia samego Twardowskiego, to tylko rozmaite fazy uczuć, rozwijających się pod wpływem pobudzającego otoczenia dworskiego i wrażliwej wyobraźni. Zamieszczone przy krakowskim wydaniu „Daphnis“, już po zgonie poety, 1661 r., dwie pieśni miłosne prawdopodobnie są wyrazem jego uczuć dla późniejszej małżonki Elżbiety i przez nią, jako droga pamiątka, dołączone do pośmiertnego wydania. Ubolewa w pierwszej z nich poeta nad rozstaniem się ze swą „wdzięczną perelką“, z twarzą „na której róża się żarzy“, z oczami, po których pogodzie wszystko się nocą wydaje. W drugiej upewnia o swej niezachwianej miłości i prosi o wzajemną pamięć o nim. Pieśni te nie wznoszą się ponad zwykłą formułkę erotycznego rymotwórstwa, Twardowski bowiem wtedy tylko staje się prawdziwym poetą, gdy budzą się w nim wyobrażenia lub zmysły. Błado odmalował platoniczną fazę swej miłości, ale zato żywo i prawdziwie odtwarza swe wrażenia ze szczęśliwych chwil poślubnych, spędzonych w cichych Zarubieńcach. Pieśń Hesperusa, zakończająca „Daphnis“, roztacza przed nami obraz letniego wieczoru na wsi wołyńskiej, świadczący, iż poeta umiał czuć piękno tej harmonii nienakładających się do siebie barw, cichych głosów świata ludzkiego i łagodnego szeptu kołyszącej się do snu przyrody. Wyobrażenia i serce odzyskują tu przewagę nad rozumem, odpoczywającym po dziennej pracy.

Oto „stękając w jarzmie po pańszczyźnie długiej, z pól

się wracają pracowite woły, żelazem wgórę wywróciwszy pługi“; za nimi: „pomdleni napoły kosarze i żeńcy, którym pociskiem toczonej maczugi dokuczał dwornik“. Już zapadają „wdzięcznej nocy cienie“ i „życzliwy wieczór“ kładzie kres trudom dręczonych pańszczyzną wieśniaków, osłania i dzikiego zwierza przed myśliwcem, słowem roztacza spokój nad „wesołą i spokojną wsią“.

Zwolniony od zajęć gospodarskich, poeta bierze pod rękę swą młodą małżonkę, by wśród przechadzki wspólnie z nią odetchnąć wieczornym powiewem i zapomnieć o całodziennej trudach i kłopotach.

Oto nad rzeką mile się przechodzi
 Niedawno z sobą stadło przymierzone;
 Już się podusza, już usty się słodzi
 I ręce wzajem całuje pieszczone...

Druga połowa strofki, którą ciekawy czytelnik odnajdzie w samym utworze, świadczy bardzo dobitnie swą palącą zmysłowością, iż ustęp ten jest obrazkiem z pierwszych poślubnych chwil młodej pary.

IV.

Jak w osobach pasterzy i pasterek odtwarzał poeta prawdopodobnie dzieje własnego serca, tak znowu w postaciach Apollina i Daphnis możemy dopatrywać się odbicia ideałów, utworzonych przez młodzieńczą wyobraźnię Twardowskiego. Podczas gdy Korydon, Licyniusz i Philindus kochają się i zalecają do pasterek, tak samo jak wszyscy zwyczajni śmiertelnicy, u Apollina miłość nabiera tej niezwykłej potęgi i gwałtowności, jaka cechuje uczucia wyjątkowych natur olimpijskich lub ziemskich potentatów, nieznających hamulca i granic dla swych pragnień. Apollo to wielki pan, a może tylko poeta, któremu własna wyobraźnia stwarza bezgraniczną swobodę i budzi uczucia niezwalzonej potęgi więcej

fizycznej niż duchowej. W postaci tej Twardowski zespolił rysy zdjęte z osoby Wiszniowieckiego z własnymi uczuciami i marzeniami. Gdy Apollo wyrusza dla zabicia smoka, na którego „zagładę włości niedawno okoliczne zbito (spędzono) i choć nań ognia i strzały użyto, nietylko żadnej nie odniósł ztąd skazy, naszych-że samych nabili sowito“ — a następnie zgładziwszy szkodliwą bestyę, wraca witany radosnemi okrzykami wieśniaków — staje przed nami Wiszniowiecki, wracający z łowów na niebezpiecznego niedźwiedzia, który przez długi czas był postrachem całej okolicy. Wiernem echem pojęć i upodobań księcia, podzielanych też przez poetę, są pochwały życia myśliwskiego, które w części przytoczyliśmy już powyżej.

Zkądże jednak zaczerpnął poeta rysy samej Daphnis, tak realnej i kobiecej chwilami, a tak idealnej i nieziemskiej w swej nieczułości na ognisty afekt Apollina? Rzeczywistość nie dostarczyła poecie pierwowzoru, gdyż postać ta jest tworem wyobraźni, która w greckim micie znalazła gotową formę dla swego marzenia. Również i miłość, jaką Apollo-poeta pała dla Daphnis, ma swe siedlisko nie w sercu, lecz w wyobraźni. „Daphnis“ i „W Szwajcaryi“ z jednego wypłynęły źródła i ztąd, mimo tylu różnic w warunkach życia, otoczenia i stanu duchowego, zostają w istotnem duchowem powinowactwie, którego widoczne pojawy uważny czytelnik niejednokrotnie dostrzeże. Pokrewieństwo to odnosi się naturalnie tylko do postaci Apollina i Daphnis, a właściwie do uczuć i obrazów, jakie przez usta Apollina maluje sam Twardowski.

Każda wrażliwsza dusza śród cudów otaczającej ją przyrody uczuwa mimowolnie pragnienie uzupełnienia i ożywienia niejako świata przyrodzonego przez postacie ludzkie, któreby z nim harmonizowały, i koncentrując, uosabiając niejako milczące i nieujęte piękno tego otoczenia, pozwalają nam je osiąść i ukochać. „Tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była“ — powtarza za poetą każdy niemal podróżnik. Słowacki zwiedzał najpiękniejsze okolice Szwajcaryi z rodziną W.,

a jakkolwiek narazie czuł tę samą tęsknotę za idealną towarzyszką, któraby mu w raj zamieniła te czarowne doliny z ich błękitnymi jeziorami, wodospadami, szaletami przystrajającymi stoki gór, o szczytach pokrytych lśnjącymi od słońca lodowcami—jednakże z czasem, gdy wrażenia te przysłoniła błękitna mgła, nadająca stopniowo coraz mniej wyraziste, coraz eteryczniejsze kształty obrazom przeszłości, zatarła się u poety pamięć tej chwilowej i przemijającej tęsknoty. Zato na mglisto błękitnym tle wystąpiła postać panny Maryi W., zidealizowana i przekształcona w boginię tych rozkosznych dolin. Ku niej zwrócił teraz poeta całą swą tęsknotę i miłość dla przyrody, wśród której znalazł „miejsce na smutek łaskawe“, ustron chroniącą jego serce „rozdarte i krwawe“ od bolesnych wstrząśnień i potrąceń. Ten proces duchowy dokonał się w ciągu zimy oddzielającej jesień 1834 r., podczas której odbywała się ta wycieczka, od wiosny 1835 r., w której zapisał do albumu Maryi W. wiersz, malujący tak wiernie stan duszy poety. Tęsknota za krajem, za wiosną i cudami alpejskiej przyrody, wytworzyła ten melancholiczny nastrój. Panna Maryja staje się dla poety niemal uosobieniem ojczyzny, do której ona ma wkrótce powrócić; w wyobraźni swej odbywa z nią tę upragnioną podróż, widzi „ojczyste żyta kłaniające się bławatkami“ i „dymy chat wieśniaczych“, ganek rodzinnego domku, przed którym wita ich matka. Dzięki potędze wyobraźni, towarzyszka o której tak obojętnie i chłodno się wyrażał w liście do matki, opisującym odbytą wycieczkę, staje się teraz pośredniczką między ojczyzną a Szwajcaryą, wcieleniem miłości, jakie jedna i druga budziły w sercu poety. Ta idealna kochanka, którą spostrzeża w tęczy rozwieszanej na wodospadzie, która mu towarzyszy na śnieżnych koronach alpejskich szczytów i na lazurach jezior, to utracona ojczyzna, za którą tęskni, którą upatruje zawsze oczami duszy.

Innej natury, nie tak podniosłe i nie tak idealne bodźce działały na wyobraźnię Twardowskiego. W umyśle jego powtórzył się ten sam niemal proces, jaki zachodził w duszy

ludów pierwotnych, których wyobraźnia zaludniała gaje, ustronia leśne i górskie nadziemskimi istotami, uosabiającymi podziw i bojaźń, miłość i wdzięczność człowieka dla przyrody. Stan duchowy poety w chwili tworzenia „Daphnis“ najbliższej nam mogą przedstawić „Rusałki“ Zaleskiego, wyśpiewane w tych samych warunkach duchowych. Jak Apollon-Twardowski, tak Cisław-Zaleski błąka się po lasach i jarach tajemniczych, przywołując sobie na pamięć wszystko, „co w życiu słyszał kiedy o Rusałkach różnej treści, czy to w dumce, czy w powieści, wszystko w myśli tkwiło wtedy. Obraz się z obrazu kreśli, w różnobarwnej, lekkiej tkance, jakaś chwila przy kochance i znów inne, inne myśli“. Dokoła niego „gaj odludny, rzadsze brzozy i kaliny“, przed nim dziuki i skalisty parów. Wszystko to jednak nie przstrasza młodziana. Nie wstrzymują go ani strome skały, ani jary głębokie; przesadza je w oka mgnieniu i „wesoly, żywy, pusty, biegnie w lewo, w prawo, przez zarośla, tarny, chrusty“, bo otuchy mu dodają „rozigrane myśli w głowie“, co „pasma złotych mar wysnuły, obraz jakiś luby, czuły, tęczą zbiegał przez pustkowie. Marzącemu w cieniach gaju, przy wiosennych dni odblasku, sen objawiał na obrazku niewcielone wdzięki raj“. Podczas gdy Zaleski marzeniom swej młodzieńczej wyobraźni nadał postać zaczerpniętą z ludowych wierzeń swego otoczenia, Twardowski zwrócił się do świata starożytnego i powiązał je z mitem greckim. Daphnis realniej się nam przedstawia niż Zoryna, która znowu o wiele bliższą jest ziemi, niż idealna postać kochanki Słowackiego, co „z tęczy wyszła i potoku piany“. Twardowski opiewa miłość zmysłową, uszlachetnioną tylko ogniem i szczerością młodzieńczego zapału, usprawiedliwioną i oczyszczoną w atmosferze puszczy otoczeniem natury. Zaleski uczuciom swoim nadaje idealniejszy charakter, lecz chociaż duch jego wzbija się „wysoko za nieziemskim gdzieś obliczem“, a oko „tęsknem i tajemniczem promieniło uczuciem“ — marzyciel nie przestaje być młodzieńcem, któremu nie wystarcza sama pogoń za ideałem, a potrzeba czuć „serca bicie mej Zoryny

przy mem łonie". Podczas gdy Cisław marzy wśród cienistego gaju z Szyllerem i Brodzińskim w rękę, śpiewak „Daphnis“ buja wyobraźnią, za pośrednictwem Tassa, po zaczarowanych ogrodach Armidy. „Jerozolima wyzwolona“, nie w oryginale jednak, lecz w przekładzie Piotra Kochanowskiego, stanowi ulubioną lekturę Twardowskiego, który prawdopodobnie przez częste odczytywanie wyuczył się na pamięć wielu jej ustępów. We wszystkich dawniejszych i późniejszych utworach autorach „Legacyi“, nie wyłączając nawet Wojny domowej, spotykamy na każdej stronie niemal dowody tego odczytania się i przejęcia poematem Tassa. Zaczawszy od epitetów i szyku wyrazów w pojedynczych zwrotach, czerpie ztąd nasz poeta wszystkie niemal ozdoby swych utworów, jak dekoracye i zobrazowanie scen wojennych, obchodów uroczystych. Obrazy i porównania, charakterystyka postaci, cała logika dowodzeń oratorskich i psychologia uczuć i namiętności pochodzą od włoskiego poety.

Pożyczki te, hojnie czerpane, rażą nas w panegirykach i większych poematach historycznych Twardowskiego, gdyż nietylko że są brane z przekładu, który mimo wielu zalet obniżył przecież piękność pierwowzoru, ale co ważniejsza, przyczepione zostały często do tła, postaci i sytuacji bardzo różnych i dalekich od otoczenia, w jakim żył i w jakim umieścił swych krzyżowców włoski poeta. „Daphnis“ jedna stanowi szczęśliwy wyjątek. Ponad gajami Hellady i ogrodami Armidy jaśniało to samo słońce południowe, ta sama otaczała je atmosfera pełna blasków, woni, błękitów. To też bohaterzy greckiego mitu i pasterze romantyczni Tassa mogą żyć zgodnie obok siebie i brać udział wraz z otaczającą ich przyrodą w tej uroczej symfonii miłosnej, jaką wyśpiewał polski poeta. Piękność „Jerozolimy“ odczuwał on i rozumiał o wiele żywiej i głębiej, niż taki Kochanowski lub Potocki, bowiem prócz ognistszej wyobraźni, prócz romantycznego otoczenia w jakim żył na dworze Wiszniowieckich, pomagały mu w tem własne wspomnienia z całorocznego pobytu w Konstantynopolu. Widział on tam na jawie pałace i ogro-

dy, nieustępujące pięknoscią siedzibie Armidy, stapał po miejscach, w których gromadzili się krzyżowcy, zwiedzał wybrzeża Azji, widownię scen opisywanych w „Jerozolimie“.

Jak pszczoła pozbierane pyłki kwiatowe przetwarza na pokrewny im, lecz odrębny przecie płyn miodowy, tak Twardowski ziarnka metaliczne poematu włoskiego przetapia na jednolity, piękny kruszec, z którego odlewa swą „Daphnis“. Wykazując pierwiastki, jakie się złożyły na wytworzenie tej ślicznej sielanki, krytyk dopełnia tylko swego obowiązku, co nie przeszkadza mu przecież uwielbiać wraz z czytelnikami utworu, na którym poeta wycisnął tak wybitne piętno swej indywidualności, a przytem z siebie włożył weń więcej, niż wziął od innych.

Wprawdzie zaraz na początku zefiry, witające jutrenkę, owiewają nas atmosferą Tassa, a ustęp, w którym jutrenka opisuje różę, jest piękną przeróbką strofy Tassa (XVI Pieśń, 14-ta strofa). Ztąd również zaczerpnął Twardowski swą filozofię życia, tchnącą młodzieńcem prawdziwie pragnieniem rozkoszy (por. XVI Pieśń, 15 strofa) i używania. I tu jednak znać, że poemat Tassa obudził w nim tylko świadomość tkwiących w duszy popędów i pragnień, gdyż oktawy Twardowskiego tchną prawdziwym zapałem i siłą przekonania.

Naśladownictwa śpiewaka Daphnis są w tym stosunku do pierwowzoru, co wariacje Beethovena lub parafrazy Liszta do zapożyczanego od innych tematu. Myśl pozostaje ta sama, lecz zetknąwszy się z potężniejszym lub odrębnej natury uczuciem i wyobraźnią, rozsadza poprzednią formę, z której zostają się tylko pojedyncze kawałki, włączone organicznie w nową, świetniejszą szatę. Tak przekształcał Liszt czarowne pieśni Schuberta; Daphnis zaś możnaby nazwać fantazyą na temata Tassa ¹⁾. Wybornym przykładem,

¹⁾ Zwracam uwagę czytelników, iż mówię tu o stosunku Twardowskiego nie do oryginału Tassa, lecz tylko do przekładu Ko-

świadczącym jak zręcznie umiał Twardowski parafrazować Tassa, nie przestając być samym sobą, jak szczęśliwie przyswajał i w doskonalszej odtwarzał formie rozwlekłe niekiedy charakterystyki włoskiego mistrza, jest przytoczony powyżej ustęp, w którym Licyniusz maluje z takim dowcipem i nieporównaną werwą zmienność i lekkomyślność kobiet.

Ustęp ten wzięty jest z charakterystyki Armidy (Pieśń IV, strofa 86 do 96). Myśli i obrazy są te same, rymy nawet (sztuki-nieuki) zapożyczone niekiedy, a mimo to o ile dowcipniejszą, prawdziwszą, dosadniejszą jest charakterystyka Twardowskiego, przesuwająca przed oczami czytelników, z szybkością baletowych obrazów, odtworzone w żywej wyobraźni poety postacie kobiet, wdzięczących się i uciekających za zbliżeniem, śmiałych i trwożliwych z kolei, płaczących i śmiejących się naprzemian, pod wpływem chwilowego nastroju. W pięknym dyalogu miłosnym, jaki toczy zalotna Phillis z niewiernym jej Korydonem, spotykamy również różne pożyczki od Tassa. Dyalog ten jest echem, zbyt wernem niekiedy, sceny między Armidą, a wyrwijającym się z jej objąć Rynaldem (Pieśń XVI, strofa 50 i nast.). Końcowy wybuch gniewu jest przecie silniejszym i tragiczniejszym w Daphnis, niż w Jerozolimie. Wprawdzie Phillida powtarza za Armidą wezwanie do bogów: „Wy piorunami w kościoły strzelacie, mocni bogowie, a takich mijacie”—lecz jakże blada i słaba jest następna strofka (58-ma), zaczynająca się od słów: „Idźże niezbożny“, w porównaniu z piorunującym monologiem pasterki Twardowskiego, urastającej tu odrazu na tragiczną bohaterkę.

chanowskiego, który obniżył artystyczną wartość „Jerozolimy“. Twardowski w Daphnis góruje zwykle nietyle nad Tassem, ile nad jego tłumaczem.

V.

Tasso i własne serce, wspaniała przyroda lasów wołyńskich, powabny fraucymer dworu Wiszniowieckich, swobodne życie myśliwca i rzeczywiste uczucia, jakie w tym czasie żywił dla swej narzeczonej, żar krwi młodzieńczej i bujna wyobraźnia, podsycana przez tyle naraz bodźców—oto czynniki, które złożyły się na spotęgowanie talentu poetyckiego autora „Legacyi“ do tego stopnia, na jaki wznosił się w odmalowaniu miłości Apollina dla Daphnis. Nieraz zapewne Twardowski, błądząc po tajemniczych jarach nadhoryńskich, z wyobraźnią podbudzoną obrazami „Jerozolimy“, pragnął znaleźć się w tym zaczarowanym lesie, którego drzewa ukrywały w sobie uroczne nimfy, marzył o spotkaniu jakiej Klorindy lub Erminii, wystawiał sobie, iż jest Rynaldem, spoczywającym pod cieniem mirtów w ogrodach Armidy. W takim nastroju ducha najpospolitsza wiejska dziewczyna, zbierająca jagody, mogła zdała przybrać postać nadziemskiego zjawiska, zwłaszcza gdy zestraszona spotkaniem obcego mężczyzny, pierzchła „jako sarneczka strzeli w las pierzchliwa, od utraconej różgi przestraszona“¹⁾. Jedna chwila taka wystarczała do rozbudzenia fantazyi i zmysłów młodego myśliwca. Nic dziwnego, że po zniknięciu spłoszonej Daphnis, poeta-Apollo woła ze szczerym zapalem:

Dotąd przyjść jeszcze nie mogę do siebie,
Jakom tak wdzięczne utracił widzenie.
Ledwie tak wniwdzie jutrzeńka na niebie,
Że pochmurzony Oryon ją zżenie.

¹⁾ Istotnie, przy pierwszym pojawieniu się, Daphnis przypomina nam daleko więcej wieśniaczkę wołyńską, niż nimfę grecką, lub którą z bohaterek Tassa. Zabłąkanie swoje w lesie przypisuje ona temu, że „która złej wróżki jędza zaskrzeczała, coś jej takiego drogę zastąpiło, albo więc końce wiedźma zamotała“. Z przesądnością tą łączy się właściwa wieśniaczkom raczej niż boginiom strachliwość: „Lada się czego licha dziewczka boję, lada i listu, gdy chrusnie po ziemi“. Zdaje się więc na wolę konia, byle tylko „do wsi gdzie trafić, lub pasterskiej szopy“.

Pójdę jej szukać, by mi w Kaledony
 Przepadła same i hercyńskie gaje,
 Skalistą Atos i ostre Edony,
 Wieczna gdzie zima, wieczny śnieg nie taje.
 Pójdę, nie swemi wichrami niesiony,
 Póki mi ducha, póki głosu staje;
 A ty, świadoma mego niepokoja,
 Nie opuszczaj mnie, cytro wdzięczna moja!

Czyż nie tak samo, w świetniejszej tylko formie, a z domieszką obcej Twardowskiemu melancholii, wypowiada swe uczucia i marzenia Słowacki, gdy boleje nad utratą swego „złotego snu“ i chce za nim gonić na „śniegu korony“, ponad „sosnowe bory“, gdzie Jungfrau „słońce złote ma pod sobą“, marzy, iż wraz z lejącymi po niebie łabędziami wzniesie się poza ciemnych skał krawędzie? Jak Słowacki szuka pociechy w rozpamiętywaniu, a raczej wysnuwaniu ze swej wyobraźni postaci idealnej kochanki: „czy kiedy cicho usnie pod jaworem, czy kiedy goni, czy kiedy się chowa w księżycu blasku, biała“? — tak Apollo-Twardowski goni myślą za znikłą Daphnis:

Gdzież jest, gdzie Daphnis? Czyli ty granice
 Przepadłszy Delfu, po górach się kryjesz,
 Czyli znalazłszy swoje równiennice,
 Myśliwa znówu gromiony zwierz bijesz?
 Lub gdzie wesole pryskają cieplice
 Tesalskiej Tempy, z nimfami się myjesz?
 Jakobym patrzył, stanawszy gdzie blisko,
 Na wdzięczną twoją kąpiel i igrzysko.

 Ozwij się, ozwij, o twardsza kamienia!
 Głos-li mój sięga i słyszysz gdzie o tym?
 A z tej przepaści i głuchego cienia
 Rzuć wdzięcznem okiem, błysnij włosem złotym.

 Na wszystkie wkoło oglądam się strony,
 Nikt nie dopowie, nikogo nie ruszy
 Duch mój z ostatnich piersi wytoczony;
 Tylko-li echo a wiatry życzliwe
 Różnią moje skargi żaobliwe.

Naraz, gdy w takim nastroju ducha błąka się po lesie, spostrzega swe „nadziemskie widzenie“, uroczą nimfę, spoczywającą pod cieniem dębu. Zachwyty i trwoga, towarzyszące zawsze pierwszym chwilom budzącej się miłości, powstrzymują jego kroki. Staje, jakby oczarowany, i upaja się widokiem swego ideału.

Nad rubin krwawy i światło miesięczne
 Ku śmiechu usta skłoniły się wdzięczne.

 Lewą się wsparła, w prawem trzyma rękę
 Konia na wodzy, a sajdak u lęku.

Zdziwiony swą nieśmiałością i trwogą, młodzian zapytuje sam siebie z wyrzutem:

Co czynisz serce, że się nie wydzierasz
 I zbiega swego nie poimasz śmieie?

Jakby lękając się zniweczyć śmiałem dotknięciem tęczową bańkę swej wyobraźni, woli się napawać zdala jej widokiem i rozkoszować polotem uroczych marzeń:

O gdzieżby białe złożyła swe skronie,
 Gdzie tak na rękę moich się układła,
 Jakobym, mile piastując na łonie,
 Z oczu jej sobie budował zwierciadła?
 Jako Latona w swoim Endymionie,
 Którego z pięknej Cytery wykradła,
 On jej zawoje uścięga pieszczone,
 Ona w nim oczy trzyma utopione.

Czyż nie spotykamy u Słowackiego tych samych obrazów, tych samych marzeń podbudzonej wyobraźni, zacząwszy od owej kąpieli, w której obaj podpatrują, a raczej wyobrażają sobie ukochaną—od snu cichego pod cieniem drzew, kołysanego powiewem wietrzyków i szmerem strumyka, do tych rozkosznych pieszczot, tego czarowania się wzrokiem, upajania oddechem ukochanej, odmalowanego przez Twar-

dowskiego w przytoczonej dopiero co strofeczce z mistrzostwem, któregooby się nie powstydział i Słowacki.

Gdy swej idealnej kochance potrzebował poeta nadać realniejszą postać, odmalować jej uczucia i zachowanie się wobec ścigającego ją, swą namiętą miłością, Apollina, nie mógł zdobyć się na oryginalną kreację, do której własne doświadczenie i obserwacja nie dostarczały mu odpowiednich rysów; uciekł się przeto do Tassa i skopiował, w uciekającej Daphnis, Herminię, błąkającą się na koniu w przebraniu mężkiem po nieznanym lesie (koniec pieśni VI Jerozolimy i początek pieśni VII) i gonioną przez rycerzy.

Zbudzona Daphnis „podnosi głowy i ciężkie ze snu oczy przeciera... już się porywa i już bursztynowy włos po ramionach w złoty czepek zbiera“. Spostrzegłszy zbliżającego się Apollina, woła przerażona: „Co to jest, przebóg, ktoś się na mnie skrada!... Ach, koń się uląkł, pierzchnął koń dla Boga! wodze pozbywszy, gdzie oko go niesie. Stój, stój! O czegoż czekam już nieboga? Ktoś jest, zmiłuj się, a zabij z litości!“

Na odmalowanie stanu duszy Daphnis, nieugiętej w dochowaniu ślubu czystości, brakło poecie, który uczuć tych nie mógł zrozumieć, trafnych rysów i zapału. Kiedy w stanowczej chwili, przekładając śmierć nad złamanie ślubu, zwraca się z prośbą o pomoc do bogów, błagając by oddalili „myśl bezecną w wstydlivej Daphnidzie“, by raczej „przywaliły ją góry, które grożą niskiej Beotydzie“ — wtrąca naiwno-kokieteryjne zapytanie: „Com jednak winna, żem się podobała?“ Tragiczne swe postanowienie wypowiada w bezbarwnej i słabej formie: „Idę, nie słucham. Wieczne mi przy mierze z tobą, Dyano!“

Apollo-poeta, który nie cierpiał tyle w życiu i tylu nie doznawał rozczarowań co Słowacki, nie pogrąża się w cichej melancholii po zniknięciu ukochanej, nie szuka „miejsca łaskawego na smutek“, w którymby mógł rozpamiętywać swe rozbite marzenia, idealizować własne wspomnienia, ale z młodzieńczym zapałem woła:

O pójdę za nią, przez ognie, przez miecze,
 Tam gdzie Kaukazus dziki, niemieszkania;
 Niech ją pod ziemię skryje Prozerpina,
 Nie zniknie Daphnis nigdy Appolina.

Mit grecki o Daphnis dziwnie nadawał się do scharakteryzowania tej miłości, nie z serca, lecz z wyobraźni płynącej. Zwykłym następstwem jej jest zawód bolesny w zetknięciu się z rzeczywistością, zmieniającą ideały w zimną prozę, uroczą Daphnis w sztywny pień drzewa, który daremnie silił się rozgrzać w naszych objęciach. I wtedy jeszcze potęga wyobraźni dostarcza pociechy zawiedzionemu kochankowi, przedstawiając mu w laurze, w który zmieniła się idealna kochanka, zaszczytny cel i nagrodę wielkich bohaterów, myślicieli i poetów.

Choć utworzone w wyobraźni postacie znikły, jednak sny poety, może nie w całej pełni, ale wkrótce się ziściły. Szczęście, jakiego szukał w miłości, znalazł w związku ze swą ukochaną „perełką“, Wielkopolanką; sielankę, o jakiej marzył, urzeczywistnił poczęści w skromnym dworku cichych Zarubiniec. O ściany tego dworku obił się wkrótce krzyk dzieciątka, którego urodę i pieszczoty z takim uczuciem odmalował poeta w prawdziwie Rafaelowskim obrazku:

Na szyjkę białą kędziorki spuszczone,
 Złotem słońca powleczone;
 Nad kość słoniową bielsze ściga ręce,
 Wydrzeć się każe matence,
 Z płaczem być pragnie gościem twego łona
 I więźniem twego ramiona ¹⁾.

¹⁾ Jest to wprawdzie przekład ody Sarbiewskiego (De puero Jesu), ale zarówno sam wybór z pomiędzy tylu innych, jak i wykonanie świadczy, iż obraz ten lepiej i inaczej odczuł ojciec Twardowski, niż ksiądz Sarbiewski. Porównanie przekładu zarówno tej, jak kilku innych ód Sarbiewskiego (pomieszczonych w przedruku Turowskiego), z dokonany w 200 lat później przekładem Syrokomli, wypadła bezwarunkowo na korzyść Twardowskiego, który daleko wierniej, zwięźlej i z większą siłą odtworzył obrazy i uczucia współczes-

Rzadko wspominałem w tym zarysie o ujemnych stro-
nach „Daphnis“, ponieważ chodziło mi głównie o uwydat-
nienie samej postaci poety i scharakteryzowanie jego stanu
duchowego, przez zestawienie ustępów, które ten stan naj-
wierniej odbijają. Nie zapominajmy, że i sam Homer umiał
zdrzemnąć się niekiedy, że i Tasso, który służył za pierwo-
wzór Twardowskiemu, grzeszy często rozwlekłością i retory-
ką; cóż więc dziwnego, że i w „Daphnis“ spotykamy całe
zwrotki, któreby można bez szkody wypuścić; że siła wy-
obraźni i ciepło uczucia nie wszędzie dopisują poecie; że
wreszcie bohaterka utworu najmniej udolnie została odmalo-
wana. Już samo pokrewieństwo duchowe z takimi mistrzami
jak Tasso, Słowacki, Zaleski może służyć za miarę istotnej
wartości tego najpiękniejszego pomnika naszej poezyi miło-
snej, aż do epoki Mickiewicza. Szereg tych wielkich duchów,
z którymi na chwilę zbratał się potęgą wyobraźni Twardow-
ski, uzupełnić można jeszcze największym z mistrzów poe-
zyi—Szekspirem.

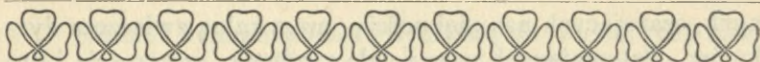
Niejeden z czytelników przypomina sobie może tę ślicz-
ną udramatyzowaną sielankę twórcy Romea i Julii, noszącą
fantazyjny tytuł: „Jak wam się podoba“. Sielanka ta, po-
mieszczona w liczbie komedij Szekspirowskich, przedstawia
dziwne pokrewieństwo duchowe z Daphnis. Podobnie jak
w utworze Twardowskiego, spotykamy tu kochanków śród
wspaniałej puszczy leśnej, gorące pochwały życia myśliw-
skiego, przyrody i miłości, której różne stopnie i postacie
uwydatnione są w trzech zakochanych parach. Co do formy
i układu jest to, równie jak Daphnis, szereg wdzięcznych ob-
razków, scen myśliwskich, miłosnych, rozumowań filozoficz-

snego sobie mistrza poezyi łacińskiej, niż twórca Dęboroga. Temu
ostatniemu zbywało zarówno na gruntownej znajomości klasycznej
literatury, jak na sile wyobraźni, pozwalającej odtwarzać wiernie
życie i pojęcia innych czasów i otoczeń odmiennych od tego, w któ-
rem żył, które kochał i rozumiał jedynie poeta nadniemeńskich
wiosek.

nych, czarujących nas pięknnością, muzykalną zwłaszcza dialogów, odsłaniających nam z całą swobodą, szczerością i humorem uczucia i myśli postaci utworu. Jakkolwiek występują tu królowie i księżniczki, filozofowie i trefnisie, jednakże, dzięki swobodnej atmosferze leśnej, zapominają oni o swych stanowiskach społecznych, a stają się dziećmi natury, braćmi wobec wspólnej matki. U Twardowskiego tak samo bogowie tracą swój olimpijski charakter, bratają się z pasterzami i stają się, pod wpływem tych samych uczuć i tego samego otoczenia, prawdziwymi ludźmi, kochającymi, marzącymi i cierpiącymi po ludzku.

Gdy dobiegłszy ostatniej strofki, rozstajemy się z utworem Twardowskiego, mimowolny smutek ogarnia naszą duszę. Wobec zbliżającej się nawałnicy kozackiej i szwedzkiej, żegnamy w „Daphnis“ ostatni błysk zachodzącego słońca Odrodzenia, które najpóźniej do nas zawitawszy, najpóźniej nas też opuściło, ozłacając na chwilę horyzont promieniami wysłanemi z poza chmur huczącej nad środkową Europą burzy trzydziestoletniej wojny.

1882 r.



Nadobna Paskwalina.

I.

Niecałe dwadzieścia lat oddziela „Nadobną Paskwalinę“ od „Daphnis“. Jest to wiele, jak na zwykłe rozmiary życia ludzkiego, bardzo wiele nawet ze względu iż, w ciągu tego czasu, zaszły wypadki, które wstrząsnęły do głębi zarówno zewnętrznymi warunkami bytu, jak i całem ugrupowaniem pojęć i nastrojem uczuć przeważnej części jednostek, składających ówczesne społeczeństwo. Dwunastoletni okres wojen kozackich i szwedzkich (1648—1660) dał początek głębokim i trwałym a przytem niekorzystnym zmianom, zarówno w ekonomicznych i społecznych, jak w umysłowych i moralnych warunkach i stosunkach.

Wprawdzie zawiązki tych przekształceń istniały już poprzednio i rozwijałyby się same w dalszym ciągu, ale gwałtowne wstrząśnienie sprawiło, iż chorobliwe, rozkładowe czynniki uzyskały, wraz ze swobodą, przewagę nad innymi, a proces duchowy, odbywając się w najnieprzyjaźniejszych warunkach, wydał w rezultacie to smutne ugrupowanie pojęć, w którem górowały wsteczne i ciemne idee. Rozbudzenie wyższych, idealnych uczuć: religijnego i patriotycznego (Częstochowa i tyszowiecka konfederacya) niewiele przynio-

sło pożytku, gdyż podniosłe te dążenia, pod przewodnictwem błędnych i ciasnych pojęć religijnych i politycznych, przeszły w anarchiczną swawolę i dewocyę. Nie znalazłszy dla siebie pola, uwięzły one w ciasnych i ciemnych duszach ówczesnych; przetrwały przecie wiek ciemnoty, nieprzyjazny im okres wieku oświeconego i doczekały się swego wyzwolenia dopiero w wieku XIX.

Jakkolwiek katolicyzm już w początku XVII wieku odniósł u nas stanowcze i nietrudne wcale zwycięstwo nad protestantyzmem, to jednakże, jak ów niedowiarek z przypowieści, który na morzu podczas burzy się nawraca, społeczeństwo polskie, dopiero wśród wielkiej nawałnicy dziejowej, uczuło się katolickiem do głębi duszy i swą gorącą wiarę uzewnętrzniło w żarliwej dewocyi i licznych fundacyach pobożnych.

Najazdy tatarskie już w XIII w. wywołały podobne rozbudzenie się uczucia religijnego, ale jedynie w obrębie Małopolski i Szlązka. Wywołane przez to życie duchowe, przechodząc rozmaite przekształcenia, doszło do zenitu swej potęgi w pierwszym rozkwicie nauki i literatury w XV i XVI w. Reakcyja katolicka, której miarą i uosobieniem jest Skarga, w połączeniu ze straszną katastrofą połowy XVII stulecia, dały początek nowym falom życia duchowego, które ogarnąwszy cały obszar Rzeczypospolitej, rozpoczęło się pojawami naiwnej dewocyi, a stopniowo sięgnęło wyżyn naukowego badania i wywnętrzyło się wreszcie wspaniałym wyławem treści własnej w drugim wielkim odrodzeniu epoki Mickiewiczowskiej.

Poezyja nasza pierwszej połowy XVII wieku wiąże się ściśle z pierwszym odrodzeniem, choć wpływ literatury włoskiej zaczyna już przemagać nad wzorami klasycznymi (Jeruzolima wyzwolona, Roksolanki, Daphnis). W drugiej zaś połowie spotykamy w niej zamęt właściwy przejściowemu momentom. Ostatnim konającym falom prądów wieku XVI dają impuls wykarmieni na utworach Kochanowskiego małopolscy poeci (Kochowski, Gawiński, Potocki). Lecz i oni

zwracają się coraz chętniej ku nowym, obcym prądom. Skromne potrzeby niewielkiego koła wyżej rozwiniętych umysłów nie mogą podtrzymać długo tego ruchu, który znika wśród powodzi pobożnych wydawnictw, opartych na potrzebach milionów dusz, szukających w takich pismach odbicia i zaspokojenia wymagań swego serca i umysłu. Historycy naszej literatury zbywają to pobożne piśmiennictwo lekceważącą wzmianką, poprzestając na zestawieniu, ku ucieście czytelników, naiwnych lub wyszukanych tytułów dewocyjnych dziwolągów. Jeżeli jednak skwapliwie zbieramy i badamy pieśni, podania i baśnie ludowe, jako pierwsze pomniki literatury narodowej i świadectwa życia duchowego odległych wieków, to nie powinniśmy lekceważyć i bogatego ilościowo piśmiennictwa religijnego XVII i XVIII stulecia, ponieważ ono szerzyło zawiązki oświaty i życia duchowego wśród milionowego tłumu drobnej szlachty, mieszczaństwa, a niekiedy ludu na całym obszarze Rzeczypospolitej. Najznakomitsi poeci, jak Kochowski i Potocki, zbogacają to piśmiennictwo tworamami, których naiwna pobożność niczem się nie różni od „Złotych ołtarzyków“, „Pistoletów na zabicie grzechu śmiertelnego“ i t. p. Toż samo pióro, które napisało „Ogród paniński“, skreśliło „Psalmodyę“, stanowiącą ogniwo łączące literaturę wieku XVII z poezją epoki Mickiewiczowskiej. Czyż objawy życia religijnego, wywołanego przez Towianizm, nie zbliżają się często swą naiwnością do utworów wieku XVII? Czyż nie ta sama „Panna święta“, na której cześć mozolił się Kochowski, unosi się nad wstępem „Panna Tadeusza“; czyż nie ten sam groźny Jehowa, którego zagniewaną postać ukazuje Potocki w „Wojnie Chocimskiej“ upadłemu moralnie społeczeństwu, obala Pankracego piorunującym wejrzeniem?

Rozszerzenie się dewocyj, społecznie z politycznym upadkiem i umysłowem zaćmieniem, stanowiło w istocie proces przygotowawczy, pierwszą uprawę nietkniętego jeszcze gruntu duchowego w masach, których udział w przyszłym odrodzeniu nada mu tak wielki blask i doniosłość. Bolejąc

nad przygaszeniem życia umysłowego w dotychczasowych ogniskach, nie zapominajmy, że jednocześnie nizki stopień elementarnej oświaty podnosi się, za sprawą duchowieństwa, wśród tłumów szlacheckich na całym obszarze, że wzmagająca się dewocya uzacnia moralnie te masy, wprowadzając je w zetknięcie ze światem ideału. Naiwno-prostacze formy, w jakich występuje ten ideał i w jakich się jego kult objawia, nie powinny nas razić, ani dziwić. Te same koleje przechodziło życie duchowe u innych społeczeństw Europy. „Boska komedya“ jest przecie artystycznym przekształceniem i podniesieniem naiwnej wiary i prostaczej dewocyi średnich wieków, jak Rafaelowskie Madonny są wypływem tego samego uczucia i wiary, które przed kilku wiekami zadowalniały się sztywnymi mumiami szkoły bizantyńskiej. Jak we Włoszech, tak i u nas odrodzenie duchowe opiera się na zespoleniu uczuć religijnych z patryotycznymi. Dla „rycerzy Maryi“ własna ojczyzna nabierała większego przez to blasku i uroku, że „Marya“ była jej królową. Obrona Częstochowy, w miarę czasowej odległości, nabierała cudownych legendowych rysów i stawała się fundamentem wiary w opiekę niebios nad Rzeczpospolitą i wynikające ztąd wyższe posłannictwo narodu. Klęski i nieszczęścia spadające na kraj nie tylko nie osłabiały, ale potęgowały jeszcze wiarę w to posłannictwo. Przez dwa wieki niemal najszlachetniejsze serca i najpodnioślejsze umysły zostawały pod władzą iluzji, która była dla nich niewyczerpanem źródłem wytrwałości i energii. Literatura, sztuka, życie wewnętrzne kół myślących i czujących było przeniknięte ideą mesyaniczną. Dziś, gdy utraciła ona znaczenie idei przewodniej, ale mimo to nie przestała i nie przestanie przez literaturę i sztukę wywierać wpływu na rozbudzanie i uszlachetnianie uczuć, możemy i powinniśmy wyjaśnić jej ciekawe dzieje.

Otóż kolebkę jej stanowi religijno-dewocyjna literatura drugiej połowy XVII wieku, a jednym z ciekawszych pomników tej literatury jest właśnie „Nadobna Paskwalina“, w której, z ostatnimi słabymi falami klasycznego prądu pierwsze-

go odrodzenia, zespalają się pierwsze koła nowego, tworzącego się pod wpływem nowych bodźców i w promieniu nowych idej. Poezya rozstaje się z Olimpem, a zwraca nieśmiało, bo o własnej sile, ku niebu chrześcijańskiemu i ideałom narodowym. Nie mając dostatecznych środków do zbudowania dla nowych bóstw nowej świątyni, umieszcza je w dawnej, pogańskiej, klasycznej i ulegając sile nawyknienia, nie śmie profanować z początku „mowy bogów“ imionami obcemi starożytnej literaturze. Zarówno więc przedmiotom nowej czci, jak obrzędom nowego kultu przyczepia nazwy kultu dawnego, by zadość uczynić konwenansom ówczesnego smaku. Ten *modus vivendi* dawnych form i nowych pojęć był nieuchronnym ogniwem przejściowym w życiu duchowym ludów południowej Europy. U nas Olimp zamało miał gorliwych czcicieli, by podobne środki miały rację bytu. Dla niektórych przecie jednostek, karmiących się literaturą starożytną i nawykłych widzieć w niej szczyt doskonałości, zerwanie doraźne z formami i pojęciami tej literatury było dość trudnem. To nam tłumaczy, dlaczego poeta, będący łącznikiem między złotym wiekiem odrodzenia a epoką poprzedzającą powtórne odrodzenie, wybrał instynktownie, dla wypowiedzenia nowych—odnośnie do wzorów klasycznych—pojęć, formę odpowiadającą barokowym upodobaniom epoki przejściowej.

Twardowski, który w swych licznych dotychczasowych utworach nie poruszył ani razu przedmiotów i pojęć religijnych, który opiewał z takim zapałem wojenne tryumfy, zmysłowe uciechy, materyalny przepych, potęgę panów i królów — zrywa z dotychczasowemi nawyknięciami i wygłasza w „Paskwalinie“ odrodzenie moralne, przez poświęcenie życia Bogu.

Stwierdzając czynem swe przekonania, zapisuje się poeta w 1653 r. do bractwa Ś-tej Anny przy kościele bernardynów w Kobylinie; w 1659 roku zostaje obrany seniorem tegoż bractwa, a w 1660 r., przed samą śmiercią, zapisuje się do drugiego bractwa Niepokalanego poczęcia P. Maryi.

Na wytworzenie się poważnego, moralnego poglądu na

życie jednostek i społeczeństwa, poglądu, który pozwolił poecie w „Wojnie domowej“ karcić, w tyłu wymownych ustępach, upadek moralny, zbytki i nieład rzeczypospolitej, wpłynął niezawodnie u Twardowskiego głośny w dziejach i literaturze Krzysztof Opaliński swemi „Satyrami“, a zapewne i osobistem oddziaływaniem w stosunkach, których nie znamy, lecz tylko domyślamy się z faktu dedykacji „Paskwaliny“ temuż dostojnikowi i satyrykowi głośnemu.

Jakkolwiek jedyne znane bibliografom wydanie „Paskwaliny“ pochodzi z 1702 roku, a więc nosi datę o 40 lat przeszło od zgonu autora, nie ulega przecież wątpliwości, że romans ten był drukowany, lub przynajmniej gotów do druku przed 1656 r., w którym zmarł Opaliński. Ustęp, odnoszący się widocznie do wojen kozackich i zwycięstwa pod Beresteczkiem (1651 r.) świadczy, iż około 1652 r. „Paskwalina“ była już wykończoną¹⁾. Zapisanie się poety w 1653 r. do bractwa kościelnego było naturalnym wynikiem ducha pobożności, jaki wieje z kart tego utworu.

Osnowę „Nadobnej Paskwaliny“ zaczerpnął Twardowski widocznie z jakiegoś romansu hiszpańskiego jezuitę z pierwszej połowy XVII wieku. Oryginał był pisany zapewne prozą, prawdopodobnie po łacinie²⁾. Niewątpliwie, jak to czynił Potocki w swych romansach, a także i sam Twardowski w „Daphnis“, zapożyczoną została tylko osnowa, a może i niektóre religijno-moralne dowodzenia, zresztą wszystko jest własnością polskiego poety, który wiele obrazów i sy-

¹⁾ Ustęp ten będzie przytoczony w rozbiórce samego utworu.

²⁾ Twardowski nie umiał po włosku i w swojej „Daphnis“ korzystał z wydanego po polsku streszczenia utworu. Przyпускать więc znajomość języka hiszpańskiego nie mamy żadnej zasady. W tomie III Historii literatury, prof. Pilata, znajdujemy obszerny przez prof. Bernackiego dodany ustęp (str. 96 do 136), poświęcony roztrząsaniu stosunku romansu Twardowskiego do „Dyany“ Montemayora, romansu hiszpańskiego, wydan. r. 1614, który Twardowski znał widocznie w przeróbce łacińskiej.

tuacyj bierze z „Daphnis“, a zresztą przez usta bohaterki wygłasza własne przekonania, z zapalem świeżo nawróconego.

Widownią romansu jest Lizbona, za panowania Filipa II. Znając z długiego pobytu Konstantynopol, opisany tak żywo i malowniczo w „Legacyi“ — mógł Twardowski z pomocą oryginału i własnych wspomnień dać trafny i barwny obraz Lizbony i jej rozkosznego klimatu.

W jednym ze wspaniałych pałaców luzytańskiej stolicy mieszka rzadkiej piękności Rzymianka, imieniem Paskwalina. Rodzice jej należeli do arystokratycznych rodów Rzymu. Gdy po długiej bezdzietności matka uczuła się w stanie błogosławionym, cierpiąc na bezsenność, prosiła męża; by zabawił ją czytaniem. Czyniąc zadość życzeniu chorej, wybrał on ustęp z Iliady o sędzie Parysa. Słuchając tej opowieści, żona zganiała wyrok, twierdząc, iż jabłko należało się Minerwie, nie Wenerze. Zasnawszy zaraz potem, miała sen, w którym zagniewana bogini cypryjska zapowiedziała jej nieubłaganą zemstę na dzieciach, lecz jednocześnie Minerwa przyobiecowała swą opiekę. Wydawszy na świat bliźnięta, umiera owa matrona, a wkrótce po niej i mąż. Stryj — ponieważ „rzadki opiekun, któryby obróconych nie miał rąk do siebie“ — strwonił większą część mienia sierot i sam zmarł także. Mimo to bliźnięta szczęśliwie wyrosły. Syn, wstąpiwszy w młodym wieku do wojsk hiszpańskich, wślawił się walecznością w bojach z Maurami; siostra zaś jego Paskwalina, wychowana przez Stellę przyjaciółkę matki, zajaśniała niepospolitą urodą. Klątwa Wenery jednak utrudniała jej wydanie się za mąż; liczni wielbiciela to zabijali się sami w pojedynkach, to ginęli na wojnach. Chcąc schronić się przed gniewną boginią, wsiada Paskwalina ze swą opiekunką na statek w Ankonie i udaje się do Lizbony, gdzie w okazałym pałacu obiera swą siedzibę. Nieubłagana Wenus wyprawia za nią Kupidyna, z poleceniem rozniecenia w jej sercu nieodwzajemnionej miłości ku pięknemu Oliwerowi.

Ten moment stanowi początek romansu. Ufna w swą urodę i zepsuta hołdami wystawiających pod oknami pałacu

wielbicieli, Paskwalina twierdzi, iż nie potrzebuje kłaniać się Wenerze i bez niej „może żyć szczęśliwą na ziemi“. Gdy jednak serce jej rani postrzał Kupidyna, nie zważa na rady doświadczonej i przezornej Stelli. „Wina jest młodości, że przedko odmienna i płocha, ile kiedy nad miarę w sobie się zakocha“ — powiada nauczony własnem doświadczeniem poeta, oceniający porywy namiętności z wyżyny szóstego dziesiątka lat swego życia ¹⁾. Ów Oliwer, którego zapragnęła pozyskać sobie Paskwalina, jest wiernym narzeczonym niejkiej Kornelii i ztąd obojętnym na wdzięki innych piękności. Dumna i zimna Paskwalina, dręczona ogniem swej namiętności, posuwa się do rozpaczliwego kroku i po walce wewnętrznej pisze list do Oliwera, wypowiadający uczucia, jakie dlań żywi. Ciekawa to próbka miłosnego języka epoki...

„ Odjąłeś i sen mi w niespaniu
I smak zwykły w potrawach. Ciebie na świtaniu,
Ciebie, słońce gdy gaśnie i w pół dnia i nocy
Z duszy pragnę jednego. Oto masz mię w mocy
I ożywić i zabić. Obierz-że ztąd sobie
Co rozumiesz. Małej ja rzeczy chcę po tobie,
Że się krótko obaczysz i ucieszysz ze mną“.

Jest to więc afekt czysto zmysłowy.

Nietrzymane na wodzy popędy przynoszą zwykle cierpienia w miejsce rozkoszy, upadek zamiast spodziewanego tryumfu; taki los zgotowała sobie tym krokiem i Paskwalina. Oliwer nietylko odmówił jej prośbom, ale pokazał list swej narzeczonej, od której całe miasto dowiedziało się o zawodzie piękności, budzącej zawiść powszechną...

„ Co każdej wrodzona niewieście,
Że nic taić nie może i jedna przed drugą,
Coś mając z świegotliwą wspólnego papugą“.

¹⁾ Na początku zaraz, zwracając się do Apollina, powiada poeta: „Ogrzej mnie złotowłosa, w tym już wieku, Febie, bowiem takie materye zimne są bez ciebie“.

powiada przy tej okazji Twardowski, u którego — jak i u wielu innych poetów — słabość dla płci pięknej łączy się ze złośliwą ironią sądów o moralnej stronie kobiety.

Ciekawą jest charakterystyka stanu Paskwaliny, po odebraniu odmownej odpowiedzi Oliwera. „Karta jej z ręku wypada“, chwyta się krzesła, mdleje, „wszystkie nikną pulsyz ożywiające“. Służące ją cują „likworami drogiemi“. Przeszedłszy do siebie, czując swój zawód i zniewagę, „rozkwili się jako dziecię małe“, walczy ze swym afektem, „sili się“, nie mogąc Oliwera wypuścić z pamięci. „Tu ją miłość, tu ją wstyd, tu niewdzięczność smęci, obracając by sferę“.

Rzecz naturalna, iż z cierpieniem swoim zwierza się jedynej przyjaciółce i opiekunce, Stelli, która radzi jej, by szukała pociechy w kościele Minerwy, „gdzie duchem wieszczym słynie wieszczka jej Felicya, pospołu i ksieni“. Zgodę swą na propozycję Stelli co do pobożnej pielgrzymki wypowiedzi Paskwalina wyrazami Apollina, ścigającego uroczą Daphnis.

„Pójdę jednak, gdzie każesz, choćby przez scytyjskie
Grube śniegi i błota niedoszlę laryjskie,
Krzemienistą Itakę, Tajgetowe głogi“ i t. d.

Jedenastozgłoskowe wiersze pięknych oktaw „Daphnis“, malujących swym tokiem żywość uczuć miłosnych, rozwlekł tu poeta do miary trzynastozgłoskowego wiersza, jakim się posługuje w całym utworze.

II.

Strojna dama, co przejeżdżając się po „wszystkich widokach w kosztownej karocy“, budziła podziw i zawiść w całej Lizbonie, teraz, w szarym stroju penitentki „gburką“ owinięta, podąża w towarzystwie jednej tylko służącej, piechotą wśród nocy do „Minerwinego kościoła greckiej starodawnej fundacji“, położonego niedaleko za miastem. Myśl o Oliwercie nie opuszcza jej wśród drogi. To prosi Kupidyna, by jej

„choć na godzinę dostarczył Oliwera“, to znowu wystawia go sobie, jak w tej chwili stoi pod oknami Kornelii swojej. Nie-nawykłą do nocnej i do tego pieszej podróży, co chwila coś przestrasza, to kamień, to pień drzewa, lub szelest jaszczurki. Posiłekuje się tu poeta rysami, jakimi odmalował trwoję Daphnis zbłąkanej wśród lasu. Jedno tylko niebezpieczeństwo, którego najwięcej się lękała czysta Nimfa, nie przestrasza Paskwaliny. Nie wie ona, że jej marzenia i pragnienia znikną za progiem świątyni, do której śpieszy po środek na osiągnięcie swego szczęścia.

Światowa pątniczka staje wreszcie u kresu swej drogi. „Do zamkniętej przyjdzie *furty*, we *dzwonek klasztorny* uderzy, prosząc *ksieni* do siebie... Ksieni czyni wróżby z dymu: „grobowe mirry i aloesy zażęgała węglem w Stygu moczonym“. Po skończonych obrzędach „skoro odźwierna uchyli kosztownej portyery“, Paskwalina, znalazłszy się wobec ksieni, pada na kolana, wołając: „O panno uwielbiona!“ Opowiada jej następnie swe cierpienia i prosi o pomoc i radę. Felicja w odpowiedzi wygłasza jej długie kazanie o złych skutkach niepomiarkowanego afektu. „Miłość marna z próżnowania się rodzi i z oczu źle strzeżonych“. Korzystając ze sposobności, poeta kładzie w usta kaznodziejki uwagi, niestosujące się do Paskwaliny, lecz skierowane do społecznych:

. ludzkie to plemię,
Jedną mając za matkę wspólną wszystkim ziemię,
Podnosi się w tę dumę

Samiście przyczyną waszej niedoli... rodzicie się z przyrodzenia wolnymi — bogowie wam dali wolną wolę i rozum do kierowania „byстрыm Bellerofonem...“ a jednak z tego nie korzystacie.

. I któż tak miłował,
Żeby nie był zdradzony, kto rozkoszy tyle
Uznał w tym apetycie, ile żółci, ile
Żądła wzajem

„Traciecie wolność, sławę, zdrowie i dobre dni pospołu“, niepomini, „że Bóg dał urodę i piękność cielesną na to, ażeby im kto w twarzy i ciele mieszka piękniejszym, był tem więcej im (bogom) podobnym“.

Zaraz jednak po tych podniosłych rozumowaniach, rozpoczyna Felicja opowieść o miłostkach Jowiszowych i gniewie bogów na Wenerę.

Paskwalina wybraną przez nich została za narzędzie zemsty i kary nad Wenerą. Ażeby godnie i pomyślnie spełnić to zadanie, musi udać się do świątyni Junony, gdzie Beliza ksieni udzieli jej lekarstwa na rany serca i umocni ją do wielkiego posłannictwa. Ponieważ trudna i daleka droga do tej świątyni przedstawiała wiele niebezpieczeństw, przeto Felicja daje jej kamień — z szyi go swej zdjąwszy — znak Minnerwy bogini, „który uwinąwszy w szkarłat miękkiej, na piersiach nosić zawsze będzie przeciw wszystkim napaściom“.

Przywdziawszy szaty pielgrzymie i „przykurzywszy popiołem“ swą urodę, bierze cudowny talizman na piersi i wyrusza w podróż, w ciągu której ma wykąpać się w cudownej rzece, co „ciało i sumienie czyste czyni“.

Przygody doznane w tej trudnej i dalekiej pielgrzymce stanowią osnowę drugiej części romansu. Paskwalina opuszcza klasztor o zachodzie słońca, co daje sposobność Twardowskiemu do odmalowania, rysami wziętymi z pieśni Hesperusa w „Daphnis“, obrazu wieczoru wiejskiego:

Której zwłaszcza zwierzętom najkochańszej chwile
Trzody z pola zbiegają i dorodne cugi
Narobionych czabanów, wywróciwszy pługi;
Każda dusza ku swemu bierze się wczasowi.

Autor, zapomniawszy iż opuszczając Lizbonę, przybrała Paskwalina skromny strój podróżny, każe jej się teraz, przed rozpoczęciem dalszej pielgrzymki, rozbierać z „manel, trzęsideł, kanaków i w lokieć związanych wstąg francuskich i peruk różno pokudłanych“.

To przekształcenie się światowej elegantki w pokorną pokutnicę, uderzyć mogło niejedną wyobraźnię czytelniczek tego romansu, które wśród srożących się zewsząd burz i klęsk wojennych drżały zarówno o życie i mienie, jak i o zbawienie oddanej światowym uciechom duszy.

Zmiana atoli stroju nie mogła spowodować przekształcenia wewnętrznego. „Niepodobna wyrzucić nałogów tak w skok z myśli“. To też obejmuje Paskwalinę żal za utraceniami uciechami i tęskniącymi wielbicielami. Dla uzbrojenia się w odwagę, ślubuje bogini, że po szczęśliwym odbyciu podróży złoży swój warkocz jako *votum*. Zaledwie wykonała to postanowienie, „nadludzka siła ją ogarnęła, serce jak we zbroi, w dyamencie sumienie“.

Pierwszy odpoczynek i nocleg w podróży odbywa w chacie starego rybaka. Sielankowy obrazek tej ustronnej osady na wyspie wśród jeziora, skreślony malowniczo i z prawdą, jest niezawodnie odbiciem wrażeń, jakie podobna ustronia nad brzegiem którego z olbrzymich wołyńskich stawów lub wielkopolskich jezior, zostawić mogła w wyobraźni poety. Śród otoczonego lasem jeziora, mały ostrowek stanowi mieszkanie starego stuletniego rybitwy i jego rodziny. Biedak ten, cnotliwy i pracowity, wiezie tu szczęśliwe życie. Niczego się nie lęka, niczego nie potrzebuje; cała jego uciecha, gdy „suma na ostrogę lub karpia wątozem i łosiosa pojma“. Chroni on pod swą strzechą, przed pogonią Cyklopa, jedną z nimf, przebywających około jeziora. Paskwalina, gościnnie przyjęta, nocuje razem z tą nimfą; zmęczona drogą, śpi twardo i smacznie na ubogiem posłaniu, „aż na nogi wstanie Oryon i zapieje na nie kur z pod strzechy“.

Obrazek poranku w chatce wiernie odrysowany z życia wiejskiego. „Gospodyni, żeby tem dnia sobie krótkiego nadstawiła, budzi do kądzieli dziewczki swoje, a sama przysute w popiele iskiereki rozdymując, światło im gotuje“.

Wyruszywszy w dalszą drogę przez lasy, Paskwalina trwoży się cokrok, jak Daphnis. Opadnięta przez psy owczarskie, znajduje pomoc u pasterzy, którzy opodal siedząc z pa-

sterkami, śpiewają i grają na multankach. Dalej znowu spotyka drzewo bobkowe z wizerunkiem Daphnis i omal że nie pada ofiarą ogromnego lwa, od którego wybawia ją Apollo, ubijając dzikiego zwierza. Pełen galanteryi wybawiciel zaprasza strwożoną na wypoczynek do swego domku. Domek ten, wyglądający z zewnątrz na chatę pasterską, ukrywa wewnątrz olśniewający przepych. Sień przybrana łupami, między którymi wisi smok Piton, „z pół milowym (tak) ogonem“. Z sieni wchodziło się do pokoju „od drogich kamieni dziwnie kosztownego“. Łóżko z jednej strony stało złotogłowe, z pod cienkiej zasłony drogiem szyciem błyskając. W nogach szafa wielka z błękitnego aspisu... w głowach tracki łuk.

. . . . „Przy drugiej stał ścienie
 Stolik srebrny, na którym w prześliczne promienie
 Wieniec wity bobkowy i kwoli zabawie
 Lutnia czasem i kilka w kosztownej oprawie
 Ksiąg niebieskich. Służba drzwi strzegła hebanowa,
 Gdzie z nalewką miednica stała szmaragdowa
 Z lichtarzami takiemiż..

Czyż opis ten nie przypomina nam owych chatek pasterskich w Arkadyi i Powązkach, urządzanych w sto lat później, ale jakby na podstawie tego wzoru? Apollo występuje tu jako niepocieszony kochanek, strzegący wiernie grobu swej Daphnis i szukający pociechy w łowach i przynoszeniu ulgi cierpiącym. Posiada on w tym celu w puszkach-ziola lekarskie z Afryki i Ameryki. Gdy nie oddaje się łowom, to gra na lutni, czyta i duma ciągle o utraconej kochance. Smutnego samotnika nawiedza niekiedy Dyana, gdy się na łowach zadaleko zapędzi.

Apollo słucha ze spółczuciem opowieści Paskwaliny i wzamian jej własną opowiada przygodę. Przenocowawszy w domu pełnego elegancyi samotnika, Paskwalina w dalszej drodze nawiedza Dyaneę, którą zastaje w kąpieli wśród grona nimf. Bogini okazuje się niemniej uprzejmą i wykwintną gospodynią, jak Apollo. Częstoje Paskwalinę rozmaitemi

„przysmakami i sokami“ i dowiedziawszy się o noclegu u Apollina, podejrzywa jego wierność dla pamięci ukochanej. Pomimo pielgrzymiego stroju Paskwaliny i boskiego charakteru Dyany, rozmowa obu tych pań przybiera dosyć światowy charakter. Jak to bywa i teraz, u dam wielkiego i mniejszego świata, skandaliczne anegdotki stanowią jej osnowę, a moralne uwagi służą za pozór tylko do swobodnego wypowiedzenia się. Jest to język, jakim we dwa wieki później przemawiają boginie offenbachowskiego Olimpu (Orfeusz w piekle). W dalszym ciągu jednakże ta kumoszka-bogini przechodzi do powagi kaznodziejskiej, wyrzuca ludziom ich rozpustę, jako źródło złego wszelkiego i roztacza przed Paskwaliną obraz sądu ostatecznego.

Lizbona tymczasem trzęsie się od plotek o tajemniczem zniknięciu Paskwaliny; Wenus uszczęśliwiona, „że tak sobie przeciwnej emulki pozbyła“, oddaje się zabawom i uciechom wszelakim. „Jej pokoje, ganki i altany brzmią wdzięczną muzyką... ognie goreją po kosztownych kościołach, przy ofiar paleniu... weselem i rozkoszą dwór jej kwitnie“. Ona sama „dojeść się nie mogąc smaku w swym Wulkanie“, wyprawia Kupidyna do Marsa, by „go na jedną choć sprowadzić godzinę“. Poselstwo to nie odnosi skutku, Mars bowiem „zabawiony był gdzieś w Ameryce“. Wracający Kupido przelatuje przez Atlantyk i na złotej łące, środkiem której „śliczna Cydarys płynie“, odpoczywa. Dla ochłody porzuca swój łuk na trawie i „skoczy w nurt kryształowy“. Po tej kąpieli ogarnęła sennność znużone chłopię, a miękka i wonna łąka zachęciła je tem więcej do wypoczynku. Sen „zapalił mu różańcem jagody, tocząc pot perłowy, oczy słodko błyskały... z piersi duch głęboki ognie żywe wywierał“. W obrazie pożaru, który niecił Kupido dokoła, możnaby upatrywać odbicie pojęć, jakie o klimacie i faunie południa panowały w Polsce w owym czasie:



..... „Wszystkie dokoła
 Gotowym się płomieniem zajmowały ziola,
 Drzewa same pałały“...

„Po nich latając bazanci, feniksowie, powietrze ogniste skrzydły siekli złotemi... nawet bagniste błota wysyczały i ziemia w swem łonie czuła ogień, piastując ciężkie jego skronie“ (Kupidyna). „Zmorrzone dziecko się rozespało, jakoby zarznione“—powiada poeta, nadając wkońcu synowi Wenerzy charakter czysto polskiego chłopca, chrapiącego na sianie po kąpieli. Śród tego mitologiczno-tropikalnego krajobrazu pojawia się Paskwalina, która w wędrówce do świątyni Junony także musiała przebyć „górze trudną i skalistą“.

Zdała uderza jej oczy jakiś niezwykły blask na łące, „podobny w miednicy słońcu odrażonemu, albo błyskawicy wypierchnionej z obłoku“. Skrada się ostrożnie, zaciekawiona tem zjawiskiem, i dostrzega... łuk i kołczan Kupidyna. Nadeszła stanowcza chwila pomsty nad Wenerą.

Mszcząc własne i wszystkich cierpiących od miłości krzywdy, łamie z zapalem Paskwalina zabójczy łuk i strzały na drobne kawałki. Po tym tryumfie, uległszy powabowi kryształowych nurtów rzeki, używa w niej kąpieli i znużona zasypia na łące. Ten spoczynek daje poecie pochop do skreślenia plastycznego obrazu jej urody... Wspomnienia młodości odżyły w Twardowskim. W samym kwiecie wieku poznał on najpiękniejsze formy kobiece na wybrzeżach Bosforu, później znowu urocze Rusinki zapisały się trwałemi wrażeniami w jego duszy; nie dziwnego więc, iż nawet śród pobożnej pielgrzymki, w pokutniczej szacie, zatrzymuje się z wykrzykiem uwielbienia przed pięknoscią kobiecą. Piękność ta nie rozbroiła przecież gniewu Kupidyna, który, spostrzegłszy po przebudzeniu swą stratę, pospieszył na skargę do matki. Wenus „w onej dobie Marsa się spodziewała“. Na wieść o przygodzie syna wpada w gniew i rozpacz. W każdym razie należy ukarać zbrodniarkę i w tym celu Wenus daje Kupidy-

nowi swój pas, by nim skępował śpiącą Paskwalinę i zostawił ją tak na pastwę zwierzętom. Na szczęście, gdy zrozpaczona gotuje się na śmierć niechybną, pojawia się Satyr i obiecuje wyswobodzić nieszczęśliwą ofiarę. Uspokojona Paskwalina opowiada dzieje swego życia. W słowach jej mamy w istocie spowiedź samego poety który, dojrzawszy umysłowo i moralnie w ciężkich przejściach podczas wojen kozackich, patrzy ze spokojem i podniosłością filozofa-chrześcijana na swą przyszłość.

„...Było to żem, próżnej się chwale
Dawszy uwiesć (przyznawam), wesołych użyła
Dni cokolwiek; alem je trzykroć nagrodziła,
Frymarczywszy nierówno sowitą żalobą.
Tak że ktoby poważył obiedwie te z sobą
Przeciwnie alternaty, poszłoby wesele
Z dymem wzgórz i dobrych godzin tych niewiele,
A zostało na szali przeważonej drugiej
Samo brzemień kłopotów i ciężkości długiej.
Ale ja już w tej klubie szczęścia swego stoję,
Że ni łaski, ni gniewu jego się nie boję,
Bowiem jako dać więcej nad to co mi dało,
Tak choćby też pograżyć do końca mię chciało,
Głębiej rzucić nie można, na tym postawiwszy
Śmierci celu

Wyzwolonej z więzów Paskwalinie, Satyr ukazuje pawia okazałego, jako oznakę obecności Junony w niedalekiej ztąd świątyni.

Zbliża się nareszcie pokutnica do upragnionego przybytku:

„Sama z wierzchu machina przezroczysta miała,
Naksztalt rzymskiej, kopułę, która przyjmowała
Światła wszystkie słoneczne. Z alabastru czoło
I szczyty wywiedzione, a tysiąc wokoło
Mosiężnych obelisków ścian jej podpierało;
Czworo do niej śpizowych wrót się otwierało“.

Ksieni Beliza przechadzała się między dwiema nimfami ją wspierającymi. Paskwalina, zbliżywszy się, z pokorą opo-

wiada o celu swego przybycia i dokonanej w drodze zemście nad Wenerą. Dostojna ksieni odpowiada jej z całą powagą. Paskwalina następnie się spowiada i poddaje obrzędowi obcięcia warkocza. Trzykroć ją przytem pyta Beliza: „Jeśliże się wyrzeka całe już światowej marności i obłudy, a na żywot nowy zakonny rezolwuje“? Żegnając się ze swemi włosami, wspomina z żalem Paskwalina, jak trawiła wszystkie czasy swoje na „monstrach próżnych i coraz inaksem trefieniu“. Zawiesiwszy warkocz na ołtarzu bogini, „chleba udzielonego z niebieskiego stołu i nektaru kosztuje“. Następnie Beliza oprowadza ją po świątyni i opowiada dzieje Junony, przedstawiając w nieszczęśliwym świetle charakter tej bogini.

W porównaniu z trudami podróży, sam nowicyat w tym klasztorze łatwym się wydaje pięknej pokutnicy. Zachwyca ją prostota sielankowa stołu: „bowiem tylko jarzynki, a frukty i soki miernie przycukrowane“... „O jako kto szczęśliwy—woła od siebie poeta — tem się kontentując, aniby on bażantów szukał malowanych daleko po Afryce, ani rozpuszczonych pereł w occie upragnął“.

Ugruntowawszy się w cnotach i umocniwszy w swem postanowieniu, wraca Paskwalina do Lizbony. Przedtem błąkała się po puszczech i lasach, teraz „oświecona pokuty prawdziwej światłem, przy łasce bogów niewątpliwej, błędzić więcej nie będzie“. Paw Junony wie dzie ją prostą i krótką drogą. Wenus, posłyszawszy o powrocie swej rywalki, wyprawia Kupidyna, w celu sprawdzenia tej wiadomości. Wzbiwszy się pod obłoki, spostrzega swą poskromicielkę, jak z okna własnego pałacu w Lizbonie „się monstruje i przed wszystkim zgarnionem miastem prezentuje z jego ową armatą, przez się zwojowaną“. Zrozpaczony tym widokiem Kupido, lękając się gniewu matki, odbiera sobie życie przez powieszenie się na krzaku mirtowym. Wenus zgnębiona i upokorzona, w nocy, pocichu, ze wszystkim swym dworem i pałacem znika.

Odrodzona moralnie Paskwalina, „gdzie owe pokoje, sale i tanecznicze, stek światowych ludzi, na klasztor refor-

muje i kosztowny wzbudzi przy nim kościół". Sama zaś, zgromadziwszy „grono Westy, bogini, dziewic, spół się im ksienią poświęciła“.

III.

W „Daphnis“ zachodzące słońce pierwszego odrodzenia pożegnało nas wesołym i pogodnym blaskiem. Wśród atmosfery zamglonej kurzawą bitew i dymem pogorzeliisk, „Paskwalina“ roztacza ponure, przyémione światło, w którym prędzej możnaby upatrywać ostatni odbłysek zachodu, lub łunę dalekich pożarów, niż pierwszy brzask odległego jeszcze poranka. Jednakże czuć tu na każdej niemal stronie, że jak poezya, tak i społeczeństwo rozstają się ze światem ideałów, śród którego żyły, że nie mając dość sił, by wdrapać się na szczyty, z których ukazałby im się świat nowego dnia, pozostać muszą jeszcze czas jakiś w ciemnościach.

Nie świadomością, ale instynktową trafnością wiedziony, odtworzył poeta w dziejach „Paskwaliny“ moralne dzieje własnego społeczeństwa. Gdy skrępowanej i zostawionej na pastwę dzikich zwierząt Paskwalinie kładzie w usta skargę na los, miał tu na myśli nietylko siebie, ale niezawodnie i własną ojczyznę. Że wyższa, obywatelska myśl przewodniczyła mu w pracy nad tym utworem, świadczy ustęp wypowiedziany niby przez owe wieszczce ptaki w gaju Junony, odnoszący się do ówczesnych wypadków.

Zapatrywania się poety na doniosłość i następstwo strasznego wstrząśnienia społecznego, nazywanego niezbyt właściwie wojnami kozackimi, były i głębokie i podniosłe. Nie przewidywał, pisząc te słowa, że szereg prób, jakie miała przeżyć Rzeczpospolita, był dalekim jeszcze końcem, że nowe burze i klęski zachwieją jego nadzieje blizkiego powrotu „złotego wieku“ w odrodzonym społeczeństwie. Mimo swego optymizmu, rozumiał dobrze, iż społeczeństwo winno samo przygotować ten wiek złoty, „świętymi czynami samo zbawić siebie“, jak we dwa wieki uczy śpiewak „Psalmów“, i dlatego

też zwraca się w zakończeniu utworu do kobiet, panien mianowicie, jako piastunek przyszłego pokolenia, zagrzewając je do pracy i cnoty.

Znając dobrze z własnego doświadczenia zmysłowość i lekkomyślność ówczesnych niewiast, wiedząc jak wielki wpływ wywierały na rozpowszechnienie zbytku, życia nad stan i zniewieściałość wśród mężczyzn, pojmował, iż moralne odrodzenie społeczeństwa musi się opierać na moralnym podniesieniu kobiety. Praca i religia były jedynymi środkami, jakie mógł zalecić im poeta. Wskazując Paskwalinę, zachęca, by za jej przykładem: „panienki nie w tej powierzchownej, ale i w ozdobie inszej się kochały, miękkie fatygując pracą członki i nigdy zgola nie próżnując“. Geneza miłostek znana jest wybornie autorowi „Daphnis“; trafnie też ostrzega młode panny, by nadewszystko „oczami szafować niechały, gdyż tam welgnie najpierwej Kupidynek mały, toż w serce się zakrada“. Jeśli która podlegnie temu przypadkowi i pozwoli namiętności rozgościć się w dziewiczym łonie, wtedy niech „wskok“ się uda do praktyk pobożnych i „ostrości“, a nie upadnie i tak samo jak Paskwalina zwycięży Kupidyna „bez broni“.

Chorobliwa czułość, nadczułość systematu nerwowego u kobiet ówczesnych wywołana przez wygodne, próżniacze, czysto zmysłowe życie, przy niskim stopniu rozwoju umysłowego, czyniła je niepowściągliwymi w miłości. Uczucia swe objawiają one w tej śmiesznie przesadnej formie, jaką dziś spotykamy tylko wśród niższych klas mieszczaństwa. Namiętność przybiera tu postać histerycznej czułości, objawiającej się wybuchami płaczu, spazmów, mdłości. Serce zakłócać w swej funkcyi przez częste i silne podrażnienia nerwów, staje się siedliskiem fizycznych cierpień, zostających w ścisłym związku z niezaspokojeniem pragnień. Cierpienia i zawody doznawane w miłości stają się często pobudką do reakcyi moralnych czynników naszej istoty. Proces, jakiemu zawdzięcza Paskwalina swe odrodzenie, zachodzi bardzo często u kobiet szukających w religii, a zwykle w dewocyi,

lekarstwa, niekiedy bardzo skutecznego na cierpienia sercowe i środka na uspokojenie wzburzonych zmysłów.

Wszystkie te fizyczne i moralne pobudki, wobec podniesionego przez niebezpieczeństwa i klęski wojenne uczucia religijnego i utrudnionego zamążpójścia, przy ubytku tylu dziesiątków, może i setek tysięcy mężczyzn, poległych w samej sile wieku, wciągu dwunastoletnich wojen — wywołały gromadne garnięcie się kobiet do życia klasztornego na całym obszarze Rzeczypospolitej, w drugiej połowie wieku XVIII. Wzmagająca się dewocya znajduje swój rozwój w licznych bractwach, pobożnych fundacyach i tym duchu nietolerancyi, jaki po raz pierwszy występuje w dość jaskrawych objawach.

„Paskwalina“ stanowi niejako pierwsze hasło, zapowiedź tego ruchu, i dlatego, mimo swej małej artystycznej wartości, przedstawia ciekawy dokument do dziejów umysłowego i moralnego życia wieku XVII.

Drugim, powszechnie przez poetów zalecanym środkiem odrodzenia, był powrót do pierwotnej prostoty obyczajów i wymarzonej cnotliwości praojców. W możliwość i skuteczność tego środka wierzy zarówno Twardowski, jak Kochanowski i Potocki. „Wojna chocimska“ nawołuje do przywrócenia obyczajów Piastowskiej epoki. „Nadobna Paskwalina“ daje w obrazie starego rybaka wzór cnót i prostoty. W zakończeniu romansu woła z westchnieniem poeta: „I kiedyż ukarane takową lat złością, pompy nasze, Saturnów z jego niewinnością wiek nam wróca“? Nie znając prawa postępu, nie wiedzieli, iż powrócić tego co minęło nie zdoła żadna potęga; ulegając powszechnemu i dziś jeszcze złudzeniu, upatrywali na zaraniu dziejów naszych ideały doskonałości, które można jedynie postawić jako ostateczny cel rozwoju.

Naiwna niezdarkością formy i pomysłów, w jakich, za przewodnictwem nieznanego pierwowzoru, poeta stara się uwydatnić pojęcia, które sam dopiero co sobie przyswoił, i uczucia, które zaledwo w nim kiełkować zaczynały — niesmaczna przez nienaturalne, krotochwilne niekiedy zespole-

nie pogańskiego Olimpu z katolickimi obrządkami i pojęciami, posiada mimo to „Nadobna Paskwalina“ swoją właściwą piękność, polegającą głównie na odbiciu warunków wyjątkowych chwili, w jakiej się pojawia.

Na widowni, wśród której odgrywa się pogodna sielanka za czasów Władysława IV, wobec bogów i nagich nimf, których piorun gniewu niebios nie spłoszył jeszcze ze sceny, przesuwa się postać pokutnicy z różańcem w ręku i pieśń hulaszczą przerywa grobowe *dies irae*. Przejęci trwogą, biesiadnicy posypują głowy popiołem i przywdziewają strój pustelników. W pierwszej chwili wydaje się to maskaradą; z pod szarych płaszczów wyglądają obnażone ramiona bachantek i roznamiętione winem i zabawą oblicza ich towarzyszy; z hymnem pokutnym mieszają się jeszcze zwrotki pieśni miłosnej. Uderzające jednak coraz częściej pioruny, krwawa łuna pożarów, zasłane trupami obszary, świadczą, iż bachanalie skończyły się bezpowrotnie, a nastał czas pokuty. Zestawiona z „Daphnis“ i umieszczona na tle dziejowem, „Paskwalina“ nabiera właściwego interesu, jako charakterystyczny objaw życia duchowego w czasie wielkiego przesilenia dziejowego.

1883 r.



Wacław Potocki,

jako autor „Wojny Chocimskiej“.

Jak w wielu innych kierunkach pracy naukowej, tak i w badaniach nad dziejowym rozwojem naszej literatury, zostajemy daleko w tyle po za rezultatami, jakie inne ludy osiągnęły na tem polu. Pomimo stuletniej przeszło pracy nad gromadzeniem i uporządkowaniem szczegółów biograficznych i bibliograficznych, dotąd jeszcze nie posiadamy najkonieczniejszych danych co do zewnętrznych kolei życia wielu pierwszorzędných pisarzów, a niejedną ciekawą postać znamy zaledwie z nazwiska. Słowem nie ukończyliśmy jeszcze pracy przygotowawczej, na której dopiero winno się oprzeć umiejętne badanie dziejów literatury, a tymczasem pora najbardziej sprzyjająca tej pracy bodaj że przeminęła już wraz z pokoleniem, u którego miłość dla przeszłości ozłacała idealnym blaskiem najsuchsze poszukiwania i najskromniejsze zabytki. Dla ustępujących obecnie z widowni pracowników pomniki literatury, na równi z innymi zabytkami życia ojców, stanowiły drogą pamiątkę, którą starannie przechowywano, ale przytem, jak każdy drogi skarb, starannie zamykano. W rzadkich chwilach jedynie wydostawano z zakątków bibliotecznych te pamiątki i przeglądano — niekiedy odczytywano, z rozrzewnieniem, z jakim rozpatrujemy stare listy

drogich nam osób. Taki nastrój ducha niedopuszczał rozbioru i chłodnej oceny zarówno formy jak i treści pomników dawnej literatury.

Dla obecnego pokolenia, patrzącego obojętniej, a czasem nawet niechętnie na przeszłość, od której je oddziela szeroka przestrzeń drogi szybko przebytej, pod biczem bolesnych doświadczeń, i cała suma zmienionych warunków, które wytworzyły nowy organizm społeczny na gruzach dawnego, potrzeba te zabytki oświetlać już nie idealnym blaskiem sympatii — bo tej źródła bardzo zubożały, ale światłem prawdy dziejowej, ciepłem życia wskrzeszonego w nich samych. Zamiast szeregów dat, nazwisk, tytułów, przedstawiać żywe postacie pisarzy, zamiast ogólnikowych, deklamacyjno-patryotycznych pochwał, zniechęcających jedynie ku dawnej literaturze młode pokolenie na miarę tych sądów, szukające w niej mniemanych arcydzieł poezyi — objaśniać, z pomocą wskazówek jakich dostarczają zabytki literatury, wewnętrzne życie ich autorów i epoki samej i w uzyskanem ztąd świetle ukazać charakterystyczne cechy utworu, jego nieuchronne wady i ukryte pod przestarzałą formą zalety, — wydobyć wreszcie, z pod zeszywniałych powijaków i cudacznego przystrojenia, obrazy życia dawnego w całej pełni i barwności. Oto zadanie dzisiejszego badacza, zadanie wdzięczne ale niełatwe, tem trudniejsze, że dane, na jakich się opierać potrzebuje (zewewnętrzne koleje życia autora, wydania poprawne pism, szczegóły odnośne do życia epoki i otoczenia autora), nie są należycie zebrane, sprawdzone i uzupełnione. Mimo to pracy tej odkładać nie można, bo pokolenie obecne nie uzna w starej literaturze „arki przymierza między dawnymi a młodszymi laty“ i nie odda jej czci należnej, póki nie przekona się, że arka ta mieści istotnie rzeczy godne przechowania, że zawiera ona nie prochy i popioły lecz perły i dyamenty, w których skrytykowały się dawne życie i skoncentrowało światło wielkich umysłów i ciepło wielkich serc.

Takim dyamentem — nieoszlifowanym naturalnie, jest

„Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego, w której przechowały się najlepsze dążenia, najpodniosłejsze pojęcia i uczucia ówczesnego szlacheckiego społeczeństwa, wypowiedziane z całą siłą wymowy i ogniem szlachetnego zapału, przez usta jednego z najzacniejszych a względnie i najrozumniejszych jego przedstawicieli.

Przez dwa blisko wieki nieznaną światu utwór ten, z chwilą odnalezienia, wywołał powszechny podziw wśród literatów zdumionych, bo nie mogących pojąć, jakim sposobem epoka uznana za czas upadku, mogła się zdobyć na podobne dzieło. Olśnieni blaskiem tego klejnotu krytycy nie dostrzegli jego plam i skaz a w zapale patryotycznym lecz nie krytycznym (Wojcicki, Mecherzyński), wyczerpali cały zasób pochwalnych epitetów, jakim rozporządzali. Publiczność przecie, choć jak zwykle przyjęła za prawdę „słowa mistrzów“, jednak nie podzieliła ich zapału i nie kwapiła się do bliższego poznania tego arcydzieła. Powtórne wydanie, które w lat trzydzieści po pierwszym się ukazało (r. 1880), zawdzięczamy czci dla tego utworu wśród jednostek, nie zaś żądaniom oświeconej części naszego społeczeństwa.

Rzecz widoczna, że ani przesadne pochwały Wojcickiego i Mecherzyńskiego, ani chłodniejsze i gruntowniejsze oceny Szajnochy, Bełcikowskiego i Tyszyńskiego nie zdołały przekonać publiczności, nie potrafiły przedstawić jej tego dyamentu w sposób uwidoczniający grające w nim ognie, których blask wynagradza hojnie plamy i chropowatości, rażące nawykłych do klejnotów delikatnie obrobionych i wykwintnie oprawionych. Ognie te wywołać może jedynie promień tego samego światła, które drga dotąd zamknięte w utworze, promień ducha autora i ducha ówczesnego społeczeństwa. Pochwycenie tego promienia stanowi operacją dość trudną i bardzo delikatną, której wykonać nie mogli dotychczasowi krytycy, ogarniający w swym badaniu cały obszar olbrzymiej prawdziwie działalności literackiej Potockiego. Jak badacz przyrody dostrzega w niewidzialnej prawie komórce lub cząsteczce prawa rozwoju i układu, którychby

daremnie szukał przez obserwacją całych brył lub złożonych organizmów, tak i w zakresie literatury rozbiór jednego trafnie wybranego utworu może dostarczyć światła, wyjaśniającego nie tylko całą działalność danego pisarza ale i epokę, której jest przedstawicielem. Ten wzgląd, w połączeniu z wyżej wskazanymi pobudkami, skłonił mnie do wyboru „Wojny Chocimskiej“ za przedmiot studyów, w których starałem się, o ile umiałem, pochwycić te niewidzialne nici, wiążące każdy donioślejszy utwór z duchem autora i życiem epoki, a przytem odtworzyć cały łańcuch pojęć, jakie przewodniczyły ówczesnym ludziom tak w tworzeniu jak sądzeniu płodów literackich.

Chciałem przytem uwydatnić czytelnikom dzisiejszym nie tylko tę bezwzględną, wiecznotrwałą piękność, której blaski przeświecają, choć przyćmione, w „Wojnie Chocimskiej“, ale i to drugie względne, czasowe piękno, zadawalniające w każdej epoce wymagania szerszego koła czytającej publiczności, lecz rażące i odstręczające czytelników z późniejszych pokoleń.

I.

Choć przebywaliśmy niejednokrotnie ciężkie bardzo chwile dziejowe, nigdy jednak nie trwały one tak długo, nie przedstawiały takiego nawału klęsk, takiego rozprężenia społecznego, takiego rozpaczliwego przeciwieństwa anarchii, nieradności i bezsilności w rządzie i społeczeństwie — z liczbą, potęgą i zawziętością występujących ze wszystkich stron nieprzyjaciół, takiego zniszczenia zasobów materialnych i rezultatów parowiekowej kultury — jakiem odznacza się okres dwunastoletnich wojen od 1648 do 1660 r. Początek tego dziejowego kataklizmu odmalował z wielką prawdą i siłą Szajnocha w dziele „Dwa lata dziejów“; dalszy przebieg przecie i stan kraju po uspokojeniu się burzy nie znalazły dotąd równie uzdolnionego historyka. Kto ma odwagę odczytać olbrzymią rymowaną kronikę tych wojen, skreśloną, pod

świeżem wrażeniem wypadków, przez Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, ten, wśród sucho i prozaicznie opowiadanych szczegółów akcji wojennej i politycznej, spotka dość często pełne prawdy i siły wykrzyki bólu, oburzenia i rozpacz, wyrwające się z chłodnej piersi dworzanina i panegirysty urzędowego, na widok tego, co się dokoła niego dzieje.

I niech sobie światowych ruin kto natworzy,
 Niech stawi przed oczyma królestw inszych zguby,
 Troję upadającą i dom z nią Hekuby,
 Popioły Numancyi, Sagunty zburzone,
 Zunety, Kartageny z gruntu wywrócone, —
 Oplakańszy daleko (Bóg li w swojej pieczy
 Już jej niema) naszej stan Pospolitej Rzeczy.
 Bo tam termin przejrzały prątkiej był ruinie
 A ta kona powoli i dziesięć lat ginie.

.....
 Światowi wszystkiemu
 Ze Wschodu i Zachodu z Południa i Północy
 Nie było z-to potęgi i naszej już mocy
 Im odeprzeć...
 Co większa nieprzyjacieli tam palił i ścinał
 Tu żołnierz nie karany chlebów swych dopinał
 I mizerne domowe przeżywał wnętrzości.

.....
Czem miasta pierwiej spustoszone
 Toż wsi zrosły odłogiem i wszystko powoli
 Sprawowanie roli
 W Polsce ustawało. Prócz tego nierządy
 Wielkie insze; od starych pokrzywione sądy,
 Senat z dzieci dobrany i mógł każdy żądze
 Swojej dopiąć, kiedy miał co chciał za pieniądze.
 Snadno nędznym dokuczyć i popchnąć to ciało,
 Które ni krwie ni władze żadnej już nie miało.
 A przecie nie armaty i straszne te boje
 Jako więcej prywaty zgubiły nas swoje.
 Doma Aleksandry za stołem bijemy
 A na wojnę bez prochów i lontów idziemy...

Dla społeczeństwa przenikniętego przekonaniem o swej wielkości i potędze jakże bolesnym być musiał taki nagły upadek, takie upokorzenie:

Ach! byliśmy Trojany, była możność, była
Sława między narody, która przechodziła
Do obu oceanów...

wola Twardowski, który tak niedawno jeszcze opiewał złoty spokój i świetność czasów Władysława IV.

Taki gwałtowny przewrót w losach, takie silne i długo-trwałe wstrząśnienie, zgasiło przedewszystkiem utrzymujące się dotąd ogniska życia umysłowego, rozniecone pod wpływem prądów epoki odrodzenia, tak po większych miastach (Kraków, Lwów, Lublin, Poznań, Raków i inne), jak na dworze królewskim i po wielu tak magnackich jak i szlacheckich dworach. W pożarach i rabunkach miast niszczały szkoły, księgozbiory, drukarnie; po kościołach i dworach wiejskich również ruchawka Chmielnickiego i szwedzcy żołdacy popalili i porabowali zbiory ksiąg, dokumentów historycznych i artystycznych zabytków, zgromadzonych przez kilka stuleci. Życie umysłowe ustaje chwilowo; Twardowski ucieka ze zniszczonej siedziby (Zarubińce pod Zbarażem), unosząc swe prace literackie jedynie i na drugim krańcu kraju (w Wielkopolsce), szuka schronienia, skąd wypłasza go znów najazd szwedzki, zmuszając do chwycenia za oręż w podeszłym już wieku; Zimorowicz patrzy z boleścią na zniszczenie swego cichego domku w uroczem położeniu pod murami Lwowa; Kochowski i Potocki służą w pospolitem ruszeniu. Zubożenie materialne wszystkich stanów przez pożary, rabunki i ciągle opłaty i kontrybucye, bądź przez najeźdźców wybierane, bądź też nakładane przez sejmy na obronę kraju, uniemożliwiło, zwłaszcza przy warunkach nieprzyjaznych dla rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu — przywrócenie do poprzedniego stanu tego, co wojna zniszczyła.

Prądy epoki Odrodzenia rozwinęły wprawdzie i w polskim społeczeństwie wyższy stopień życia duchowego, polegający na wyzwoleniu myśli i uczucia z zależności od form i formuł, ale stopnia tego dosięgły jedynie nieliczne grupy wśród zamożnego mieszczaństwa i garnącego się dość skwapliwie do nowego światła ziemiaństwa w południowo-zacho-

dnich okolicach dawnej Polski. Światło to roznosiły niezliczone jednostki, które odbywały nauki na zagranicznych uniwersytetach. Z upadkiem zamożności miast, wygaśnięciem dynastji Jagiellońskiej, tak dbałej o szerzenie oświaty, z przeniesieniem stolicy do Warszawy — życie umysłowe, niepodtrzymywane należycie, zaczęło gasnąć i średniowieczna pomroka, rozjaśniona chwilowo blaskiem kilku gwiazd, zapadać na nowo. Wcielenie Litwy i Mazowsza do państwowego organizmu Polski, dało polityczną i społeczną przewagę tłumom ciemnej szlachty litewsko-mazowieckiej, przedstawiającej, co do umysłowego i obyczajowego ukształcenia, ten stopień zaledwie, na jakim dziś znajduje się nasz włościanin. Nieliczna stosunkowo szlachta małopolska i wielkopolska, mimo całej swej wyższości umysłowej i obyczajowej, straciła swe znaczenie i nie mogła stawić czoła najazdowi tej butnej, ruchliwej, krzykliwej, silnej w rękę, lecz ciasnogłowej braci, która w krótkim czasie zdołała narzucić jej i swe obyczaje i swą wolę na sejmikach, a przytem swą zabiegłością i przemyślnością w gospodarstwie rolnem zagarnąć znaczną część jej posiadłości. Wprawdzie małopolscy ziemianie, dumni wielowiekową dawnością swych rodów i wyższością swej oświaty, pogardliwie spoglądali na takich przybyszów, „co wzięwszy *słci* albo się od Braclawia albo piszą się z Mazowsza“, ale swoją drogą przyznać musieli, że taki przybysz, mimo wątpliwego szlachectwa, braku wykształcenia i ogłady obyczajowej „trzęsie przecie sejmikiem“ i zastępując sprytem brak nauki, wrodzoną wymową nieznajomość Cycerona, pewnością siebie i butą brak wychowania, odgrywa ważną rolę w życiu politycznem i towarzyskiem ¹⁾.

Jedna religia mogła okiełznać fizyczną bujność tych ludzi i ukazać im potęgę, przed którą pokorniała ich buta. Przyjawszy w siebie te nowe żywioły, musiała piastowska Polska przechodzić z nimi powtórnie średniowieczną dobę i to nietylko w duchowym lecz i w polityczno-społecznym roz-

¹⁾ Por. Wojna Chocimska, str. 157.

woju. Dla nich była to konieczna szkoła, dla niej ciężka pokuta za błędy polityczne, niesprawiedliwość społeczną, życie nad stan, wygaśnięcie ducha rycerskiego i zaniedbanie uprawy umysłowej i obowiązków obywatelskich. Klęska Pila-wiecka, ten Sedan polskiego rycerstwa—skwapliwe poddanie się Wielkopolski Szwedom, a pod wielu względami i rokosz Lubomirskiego, oto jaskrawe pojawy choroby nurtującej organizm piastowskiej Polski, pojawy tłómaczące zarazem bezsilność polityczną i społeczną pierwotnych prowincyj wobec nowych żywiołów i wyrastającej z ich pomocą oligarchii. Bieda materyalna, sprowadzona długoletnimi wojnami i nierządkiem ekonomicznym, coraz silniej przykuwała średnią i drobną szlachtę do dworów magnackich, ciemnota i anarchia coraz konieczniejszem czyniła szukanie protekcji, rad i wskazówek u magnata dobrodzieja i opiekuna. Stosunki średniowieczne wytwarzały się tu same przez się; było to lennictwo tylko nieterytoryjalne ale moralne i materyjalne zarazem, nieprawne ale obyczajem uświęcone i określone co do natury usług i obowiązków obustronnych.

Wstrząśnienie spowodowane przez dwunastoletnie wojny i towarzyszące im klęski, przyspieszyło to rozwinięcie się średniowiecznych stosunków zarówno w życiu umysłowem jak i polityczno-społecznem. Z drugiej strony przyczyniło się ono wielce do zatarcia tych licznych a wybitnych różnic, jakie przedstawiały dotąd w pojęciach, obyczajach i uczuciach rozmaite części Rzeczypospolitej. Wspólność niedoli, wspólność nienawiści przeciw najeźdźcom, koleżeństwo obywatelskiego życia, konieczność szukania nowych siedzib w miejscach spustoszonych, zbliżyły z sobą ludzi i obudziły w nich poczucie jedności, słabe wprawdzie ale zawsze stanowiące ważny krok naprzód w dziele wytwarzania się jednolitego organizmu narodowego. Jedyną też to było korzyścią jaką osiągnęła Rzeczpospolita z tak ciężkiego przejścia. Straszne to i kosztowne doświadczenie nie otworzyło wcale oczu na przyczyny złego, już nietylko mazowiecko-litewskiej szlachcie, po której trudnoby się tego spodziewać, ale ziemiaństwu

dawnej Małopolski i Wielkopolski, liczącemu wtedy sześć wieków życia politycznego i od sześciu wieków ulegającemu wpływom cywilizacji zachodniej. Jak w wieku XVIII wpływ francuskiej oświaty sprowadził trwałe i ogólne przekształcenie w ubiorze tylko i zwyczajach życia towarzyskiego, tak i prądy wieku odrodzenia przekształciły tylko w XVI w. urządzenie domów, stroje i tryb życia, odnośnie do pokarmów, napojów i zabaw; idee zaś tego wieku przyjęły się w nielicznych tylko umysłach i znikły wraz z nimi nie znajdując dla siebie gruntu. Dzieła tych wyjątkowych umysłów zostały w XVII wieku zapomniane zupełnie. To też po przebyciu strasznego przesilenia, wszystkie umysły światlejsze czują, że przyczyny tych klęsk szukać należy nie w złej woli nieprzyjaciół, ale w błędach narodu; jednak nie umieją sobie jasno określić istoty tych błędów, istoty złego tkwiącego w organizmie Rzeczypospolitej. Jedno złe tylko zwracało na siebie powszechną uwagę, a mianowicie upadek ducha rycerskiego, wygaśnięcie dawnego męstwa, udowodnione haniebnymi porażkami w wojnach z kozakami i przypisywane powszechnie zniewieściałości i zbytkom, wynikłym z przejścia zwyczajów i trybu życia od ludów zachodnich.

Drugą przyczynę nieszczęść krajowych dopatrywano, i to na całym obszarze Rzeczypospolitej, choć z niejednakowych powodów, w królach cudzoziemcach, zagrażających nieustannie swobodom szlacheckim, troszczących się przeważnie o swoje sprawy i lekceważących tradycje i zwyczaje narodowe. Jedyłą więc deską ocalenia, jedyną reformą, jaka miała zabezpieczyć Rzeczpospolitą od ponowienia się podobnych nieszczęść był wybór króla rodaka, króla-Piasta, jak się wyrażano. Wierzano, że sam widok rodaka na tronie rozbudzi w narodzie i utracone męstwo i ducha obywatelskiego, że na jedno jego skinienie zapełni się pusty skarb, pojawią hufce dzielnego rycerstwa, znikną gwałty i nadużycia, ustaną zbytki a złoty wiek wolności, sprawiedliwości, potęgi i pokoju zakwitnie w dziedzinie Lecha. Oprócz tych wspólnych nadziei,

jakie opierano na wyborze, do którego przecie nie upatrzone jeszcze kandydata, hasło to miało swe specjalne znaczenie, inne dla Małopolan a inne dla Mazurów i Litwinów. Dla pierwszych wyrażało ono powrót do staropolskich urzędzeń, do obyczajów piastowskiej epoki, z którymi razem powrócić muszą dawne cnoty i dawne znaczenie starożytnych rodów szlacheckich tych prowincyj, jako jedynie przechowujących czysto prawdziwe pojęcia o szlachectwie i obowiązkach tego stanu. Dla drugich znowu znaczyło to głównie prawo swobodnego głosu na elekcyi, prawo wybierania kogobądź i stawienia choćby swej własnej kandydatury. Bądź co bądź było to hasło streszczające w sobie wszystkie pragnienia i wszystkie nadzieje znękanego tyloletniemi klęskami narodu, to też przemogło ono nad zabiegami dyplomatów partyi francuskiej. Nasunięty przypadkowo uwadze szlachty zebranej na elekcyę księżę Michał Wiszniowiecki, ponieważ ubóstwem swem przypominał legendowego Piasta, a jako syn męznego wodza z czasów wojen kozackich, powinien był odziedziczyć ducha rycerskiego,—urósł w jednej chwili, w zapalnej fantazyi szlacheckiej, na tego wymarzonego przez nią króla rycerza, Piasta-wybawcę, i zasiadł najniespodziewaniej na tronie. Aureola cudowności roztoczyła się po nad tym wyborem. Wobec obioru tego nieznanego i nie marzącego nigdy o koronie człowieka, wbrew zabiegom partyi francuskiej, rozporządzającej licznemi środkami, naród uznał w tem wolę Boga i widoczny dowód jego opieki nad Rzeczpospolitą. Zapał ogólny nie miał granic; przyszłość cała przedstawiała się teraz w barwach najpiękniejszych. Nowego króla zasypywano darami. W sto lat później podobny wybuch zapалу powtórzył się wskutek uchwalenia przez sejm czteroletni 100,000 wojska. I nieraz jeszcze ponawiał się ten fajerwerk, po którym tym gęstszemi, tym przykrzejszemi wydawać się musiały ciemności, jakie po chwili wracały. Co najsmutniejsza przecie, to każdorazowa utrata sił i wiary w przyszłość, które splonąwszy w potężnym wybuchu, zostawiały społeczeństwo

bez światła, któreby je mogły prowadzić, bez energii i odwagi do posuwania się powolnego śród mroku.

Elekcya Wiszniowieckiego nie tylko zniweczyła starania partyi francuzką zwanej o wprowadzenie silniejszego rządu, ale i stłumiła budzące się w narodzie poczucie konieczności reform tak w rządzie jak i obyczajach, konieczności odrodzenia się moralnego, które upatrywano w powrocie do staropolskiego ładu, do pradziadowskich cnót i obyczajów. Opaliński, Starowski, Kochowski, Twardowski i Potocki nawołują szlachtę do poprawy życia, powściągnięcia zbytków i swawoli, ale niestety, głosy poetów i publicystów są bezsilnemi zawsze, jeżeli nie wesprą ich instytucye, jeżeli głoszone przez nich idee nie pobudzą śmiałych inicjatorów, którzyby je wcieliili w odpowiednie prawa i urządzenia. Gdy ów posiadzony na tronie Piast,—od którego wyczekiwano wszystkiego, choć nie dano mu środków odpowiednich,—okazał się słabym i nieudolnym, wtedy opuszczono ręce i z tym większą żarliwością uchwyciono się jedynej idei, która nie straciła kredytu, lecz przeciwnie, wobec doznanego zawodu, tem większej nabrała siły—idei religijnej.

Ta suma wrażeń budzących trwogę i rozpacz, niepokój o jutro, o losy najbliższych, o własne życie i mienie, klęski materialne i moralne, powtarzające się przez tyle lat, musiały wywołać w umysłach szereg odpowiednich pojęć i nowych uczuć, równoważących te wrażenia i łagodzących wywołane przez nie cierpienia, inaczej bowiem niepodobnaby było znieść takiej ciągłości jednostronnie przygnębiających stanów duszy bez rozstroju władz umysłowych. Nie brakowało zapewne ludzi, którzy, jak to o sobie Pasek niejednokrotnie opowiada, w trunku szukali lekarstwa na zabicie fraunku lub też wpadali w stan idyotycznego zubożenia i niedbałości na wszystko. U znacznej większości narodu klęski te rozbudziły lub spotęgowały uczucie religijne, których wewnętrzzenie przybrało rozmaite formy, odpowiednio do stopnia rozwinięcia umysłowego różnych grup i warstw społecz-

nych. U jednych wyraziło się ono bezmyślnem powtarzaniem pacierzy, odbywaniem pielgrzymek do miejsc cudownych i rozlicznemi czysto formalnemi praktykami; drudzy starali się znowu pozyskać opiekę niebios darami i zapisami na pobożne i dobroczynne cele, odnawianiem porujnowanych przez wojny świątyn, zakładaniem nowych kościołów i klasztorów; wielu wreszcie znękanym materyalnemi i moralnymi stratami szukało w klasztorach pożądanego tak spokoju i pociechy dla duszy w ciągłym obcowaniu z Bogiem. Twardowski, który ze światowego dworzanina stał się czynnym członkiem aż dwóch bractw pobożnych (u Bernardynów w Kobylinie około 1653 r.), zachęca płeć niewieścią do życia klasztornego, przedstawiając w „Nadobnej Paskwalinie“ tryumf miłości niebiańskiej, chrześcijańskiej nad pogańską, zmysłową. Kupidyn zwyciężony odbiera sobie życie, a nadobna bohaterka poświęca swą urodę Bogu i zostaje ksienią w klasztorze. Po raz pierwszy religia zespoliła się u nas tak silnie z życiem społeczeństwa; ksiądz wogóle, a zakonnik w szczególności, zaczął w życiu towarzyskiem używać szacunku i sympatyj, jakiej nie znał w wiekach poprzednich.

Najpodnioslejszą formę przybrało uczucie religijne tam naturalnie, gdzie życie umysłowe zdawna już się rozwinęło, mianowicie na południowo-zachodnim pograniczu Rzeczypospolitej. Świadomość błędów politycznych i niesprawiedliwości społecznych, świadomość zaniedbania obowiązków i zapomnienia cnót obywatelskich obudziła tam myśl o potrzebie odrodzenia się moralnego i narodowego, prześlągania Boga za popełnione winy dobrymi czynami, a nadewszystko ofiarą krwi własnej w obronie ojczyzny i kościoła przeciw niewiernym. Konfederacja Tyszowiecka była pierwszym objawem tego dodatniego dążenia, objawiającego się głównie wśród ziem małopolskich, z pośród których wyszedł ówczesny wybawiciel Rzeczypospolitej — Stefan Czarnecki.

Uczucia te i pojęcia znalazły również wymownych tłumaczy i żarliwych propagatorów w dwóch małopolskich poetach: Kochowskim i Potockim i wydały dwa najciekaw-

sze i najwybitniej charakteryzujące życie duchowe tej epoki utwory: *Wojnę Chocimską* i *Psalmodyę* ¹⁾).

Pierwszy z nich wybrałem za przedmiot niniejszego studium, gdyż odbija nietylko najgłębszą treść ówczesnego ducha narodu, ale zarazem odtwarza liczne barwne i wybitne rysy jego zewnętrznego życia. Jak w rzeczywistości ówczesnej tak i w poemacie Potockiego myśli i uczucia podniosłe splatają się z rubasznymi i pospolitemi, szczegóły dodatnie z ujemnymi w całość niejednorodną ale bogatą pod względem treści, tworzą obraz nie piękny, bo brak mu harmonii, symetrii i perspektywy, ale wierny, szczery i zajmujący w drobiazgach swoich jak płótno flamandzkiego mistrza. — Myśl przewodnia nie przenika tu wszystkich szczegółów, lecz snuje się wśród nich jak owe wstęgi z napisami na starych obrazach, wychodzące z ust postaci lub unoszące się nad ich głowami.

II.

Nim zaczniemy rozpatrywać się bliżej w samym utworze, wypada nam, w warunkach otoczenia i kolejach życia jego autora, poszukać źródeł tych pojęć i uczuć, tych tradycji i wrażeń, których wierne i dosadne odtworzenie czyni *Wojnę Chocimską* tak zajmującym i pouczającym świadectwem życia naszych praocjów w drugiej połowie XVII wieku.

Szczupły zapas wiadomości, jakie o życiu Wacława Potockiego zebrał i podał Szajnocha (*Szkice Historyczne*, T. I), został dopiero w ostatnich latach zubożony nowymi danymi w pracach prof. Czubka (Kraków 1895) i prof. A. Brücknera („Ostatnie lata Wacł. Potockiego“, Kraków 1896 i „Spu-

¹⁾ Starowolski i Kordecki są przedstawicielami tego rozbudzenia życia duchownego wśród duchowieństwa małopolskiego. „Lament“ Starowolskiego można postawić obok „Psalmodyi“, jak „Reformacją obyczajów“ obok satyrycznych ustępów „Wojny Chocimskiej“.

ścizna rękopiśmienna“, Kraków 1898 i 9, tudzież w „Przeglądzie polskim“ z r. 1902).

Potocki pochodził ze starodawnego i licznie rozgałęzionego rodu Szreniawitów, którego pierwotną siedzibą była piękna i żyzna dolina rzeczki Szreniawy, przerzynającej dzisiejszy powiat miechowski w kierunku od Miechowa na Słomniki i Proszowice ku Wiśle, do której wpada pod Koszycami. Szreniawa, pierwotne „zawołanie“ (hasło i godło wojenne) całego rodu, przeszła później na miano herbu wielu pojedynczych rodzin, powstałych po rozbięciu pierwotnej rodowej organizacyi. Te nawet rodziny, które inny herb lub inną nazwę dla pierwotnego godła przyjęły, mieszkając w okolicach pierwotnego gniazda nie zatracaly z pamięci:

...spólnej strugi

Któraśmy długim pasmem, jako bieży z góry,
Jeszcze kiedy rozmierzał Lech tę ziemię sznury,
Kiedy Krakus, gdzie smocy ludzie żywo jedli,
Miasto swoje stołeczne zakładał, osiedli.
Przy tej ścianie gdzie nieba bystre Tatry bożą,
Gdzie nas winną *Lyaeus*--podsycą jagodą,
Zkąd, jako orzeł z gniazda, koń trojański z brzucha,
Odważne kawalery (nie ujrzysz piecucha)
Wysadza na theatrum koronnego świata.

Tak mówi o swym rodzie sam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiej“ i w słowach jego nie należy dopatrywać czezej przechwałki, panegirycznej przesady, lecz istotne przeświadczenie oparte na odległej starożytności i wielowiekowej służbie tego rodu (a raczej całego ziemiaństwa okolic Krakowa), w sprawie kraju i cywilizacyi. To też każdy Szreniawita czuł się o wiele lepszym obywatelem, o wiele dostojniejszym szlachcicem od mieszkańca Mazowsza lub puszczy Zaniemeńskich; pojmował przytem, że powinien służyć innym za wzór rycerza - obywatela, że oświata, z jakiej od tyłu pokoleń korzysta, czyni go wyższym umysłowo i moralnie, nakłada obowiązek nauczania i oświecania młodszej braci. Nie każdy wprawdzie Szreniawita pojmował tak pod-

niośle swe obowiązki, o ile wysoko cenił swą rodową dostojność, ale nam chodzi tu o wyjaśnienie źródła pojęć i uczuć jednego tylko, w którym ród ten znalazł tak świetnego przedstawiciela.

Urodził się Wacław Potocki w Woli Łużeńskiej, w okolicach Grybowa, na Podgórzu karpackiem; datę urodzenia (1625 r.) wskazują dane, zawarte w „Trenach“ na śmierć syna, a także i ustęp z „Pocztu herbów“, wydanego w r. 1696, w którym poeta nazywa się „siedmdziesięcioletnim starcem“¹⁾.

O stosunkach rodzinnych Potockiego nie wiele wiemy; miał on dwóch braci, z których jeden Jerzy był sędzią krakowskim, drugi Jan stolnikiem Bielskim. Pochodzili z rodziny aryańskiej i dopiero po wydaniu w r. 1658 prawa wydającego arian z kraju, przyjęli wszyscy bracia katolicyzm, żony ich jednak zostały aryankami. Czy swoją późniejszą zamówność, o jakiej świadczy, prócz posiadania rozległej i ludnej wsi na Podgórzu karpackiem, własne wyznanie poety w dedykacji Syloreta swej synowej, zawdzięczał bogatemu ożenieniu i pracy, czy też mienie to przypadło mu w spadku po rodzicach, o tem dla braku dowodów nie można nic pewnego powiedzieć. Również domyślać się wolno tylko biografowi, iż autor „Argenidy“ odbywał nauki w Krakowie i tam miał sposobność zawiązać stosunki tak z Kochowskim Wespazyanem jak i Janem Sobieskim. Dość rozległa erudycya, jakiej dowodem jest przedewszystkiem przedmowa do „Wojny Chocimskiej“, świadczy, iż Potocki w swej młodości dużo czasu poświęcał studjom.

W jakich warunkach i pod jakimi wpływami arianizm Potockiego przekształcił się w gorliwą religijność, noszącą piętno katolickie, o tem brak wszelkich świadectw.

¹⁾ W wierszu do Andrzeja Żydowskiego (str. 278), w przedmowie zaś do rycerstwa polskiego mówi: „sześćdziesiąt lat dochodzi jako z mężnych dłoń raz dobytých do pochew nie chowacie broni“. Utwór sam pisał widocznie w lat 60 po Wojnie chocimskiej, zaś wiersz do Żydowskiego dopisał r. 1695 przy oddaniu do druku.

Nie znając kolei życia Potockiego, nie możemy oznaczyć bliżej warunków, wśród których rozwijały się pojęcia i uczucia, z jakimi spotykamy się w „Wojnie Chocimskiej“, nie możemy nadewszystko przedstawić głównych momentów tego procesu duchowego, którego rezultat jedynie mamy przed sobą. Domyślać się tylko możemy, iż jako członek zamężnej rodziny, potomek starodawnego rodu, człowiek posiadający piękne mienie, dobrą głowę, serce szlachetne i liczne stosunki wśród małopolskiego ziemiaństwa, musiał brać czynny udział w życiu towarzyskiem i publicznem, że był nietylko pożądanym dla dowcipu i wymowy i oglądy obyczajowej gościem, ale też chętnie słuchanym doradcą i mówcą na obchodach i zebraniach. Czy w młodości swej służył wojskowo—nie wiemy; później brał, o ile się zdaje, udział w pospolitem ruszeniu w czasie wojen kozackich i szwedzkich ¹⁾; sceny wojenne i obrazy obozowego życia w „Wojnie Chocimskiej“ są nakreślone tak żywo, drobiazgowo i z takim realizmem, że tylko osobiste wrażenia i własne doświadczenie mogło dostarczyć poecie tych barw i rysów.

Wojny i wypadki z epoki 1648 do 1668 r. musiały naturalnie wywrzeć wielki wpływ na Potockiego. Wpływ ten przecie podziałał nie tyle na umysł ile na serce; zamiast zburzyć dawniejsze pojęcia i dać początek układowi nowych grup, podniecił jedynie patryotyzm i ducha religijnego. Widząc w spadających na kraj klęskach gromy zagniewanego Boga, nie pomyślał on nawet, z ogółem ówczesnej szlachty, by rozpatrzyć się w fundamentach rozpadającego się gmachu, lecz szukał jedynie najbliższej przyczyny tak strasznej kary i takiego gniewu Bożego. Przyczyną tą wydało mu się zaniedbanie posłannictwa ciężącego na szlachcie i polegającego na ciągłych bojach z niewiernymi w sprawie religii. Zaniedbanie to znowu wynikło ze zniewieściałości, zbytków i wpływu cudzoziemskich obyczajów, wprowadzonych głównie przez królów cudzoziemców, którzy przytem nie rozumiejąc

¹⁾ Por. ustępy na str. 68 i 70.

pojęć, obyczajów i dążeń narodu, nie mogli w nim podtrzymać rycerskiego ducha i przestrzegać wiernego wypełnienia świętego posłannictwa. Ztąd pochodzi u Potockiego ta zacięta niechęć ku królom z dynastyi Wazów, którym przypisuje znaczny udział w nieszczęściach krajowych. Nie wiemy wprawdzie jak się zachowywał Potocki podczas rokoszu Lubomirskiego, jednakże zarówno widoczna życzliwość dla tej odrośli Szreniawitów, występująca wielokrotnie na kartach „Wojny Chocimskiej“, jak i niechęć ku Wazom a Janowi Kazimierzowi w szczególności, o której świadczy przedmowa do tego poematu, pozwalają nam domyślać się, iż stał po stronie rokoszan i jedynie może dla podeszłego wieku nie brał udziału w bratobójczych walkach.

Gdy więc, z wielką radością Potockiego, znienawidzony Waza ustąpił dobrowolnie z tronu, dla którego nie mógł znaleźć potrzebnego oparcia, otucha najżywsza napełniła jego serce pałające miłością dla Rzeczypospolitej. Teraz otwierała się, w mniemaniu jego, narodowi pora i pole do rehabilitacyi, do odświeżenia przyćmionego blasku i upadłej wielkości. Nic nie przeszkadzało już do przywrócenia dawnych obyczajów, za którymi zawitają dawne dobre czasy. Dość osadzić na tronie króla rodaka — Piasta, a powróci dawne męstwo, prostota życia, uczciwość, pobożność, a z niemi wielkość i potęga czasów Bolesławowych.

Chcąc w miarę swych sił i zdolności przyczynić się do urzeczywistnienia najrychlejszego tej wymarzonej ery szczęścia, swobody i potęgi, zamierza Potocki wypowiedzieć te idee w wymownym manifestie, przedstawić zarazem współczesnym wzór do naśladowania i to wzór tym więcej zachęcający, iż wzięty nie z odległych wieków lecz niedalekiej przeszłości.

Co pobudziło Potockiego do rymotwórczej działalności, kiedy i od czego zaczął swój zawód literacki, tego dotąd nie wiemy. Być może, iż powodzenie szkolnych ćwiczeń, przy wrodzonej łatwości w nadawaniu swoim słowom wierszowego układu, było pierwszą podniętą do dalszego uprawiania

tego pola. Silniejszym bodźcem były zapewne pochwały i zachęty grona wesołych towarzyszków, wśród których przy kielichu tworzył Potocki drobne okolicznościowe wierszyki lub przyoblekał w rymowaną szatę ulubione facecye i anegdoty. Posyłając zbiór Fraszek swemu „bratu“ Andrzejowi Żydowskiemu (stolnik i sędzia grodzki krakowski, a później chorąży), powiada, iż pisał je „przed lat trzydziestą jeszcze z młodu“. Czując się na siłach i zachęcany zapewne przez krewnych i przyjaciół by nie marnował przyrodzonego „dowcipu“, zaczął z kolei podejmować coraz większych rozmiarów i poważnej treści utwory. Jedną z pierwszych prac była prawdopodobnie „Smutna przygoda i śmierć żałościwa nadobnej Wirginii dziewicy rzymskiej rymem opisana 1652 roku“¹⁾.

Dla umniejszenia sobie trudu Potocki brał zwykle jakiś łaćniński poemat lub romans i takowy z wszelką swobodą nie przekładał ale raczej odtwarzał, rozszerzając, skracając lub przekształcając dowolnie. W ten sposób została utworzona „Argenida“, napisana około r. 1666. Czy to jednakże skutkiem nieufności w swój talent, czy dla zbytnej drażliwości o honor swego rodu, trzymał Potocki utwory te w rękopisie, odczytując jedynie rodzinie i dobrym znajomym i posyłając je od czasu do czasu w darze komuś z bliższych, z obszerną i czułą zwykle dedykacją. „Fraszki“ obdarza, jak to już wspomnieliśmy, swego „brata“ Andrzeja, „Syloreta“ poświęca z rzewną przedmową wdowie po jednym z synów, Aleksandrze z Rościszewskich Potockiej, „Wojnę Chocimską“ swemu zięciowi Andrzejowi Lipskiemu.

Z podobnego postępowania wnosić można, iż Potocki

¹⁾ Piotr Chmielowski w rozbiórce tego poematu („Tyg. Illustr. z maja 1881 r.), opierając się na ustępie odnoszącym się widocznie do śmierci syna poety, chce datę napisania tego utworu posunąć o 20 lat, jednakże prócz dowodów, jakie się nam nasuną w dalszym ciągu tej pracy widzimy, że i sam rękopis „Wojny Chocimskiej“ — jak świadczy opis jego przy pierwszym wydaniu (str. XIII i nast.) zamieszczony, ulegał późniejszym przeróbkom i dopelnieniom; toż samo mogło mieć miejsce i w „Przygodzie Wirginii“.

uważał rymotwórstwo za przyjemną i przystojną dla szlachcica rozrywkę i że z początku nie myślał wcale służyć swym piórem sprawie publicznej. Z wiekiem dopiero, gdy starzejącej się dłoni oręż ciężyć zaczynał, zmienił swe przekonania pod tym względem.

Na zmianę tę wpłynąć mogły, prócz wielu innych czynników, ówczesne pojęcie o istocie i zadaniu poezji. Przewszystkiem należy zwrócić uwagę, że nietylko u nas lecz i w zachodniej Europie, sztuka wtedy nie wyzwoliła się jeszcze z zależności od rzemiosł z jednej, a od nauki z drugiej strony. Jak nie uznawano różnicy między malarzem artystą a malarzem rzemieślnikiem i obu zaliczono do jednej korporacji, tak z drugiej strony nie robiono różnicy między uczonym, literatem a poetą. Łatwość wyrażania myśli w wierszowej formie (zwłaszcza po łacinie), była miarą zdolności i mądrości ówczesnych uczonych. Wszystko, co stanowiło treść nauki, mogło służyć za osnowę utworu poetycznego, ztąd tak często spotykamy w dawniejszych wiekach poematy astronomiczne, teologiczne, filozoficzne, ztąd nietylko prawidła gramatyki i retoryki, ale także zasady uprawy roli, gry w szachy i t. p. wykładano wierszem. Wszystko, co chciano trwale upamiętnić (fakt dziejowy, zasługi pewnej jednostki), jak również te reguły czy też szczegóły pewnej nauki, które należało wpoić w pamięć ucznia, przybierano w formę wierszową. Jedynym zadaniem sztuki w mniemaniu ówczesnych było, prócz chwały Bożej, przekazywanie dla potomności wydarzeń wieków poprzednich i zasług wielkich ludzi. Doniosłe dziejowe wydarzenia upamiętniano wznoszeniem świątyń i kościołów, zasługi i czyny ludzkie posągami i wizerunkami. Jednakże pamiętki te łatwo i często niszczy „zazdrość ludzka“ powiada Potocki¹⁾, jedno pismo tylko jej się nie lęka, ono jedynie mogło przechować nam wiadomości nietylko o wielkich tryumfach lecz i o wielkich klęskach, nietylko o wielkich czynach i cnotach lecz i o strasznych zbrodniach.

¹⁾ Wstęp do Wojny Chocimskiej, str. 39 i 40.

Jak całe znaczenie kolumny, posągu lub wizerunku polega na zasługach i czynach jakie unieśmiertelnia, tak cała wartość utworu poetycznego polega przedewszystkiem na jego treści i na faktach, jakie upamiętnia i bohaterach, jakich opiewa. Iliada i Eneida zawdzięczają swą sławę i piękność temu, iż opisują wielkie czyny i wielkich bohaterów dwóch największych ludów starożytnych. Zasługa Homera i Wirgiliusza polega głównie na wyborze przedmiotu, na podjęciu tak wdzięcznego i zaszczytnego zadania. Ówczesnego polskiego czytelnika zachwycała Iliada lub Eneida, nie pełnem prawdy i plastyki odtworzeniem życia starożytnego, obrazami przyrody i uczuć ludzkich, ale samą jedynie treścią, samą fabułą, nadzwyczajnymi przygodami bohaterów i bogów. Pierwszy Kochanowski w „Muzie“ sformułował i wyrozumował główną zasadę ówczesnej poetyki, iż Muzy są córkami pamięci i ztąd zadaniem ich upamiętniać wielkich ludzi i wielkie czyny, albowiem to tylko pozyska sławę nieśmiertelną, co upamiętni poeta ozdobnym rymem. Kochanowski, choć nie pojmował jasno lecz odczuwał piękności Iliady i Eneidy i dlatego nie czując się na siłach, by „mężom i bojom podołać“, wołał ograniczyć swą działalność epicką na drobnych poemacikach jak „Proporzec“, niż w zamierzonym ale niewykończonym „Władysławie pod Warną“ narażać się na porównanie, jeżeli już nie z Homerem i Wirgiliuszem, to przynajmniej z Tassesem. Inni przecie wierszopisowie nie wiele sobie robią zachodu z temi wielkimi imionami. Taki Maciej Strykowski naprzykład w przedmowie do „Wjazdu do Krakowa Henryka Walezego“, stawia siebie z całą naiwnością po nad Wirgiliuszem i Owidyuszem, „bo oni folgując ozdobie chybiałi gościńca a tak słów nie rzeczy tylko byli historykami“, on zaś „pisał poprostu, bo prostoty potrzebuje prawda“. Słowem, w tych dwóch rzymskich poetach widzi on swych kolegów kronikarzy i to nieszczególnych, bo zamało dbających o prawdę. Twardowski Samuel, który w dwóch olbrzymich poematach zostawił rymowaną kronikę wypadków od 1600 do 1660 r., z góry upewnia czytelnika, iż daje

mu zupełnie prawdziwą opowieść“ („gołą naracyą“), bez barw i ozdób poetyckich“, że pisze to tylko „co prawdziwego rozumiał“ i rzeczywiście w utworach swoich jest suchym i drobiazgowym kronikarzem współczesnych wypadków i choć chwilami staje się wymownym a nawet podniosłym, to zaraz wraca do swej poprzedniej roli. Najdobitniej wypowiedział to pojęcie o poezji Kochowski w dedykacji swego zbioru królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu:

Muzy są bowiem córkami pamięci
 Kiedy imiona bohaterów głośzą;
 Te królom ryją na wieczność pieczęci
 I chwałę w różne klimata roznoszą.
 Instrumentami ich ktoś pańskich dzieł zowie
 Ja, że są sławy w potomność posłowie.

W wierszu p. t. „Muzy potrzebne Marsowi“ stanowczo twierdzi, że „Jeśli grono dziewiętne, Dam parnaskich niechętnie — A Kaliopy piórem sławne dzieje, Na świat nie wyjdą, zwycięstwo zniszczeje“, Ilium gdyby „nieznało Homerowych chęci w wiecznej by dawno zgasło niepamięci“, również „waleczność wielkiego Macedona dla tego dzisiaj w takowej jest cenie, że wzięła na wieczność paszport w Hipokrenie“. To samo powtarza Kochowski w innym wierszu: „Muzy“. Zgodnie z tą teorią nazywa Twardowskiego „Wirgiliuszem słowiańskim“ i twierdzi z całym przekonaniem, że posiadając go Polska nie ma co zazdrościć „Mantuej wieszczka“. Treść poematów Twardowskiego interesuje go daleko więcej niż opowiadania Enejdy o tak odległych półbajecznych czasach; artyzm rzymskiego mistrza nie istnieje dla niego; nie czytał on prawdopodobnie Enejdy w całości, a szkolny wykład odwrócił jego uwagę od prawdziwych piękności nudnym, pedanckim komentowaniem drobiazgów, które zniechęciło do bliższego poznania całego poematu.

Sława Twardowskiego mogła skłonić Potockiego do spróbowania sił na tym samym polu. Inna szlachetniejsza pobudka zachęcała go również do wstąpienia w ślady autora

„Legacyi“. Skoro, według przedstawionego powyżej poglądu ówczesnego, poetyczne dopiero odtworzenie zapewniało nieśmiertelność faktom i postaciom dziejowym, przeto uchronienie od zagłady w toniach niepamięci świetnych wydarzeń z dziejów narodowych było obywatelskim obowiązkiem każdego uzdolnionego i stanowiło prawdziwą zasługę. Mając przed oczami wierny obraz męstwa, cnót i potęgi przodków, potomkowie znajdują w nim otuchę w niedoli, pobudkę i wzór do naśladowania i pod tym względem przeto poeta przysłuży się ojczyźnie i zjedna sobie prawo do wdzięczności odległych pokoleń.

Pojmując, a więcej odczuwając potrzeby i pragnienia społeczeństwa w chwili, gdy abdykacya Jana Kazimierza postawiła je w konieczności radzenia o sobie i wytknięcia kierunku na przyszłość, powziął Potocki prawdziwie znaczną i podniosłą myśl, godną prawdziwego poety i obywatela, myśl odtworzenia w wielkim poemacie jednej ze świetnych chwil dziejowej przeszłości, by zarówno swemu społeczeństwu, jak i całemu światu przypomnieć, wobec świeżych klęsk i upadku politycznego, dawniejszą wielkość i zasługi Rzeczypospolitej. Świetny tryumf oręza, a w istocie strategii wodzów polskich nad olbrzymią armią turecką, która w 1621 r. rozpostarła się obozem na polach podchocimskich, stwierdzał w duszy poety jego silną wiarę, iż Bóg sprzyja tym co walczą dla chwały jego imienia, że walka z niewiernymi jest zadaniem polskiego rycerstwa, które należy na nowo podjąć, by odzyskać Boże błogosławieństwo dla Rzeczypospolitej. Upamiętniając rymem ten wielki fakt dziejowy, chce poeta dla obecnego i przyszłych pokoleń stworzyć pobudkę do męstwa w perspektywie zarówno „niebieskiego indygenatu“, który „wódz wojsk anielskich“ udzieli tym, co mu „sprezentują blizny“, poniesione w obronie wiary, jak i ziemskiej nieśmiertelności, którą zapewnia czynom bohaterskim poezya, ilustrująca je całym zasobem ozdób, jakimi starożytni poeci uczcili swych bohaterów.

Myśl swoją wymownie i z całą siłą uczucia wypowiada niejednokrotnie w poemacie wołając do współziomków:

Patrzcie na świątobliwe ojców swych obrazy
Które dokąd świat stoi nie uznają skazy,
Patrzcie a kinawszy cień marnych ozdób płony,
Ich się imcie, przykładem Sarmackiej Bellony.
. których całem gardłem
Niech Muzy moje pieją aby takie pieśni
Potomków ich ruszyły ze snu, z drzymu, z pleśni. (Część III).

Czyż nie tego samego pragnie wielki wieszcz, gdy chce „ojczystą piosenką“ rozbudzić w sercach rodaków „dawną wielkość duszy i dawne serca bicie“ i sprawić „by choć jedną chwilę tak górnie przeżyli jak ich ojcowie niegdyś całe życie“?

Wybór sam przedmiotu, oceniając go z dzisiejszego stanowiska, nie możemy nazwać szczęśliwym. Studya nad rozwojem dziejowym wszystkich literatur stwierdziły słowa poety niemieckiego, że „co ma żyć w pieśni winno zagać w rzeczywistości“, że fakt dziejowy czy też życie pewnej epoki wtedy może być odtworzone poetycznie, gdy je przysłoni błękitna mgła oddalenia, poza którą znikną drobiazgi a fakty i postacie przybiorą idealne barwy, zarysy i wymiary. Tymczasem, w chwili gdy Potocki rozpoczynał pracować nad „Wojną Chocimską“, nietylko że żyło bardzo wielu uczestników tej wyprawy, że znane wszystkim szczegóły takowej utrudniały wielce zidealizowanie tak postaci wodzów, jak i toczonych bojów, zidealizowanie niezbędne dla osiągnięcia zamierzonego przez poetę celu, ale nie wygasły wcale namiętności, nie znikły materialne i moralne interesa, które tę wojnę wywołały, czyż więc podobna było utrzymać w odtworzeniu jednego aktu tego nieskończonego jeszcze dziejowego dramatu, obiektywność tak niezbędną dla historycznego opisu czy poetycznego obrazu?

Cała siła i wartość Potockiego, jako poety, polegała na uczuciu, czynniku potężnym gdy chodzi o stworzenie krótkich lirycznych utworów, o przemówienie do serc słuchaczy

podniosłą pieśnią lub satyrycznym oburzeniem, nie wystarczającym nigdy przecie do utrzymania poety na tem wysokim stanowisku i przez tak długi czas, jakiego wymaga poemat historyczny. Bez pomocy wyższej myśli, bez poglądu filozoficznego, któryby uczuciu dostarczył trwałego zasilku, celu i podniety w ideale, któryby ukazał pocie śród walczących tłumów władzące niemi idee, a śród nawału szczegółów wydatne chwile dziejowe, pod namiętnościami obustronnemi i materyalnemi pobudkami wojny, przeciwstawność dwóch odrębnych ras i cywilizacyj, fanatyzmu religijnego, złączonego z despotyzmem, naprzeciw wyższej kultury umysłowej i swobody politycznej — nie podobna było wypadków wojny chocimskiej przedstawić w poetycznej opowieści, rozta czarającej przed nami wspaniałą panoramę kilkotygodniowych bojów, scharakteryzowanych w głównych momentach akcji wojennej, wydatnych rysach obustronnego męstwa i postaciach kierowników tych bohaterskich zapasów.

Tymczasem losami boju kieruje u Potockiego Bóg mściwiec, gniewny Jehowa, skryty w ciemnej chmurze ziejącej piorunami, podnieca jedynie ideę i uczucie nienawiści i wzgardy dla wrogów. Okrywająca go chmura rzuca ponury cień na obóz niewiernych, czcicieli Allaha, skazanych na zagładę. Światło całe pada na wiernych; jednak nie jest to złoty blask słońca miłości, ale jaskrawe błyskawice olśniewające i prze-rażające zarazem, przy których znika aureola zasług, otaczająca głowy bohaterskich wodzów. Wobec potęgi Jehowy ludzie tu maryonerkami tylko, spełniającymi ślepo i pokornie Jego wolę i pozyskującymi ofiarą własnej krwi Jego łaskę i przebaczenie błędów.

Ideał taki i płynąca z niego idea, choć uszlachetnione przez uczucia patryotyczne, nie mogą naturalnie rozlewać koło siebie światła i piękna, nie mogą po nad obrazami wstrętnych rzezi, po nad wybuchami fanatyzmu i nienawiści, rozbrzmiewać akordem ostatecznego pojednania, harmonii i miłości, nie mogą podnosić moralnie i zadawalniać estetycznie czytelników.

Na szczęście ideał ten nie wcielił się w utwór, nie przeliknął jego szczegółów, ale pozostał na zewnątrz niejako, jakby na postrach tylko niewiernym.

Czytelnik jednak niema prawa rościć sobie do Potockiego pretensyi z powodu zawiedzionych oczekiwań, gdyż na wynalezionej świeżo a nieznaney dotąd karcie tytułowej poematu dał on następujący napis:

„Transakcyja Wojny Chocimskiej — gdzie Osman Turcki wszystkie państw swoich z Afryki, z Azyi i z Europy na Polski zgromadziwszy siły, z różnych jako manuskryptów i dyaryuszów tak z relacyi ludzi starych, którzy tam byli praesentes, zebrana ale osobliwie z Tradycyi J. W. Im. Pana Jakóba Sobieskiego..... z Łacińskiego na Polskie dostatecznie dla nieśmiertelnej narodu Polskiego sławy wierszem przetłómaczona. Roku pańskiego 1670, dnia X bra ostatniego“¹⁾.

Jest to więc historia Wojny Chocimskiej, ułożona wierszem, ponieważ według ówczesnych pojęć forma ta zapewniała nieśmiertelność opisywanym faktom i uświetniała je zarazem. Trudno więc żądać od Potockiego, by jako przerabiacz wzniósł się po nad kronikarską wierność, drobiazgowość i formę opowieści. Potęga uczucia wprowadza go wprawdzie od czasu do czasu na wyżyny prawdziwej poezyi, lecz brak skrzydeł nie pozwala mu się na nich dłużej utrzymać i zniewała do poprzestania na tym zasobie idei i obrazów, jakich mu dostarczają księgi i najbliższe otoczenie, i na tym stopniu uczucia, jaki odpowiada warunkom powszedniego życia.

Wejdźmy do pracowni Potockiego. Stanowi ją komnata szlacheckiego dworu, z którego okien roztacza się widok na pobliskie budynki folwarczne, łąny pokryte zbożem i ciemne ściany lesistych wyniosłości, stanowiących tło malowniczego krajobrazu, Łuzna bowiem leży wśród Podgórza kar-

1) Porównaj wiadomość o rękopisach „Wojny Chocimskiej“ podaną przez J. Kraszewskiego w „Przeglądzie bibliogr. archeol.“ z 1880 r., str. 31 i nast.

packiego, niedaleko uroczego Grybowa, znanego dobrze tym, co odbywali podróż koleją Tarnowsko-Leluchowską. Piękno przyrodzone nie przemawiało jednak do serc i wyobraźni ówczesnych poetów, podobnie jak i piękno artystyczne. Kochanowski, bawiąc tak długo we Włoszech, nie odczuł cudów tamtejszej przyrody i pozostał obojętnym na arcydzieła sztuki. Cóż dziwnego, że Potocki nie dostrzega piękności górskiego krajobrazu, do którego nawykł od dzieciństwa, jednakże to otoczenie nie zostaje bez wpływu na twórcę Wojny Chocimskiej i odbija się poniekąd w zdrowiu i pogodzie ducha, w szlachetności i podniosłości uczuć, w tej czerstwości ciała i przytomności umysłu, jaką do późnej przechowuje starość. Oddalony od świata, od ognisk życia politycznego, niezależny materialnie i moralnie, czuje się w swej górskiej ustroni człowiekiem, obywatelem, głową rodziny i w spełnianiu rozlicznych obowiązków swego stanowiska znajduje najwyższe zadanie życia.

W tej samej zapewne komnacie, w której pracuje nad swojemi licznymi utworami, przyjmuje Potocki chętnie go nawiedzających sąsiadów i krewnych. Serdeczna gościnność i wesołość gospodarza, zostawia trwale i miłe wspomnienia każdemu, co zawitał do Łużny. Przyszły podczaszy królewski, bywalec gospód krakowskich i mieszkaniec sąsiadującej z Węgrami okolicy, musiał i znać się na winie i posiadać dobrze zaopatrzoną piwnicę. Gdy zbywało na przedmiocie do rozmowy, wydobywał gospodarz jedną z licznych ksiąg ze swemi utworami i stosownie do usposobienia i upodobań słuchaczów, odczytywał im bądź ustępy poważnej *Argenidy*, bądź jowialne i tłuste dykteryjki, których olbrzymie zbiory pozostawił w rękopisie. Wrażenie, jakie te utwory wywoływały na słuchaczach, ich spostrzeżenia, pochwały, służyły poecie za wskazówkę tonu i formy, w jakiej winien wyowiadać swe pojęcia i uczucia, jeżeli mają trafić do serc i umysłów czytelników. Gdy rozpoczął pracować nad „Wojną Chocimską“, niejeden z tych gości, będąc uczestnikiem wyprawy lub znając jej szczegóły od bliskich sobie osób, dostarczył

zapewne Potockiemu swych wiadomości, spostrzeżeń, sprostaowań; we własnej rodzinie zebrał on opowieści o czynach Lipskich, Pisarskich, od dalszych zaś, wiadomości dotyczące się udziału ziemian małopolskich, jak Rzeczycecy, Kochanowscy i inni. Pierwotnym zamiarem poety było niewątpliwie przerobienie łacińskiego opisu Jakóba Sobieskiego wierszem polskim, w ciągu pracy dopiero przybywały mu z różnych źródeł szczegóły, których sumiennosc historyka i życzliwość dla swych współziemian nie pozwalała pominąć; z drugiej strony myśl poety, zmierzającego ku moralnemu podniesieniu współczesnych, zwracała się od czasu do czasu ku rządzającym ją wadom i nadużyciom i pobudzała do kreślenia satyrycznych obrazów ówczesnego życia, a nadewszystko do propagowania wszelkiemi sposobami pojęć poety o zadaniu szlachty i konieczności obalenia potęgi niewiernych sił oręża polskiego.

Za wzór, co do sposobu uporządkowania całego materiału historycznego i prowadzenia opowieści, przeplatanej bądź klasycznie-mitologicznemi ozdobami, bądź lirycznemi i satyrycznemi zwrotami, służyły utwory Twardowskiego, które znał i cenil Potocki. Wiejskie domowe życie i wesołe pogawędki z przyjaciółmi dostarczyły także zapasu obrazów, porównań, wyrażeń i przysłów, kóremi bardzo skwapliwie, choć nie zawsze właściwie, posługuje się poeta, nadając tym sposobem licznym ustępom swego poematu ton i charakter gawędy.

III.

Rozpoczynając swe dzieło, Potocki, lubo czuje całą niewłaściwość odwoływania się do pomocy Apollina, przy opisie bojów toczonych w imię Boga chrześcijańskiego i dla Jego chwały, jednakże nie śmie zerwać ze szkolnemi nawyknięciami i odrzucić powagę wzorów klasycznych, ztąd w niepotrzebnie przyczepionym nawiasowym ustępie osadza Marsa i Muzy przed właściwym wstępem, stanowiącym podniosłe wezwa-

nie do Boga o błogosławieństwo dla podjętej pracy. Modlitwę swą zwraca poeta nie do tego ojca dobroci, dla którego wszyscy ludzie są równie drogiemi dziećmi, lecz do groźnego Jehowy, Boga mściciela krzywd ludu wybranego, który „tak samo mdłem piórem jak i groźną władnie stałą“, co „hardych tyranów dumy wywraca na nice, mięsza pysznych z błotem, mści się nad ostatnim domu tego węglem, gdzie kto usta przysięga sercem nieprzysięgłem“. Pojęcia te najszerszej i najpodniosłej rozwinął Kochowski w swej „Psalmodyi“.

Utrzymując dalej tę rolę poety-kapłana, przemawiającego to w imieniu narodu do Boga, to naodwrot zwracającego się ku współziomkom z groźbami i upomnieniami, roztrzasa im sumienie, wyrzucając szkaradne samolubstwo, zawiści, zdrady, zbrodnie. Przecistawiając enotom i harmonii złotego wieku ówczesny upadek moralny, dochodzi do wniosku, iż całego udoskonalenia rozumu użył człowiek na to, by znaleźć środki szkodenia bliźnim i zabijania się wzajemnego, że pod tym względem chrześcijanie zaszli dalej niż poganie i mahometanie. Przejęty obawą, by Bóg nie zesłał za to na kraj cały jednej z tych klęsk, któremi gromił grzeszy Izraelitów, zwraca się ku Niemu z prośbą, by nie poddał grzesznych w niewolę niewiernym, przez wzgląd na zasługi przodków, na krew, jaką przelali w sprawie wiary. Świata chrześcijańskiemu wyrzuca obojętność i wewnętrzne rozterki, z których korzystają Turcy, ujarzmiając pojedynczo rozdzielonych przez samolubstwo i zawiści.

Ztąd ci, ztąd trzeba będzie zdać liczbę koniecznie
 Bogu, gdy przyjdzie na świat dekretować wiecznie.
 Ta krew, którąście z sobą lali sami chustem
 Jawnym wam będzie świadkiem, jawnym nieodpustem,

woła tonem kaznodziei Potocki, który sam to zboczenie od przedmiotu właściwie charakteryzuje, dodając:

Ale mnie cóż potem brać prowincją cudzą?
 Są ambony, niechże was kaznodzieje budzą,

Z tego snu w którym wszystkie utopiwszy zmysły
 Sprosnym zbytkom.
 Swe rady, swe fortuny, a szkodę ku szkodzie
 Poddajecie.

Mimo to nie wraca do przedmiotu, a z kaznodziei staje się moralistą i w niesmacznym choć dosadnym obrazie okazuje, iż:

Pieszczota nieszczęśliwa kominem, a miechy
 Pycha, zbytki i wszystkie cielesne uciechy.
 W tym węglu, nie bądźlieli od rozumu wstrętu,
 Zmięknie choćby z twardego serce dyamentu.

Samson, Aleksander Wielki, Hannibal, dostarczają przykładów upadku męztwa w rozkoszach; Epaminondas znowu, Agryppa, Emilius przekonywają:

Jako zawsze stroniła bohaterska cnota
 Od wszelakich rozkoszy i od składów złota

 Żelazem Mars do sławy odkłada wrzeciędzie
 Niech się gach złoci, niech żyd gromadzi pieniądze.

I znów poraz drugi zapytuje poeta, gdzie go to zaniosło pióro rozpędzone, gdyż

. niemoje rzemiosło
 Wodzom i bitnym pisać żołnierzom reguły.
 Polską naszą Bellonę na teatrum świata
 Sarmackiego prowadzę: tężby jesne lata
 I czas z ojcy naszymi miał zagrześć pożerny?
 Nieda Bóg swej roboty, otwieraj odźwierny
 Wrota, gdzie na szerokiej mej ojczyzny sali
 Wielcy bohaterowie będą się pisali.

Nim jednak rozpocznie się ten pośmiertny turniej, nim podniesie się zasłona, okrywająca wielkie dziejowe *teatrum*, staje przed publicznością sam poeta, już nie jako kaznodzieja i moralista, lecz dzieieopis tego turnieju i prosi o pobłażliwość dla swej „swady“. Pracę swoją zaś oddaje pod szczególną opiekę najwyższego dostojnika ówczesnego, Jana So-

bieskiego, marszałka koronnego i wielkiego hetmana. Teraz nareszcie rozpoczyna się nie widowisko jednakże, ale prolog, podający dziejowy zarys stosunków między Turcyą a Polską:

Już we trzech częściach Turczyn rozpościera świata
Twardy tron

Co chwila przecie przerywa Potocki swą opowieść to wybuchem oburzenia, że „mizerna śmieć ludzka“ „ubogich skotopasów zgraja czeza i nikła, z pastucha zbójca, żołnierz ze zbójce“, miała „cały świat sholdować“.

I są jeszcze cesarze rzymacy? i bez wstydu
Od tej nędzy, od tego wykąsani gidu,
Tym się piszą tytułem?

To znowu wspomniawszy o przyjaznych stosunkach, jakie utrzymywał Zygmunt I z Solimanem, rozwodzi się nad korzyściami zgody i potrzebą wybaczenia drobnych uraz, co przywodzi mu na myśl podanie o Floryanie Szarym, które daje sposobność do wspomnienia świeżo obranego Wisznio-wieckiego (zrodzonego z Zamojskiej) i wezwanie współziomków do zgody, gdy „Jelita w koronie“. Jak widzimy, Potocki w swej „swadzie“, zwyczajem ówczesnych kaznodziei i oratorów politycznych, nie trzyma się żadnego planu, lecz ulega asocyacji pojęć grupujących się dowolnie w jego umyśle. Choć czuje, że schodzi z drogi, nie ma siły oprzeć się pokusie rozwinięcia nasuwającej mu się a miłej myśli; możnaby w tem dopatrywać zależności nierządu i samowoli politycznej od bezładu w zakresie życia umysłowego. Mowy sejmowe i okolicznościowe, kazania, panegiryki, broszury polityczne i pisma satyrycznej treści, oto zwykły pokarm umysłowy ówczesnego szlachcica. Utwory te, jak wiadomo, przedstawiają dziwną mieszaninę ustępów podniosłych z trywialnemi anekdotami, teologicznych i politycznych wywodów z obyczajowemi obrazkami, patryotycznych zwrotów obok panegirycznych kadzideł, cytacyi z klasycznych autorów i Pisma

św., obok rubasznych wyrażen i przysłów czerpanych z języka potocznego. Nic więc dziwnego, iż każdy próbujący swych sił pisarz trzyma się utartych dróg i posługuje środkami, które zapewniły innym powodzenie. To też i „Wojna Chocimska“ układem, a raczej bezładem i dowolnością, z jaką mieszają się tu rozmaite style i przedmioty, przedstawia ściśle pokrewieństwo z płodami ówczesnej swady tak politycznej jak i kaznodziejskiej.

Doprowadziwszy wreszcie historię stosunków Polski z Turcyą do 1621 r., przystępuje Potocki do objaśnienia powodów wojny. Daje tu trafną i barwną charakterystykę Tatarów, co:

Urywczy żywot wiada o kobyliłm zdoju,
Ani chcą, ani mogą posiedzieć w pokoju.

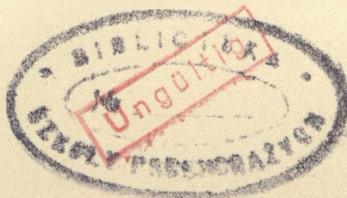
Dom—talaga pleciana, strój—futro baranie,
Bankiet—żrebię, w bachmacie—ukontentowanie.
Żon co trzeba któremu, z niewolników—sługi
W domu zabawa: derhy, uzdeczki, kańczugi;
Więc czego niedostaje, jakby słusznem prawem,
Jeśli ukraść nie mogą, bojem biorą krwawem.

Druga przyczyna wojny: Kozacy:

..... naród także ludny
Spadłszy mskłemi, z porohów swego Dniepru, sudny
Oświecą Czarne Morze i tej co Podole
Orda, trwogi nabawią Konstantynopole.

..... odlewami z miedzi
Ryczą smocy¹⁾: po wieżach wyją *hodzie* bledzi
Wre miasto, ziemia jęczy a pomorskie skały
Szkaradnych kartaonów echem rozlegały.
Darmo: bo Zaporozec, mając to za bajki,
Sunie chyżo ku Dniepru obciążone czajki.
I jeżeli za sobą zobaczy pościgi
Tak zbliiska jak zdaleka pokaże im figi (str. 90).

¹⁾ Działa ówczesne, którym nadawano formę smoków i t. p. potworów. Kartaony były to także ciężkie oblężnicze działa.



Obustronne rozjątrzenie, wywołane przez ciągłe ponawianie się tych rozbójniczych najazdów, zwiększyła znacznie samowolna wyprawa Stefana Potockiego do Wołoszczyzny, dla popierania przeciw Turcyi zabiegów Mohiły, zakończona klęską polskiego hufca pod Dzieżą. Wywołane przez to zakłócenia doprowadziły do istotnej wojny, która się zakończyła nową, straszną klęską rycerstwa polskiego na polach Cecory. Dwukrotne powodzenie tak ozuchwaliło i zachęciło Turków, iż chcąc stanowczo zabezpieczyć się zarówno od najazdów kozackich, jak i wtrącania północnych sąsiadów w sprawy chrześcijańskich prowincyi swego państwa, podejmują olbrzymią wyprawę dla zgniecenia zupełnego Rzeczypospolitej.

Teć były proscenia, że rzekę po nasku,
 Poselkowie chocimskiej wojny, której trzasku
 Pełen był świat

powiada Potocki, kończąc część pierwszą swego utworu opisem klęski cecorskiej, słabszym o wiele od ciekawej i pięknej miejscami opowieści, jaką pomieścił Twardowski we „Władysławie IV“.

Przedmiotem części drugiej są narady i przygotowania wojenne, odbywające się zarówno na dworze tureckim jak i polskim.

Porywczy Osman, w młodzieńczym swym zapale,
 Już w Krakowie popasa i koń poi w Wiśle.

a dla tym pewniejszego dopięcia swych zuchwałych planów
 gromadzi olbrzymią armię.

Europie *randewu*, pod murem swej Porty,
 Że najbliższa Stambułu pyszny cesarz znaczy.
 Azją i Afrykę ku Dunaju zmyka.

.
 Dzieci tylko maleńkie a z niemi płeć biała,
 Wolna od wojny, w państwach tureckich została.

Udział chrześcijan poddanych Turcyi w tej wyprawie boli wielce poetę:

..... czemużby, ze świętej rozpaczy,
Nie złączyć szable z nami na pogaństwo raczej.

Jedną z niewielu ozdób, jakimi pozwalali sobie historycy i poeci dawniejsi urozmaicać suchą kronikarską opowieść i jakie dawały im sposobność popisać się ze swą swadą, były zmyślane mowy, wkładane w usta głównych postaci dziejów lub poematu. „Wojnie Chocimskiej“ nie zbywa na tego rodzaju ozdobach, stanowiących najczęściej wierne kopie ówczesnych mów sejmowych i okolicznościowych. Nizki stopień rozwinięcia umysłowego nie pozwalał dawniejszym pisarzom wystawiać sobie życia nieznanych im ludów inaczej jak w tych formach, do których nawykli. Mowa Muftego do Osmana mogła być, z małą zmianą, włożoną w usta polskiego senatora duchownego stanu.

Mnieć przyznam się należą pacierze
Nie Mars, lecz i ty przyznaj i miej to ode mnie
Że Mars w polu i Wulkan darmo robi w Lemnie
Bez Boga

Będąc przeciwny zamierzonej przez Osmana wojnie, usiłuje ochłodzić jego zapał i skłonić go do zgody przez zezwolenie na chrześcijańskiego hospodara w Wołoszczyźnie.

Bo wiara najpewniejsze spraw ludzkich ogniwo
Tą żyjemy, to światło, to nasze krzesiwo,
Z którego, gdy chce, w różne iskra serca wskoczy
Wlot je wiecznem płomieniem miłości zjednoczy.
Choć zła, choć dobra, jaką kto wyssie z macierze,
Každyby w takiej rad żył i umierał wierze.

Przedstawiając następnie trudności i niekorzyści wojny z Polakami, tak myśl tę uzasadnia:

Nie liczba wojska bije, ani miast dobywa
Ale wojny przyczyna, panie, sprawiedliwa!
.....
Naród w złoto ubogi, nic nie ma przy zdrowiu
Prócz chleba, soli, serca, żelaza, ołowiu;
Pierwej cię droga znuży i Bałkany śnieżne

Niżli równie Dnieprowe oglądasz pobrzące.
 Gdzie całoletnim chodem utrudzonych ludzi
 Skoro mróz nieprzywykłej jesieni wystudzi,
 Których wszystkich pieśczone wychowały nieba,
 Broni na nich polakom dobywać nie trzeba;
 Pomrą jako jaskółki, jako muchy posną,
 Tylko że drugi raz nie ożyją z wiosną.

Od czasu do czasu wielki dygnitarz duchowny zapomi-
 na i o swem stanowisku i o dostojności tego, do którego mó-
 wi i gawędzi sobie jak stary polski szlachcic, dający nauki
 synowi:

Proszę... racz szczerzej radzie mej dać ucha,
 Aczci na wszystkich młodych ta padła pomucha,
 Że nie radzi gdy im kto ich propozyt porze,
 Lecz jako nieraz ginał kto stał przy uporze
 Tak i ten nie żałował kto chciał starych słuchać.
 Próżnoż na zimną wodę sparzywszy się dmuchać.
 Szczęśliwy człek co go cudze szkody
 Uczą rozumu, jako w najpewniejszej szkole,
 I dadzą poznać głupstwo w sąsiedzkim rosole.

Osman, który wbrew temu, co o jego zapalczywości po-
 wiada poeta, dał wielki dowód cierpliwości i panowania nad
 sobą, wysłuchaniem długiej gadaniny Muftego, co „powaga
 siwizny sprawiła biskupiej“, odpowiada tonem syna zniecier-
 pliwnionego naukami rodzicielskimi, których nie myśli usłu-
 chać.

Nie tak-em, ojczy prawy, rozumu daleki
 Żebym go słuchać nie miał i acz-em z opieki
 Wyszedł i wszystko mi się według woli darzy,
 Aniby mi potrzeba więcej bakałarzy;
 Słuchałem cię, choćbym się obszedł bez twej rady.
 Krótko tedy na twoje odpowiem kazanie:
 Tak chcę! to moja wola
 Powiem jeszcze, aleć to proszę niech nie cięży,
 Że najlepiej w kościele dyskurować księży,
 Nie mieszać się w ratusze; przez cóż się rozsuły
 Państwa giaurskie jeżeli nie przez kapituły.
 Miecz mieczem a plesz pleszem, kto się czemu święci
 Tego niechaj pilnuje...

Mimo całej swej pobożności, mającej nieraz cechy „kruchcianej dewocyi“, Potocki nie jest ani fanatykiem, jak o tem świadczy technący tolerancyą ustęp mowy Muftego, ani też nie jest wcale pokornym sługą hierarchii duchownej, której pretensye do kierownictwa świeckimi sprawami ostro, jak widzieliśmy, potępia, a obyczaje i wady surowej niejednokrotnie poddaje krytyce, nieoszczędzając nawet samej głowy kościoła. „Cóż mi po opończy gdy już zmoknę do nici“, powiada drwiąco z okoliczności odpowiedzi papieża, który zbył poselstwo polskie, proszące go o zasiłki na wojnę z Turkami, obietnicą udzielenia takowych wtedy, gdy cesarz skończy wojnę z heretykami (toczącą się podówczas trzydziestoletnią wojnę). O kilka stron przedtem, z pod tego samego pióra, wyszła przecie modlitwa nacechowana tak wybitnie mistyczną pobożnością owej epoki:

Patrz na polskich patronów, patrz na naszych ziomków
 Pokorę, a nie spuszczaaj biczów swych ułomków!
 Patrz na świecznik swej chwały, który w tej koronie
 Ogniem niezagaszonym ku czci Twojej płonie,
 I chociaż przez złość naszą przez nasze niecnoty,
 Często go w oczu Twoich zaciemiają knoty,
 Utnij knot, masz nożyce miłosierdzia w ręce,
 Że nie zgasisz ufamy Jezusowej męce...

Potęga turecka to Goliat a Polska to Dawid

..... którego armata
 Pięć kamyczków i proca, lecz przy Twojej pomocy
 Możem ufać tym pięciom kamyczkom i procy;
 Bo węglowemu każdy rówien z nich kamieniu
 Co ich jest w Zbawiciela naszego imieniu.

Sprzeczność to pozorna tylko, bo właśnie ta gorąca i szczerą pobożność, ta siła religijnego uczucia, jaką spotykamy u Potockiego, stała się źródłem tych surowych sądów o duchowieństwie, którego życie było dalekiem od ideału kapłana, jakiego sobie przedstawił poeta. Jestto zresztą jedną z cech wyróżniających pobożność mistyczną średniowieczną i dawną staropolską od nowoczesnej, z klerykalizmem zespolonej dewocyi.

Opis przygotowań obronnych, przedsięwziętych w Polsce, jest wiernem i ciekawem odtworzeniem pogadarek szlacheckich o sprawach politycznych w końcu XVII wieku. Wprawdzie poemat przechodzi tu w gawędę, polski Tasso staje się godnym współzawodnikiem Paska, lecz bądź co bądź zyskujemy na tem, mając zamiast lichego naśladownictwa Eneidy lub Jerozolimy Wyzwolonej, rubaszne i trywialne niekiedy, ale prawdziwe echo życia ówczesnego. Oto zebrani w szlacheckim dworku lub krakowskiej winiarni radzą ziemianie nad zbliżającą się wojną. Powtarzają sobie wiadomość, iż wyprawiono posłów do wszystkich królów, co są „pod zbawiennym krzyżem“, niewiadomo przecie z jakimi wrócą odpowiedziami. Lecz się na to upijać szkoda, kędy a nuż będzie (pomoc) albo nie będzie? Szkoda stawiać garnka jeżeli dopiero prosić u sąsiada ziarnka“. Ponieważ zwykle „czyja tonie kobyła ten najgłębiej brodzi“, tedy o swoich rzeczach samym przyjdzie radzić, kogo obrać hetmanem, zkąd ludzi gromadzić, a co najpotrzebniejsza do wojny zkąd zasięgnąć pieniędzy“. Co do wyboru hetmana nie było potrzeba długo się namyslać: Żółkiewski zginął, Konięcpolski w niewoli, rzecz naturalna, iż „wszyscy oczy i serca na jednego zgodnie zwrócą Chodkiewicza“; na hetmana polnego zaś któż właściwszy jak „Stanisław Lubomirski hrabia na Wiśniczu“, szwagier jęczącego w „żałosnej Jedykule“ Konięcpolskiego. Trudniejsza sprawa z pieniędzmi, któreby należało zebrać z najmniejszym stanu szlacheckiego uciśnieniem, boć on krew swoją przyniesie w ofierze ojczyźnie. Kto może i powinien dać to duchowni, lecz oni „choć się milionami w ojczyźnie wielmożą“ przecie tylko „półtorakroć złożą“ i „wołą nieprzyjaciołom na rabunek chować, niż suplementować konającą ojczyznę, wołą wieść zagranicę i darmo dać komu, niżli węglów podeprzeć pochylego domu“. Cóż to jednak znaczy wobec potęgi tureckiej, na którą się składają trzy części świata, Nie dziwnego więc, iż „na posiłki wyciągamy oczy, bo nam tej gry pomogą sąsiedzi ochoczy“. Tymczasem nadzieja ta zawodzi. Odpowiedź papieską przytoczyliśmy już

powyżej wraz z dosadną jej oceną. „Lepszej nowiny wyglądamy z Wiednia, naprzód, że krew przyjaźni najpewniejszym gruntem, dwie siostrze cesarz mając za naszym Zygmuntem (Boskiego i ludzkiego uchylwszy prawa), druga, że z jego przyczyny ta wrzawa ¹⁾... Ztąd jako na trzy tuzy bez wszelkiej omyłki, tak śmieie na rakuskie każemy posiłki... Ale niech się tu każdy niewdzięczności zdziwi: za psa krew (jako stara przypowieść natrąca: z bratem na lwa, a z szwagrem ledwie na zającą); za psa nasza uczynność, bo póki świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem. Nie tylko nam posiłków winnych odmówili, lecz werbunku w swej ziemi całe zabronili“. Widocznie „wolność nasza co im w oczu solą, przyczyną, że nas chcieli wterebić w niewolą“... „Hiszpan bardzo żałował, że z tym potentatem, który kiedy się ruszy całym trzęsie światem, Polacy się zwadzili“, bo „niżeli mysz skoczy dalej, kocur trzaśnie“... „W ten sens i Wenetowie i wszyscy sąsiedzi niewdzięczne posłów naszym dają odpowiedzi, równi owym doktorom, co widząc w malignie chożego, że nie wstanie, że już duszą rzygnie, miasto jakich syropów co mu jeszcze cięży, każą mu się z sumieniem rachować u księży“ ²⁾.

Troska o losy kraju i niepewność wyników wiszącej nad nim wojny nie przeszkadza przecie gawędzącemu przy kielichu gronu używać uciech, jakie nastęrcza pora zimowa:

Już i pasterze swoje puścili koszary
I ptak poszedł na zwykłe do cieplic opary,
Twardy mróz ujął ziemię, chociażbyś po bagnie
Kartaony prowadził, pewnie się nie zagnie.
Kryształowym wątpliwe brody spiał pokostem
I bystre rzeki szklanym poujmował mostem.
Biały śnieg, jako zmora, na ten świat się kida.
.....

¹⁾ Ponieważ Zygmunt III wyprawił cesarzowi posiłki przeciw Gaborowi Betlemowi, który chcąc się od Polski zabezpieczyć, podburzał Turcyą i posłał cztery tysiące piechoty swej na wojnę z Polską.

²⁾ Takimże wiernem odbiciem rozumowań politycznych szlachty ówczesnej jest, prócz wielu innych ustępów, mowa Sobieskiego na radzie wojennej (str. 191 po 193).

Więc komu przyszła wojna głowy nie ugryza
 Delikacko na płytkich saneczkach się śliza.
 Świszczą smyczki z daleka gościńcem utartem
 A dropiaty, jak raróg, leci pod lampartem.
 Kto myśliwy po śniegu zwierza z charty tropi.
 Nasz starzec przy kominie grzanki w piwie topi
 A co raz pisanego nachylając garca,
 Już syty tego świata czeka z gołą marca.
 Nie idą mu w gust żadne przejażdżki i sanki,
 Zjadszy zęby woli ssać rozmoczone grzanki.
 Toć ostatnia człowiecza uciecha komu się
 Da Bóg zstarzec i późne oglądać prawnusie.

Ten obrazek rozrywek zimowych, na które z okien swej komnaty spogląda zgrzybiały staruszek, rzucony od niechcienia, jak miniatura zdobiąca margines starego rękopisu, jest widocznie późniejszym znacznie dodatkiem. Nudy starości skracał sobie Potocki przeglądaniem dawnych prac, przy czem niejednokrotnie pozwalał sobie robić poprawki i dopiski, ilekroć nadarzyła się sposobność wypowiedzenia swych pojęć i uczuć z lat późniejszych. Tą drogą dostały się do „Przygody Wirginii“, jednego z najpierwszych niewątpliwie utworów Potockiego, ukończonego już w r. 1652, ustępy odnoszące się do śmierci ukochanego syna, zmarłego w dwadzieścia lat później. W taki sam sposób należy wytłómaczyć pochodzenie tego prawdziwie flamandzkiego krajobrazu zimowego z postacią starca bezzębnego, rozgrzewającego się polewką piwną przy oknie szlacheckiego dworu. Starzec ten to sam poeta, który, jak dawni malarze, umieścił na uboczu wielkiego obrazu swój wizerunek. Opisując wypadki przeszłości, ciągle Potocki ma na myśli chwilę obecną, współczesnych, dla których zbudowania podjął tę pracę. Swobodny ton i luźna forma gawędy, którą mimowolnie i bezwiednie nadał swemu poematowi, pozwalają na takie przerywanie toku opowieści rozlicznymi zboczeniami. Porównywując współczesnych sobie z idealnym typem rycerza-obywatela, którego urzeczywistnienie upatruje w bohaterach bojów chocimskich, dostrzega z całą wyrazistością liczne i doniosłe różnice, spro-

wadzone przez moralne i fizyczne wyrodzenie się szlachty i kontrast ten uwydatnia w wymownych, pełnych siły i trafności zarysach.

„Przed laty, powiada poeta, nie pierwej młody do szabelki przypadał, aż od wojewody lub króla samego do niej był przypasany, około lat dwudziestu, i nie pierwej godziło mu się prawić o wojnie i radzić około ojczyzny aż pierścien żelazny, dany mu przy pasowaniu na rycerza, zbroczył krwią nieprzyjacielską i odniósł na swem ciele blizny“. Dziś „dziecku małemu do kasze drugi ojciec szabelkę i łuczek przypasze, i gdy, wzrosłszy przy doiwie krowiem, zwiedzi w Warszawie co przedniejsze wiechy (winiarnie), ażeby dom nie zaginął dla onej pociechy, ożeni go; a ten też jakby wlażł do twierdzy ani szable przypasze ani ostrze ze rdzy, zasznurowuje się w duchnę i namnoży podobnych sobie gapiów ni to Bogu, ni ludziom. Nie zna jako żyw pancerza, nie widział kirysu, lecz czy to flisem czy wołmi, czy bzdęgą¹⁾ czego inszy krwią nie mógł, takowi dosięgą; albo idzie do dworu i tak, świni ucha nie uciawszy, senator z onego piecucha“... „Widzieć ich po jarmarkach lub prywatnym feście, gdy się strojno, czeladno przechodzą po mieście; pójdze z nim do publiki, choć w onejże lamie, tak skromny, tak pokorny, że wilk a wilk w jamie“. Dopiero gdy wypadnie im wystąpić w pole „stać na posłuchu i zmoknąć do nici“, gdy „grzbiet kirys orze a szyszak perfumowaną prasuje czuprynę“ gdy trafi się potrzeba „o której słuchając włosy z czapką wstawają do góry“ gdy wypadnie „stać na miejscu cały dzień jako cel przed działą, patrząc gdy drugich niosa, słysząc świst niełuby, oczy w górę podnosić, czynić Bogu śluby;—stanie i za śmierć strach śmierci, bo sto razy umiera kto tchórzy“. Cóż więc dziwnego, „iż mierznie wojna naszym galantomom, co nawykłszy od młodości domom, słuchają rychło w polu będzie po herapie²⁾, rychło im kto potrzebę³⁾ przyniesie na mapie“. Ale za to pochopni wielce

1) Pędzenie gorzałki, 2) odwołanie psów na łowach, 3) walka.

„żołnierzów obmawiać i hetmanów szczypać“ i mocno bywają rozdrażnieni gdy wypadnie dać im „kopę na pobór“. „Długoż, prawi, sypać będziem darmo pieniądze? Wierę, zdaniem mojem jużby czas Ukrainę widzieć za pokojem“. Drugi znowu „nie godzien z kijem chodzić mitręga za bydłem, że wieiórczym ogonkiem dał opuszyć kołnierz, aż już wąsy ody-ma, aż sędzia, aż żołnierz! Wdajże się z nim w rzecz, chociaż nie był dalej bursy... już on wiadom porohów, czajek i Kudaku, wiadom złotego i kuczmańskiego szlaku... wszystko wie, tego nie wie do siebie nieborak, że sklep dziurawy ledwie stoi za półtorak“. Niechno tylko pojawi się gdzie panicz młody a bogaty „co zdarłszy się z opieki, jako ryba z wędy, i blaskiem nowej swobody zaślepiwszy oczy, prawdy słuchać nie może“; zaraz zleci się zewsząd zgrają przyjaciół, pasorzytów, „którzy wzięwszy na swoją panicza opiekę w koło go jako gęste otaczają strzępki, wielkie jego dostatki, mowy i postęпки z pokornem podziwieniem od rana do zmierzchu w oczy chwałą. A jako psi do jatki idąc za baranem powtarzają: niedługo będziesz wielkim panem“.

Cała ich robota polega na tem, by „skłamać, zagrać kto umie i chodzić przed półmiski, póki czują o kocie i ojcowskim zbiorze, lecz gdy reszty w ostatnim przewąchają worze, rozbiegą się i każdy w swoją stronę kinie a jedynak jak beczka zbywszy soli spłynie, toż ubitym gościńcem i bez kałauza trafi lub do zakonu lubo do zamtuza“.

W tych pełnych życia, prawdy i dowcipu obrazkach gawędziarz staje się satyrykiem, rymotwórca poeta, niezdarny rysownik artystą. Potocki tu dorównywa niemal świetnym satyrykom stanisławowskiej epoki. Artyzm ten, który miejscami błyska na kartach „Wojny Chocimskiej“, ma swe źródło w uczuciu poety, w jego miłości dla społeczeństwa, które chciałby odrodzić, udoskonalić w cnotach i w uwielbieniu dla ideału przewodniczącego jego pracy. Ideał ten służy mu za skalę do oceny współczesnych postaci, które przy jego blasku ukazują wszystkie swe niedostatki i całą małość; oburzenie, jakie wskutek tego porównania uczuwa poeta, dodaje siły

i werwy jego pióru, z pod którego wychodzą wizerunki wprawdzie niewykończone, nie obmyślane, naszkicowane tylko kilkoma wydatnymi rysami, ale mimo to takie prawdziwe i charakterystyczne!...

IV.

W trzeciej dopiero części rozpoczyna Potocki opowieść dziejów samej wyprawy. Początkowy ustęp, nacechowany mistycyzmem i skreślony w stylu ówczesnych kazań, jest prawdopodobnie dopiskiem uczynionym już w starości, gdy oddany dewocyi poeta układał „Nowy Zaciąg“, z którym miejsce to przedstawia duchem i tonem wiele podobieństwa. Właściwym początkiem jest dopiero wiersz:

Już się wiosna poczęła, już baran ochudły....

gdyż i poprzedni ustęp od słów: „Kiedy wichur wschodowy ruszywszy świat z gruntu“ — zwrócony do Lubomirskiego, wygląda na późniejszy dopisek, skreślony pod wpływem wieści o najeździe tatarskim, który np. w 1672 r. sięgnął aż do Krosna i Biecza. Słowa bowiem poety:

..... gdzie poganin srogi
Niesie pustki żałośne, okropne pożogi,
Niesie płacz matkom naszym i smutne lamenty
Obciążwszy karawan, kajdany i pęty.

nie odnoszą się przecie do wyprawy Chocimskiej, która nie pociągnęła za sobą tych klęsk, ponieważ armia turecka została powstrzymana na samej granicy, za to wspomniany najazd r. 1672 połączony był ze spustoszeniem licznych miast i wiosek i wprowadzeniem do 20,000 jeńców.

Przypomniawszy sobie wreszcie o swoim zadaniu, rozpoczyna Potocki ten uroczysty turniej opowieścią o zbieraniu się polskich sił i rozłożeniu obozu pod Chocimem. Za tło daje poeta krajobraz wiosenny dość zreżcznie odmalowany:

Już się wiosna poczęła, już baran ochudły

 Po łąkach i zielonych murawach się tara
 lasy się popuża,
 Obnażone konary, skoro im wiatr pępki
 Porozdyma, znowu się pstrzą w barwiste strzępki.
 Już krzykliwe żórawie, już swe gęsi klucze,
 Długiem pasmem prowadzą

Jako małopolanin i szreniawita, wysuwa Potocki na pierwszy plan Lubomirskiego. Rzeczywiście małopolanie odgrywali w obozie przeważną rolę, gdyż w gronie komisarzów wojennych, ze stanu rycerskiego, towarzyszących wyprawie, oni stanowili większość (Sobieski Jakób, Mikołaj Sieniawski, Maciej Leśniowski i Michał Tarnowski i dwaj Działyńscy wielkopolanie). Troskliwy o sławę swych współziemian, pozbiierał starannie Potocki wszystkie szczegóły, odnoszące się do ich udziału w tej wyprawie i porozmieszczał w swej opowieści.

Z pewną dumą zaznacza, że chorągwie Lubomirskiego uprzedziły rycerstwo Chodkiewicza, który nie chcąc „zasympać gruszek w popiele... sunie się z Litwą krokiem ku Podolu chyżym, łączy się z Lubomirskim i zawiera kołem Orły i Pogonie pod Rzepnicą siołem“. Po złączeniu wojsk dopiero okazało się, że komput ich jest szczuplejszy niż postanowiono na sejmie warszawskim i zafrasowany hetman „w głowę się skrobie“. Imię „Jezus“, które otrąbiono jako pierwsze hasło w obozie zjednoczonych wojsk, to jedyna „warowna reduta, mur miedziany“, osłaniający Rzeczpospolitą.

Noc zapadła, śpi obóz, tylko „Dniestr szumi, a woda ze skałami się kłopi“; Chodkiewicz przecie „tłocząc na bok z boku twarde łoże i w głowie pełno mając zgrzytu, rannego oczekuje świtu“, ani śpiew syren bowiem, ani „kolebka z morskiej utoczona spumy“, nie uspią człowieka, „gdy w głowie jak w browarze, sto wątpliwości razem, razem tysiąc myśli“. To też „skoro się wschód zabieli, a zorza purpurowej Febowi pościeli ustąpi“, choć „Zefir jeszcze Flory z mokrych pereł

nie rozbierze“, Chodkiewicz zwołuje już radę wojenną do namiotu dla zdecydowania, czy zostać w miejscu, czy się przeprowić za Dniestr. Gdy się na to ostatecznie zgodziła rada, przystąpiono bezzwłocznie do budowy mostu, która ciągnęła się dość długo, z powodu trudności, jakie stawał bystry pęd wody¹⁾. Fakt ten daje pochop pocięciu do długich filozoficznych uwag nad potęgą rozumu ludzkiego, który ujarzmił wszystkie żywioły, policzył gwiazdy, wynalazł pismo, papier i druk, a mimo to, na własne namiętności nie znalazł hamulca, „zna zwierze, ryby, ptaki, drzewa, zioła, gady, wie zkąd grom, piorun, zkąd deszcz, zkąd padają grady... na ziemi zna się i na niebie, wszędzie mądr; doma głupi, że sam nie zna siebie“. Jestto najwyższy stopień refleksyi, do jakiego zdolnym był wzniesć się umysł polskiego ziemianina w XVII wieku. Źródłem jej jest ideał moralny, wytworzony przeważnie z idei, zaczerpniętych w starożytnych pisarzach i Kochanowskim, którego pisma zna dobrze Potocki, często je naśladuje lub żywcem przyswaja sobie pojedyncze myśli i obrazy. Obszerny ustęp o zmienności losu (str. 139), jest tylko przeróbką ulubionej Kochanowskiemu i wielokrotnie w pieśniach rozwijanej myśli o „niestateczności fortuny“. Spotykamy tu te same znane dobrze obrazy: słońca wynurzającego się z po za gęstych chmur zaciemniających niebo, okrętu skołatanego burzą, któremu przyjazne wiatry pozwalają nareszcie przy-

¹⁾ Twardowski, który jako bliższy samej wyprawy, a przez stosunki z jej uczestnikami i zwiedzanie pobożowiska w rok po skończonych bojach, lepiej obznajmiony ze szczegółami, podaje we „Władysławie IV“ ciekawy fakt o budowie mostu. „Siła podjętej pracy było—powiada—i łamania próżnego mózgow inżynierskich, gdy pana żadnego rzeka z wieku swywolna niechcąc mieć nad sobą coraz go (most) rozbijała. Aż (jeśli z chudobą cnota nieutracona i w chacie wzgardzonej mieszka rozum) chłop jeden jej nieujeżdżony kark ukroczył, podawszy sposób prosty jakie pale być pod nim miały, cienkie a dwojakie, trzecim z wierzchu przywarte, które na dnie stały kształtem jakich trzynogów, a ztąd się nie bały wirów żadnych“ (str. 117).

być do portu, toż samo zalecenie statku i wytrwałości wobec igraszek losu. „Kto chce mieć wygraną“ musi „z fortuną chodzić na wytrwaną, nie zaraz bujaj kiedy cię upierzy, bo bardzo częsty różny obiad od wieczerzy“ i, dodaje własnym niezbyt smacznym konceptem poeta: „w siedm godzin, daje ona swoim pieszczochom po bażantach słodzin“. Uwagi te przyczepił poeta do wzmianki o Piotrze Mohile, który jako kandydat do gospodarstwa wołoskiego, bawił w obozie polskim, ufając w „Bogu i szabli polskiej, że się dopnie skąd wypadł“.

Cała niemal trzecia część poematu składa się z takich epizodów, zostających w bardzo luźnym związku z główną akcją. Starając się o wierność i dokładność dziejopisarską, nie umie poeta poradzić sobie z obfitym materiałem i mnóstwem tłoczących mu się do głowy myśli, uczuć, spostrzeżeń, ztąd płacze on bezładnie samą akcją wojenną z dyplomatycznymi zabiegami i przygotowaniem, czynionymi jednocześnie w kraju. Ciągłe się wraca, ciągle znowu przerywa swą opowieść, to objaśniającymi zboczeniami, to satyrycznymi obrazkami i uwagami. Z okazji przybycia Konaszewicza do obozu, w charakterze delegata kozackiego, podaje szeroki opis jego poprzednich czynów i udziału w wyprawie Żółkiewskiego, wplatając w to humorystyczny, uszczypliwie skreślony obrazek pożegnania Zygmunta III z synem, udającym się do Moskwy. Przybycie Rusinowskiego z pułkiem Lisowczyków skłania znowu Potockiego do opisu ich dalekiej wyprawy, w której dotarli brzegów morza północnego. „Już im Białe jezioro w tyle i Sybiory, już minęli ryfejskie śniegiem kryte góry, kędy ciepłe sobole i czarne marmurki w nos bije mierzny strzelec ochraniając skórki, gdzie na smukłej łyży człowiek lata po śniegu od sokoła chyżej... Dotąd się w one dzicze i pustynie darli, aż się piersiami o lód północny oparli“.

Najobszerniejszym z tych epizodów jest historia bohaterskich czynów kozackiego pułku, który idąc pod Chocim i pładując wedle zwyczaju po drodze, wpadł niespodzianie w sam środek armii tureckiej. „Witaj—woła uradowany Os-

man szlachecko-myśliwskim językiem — nie brodząc do wieczery kaczka! Rozumie, że ich połknie, i już pierwsze koty, kwoli dalszej fortunie wyrzuca za płoty; ano się często wstydzi kto przed skokiem hupa“, gdyż dzięki rozpaczliwemu męstwu zdołali kozacy ujsć z rąk rozjuszonych wrogów. Znać w scenach wojennych, że Potocki i sam brał udział w niejednej walce i nasłuchał się dużo opowiadań starych żołnierców, to też obrazy jego są kreślone grubo, niezdarnie, ale rysowane z rzeczywistości, wypowiedane prawdziwie obyczajowym językiem. Kozacy widząc się otoczonymi: „wszyscy zsiądą z koni a skoro się potwierdzą i poplują dłoni, czoła przetrą i szłyku posuną po skroni, zepną tabór i działa, których ośm dwadzieścia ciągnęli, tak rozsada, że nikędy przejścia nie mógł mieć nieprzyjaciel“. W tej pozycji pozwalają Turkom zbliżyć się bez wystrzału; dopiero gdy ci uzuchwaleni milczeniem kozaków podstąpią pod sam tabór, „jak z chmury grad, jako groch z woru, działa i samopały śróty z ogniem i kule rzygną w on gmin gęsty, lecą na wszystkie strony chlopi jako chmięsty, a pogaństwo usławszy ziemię ścierwy ucieka, kto może najpierwej“. Tymczasem „durny Osman słyszy to i proch czuje w nosie, gryzie się strasznie, włosy na łbie targa, prosi, grozi, klnie, łaje“, mimo to przez ośm dni bronią się walecznie w swym taborze kozacy, i wreszcie wymykają się szczęśliwie. Garsć ich tylko ukryta w pieczarze pada ofiarą wściekłości Turków.

Rażąco odbija od żywego i naturalnego toku tej opowieści szumna i upstrzona retorycznymi efektami i moralno-filozoficznymi uwagami mowa jednego z jeńców kozackich do Osmana, w której przypomina mu, że jest człowiekiem takim samym jak oni, że śmierć, jaka ich czeka, i jego nie minie, że choćby „antypody w rękę miał, śmiertelnej nie ujdzie przygody“, albowiem choć „trefunkiem na świat idziem“, przecież ze świata „prawa nas nieprawnego konieczny mus zmiata“. Ten jednak „kto umiera w bohaterskiej cnocie, żyje po śmierci w piersiach ludzkich“, bo go „sława z grobowca po pogrzebie dźwignie, której świecka zazdrość nie pości-

gnie". Na sławę tę najwięcej zważać winni ci, „których na tron wysadziły nieba“, bowiem „kto ją opaskudzi lada jakim postępkim... żyjąc w obeldze umiera w sromocie“. Najwyższą cnotą i zasługą człowieka „zhołdować żądze serca i zwyciężyć siebie“. Mimo tych argumentów, mściwy Osman kazał wymordować wszystkich. Godną podziwu jest doprawdy rzeczą, iż Potocki, piszący swój poemat po świeżych walkach z kozakami i kłeskach jakie zadali krajowi, z taką sympatyą i poszanowaniem mówi zawsze o nich i stawia ich na równi niemal z polskiem rycerstwem. „Tak legli ci mężowie“—powiada—opisawszy zgon wymordowanych przez Osmana jeńców; w innym znowu miejscu zwie ich „junakami Rzeczypospolitej“.

Za epizod możnaby uważać także ustęp o wyprawieniu posłów z obozu do opóźniającego się z przybyciem królewicza Władysława i posłuchaniu jakie mieli u niego. Ustęp ten przedziela, na dwie połowy, obszerna satyryczna wycieczka przeciw zniewieściałości i małoduszności współczesnych, w zestawieniu z dzielnością i ofiarnością obywatelską, jaką okazała dawna szlachta w wyprawie chocimskiej. Cała akcja wojenna w trzeciej części, najobszerniejszej z 10-ciu, na jakie się dzieli poemat, ogranicza się na przeprowadzeniu wojsk przez most, zbudowany na Dniestrze, i rozłożeniu obozu po drugiej stronie rzeki w dogodnej i warownej pozycji.

Przejście wojsk po moście daje okazję Potockiemu do charakterystyki dwóch wodzów wyprawy: Chodkiewicza i Lubomirskiego i obdzielenia ich całym zasobem porównań z postaciami dziejów starożytnego świata, jakim rozporządzał poeta. „Nie tak Hektor serdeczny, nie tak wspaniały był Agamemnon, Kajus nie tak roztropny, Pirrus nie tak możny ręką i mową, nie tak Hannibal ostrożny, nie tak Kamil szczęśliwy, nie tak jeden ze stu Scypio, jako tu był z twarzy, z mowy, z gestu hetman polski roztropny, serdeczny, wspaniały, szczęśliwy i ostrożny“. Nie jest to naturalnie portret Chodkiewicza, lecz wymarzony przez poetę ideał wodza; w innym znowu ustępie podsuwa własny wizerunek w miej-

sce postaci walecznego pogromcy Szwedów i Turków. „Chodkiewicz — powiada (dopisując to widocznie w swej starości poeta) — z którego niechaj każdy bierze wzorki, prosto z pościeli, książki wzięwszy i paciorki, tam szedł kędy go kapłan czeka u ołtarza i Stwórcy swemu chwałę codzienną powtarza, za przeszłą noc dziękuje, na dzień się porucza, bo mn razem i starość i słabość dokucza“ (str. 208).

Czyż to nie wierny obraz porannych modłów autora „Zaciągu pod chorągiew Chrystusa“, posiadającego w swej Łużny kościół parafialny, czyż nie poznajemy tu tego samego staruszka, co maczając grzanki w piwie, przypatruje się przez okno dworskiej komnaty pięknościom zimowego krajobrazu¹⁾. Lubomirski znowu to tylko piękny rycerskiego oblicza młodzian na ognistym rumaku. „W koźle²⁾ Mars urodzony, u oczu, choć nieznacny, uśmiecha się, gdy czas ma, Kupido sajdaczny. Pod nogami koń dzielny... który widząc, że złotem gore i co ma za jeźdźca, stać spokojnie nie może, lecz na miejsce z miejsca stąpa, wysmuknionej go szukający nodze, rzuca wodze i munsztuk upieniony głodze“. Wyczerpawszy cały szereg bohaterów starożytnych, dla odmalowania przymiotów Chodkiewicza, znalazł dla jego towarzysza tylko podobieństwo z Achillesem i Kastorem, ale za to i dla konia jego wyszukał dwóch godnych rówieśników: w Ksantusie i Cillarze, którymi się ci bohaterzy posługiwali w swych bojach. Tych samych niemal rysów i porównań używa dla odmalowania swego syna Stefana, wyprawiającego się na wojnę („Peryody“, str. 394). Zamiast skorzystać ze sposobności, jaką mu dawał opis przejścia wojsk przez most na Dniestrze i po charakterystyce wodzów, zamieścić wyliczenie i charakterystykę rozmaitych chorągwi i pułków, składających się

¹⁾ Ten sam wizerunek bezzębnego starca, tylko nieco rozwinięty (głowa się trzęsie, marzec niedaleki wygląda przez brwi i zawiesziste powieki, kaszel dusi, w piersiach skrzypi, włosy orzedziałe i przegniłe dziaśła, z których starość późna do zęba wytrząsała), ma być portretem wezyra tureckiego Dilawera (str. 279).

²⁾ W zmarszczeniu czoła.

wojenną, Potocki dokonywa tego o kilkanaście stron dalej, kładąc naprzód piękną przemowę do współziomków; przemowę, w której uczucie poety pobudzone obcowaniem z męznymi postaciami przodków, wybucha gwałtowną i zjadliwą satyrą w obrazach życia współczesnych panów i senatorów.

Jest co widzieć w Krakowie, kiedy na trzy zbyty
 Drogiemi poobija ściany aksamity,
 Ubrawszy ono łoże nakosztalt katafalku,
 Śród pokoju postawi, od samego balku;
 Wkoło fraszki rozliczne od szkła i kamieni,
 Tym pompa większa, im się która drożej ceni.
 Chorągiew-by zaciągnął za każde z tych cacek,

Cóż szaty, cóż klejnoty, cóż argentyrje
 Auszpurskie? cóż splendece i ludne gwardyje?
 Że żaden z królów polskich aż do trzeciego
 Zygmunta nie miał pompy, nie miał *fastu* tego,
 Jak dziś ma starosta, cóż o senatorze
 Rozumieć w jakiej bucie żyje i splendorze!

Drugi osiadł pól Polski, że już i tytułu
 Nie masz przedeń w koronie, więc do protokołu
 Cesarskiego—o wstydzie! o hańbo! o brednia!
 Leci, wzięwszy tysiąców, po hrabstwo do Wiednia.
 Aż *comes* albo książę

Nie widziawszy chorągwi ani bronii gołej,
 Chyba na Boże Ciało obchodząc kościoły,
 Wąsy ogoli drugi a tak się wysmuknie
 Jako jedna z francuzek, prócz że much na czole
 Nie stawia, ani uszu dla trzęsideł kole.
 Od głowy się do stopy ustrzmi i uwstęży,
 W rękę mu obuch, szabla u boku mu cięży.

Którym dziś szaty ciężkie, nie rzkać twarde blachy,
 Take-śmy się postrzygli z bohaterów w gachy.

Co gorsza, że i księża nie tylko nie tłumią
 Tej w ludziach wyniosłości ale sami szumią.

Taka zniewieściałość i marnotrawstwo, smutne naturalnie sprowadzają następstwa. Nie mogąc „dla zbytków zela-

zem się okupić“ od Tatarów, musimy „ujmować ich przez dary, żeby nas nie pobrali... Do czego to kozuchy przyszły dziś baranie“! Nie mając pieniędzy na potrzeby krajowe z tejże samej przyczyny „kilkadziesiąt razem uchwalamy podatków na onego chłopka, co ledwie roczną pracą odzieje parobka, ledwie technie, ledwie zieje, przecie je dać musi i poduszkę sprzedawszy, gdy go gąsior dusi“.

To też gdy potrzeba wystąpić na wojnę „miłośnik ojczyzny“, co ma „sto wsi królewskich“ zamiast prawdziwego rycerstwa i szlacheckiej młodzieży wystawia chorągwie „dragonów co dopiero cepami i łągwią robili“, pookrywawszy „Maćków płaszczami“, byle „zbyć pańszczyzny“, sam zaś „comes“ jeżeli nie został w domu, to podczas boju trzyma się pod lasem, otoczony przez „gwardye i hajduków kupy, co wyjadali wszystkie trefy, wszystkie krupy, że się przez kalwankaty i przez owe trzody nie mógł czasem docisnąć człowiek do gospody“. Własne wspomnienia z czasów służby w pospolitem ruszeniu dostarczyły widocznie Potockiemu rysów do tego obrazu.

Przy takim upadku moralnym szlachty, szlachectwo samo straciło wartość, ztąd lada kto się ogłasza szlachcicem, wzięwszy tylko *ski* do swego nazwiska. „Spytasz go gdzie się rodził? zaraz basarunkiem potrząsa, zaraz liczy rotmistrze i pułki gdzie służył; choć za ciurę gdzie skrobał gomółki“, a mimo to taki awanturnik, „trzęsie najbardziej sejmikiem i siłą rozprawia, przygrzawszy animuszu jakimkolwiek trunkiem“. Oburzony na zuchwałość Mazurów, którzy pięścią i obuchem (jak Pasek), wyrabiali sobie znaczenie wśród dumnej dawnością rodu szlachty małopolskiej, powiada Potocki: „chcesz być szlachcicem pokaż z ksiąg szlachcica dziada, dopiero mi się bracie będziesz liczył równy“. Zresztą nie urodzenie, nie błyszczenie sławą i zasługami przodków, lecz osobista dzielność i czyny robią człowieka szlachcicem, bo „rodzą chłopów szlachcianki i szlachtę chłopówny“. Darmo więc budzić męstwo w zniewiesiałych panach, którym na widok niebezpieczeństwa „łydki dygocą, zęby skaczą w gębie“, chy-

ba ich „z Warszawą wzięwszy i Krakowem“ zanieść gdzieś „pod urwi-żywot albo gdzie szlak złoty“, by tam radzi nie-
radzi dla ocalenia własnej skóry, musieli się stać żołnierzami.
„Lecz trudno wilkiem orać, co się łyso łągnie, łyso ginie; kto
nie chce, z góry nie pociągnie“ — powiada Potocki — spotyka-
jąc się w swej zacieklej nienawiści ku panom z Paskiem.

„Patrzcież na świątobliwe ojców swych obrazy — woła
do współczesnych poeta — nie łoże, nie łabędzie puchy, nie
miękie szaty przodki nasze a stare zdobiły sarmaty. Ziemia
łóżko, barłóg mech, falandysz od festu, zzwyczajnie karazyi
albo też breklestu na kurty używano, obok cię posadził naj-
większy pan, chociaż oszył safianem łokcie... siodła usarskie,
polerowany puklerz i tarcz zdobił ściany... Nie mając chleba
królewskiego bułki, nie rzkać roty usarskie, lecz stawiali puł-
ki nie szarków, nie rusnaczków, owych skotopasów; żołnie-
rza ćwiczono: Węgrów, Szwedów, Sasów, co się rodził
w obozie, we krwi go kąpała, a trzaskiem muszkietowym
matka usypiała“. W zapale krasomówczym nie spostrzega
poeta śmiesznej przesady tego obrazu rycerskiego wycho-
wania.

Z takich to wojaków składała się armia zebrana pod
Chocimem, którą poeta przesuwa pułkami i chorągwiami
przed oczyma słuchaczów. „Naprzód Władysławowa (chorą-
giew) kwiat sarmackiej młodzi, którą stary on wojen Kaza-
nowski wodzi“, później Janusza Wiśniowieckiego, który „sta-
remi kawalery szeregi osadził“, same „Marsowe chłopcy“, po-
tem Tomasz Zamojski wiezie „pułk w gorąco uzłocone ob-
leczony blachy“; w długim pochodzie tym dostrzegamy
i Lipskiego, co „dobrą bardzo sprawą wiezie sto koni Pety-
horeów pod krętą Szreniawą“. Najbardziej rozrzewnia poetę
hufiec, który „choć był na końcu, lecz go było położyć na
przedzie, żeby inszych kłól w oczy“, gdyż wystawił go swo-
im kosztem „tak grzeczny, tak ludzki, tak kochający matkę
Paweł Wołucki biskup włocławski“.

„Cię to są ci Polacy, którzy wam tę ziemię dali, co ją
orzecie, aleście w ich strzemię nie wstąpili; dotąd się w ich

świecąc starzyźnie, nie mogliście na nowe zarobić ojczyźnie... Niech więc całym gardłem pieją ich nasze Muzy!“ Inaczej też przedstawiał się pocie obóz pod Chocimem niż współczesne: „Widziałbyś tam był serce, widziałbyś był męstwo starych owych sarmatów jakby już zwycięstwo w ręku mieli; jakobyś w pełne dmuchnął ule, ci szable na musaty, strzelby drudzy w kule dyktują; wre tryumfu, wre wygranej pewien obóz... kiedy im ich wodzowie, doświadczeni w raziach marsowych w pradziadowskich stawiają obraziach rycerską cnotę, której niestrzymane ostrze orła swego od morza do morza rozpostrze, rzekłbyś że to ci wstali z Bolesławem z trumny, co żelazne po końcach ojczystych kolumny stawiali, kiedy na wschód padł Rusin premudry, na zachód pyszny Niemiec krwią zaszargał pludry“.

Nie jestto przecie obraz rzeczywistego obozu pod Chocimem, ale idealny obóz idealnego rycerstwa, jak idealnym był przytoczony powyżej wizerunek hetmana. Prawdopodobny poeta-historyk sam burzy własny ideał, podając na każdej niemal karcie swego utworu rzeczywiste rysy tak niepodobne do powyższego obrazu. Oto już w tej samej trzeciej części opowiada Potocki, jak postanowienie wodzów co do obioru stanowiska po drugiej stronie Dniestru, wywołało szemranie i omal nie bunt wśród wojska, które „widząc że nie żarty, że gościniec do Wołoch czeka ich otwarty, sto razem niebezpieczeństw, sto trwóg w oczach stanie... więc zrazu po namiotach mówili cicho, potem głośniej, aż górę wzięło ono lichy“. Głównymi powodami, jakie podało wojsko wodzom przez swych rotmistrzów, były: „że ich za Dniestr jakoby na rzeź żoną owce, w kraj pusty między dzikie wołoskie manowce“, gdzie o żywność trudno, odwrót może być uniemożliwiony przez zniesienie mostu, a przytem „praca w ręku, o płacej żaden dotąd nie wie... już w oczach Wołosza, a drugi jeszcze nie wziął złamanego grosza“. Zwołana rada wojenna, widząc niemożliwość surowego ukarania tego wybuchu niekarności, zdołała wreszcie poufnym i osobnym dla każdej chorągwi zapewnieniem wypłaty „ćwierci“ uspokoić rozruch. Niech

tylko jakaś niepomysłna pogłoska rozejdzie się po obozie „wszyscy sowę zadęli, powiesili nosy, wszystkim jak dał po uchu, jak psi zjedli krupy“.

Niekarność i nieposłuszeństwo paraliżują ciągle plany wodzów. „Chodkiewicz, tocząc obóz z razu, rozkazał wały sypać naokoło, lecz jego rozkazu nie słuchali rotmistrze pieszy, choć im w sznury rozmierzył; jeżeli też począł dłubać który do połowy nie skończył, że na cztery stopy w głąb i w szerz tylko były one ich okopy“. Owi zaciężni Niemcy „pod twar-dem żelazem“, których „matka we krwi kapała“ a „trzas-kiem muszkietowym usypiała“ jakże się inaczej przedstawiają w rzeczywistości! „Każdego-by z pluder wytrząsł: bo gdy ogroda dopadł głodny bruder, żarł bez względu jarzyny nie-warzone póty, aż mu brzuch w twardey bęben, kiszki poszły w druty, ztąd ich *kranki* zwyczajne, a skoro ociekli, ledwie że kości skórą powleczone wleki“.

Jak widzimy na każdym kroku ideały poety stają w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy; chwilowe porywy uczucia i wyobraźni unoszą go w świat idealny, lecz obowiązki historyka, a więcej jeszcze słabość ducha nienawykłego do patrzenia na świat i życie z wyższego stanowiska, zwracały napowrót ku ziemi, ku rzeczywistości, którą obserwował głębiej i wszechstronniej niż Pasek, lecz z tymże co on malował humorem i animuszem.

V.

Z przybyciem armii tureckiej mogła się rozpocząć właściwa akcja wojenna. Początek czwartej części poświęca Potocki obszernemu opisowi obozu nieprzyjacielskiego. „Zabie-lały się góry i Dniestrowe brzegi, rzekłby kto, że na ziemię świeże spadły śniegi, skoro Turcy stanęli i swoje okiem nie-przemierzone rozbili namioty“. By tem więcej uwydatnić do-niosłość odniesionego przez Polaków zwycięstwa, kilkadzie-siąt wierszy zapełnia samem wyliczeniem nazwisk rozlicz-nych plemion i narodów, które pod sztandarem Osmana ze-

brały się na podbój Rzeczypospolitej. Zasobami swej erudycyi dorównał tu Potocki samemu Wiktorowi Hugo, lubującemu się w podobnych wyliczeniach, o czem przekona mały choć urywek tego spisu: „Psylli, Baktrzy, Imanie, Pargiedrzy, Geloni, łysi Arymfeji i Mezopotami, Frykci, Cyrci, Sabei, Kaspjii, Albani, gdzie Ganges, gdzie Eufkrat, gdzie Tanais z Nilem, gdzie się lerneńska hydra miesza z krokodylem, gdzie Lemno Wulkanowe, gdzie starego raju małe znaki. Tu Babilon i Memfis, Trypol z Alkaiem wschodni świat, rumem dzisiaj zasypyany szczerem“. Jednakże w tej karawanie ludów, której towarzyszyły takie gromady rozlicznego bydła, że „sam Febus złotowłosy“ jak dawno „snuje swej sfery wydział“ nie dojrzał nic podobnego, nie było i nie mogło być rzeczywistej siły wojennej „odjawszy ludzi europejskich z czoła, ostatek czerń, szarańcza, motłoch, skomon, smoła“. Rozmaitość ta dostarczyć mogła jedynie wdzięcznej bardzo treści do opisu lub obrazu, lecz dla utrzymania ładu w obozie, dla szybkości i dokładności w ruchach wojennych była wielką przeszkodą i jednym z głównych powodów klęski. Po nad tą różnoplomienną i różnojęzyczną rzeszą góruje Osman porywczy, niedoświadczony, słuchający jedynie głosu swych namiętności, spragniony zemsty i tryumfu „jako lew krwi pragnący wyciąga pazury, jeży grzywę, po bokach maca się ogonem, jeżeli żubra w polu zobaczy przestronem“. To homeryczne porównanie, przyczerpione do postaci Osmana tylko dla ozdoby, nie odpowiada wcale rysom jego charakteru, jakie podaje w innych miejscach poeta. Jest on okrutny, zacięty, mściwy, ale nie okazuje nigdzie ni lwiej odwagi, ni wspaniałomyślności, którą zwykle przypisują poeci temu królowi zwierząt, prędzej za to przypomina nieraz zaciekłego brytana podwórzowego, gdy naraziwszy się swą porywcznością na razy bolesne „wraca pod się z chwostem“ (str. 189). Bez namysłu i przygotowań postanawia młody sułtan od razu uderzyć na oszańcowanych Polaków i jednym zamachem zgnieść powstrzymującą go garstkę wojska. Zapowiada więc swym wodzom, iż musi koniecznie wieczerzę spożyć w polskim obo-

zie i zająwszy stanowisko na wyniosłości, pod zielonym sztandarem, otoczony gronem „wieszczków, wrózków, kuglarzy“, wyczekuje niecierpliwie rezultatu rozpoczętego boju, wyznaczwszy „sto tysięcy nagrody, konia z rzędem i znaczny urząd“ temu, kto pierwszy wieść o zwycięstwie mu przyniesie. Chodkiewicz tymczasem „bawi się jeszcze kościołem“, choć „szpieg na szpiegu jedzie, że się Osman u niego kładzie na obiedzie“. Odprawiwszy nabożne modlitwy i wstawszy z kolan na nogi: „rad mu będę — prawi — tylko niechaj nie mieszka, niech nie kwasi grochu, będzie bigos gorący z ołowiu i prochu“. Uczucie poety, podbudzone myślą o świętości i ważności boju za wiarę, do którego miało wystąpić polskie rycerstwo, ozłaca je idealnym blaskiem. „O chwalebna ochotko! o kochana młodzi“ woła rozrzewniony starzec, „serce różnie patrzącym, gdy jedni do zbroi, drudzy się biorą do panczerzy, wszyscy na koń wsiadają i wychodzą z szańcu, rzekłbyś, że na wesele, rzekłbyś, że do tańcu, że już na skroń korony wdziali tryumfalne... gdy nakształt powodzi blizkie pola osuli a mężnemi czoły wyrażają zmieszany gniew z radością w poły“. Konie nawet czując na swych grzbietach „kawalery dzielniejsze niż z Malty, przyskają, rżą i postać w miejscu nie mogą, czyniąc serce i ochotę w jeźdźcu. Gdy już wojsko stanęło w szyku bojowym, zająwszy stanowiska według dawno ułożonego planu, przy pomocy „starych pułkowników i mądrych inżynierów“, Chodkiewicz zgromadził koło siebie starszyznę i zwyczajem „zawołanych hetmanów, krótkiej lecz zwięzłej do nich zażyje przemowy“. Pod piórem Potockiego przecie ta „zwięzła i krótka“ mowa zamieniła się w rodzaj manifestu wojennego, zwróconego nie tyle do rycerstwa, zebranego pod Chocimem, ile do współczesnego społeczeństwa, by je zachęcić do wyprawy przeciw niewiernym. Przypomina tu wojenne cnoty pradziadów, zwycięstwa i podboje Chrobrego, wylicza krzywdy i klęski zadane przez Turków, porusza najczulsze struny w sercach swych ziomek, przedstawiając jak: „matka utrapiona pokazuje ubogich poddanych chrześcijańskie gminy, ojczyście ściany i kominy, pod wasze się z tem wszyst-

kiem dziś kryje ramiona, do was obie wyciąga ręce wolność złota“. Niema co się lękać Turków, bo „że się poganin upstrzy, uzłoci, uskrzydli“, że prowadzi z sobą tak liczne „namioty, słonie, muły, wielbłądy i osły“, to powinno jeszcze więcej zachęcać rycerstwo nadzieją łupów „do szczęśliwych tryumfów bo lubią sławę i złoto przy sławie żołnierze“: W wielkiej liczbie wojsk pogańskich „mało wojennych, działy, kupce, żydy... postroili i dali im dzidy. Co człek to tam rzemieślnik a każdy serce zostawił u warsztatu“... oręż ich to „młotek, szydło, dratwa“. W żarliwości swej stara się Potocki poruszyć wszelkie bodźce, użyć wszelkich możliwych argumentów, by ośmielić, zachęcić i nakłonić ziomków do podjęcia rycerskich bojów z niewiernymi, przez które spodziewał się przebłagać Boga zagniewanego na Rzeczpospolitą i odrodzić moralnie stan szlachecki. Przenosząc własne uczucia i zapał własny w serce Chodkiewicza, powiada poeta, iż „gdy dokończył swej mowy zdawało się, że słońca promień go ogniowy ogarnął, że na głowie i na skroni białej włosy mu orzedziałe promieniem gorzały“.

Bój wreszcie się rozpoczął; cała siła Turecka i najlepsze wojsko (janczarowie), zwróciło się przeciw kozakom, polskie rycerstwo zaś przez ten czas stało na stanowiskach i zabawiało się harcami, podczas których Morsztyn Aleksander, mszcząc się za całoroczny pobyt w niewoli (jako jeniec z pod Cecory), wziął na arkan krymskiego murzę i przywiódł Chodkiewiczowi. To też cała strata szlacheckich chorągwi w ciągu całodziennego boju wynosiła dwanaście koni i kilku ludzi. O stratach kozaków, którzy cały ciężar boju wytrzymywali, nie wie poeta, powiada tylko, że Turcy trupów swoich nakładali pełne wozy „jako rolnik przed deszczem kiedy do stodoły wozi z wierzchem pod pawąż wysuszone snopki“. Całą jednak zasługę wygranej polskiemu przypisuje rycerstwu: „Nie Węgrzyn tu, nie Niemiec, nie Arabin nagi, nie Budzyn, nie Algier, nieme mury, ale co piersi to forteca w twardej kuta skale, do każdej dział burzących trzeba wam i miny. Takie przedtem rodziła Sarmacya syny“! woła zapa-

trzony w swój ideał poeta. Sam jednak obniża zasługę tego bohaterstwa, zwracając uwagę, że „Polak gdy go zbroja hartowana okryła, piersi blachem opatrzył, szyszak głowy strzeże, nie czuje chociaż go kto kole, chociaż rzeże“ tymczasem „pogaństwo gołe brzuchy niesie jako lutnie, goły łeb, cienką szyję od razu mu utnie“. Z tem wszystkim nie pokrywa milczeniem męstwa i zasług kozaków, owszem niejednokrotnie powtarza, że Turcy całe swe usiłowania i wszystkie ataki zwracali głównie ku obozowi kozackiemu.

Podczas gdy Turcy wyprowadziwszy w pole „émę dział burzących, sobie tuszą, że jeśli nie pobiją, to pewnie pogłuszą albo kulmi zasypią“; dzielni Zaporozcy tymczasem siedzą sobie spokojnie „pod piastą gnojem nafasowaną i tną *siedm odenastą*¹⁾, aż skoro się ku nim ta chaja zagości, wtenczas do samopaków, pokinawszy kości, każdy swego wymierzy i pewnie nie chybi, ale gdzie dusza mieszka, tam mu kulę wścibi“. Gdy celnemi strzały „zmylą im szyki, suną się do nich w pole z rzeźwami okrzyki, a kto co w ręku trzyma, tem się mężnie pisze, oszczepy, rohatyny, szable i berdyże... tną janczarów z Arabów, Serów z mameluków“. Atak był tak szybki i gwałtowny, że działa tureckie musiały zamilknąć, by swoich nieraziły, a „Turcy swój nadolek wzięwszy w zęby długi, rzadko który w zawoju, rozpuścili fugi, dawszy miejsce u siebie staremu przysłowiu: uciekli i nogami poradzili zdrowiu“.

Jak widzimy, poeta z całą sympatyą podnosi dzielność kozaków, malując ich odwagę żywymi i barwnymi rysami. Sam przyznaje, że gdy poganin kozakom „rogów utrże i wyżenie ich z szańców“, to „Polak musi siedzieć jako groch na bębnie“. Gdy ponowione ataki Turków nie odnosiły skutku, Osman kazał przenieść część górnego obozu pod same wały kozackie. „Lecz nalazł bies sąsiady, trafił przenosiny — powiada z humorem szlachecko-żołnierskim poeta — bo zaporozce znając dobrze tych rycerzów, tylko sobie na szańcach

¹⁾ Rodzaj gry w kości.

podniosą kołnierzków, i w tę stronę nośniejszych przetoczywszy działek, ochotnie grać pomogą dla zabawy gałek; albo czem sąsiadowi sąsiad zwykł wygadzać, dadzą ognia i poń się nie trzeba przechadzać“.

Choć z boleścią, ale wierny podjętemu obowiązкови, nie pomija Potocki szczegółów, rzucających plamę na obóz polski. „Rzecz sromoty pełną wspomnij Muza; trudno słów uwijać bawełną gdy się prawdę pisać rzekło“. Smutnym tym wypadkiem, świadczącym, do jakiego stopnia niekarność i samowoli posuwała się czeladź obozowa, ta plaga wszystkich wypraw rycerstwa polskiego, była rzeź Wołochów, którzy, przed nadciągającą armią turecką, schronili się ze szczątkami mienia, jakie unieść zdołali, pod osłonę obozu polskiego i tam „rozbili swe ubożuchne kotary“, żyjąc „o wodzie i suchara skórze“. Opierając się na fałszywej pogłosce, jakoby na radzie wojennej postanowiono wyrznąć Wołochów, jako dostarczających wiadomości do obozu tureckiego, „ciurowie i pacholcy luźni“ zaprawieni do mordów i grabieży w częstych nocnych wycieczkach do obozu tureckiego, urządzają napad na koczowisko wołoskie. Wiedząc, „iż grzech bez pomsty uchodzi im się nań większa kupa zgodzi“, schodzą się na bazar, gdzie „zażywszy gochy bieżą znosić niewinne Wołochy“. Jaskrawym realizmem i żołnierską szorstkością nacechowany opis rzezi przekonywa, że co do okrucieństwa i dzikości chrześcijanie w niczem nie ustępowali niewiernym, a nawet o wiele ich przewyższyli. „W posoce się uszargawszy po pas, zrabują co tylko jest i pełni korzyści wracają jakby Turka zniesli; chłopci czyści“! W tem pogardliwym napiętnowaniu mianem chłopów tych, co zdolni byli splamić się podobną rzezią i rabunkiem, przebija się to idealne i podniosłe pojmowanie szlachectwa jako zaszczytu, wymagającego w zamian od człowieka pojęć, uczuć i czynów szlachetnych.

W mnóstwie szczegółów, jakich dostarczała akcja wojenna i wydarzenia życia obozowego, Potocki nie czyni żadnego wyboru i nie zaprowadza innego ładu prócz chronolo-

gicznego następstwa. Pomijając te jedynie dni, w których nie było żadnych utarczek, opowiada on ze ścisłością kronikarza, a raczej oficera sztabowego, cały porządek dzienny obozowego życia i przebieg walk, o ile takowe opisał Sobieski w swym komentarzu, lub dostarczyły pocie prywatne dyaryusze i ustne opowieści uczestników. Rzecz naturalna, że walki te toczone zawsze w tych samych lub podobnych warunkach, przedstawiały wielkie podobieństwo w swym charakterze i przebiegu.

Opis ich Potocki zaczyna zawsze od wschodu słońca, modlitw i przygotowań porannych, a kończy z zapadnięciem mroku wieczornego, który kładł koniec zapasom, zwracając walczące strony na nocny wypoczynek do obozów. Co do formy opisów, to stale trzyma się poeta tonu i stylu gawędy, przedstawiając żywo, obrazowo ale w grubych zarysach i pojedynczych szczegółach, koleje walk toczonych zwykle na obszernej przestrzeni i w kilku jednocześnie punktach. W zapale nienawiści ku Turkom zdaje się pocie, iż bierze sam udział w tych zapasach, że opowiada to, na co patrzył własnemi oczyma i w czem brał czynny udział, dzielając upojenie zwycięstwa i zjadłość podnieconą widokiem krwi i dymem prochu. Na boje i pobojojwiska spogląda nie okiem historyka i poety ale żołnierza; trupy zaścielające plac walki, ranni wijący się w cierpieniach nie budzą w nim ni grozy oburzenia ni tego podniosłego smutku, w którym jednym współczuciem ogarniany swoich i wrogów, złączonych wspólnością cierpienia i śmierci. Potocki, który znalazł słowa współczucia dla krzywd niewinnie pomordowanych Wołochów, z radością opowiada, jak „gdy nasz ławą brali pogaństwo na sztychy, chrzęst tylko i szelest słyhać było cichy, żaden swego nie chybi i trzech drugi dzieje, że im ciepłe wątroby kipią na tuleje; trzask potem i zgrzyt ostry, gdy po same pałki kruszyły się kopie w trupach na kawałki; pełno ran, pełno śmierci; więzną konie w mięsie, krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie, ludzie się niedobici w swoich kischkach płaczą, drugi chlipią z paszczęki posokę gorącą“. Pod-

czas bowiem gdy Turczyn tylko dzwoni po zbrojach hartowanych, nasz gdzie tnie, tam rana, gdzie pchnie, dziura w ciele; w łep, pierś, brzuch gdzie się nada, rąbią, kołą śmiecie“. I to pisze nie żołnierz z rzemiosła jak Pasek, który połowę życia strawił na wojnach, lecz spokojny, pobożny ziemianin małopolski, „rycerz do miecza przypasany“ według wyrażenia Kochanowskiego, pobudzony jedynie religijno-patriotycznym zapalem, a w pewnej części może i wspomnieniami własnych czynów i przygód bojowych. Jużto że i sam dobrze władał koniem i szablą w młodości i nieraz zapewne w czasie szwedzkich i kozackich wojen wypróbował swe męstwo, o tem świadczą liczne obrazki bojowych epizodów, których przedmiotem są mężne czyny i śmiałe harce rycerzy polskich a właściwie małopolskich; bo czy to przez szczególne przywiązanie do swej prowincyi i chęć wykazania jej wyższości nad innymi częściami Rzeczypospolitej, czy też dla tego, że ustne i piśmienne opowieści, któremi się posiłkował, pochodząc od krewnych i sąsiadów, także pomijały czyny rycerstwa innych stron kraju, Potocki uwydatnia z wielką troskliwością bohaterstwo i zasługi samych niemal małopolan.

Pierwsze miejsce naturalnie zajmuje tu Lubomirski, który nietylko jako pomocnik Chodkiewicza i jego następcą po zgonie, kieruje bardzo rozumnie działaniami wojennymi, ale i sam „we lwiej piersi ma serce żywe“ i krew młodą, która igra tym więcej, im „bliżej czuje pole swej sławy“. To też zagrany widokiem walki „jak chart chciwy“, który widząc, „że go lis polem mija albo zając kusy“ zdiera się z obroży i goni zwierza, „takie czyni serdeczny Lubomirski susy. Koń pod nim skarogniady krwawe toczy piany, nozdrzem iskry z płomieniem bucha na przemiany. Zanurzy się w zastępach bisurmańskiej zgraje, ręką bije, przynuką ochoty dodaje; zamiesza ich jak w kotle jako w garncu kaszę, sam koncerzem znacznego w oczu wszystkich baszę obali“. Drugi dostojnik małopolski Sieniawski „już trzeciego grzeje konia, sam krwią przemókł do nici, kiedy nań z ustronia spadnie Turczyn do-

rodny w okropnej posturze; A długoż dokazywać będziesz psie giaurze? Czas by też przestać! a wraz co siły nań przytnie. Ale cóż? szabla tylko po szyszaku zgrzytnie. Chce powtórzyć lecz przyszło rozstawać się z światem, bo mu łeb zdjął i z brodą Sieniawski bułatem“ (str. 226). Wspominaliśmy już o Morsztynie Aleksandrze, który arkanem wziął do niewoli murzę tatarskiego. Znanym jest również powszechnie opis walki Piotra Lipskiego z Arabem, spopularyzowany przez malarzy i podręczniki do wykładu literatury. Spokrewnionym z poetą Pisarskim i Lipskim dostają się oddzielne wspomnienia. „Zmoczywszy pióro w bystrzej Szreniawie — powiada dumny ze sławy swego rodu poeta, pisać was mi Pisarscy! chociaż podłym rymem podać was światu Janie, Przesławie z Joachimem“. Choć prawdę powiedziawszy nie miał za co ich chwalić poeta, bo cała zasługa polegała w tem, że jeden z nich Jan mianowicie „skoro obadwa boki bracią swą ustalił jako dwoma basztami, znacznego Turczyzna po stroju i czole, sztychem w gębę trafiwszy na ziemię obalił“ (299 str.).

Cały ten ustęp o Pisarskich nosi wybitne cechy panegyryku, którego nadętości, fałszu i bezmyślności nie mógł się ustrzedz nawet tak miłujący prawdę, tak szczery w swych uczuciach i czerpiący zawsze swe myśli z głębokiego przekonania poeta. Podlega on tej słabości zwykle gdy przychodzi mu wspominać Lubomirskiego; drobnostka taka, jak wydany przezeń rozkaz by nie przeszkadzać Turkom w zbieraniu i grzebaniu trupów, powoduje Potockiego do wyrzeczenia, iż „wielki Lubomirski Achillea w męstwie we wspaniałem Scypiona wyrównał zwycięstwie“ (str. 267). Jedni Lipscy tylko słuszne odbierają od poety pochwały, gdyż opisane czyny usprawiedliwiają je dostatecznie. Gdy do obozu przyszła wiadomość, iż Tatarzy zabrali cały transport żywności, wynoszący przeszło tysiąc wozów, „wszyscy nosy spuścili, bo ich tak głód ściągał, że już spieniem ostatniej prawie dziurki sięgał“; i „z próżnego biorąc pochop ksienca“ zamysłali, pod pozorem wyprawy za żywnością, opuścić obóz ze wszyst-

kiem, wtedy Jan Lipski (dziad zięcia poety także Jana), służący w wojsku jako rotmistrz husarski z czterema synami, swem energicznym przemówieniem wstrzymuje gotowych już do dezercyi. Rzecz naturalna, iż obszerna mowa Lipskiego, jak i odpowiedź rozrzewnionego i uszczęśliwionego z tego obrotu rzeczy Chodkiewicza, są wymysłem Potockiego i wier-nem odbiciem jego własnych pojęć i uczuć. On to sam, przez usta Lipskiego, przypomina współczesnym, iż praojcowie ich przez siedm lat z Bolesławem wojowali pod Kijowem, iż im „dla drogiej ojczyzny w kanar się obracały smrody i truci-zny“, że najszczęśliwszą ma śmierć człowiek, gdy go „pan na zagonie zastanie przy żniwie“, niech tam „sto wisi chorągwi nad drugim w kościele ze stem szumnych nagrobków, gdzie nie moja ściele łoże cnota, tam kości me doleżą całkiem, brednia malarz i z swojej kitajki kawalkiem“. Przez usta Chodkiewicza znowu wypowiada swe marzenia o tej wyczekiwanej przed śmiercią jeszcze chwili, gdy odrodzone rycerstwo po-śpieszy znowu na szczęśliwe boje pod wodzą króla Piasta, chwili, która tak niedługo miała się ziścić. „O moja krwi szlachetna, o zacne rycerstwo, nieodrodni wielkich rodziców synowie!“ woła rozrzewniony swem marzeniem Potocki, bo przecież słowa powyższe byłyby zupełnie nie na miejscu w ustach Chodkiewicza, przemawiającego do tych, których groźba szubienicy dopiero i energiczne słowa Lipskiego po-wstrzymywały od ucieczki z obozu. „Niech mi Bóg będzie świadkiem, że choć mnie gniecie do grobu moja starość cho-ra, lecz skoro słyszę w uszy i widzę na oczy waszę gorliwość, zaraz serce we mnie skoczy, sił mi znacznie przybywa. Niech-że Bóg, który słowem może światy tworzyć, że wam serca, mnie zdrowia raczył sam przysporzyć, wiecznie będzie po-chwalon!“ Właściwą odpowiedź Chodkiewicza stanowi do-piero końcowy ustęp od wiersza: „Szubienic tu nie trzeba ani żadnej grozy“ (str. 273).

Najświetniejszy popis swej dzielności dał stary wojak już przy samym końcu wojny, gdy z powodu dostrzeżonego ruchu armii tureckiej, Lubomirski zaprzagnął zasięgnąć języka

i zawezwał w tym celu ochotników. Choć jednak „grono rzeźwej młodzi lekkim harcem podemknie się pod straszne mnóstwo pogaństwa“ Turcy przecie, zajęci swym manewrem, nie zważali wcale na te zaczepki, a harcownicy nie mieli odwagi zapuszczać się w głąb zwartych szeregów nieprzyjacielskich. Widząc to Lipski, zwraca się do swych synów z przemową, stanowiącą właściwie mowę pochwalną, pogrzebową dla niego w połączeniu z nauką i przykładem dla potomnych. Już to Potocki nie opuszcza najmniejszej sposobności do przypominania współczesnym o świętem posłannictwie szlacheckiego. „Nie to żywot sto lat żyć, woła przez usta Jana Lipskiego, sto lat w ziemi gmerać, myśląc tylko żeby jak najpóźniej umierać“, ale „jeden dzień, jeden sercu wspaniałemu lepszy co mu tysiąc lat da żyć na ziemi“, a gdy stanie „z grobu na popis generalny“, wtedy udzieli mu „wódz święty niebieski indygenat“. Wypowiedziawszy sam sobie tę mowę pogrzebową, rzuca się stary wojak na czele hufca ochotników „jako lew w kupę żubrów, jako jastrząb w stado wron“... „na lewe tureckiego szyku skrzydło skoczy i baszy, co na tamtem rozkazawał skrzydle, przy samych łeb ramieniach utnie jak po mydle. Spadł buńczuch chorążemu przycięty w rękę, wypadł i sam przez piersi pchnięty sztychem, z lęku“. W zapale walki zapomnieli wszyscy o dostaniu języka i dopiero syn starego rotmistrza Hieronim (ojciec zięcia poety) „z obudwu rącz Turczyzna za piersi uchwył, który mu się z urody uda i kibici“, kiedy jeniec „nie chce iść i zrzędzi, Piotr go młodszy obuchem za plecy popędzi. Toż go co w koniach skoku z przetarganą brodą prosto ku obozowi do hetmana wiodą“. Dwaj drudzy synowie „przy rodzicu i z prawa i z lewa jako baszty jako dwa niezłomione drzewa, rum sobie szablą czyniąc, następują śmieje“. Tymczasem Turcy, rozjątrzeni zuchwałą napaścią, zasłi tyły garstce walecznych, którzy „w ostrzu tylko broni swe nadzieje po Bogu kładą że z tej toni wynijdą: tam Lipski jako Leonidas drugi chce umrzeć zwyciężając; krwawe zewsząd strugi szumią, poganie jako trzcina, jako słoma płoną“. Nigdy Wisła w czasie wio-

sennych wylewów tak „nie rozbierze brzegów jaką dziurę w pogaństwie garść ludzi tak mała ostrą szablą rozkopała“. Mężny rotmistrz byłby szczęśliwie wydostał się z tego zameku, gdyby nie utrata konia, który upadając przycisnął swemu panu „nogę ze strzemieniem do skały“. Nie mogąc się wydobyć dla ciężkiej zbroi „gęstych strzał i kiścieniów grady osuty, stratowany końskimi kopyty Bogu dał nieśmiertelną duszę w depozyty... i Tatr Pirenejskich nieprzebytym wałem zaległ Turkom tamten próg zacnem swoim ciałem“. Niemożąc się otrząsnąć ze szkolnych tradycyj i wymagań smaku swej epoki, zeszcenił poeta bohaterską mogiłę Lipskiego niedorzecznym panegirycznym nagrobkiem. Szereg scen wojennych zakończy Potocki poetycznym legendowego charakteru szczegółem o wycieczce Osmana pod Kamieniec, z zamiarem opanowania tej twierdzy i powetowania swych niepowodzeń owładnięciem tego tak ważnego pogranicznego grodu. Nie wiadomo przecie w radzie przybocznej Osmana, że głęboki o stromych skalistych ścianach jar, spodem którego płynie rzeka Smotrycz, otacza miasto, uniemożliwiając dostęp. Gdy wysłany podjazd wraca z tą niepomyślną wieścią, rozjątrzony Osman sam udaje się sprawdzić otrzymaną relację.

„Kto kował te kamienie? kto skały obrywał?
Bóg! rzeką – słuszną i on żeby ich dobywał!“ (str. 327).

Gdyby na tym obrazie zakończył poeta swą opowieść o bojach podchocimskich, czytelnik zamykałby książkę pod wrażeniem podniosłej myśli, która przewodniczyła Potockiemu w ciągu jego pracy. Na nieszczęście obowiązki kronikarza zniewalają go do opowiedzenia wszystkiego co się przytrafiło Osmanowi w powrocie z pod Kamieńca do Chocimia, a mianowicie o niefortunnym szturmowaniu do bezbronnego zamku w Paniowcach, w którym obrało sobie schronienie „czterdziestu chłopów z dobytkiem swoim“ i pop cerkiewki, mieszczącej się w murach zamku. Celne strzały tych zaimprovizowanych rycerzy o mało nie pozbawiły życia samego

Osmana, który uznał za właściwe zaniechać szturmów i zakończyć na tem szereg niepomysłnych usiłowań przeciwko siłom polskim.

VII.

Porozrzucane tu i owdzie rysy życia obozowego tworzą obraz daleki bardzo od tego idealnego obozu, jaki się chwilami przesuwał w wyobraźni poety. Nieregularny dowóz żywności wywoływał niejednokrotnie rozruchy i zamiary ogólnej dezercyi; częściowe zbiegostwo było rzeczą bardzo zwyczajną. „Brzuch niema rozumu, uszu, i niczyjej kiedy próżny nie słuca cale perswazyjej“ (243 str.). Brak amunicyi („kul już niema z czego lać, proch już wystrzelany... o nierząd cudowny! bez prochu, bez ołowiu na wojnie tak głównej!“ (302 str.). „Konie zdychają dla braku paszy, smród w obozie zkąd chorych na poły, Niemcy sną jak muchy i ledwie im doły zdrowi kopać nadążą“ (252 str.).

Te wewnętrzne przyczyny były o wiele niebezpieczniej-sze od nieudolnie prowadzonych szturmów tureckich. Działania nieprzyjacielskie, pomimo ich niezwyklej na owe czasy wielkości i siły („ziemię z gruntów trzęsły, rzygając kule o sześćdziesiąt funtów“), obsługiwane niedołężnie, nie wyrządzały żadnej szkody obozowi polskiemu; umiejętne oszańcowanie, dokonane przez obeznanych z postęпами sztuki fortyfikacyjnej polskich i holenderskich oficerów (Arciszewscy, Apelman), zabezpieczało od pocisków i niespodzianych szturmów. Początkowy strach przed olbrzymią potęgą turecką przemienił się wkrótce w naganne niedbalstwo i lekceważenie nieprzyjaciela. Niekarność i nieład wzrosły jeszcze, gdy Chodkiewicz, wyczerpawszy resztę sił w trudach obozowych, położył się do łóżka; a młody król Władysław, od chwili przybycia do obozu, nie wstawał z pościeli. Każdy rotmistrz uważał się za naczelnego wodza; kozactwo działało odrębnie, uganiając się głównie za łupami, które codziennie prawie zdobywali w nocnych wycieczkach; ciurowie działali także

na swoją rękę, gdy się trafiła okazja do rabunku. Rycerstwo, „któremu spowszedniały owe huk“, spędzało dnie całe na grze w karty po namiotach i dopiero „gdy pogańskie w swych wałach buńczuki ujrzeni też dopiero, porzuciwszy pasza, do nich się pobierali od kart do pałasza; zwłaszcza gdy kto miał pewną a rześisto stało, tym bardziej siekł im go to bardziej rozgniewało. Ten zasię rad przerwaniu który gonił resztą, za nim się z grą fortuna odmieni odeszła: bowiem jako pogaństwo przegnali przez pole, do swej się zabawy wracali przy stole“.

Harce wzajemne, nie przedstawiające więcej niebezpieczeństwa od łowów na dzikiego zwierza, stały się dla rycerstwa rodzajem rozrywki, *sportu*, wykazującego dzielność jeźdźca i przymioty konia. To też Potocki myśliwskim językiem nazywa je „gonami“. „Kto ma serce a konia, niżeli gnąć w kuczy, harcem sobie po błoniu szerokiem pohuczy“. Przypatrzmy się przez chwilę tej rycerskiej rozrywce, której widzami były oba wrogie obozy: „Oto Chełmski Scibor zwali z konia pięknego Turczyna na wybór, drugiego żywcem przywiódł; tymże idzie torem Borek wielki najezdnic, Kulczycki z Minorem“. Coraz to który z grona patrzących, zachęcony powodzeniem harcowników, „nie mogąc się odjąć żądzę dłużej“, przyłącza się do ich grona; stopniowo wysuwają się całe gromadki, w których przodują najśmielsi, jak: Sieniawski, Żórawiński, reszta zaś pozostaje nieco w tyle, by w razie potrzeby nadbiegnąć z pomocą. Między Turkami nie zbywa także na śmiałych ochotnikach. „Prosto na krajeckiego (Sieniawskiego) z wyniosłym dziirytem leci Turczyn; z gotowym i on pistoletem nie stoi i tak żartko przyszło się im zdeżyć, że się chybią nie móglszy do siebie wymierzyć. Obróci się Sieniawski szablą mając w rękę a już Turczyn zniesiony u sług jego w rękę. Krolewski z Suchodolskim kiedy pana strzegą nim ten koniem obróci, porwą go i zbiegą. Toż szczęście Żórawiński toż i inszy mają, gdy albo biorą Turków albo ich strzelają“. Nie obeszło się przecie bez rozlewu krwi polskiej, bo „tej gry Rozen z Twardowskim przyplacili zdro-

wiem gdy się dalej zagonią; tam Potocki z łuku w ramię wziął, gdy Araba wiedzie przy munsztuku i inszych kilku rannych“ (str. 277). Zachód słońca położył koniec „tej krotofili“, którą Potocki, patrzący na Turków jak na dzikie zwierzęta, opisuje czysto myśliwskim językiem. Nie tyle przecie męstwo rycerstwa ile umiejętne oszańcowanie obozu, założonego w trafnie obranem miejscu, nadało szczupłym siłom polskim tak wielką odporną potęgę. Turków znowu osłabiała sama wielkość i plemienna różnorodność półmilionowej armii, która o ile była straszną w pochodzie swą niszczycielską energią, o tyle znowu zatrzymana przez czas dłuższy na jednym miejscu w okolicy nieludnej i bezdrożnej, w ostrym stosunkowo klimacie, topniała szybko od głodu, chłodu i chorób nieuniknionych w takim nagromadzeniu ludzi, koni i bydła. Śmierć Chodkiewicza nie wywarła wpływu na obustronne położenie. Następca jego młody Lubomirski nie potrzebował rozwijać wielkiej energii i zdolności by dotrzeć do końca na odpornem stanowisku. Trudy i niewygody życia obozowego usposobiły pokojowo obie strony. Na propozycyę tureckiego agenta Wewelego, posłano dla wybadania usposobienia i żądań Turków marszałka nadwornego Lubomirskich Jakóba Zielińskiego. Przyjęty przez wodzów tureckich bardzo uprzejmie powrócił z zapewnieniem o pokojowem usposobieniu Osmana, który wyczekuje tylko na przybycie upelnomocnionych posłów. Wkrótce po nim zjawił się Weweli z listem sułtańskim, warującym posłom bezpieczeństwo ich osoby. Oświadczenia te przecie nie były szczere. Osman był tak skłonny do przymierza, powiada Potocki, posługując się ulubionym mu porównaniem z życia myśliwskiego: „jako pies, kiedy wielkiego naszczeka zwierza, mów hajwo! każ mu leżeć, bierz go i za uszy, nie pójdzie, aż niedźwiedzia albo wieprza ruszy“. To też postanawia on jeszcze raz spróbować szczęścia i przypuścić ostateczny szturm do obozu polskiego w dzień św. Wacława, patrona poety. I ta okoliczność zapewne, tudzież wzgląd iż był to pierwszy bój zwycięzki za hetmaństwa Lubomirskiego, podnieciły uczucie i wyobraźnię

Potockiego, który z wielkiem życiem kreśli koleje walki, podobnej zresztą zupełnie do kilku poprzednio już opisanych. Lubomirski jest jego ulubieńcem, bowiem swą młodością, urodą, rycerską postawą i ogniem zapału urzeczywistniał w jego wyobraźni ideał jeżeli nie wodza to bohatera, od którego tak dalekim był energiczny lecz przygnieciony wiekiem i chorobą Chodkiewicz, ztąd tak chętnie w usta nowego hetmana kładzie swe własne pojęcia i uczucia. Modlitwa, którą Lubomirski odmawia po swym obiorze na hetmana, jest wiernym wyrazem pojęć i pragnień poety w chwili pisania poematu (około 1670 r.). Technie ona tym mistyczno-religijnym patryotyzmem, który uwydatnił się tak potężnie w Psalmodyi Kochowskiego: „Po swych aniołach pojrzyj panie a każ któremu niechaj sekundantem będzie gdy się baranek bije z elefantem. Rozum wodzowi, serce daj żołnierzom. Jakoś Jęftego, kiedy szedł na twoją wojnę, przyjął ofiarę, tak przyjmij i moję któryć dziś, z tem rycerstwem Chrystusowej wiary, nie córkę ale duszę kładę na ofiary... Skrusz Mahometa, jakoś kruszył więc Baale“. Modlitwa ta, powiada poeta, „przebodła niebo“ i doszła Stwórcy, który „każe Michałowi co dyabła wysadził, aby o rzeczach polskich pod Chocimem radził“. Jest to aluzya do narzucanego przez poetę Wiszniowieckiemu posłannictwa co do zgromienia Turków i wypędzenia ich z Europy.

Mowa Lubomirskiego do rycerstwa w chwili rozpoczęcia boju, odznacza się niezwykłą u Potockiego zwięzłością, bo zresztą nie różni się doborem argumentów i zwrotów retorycznych od przemów Chodkiewicza. Jak zawsze tak i teraz przez usta Lubomirskiego przemawia sam Potocki do współczesnych sobie. Świeża elekcyja Wiszniowieckiego napełniła jego serce otuchą, która przebija się tu z każdego słowa. Nadeszła nareszcie chwila „ma sarmacka młodzi“, którą Bóg umyślnie dotąd chował „żeby w niej krzyż z miesiąca sławnie tryumfował“... „Nam słońce dziś na niebo wschodzi, naszej, o bracia! sławy gore lampa złota, żeby widzianą była każdego z nas cnota“. Nie lękajcie się potęgi tureckiej, są to



ci sami ludzie „cośmy ich sto razy jako bydło szablą gnali krzywą... co z pola przed naszymi uciekali ciury, cośmy im palce w gęby kładli, z ręki brali buńczuki... Tenże chłopiec i teraz głupi; taż ich niwa pod też wam szable znowu pędzi do rzeziwa... Bijmy mężnie nie licząc, mamy nad złoczyńce serce w piersiach na ziemi, na niebie przyczyńce“ (str. 298).

Porażka, jakiej doznali w tej walce Turcy, uczyniła ich skłonniejszymi jeszcze do zgody. Osman przekonawszy się dowodnie, iż „serce ma nad liczbą w okazyjej więcej, że przed jednym ucieka chartem sto zajęcy“, widząc „kawalery i swych rycerzów jednych jako wory na wozach, drugich jako bydło do obory gnanych z pola... spuścił z kwinty“ i tylko „płakał jako bóbr, a ze łzami szczery jad pryskał mu po piersiach“. W obozie polskim całodzienny bój wyczerpał tak zapasy prochu, iż jedna tylko pozostała beczka („o nierząd cudowny“ woła poeta), trzeba więc było zrzucić pychę z serca i korzystając z chwili, wyprawić poselstwo do obozu tureckiego dla spiesznego zawarcia pokoju. Wybrano w tym celu z grona komisarzy wojennych: Sobieskiego (z senatu) i Żórawińskiego (z izby poselskiej), Andrzeja Szoldrskiego, kanclerza przy królewiczu („człowiek wielki z rozumu, wymowy i cnoty) i Aleksandra Szembeka, który z listami hetmana do Osmana i Dilawera (wezyra) i darami („którymi sami miękczą się bogowie“) wyruszyli z obozu.

Wiść o przybyciu posłów polskich wywołała niezmierną radość pomiędzy wojskiem tureckim. „Co żywo się na wozy i na budy wspina, ciągnie szyje... strażę nawet co przyległe trzymały wzgórk, wyrzucały zawoje z krzykiem na powtórki, czując czas niedaleki szczęsnego powrotu w miły dom z bud niewczesnych“. U wstępu do obozu oczekiwało na orszak poselski sto *czauszów* (gońcy, kuryerzy tureccy) „w poczesne wszyscy brody przybrani, by tak w rozum, maluj wojewody“. Dalej spotkał ich oddział Wołochów z zaproszeniem do namiotu gospodarza Raduły. Pomimo pewnej wątpliwości, czy nie będzie to „z dyshonorem Rzeczypospolitej“, że zamiast coby gospodar na nich czekał, posłowie pierwsi

udadzą się do niego, okoliczności przecie nie pozwalały wszczynać sporów ze względu na pożytek, jaki Raduł, jako pośrednik między posłami a sułtanem, mógł przynieść interesom polskim. Osman tymczasem chce, przed rozpoczęciem układów, opanować podejściem Kamieniec, by mieć podstawę do stawienia trudniejszych warunków posłom. W tym celu dla zasłonięcia swych zamiarów rozwija gwałtowny ogień działowy na obóz polski i wyprowadza znaczne siły w pole, udając zamiar szturmowania. Potocki, nie rozumiejąc znaczenia tego udanego ataku, przypisuje go zaciekłości wojowniczej Osmana („Mów wilku pacierz! a on przecie owca, baran“), nie mogącego się pogodzić z myślą o pokoju, to też dziwi się, że Turcy wyszedłszy w pole „kiedy już, już trzeba było skoczyć, zaczęli się boczyć“ i krzycząc jedynie *halla, halla*, „swoją impet obrócili w harce“ (str. 313). Tymczasem w obozie tureckim robiono przygotowania do ataku na Kamieniec, który, jak to już wspomnieliśmy wyżej, nie powiódł się, co sparaliżowało połączone z tem dalsze plany wojenne Turków, zmierzające prawdopodobnie do zupełnego oblężenia obozu polskiego i przecięcia mu komunikacyi z krajem.

Po niefortunnym powrocie z pod Kamieńca, usposobienie pokojowe przeważało znowu u Osmana i wskutek tego zawieszano posłów polskich, wyczekujących dotąd bezczynnie, na konferencyę do wielkiego Wezyra.

Żórawiński, który przemawiał w imieniu całego grona, wypowiada — w wyobraźni Potockiego naturalnie — i pojęcia i sądy współczesnej szlachty o kwestyi wołoskiej: „O Wołochy tak stoim jak pies o piątą nogę, jak ptak o trzecie skrzydło, póki był wolny naród i do nas się skłaniał, póty go Polak bronił, póty go oganiał. Dziś, kiedy się sam od nas tak odsaczy, kto z nami nie chce chleba, my z nim i kołaczy“. Wizerunki dostojników tureckich rażą nas cudaczną karykaturalnością, przypominającą postacie rysunków dziecinnych o kształtach i wymiarach najdowolniejszych, pozbawionych wszelkiej prawdy, harmonii, proporcji, odpowiadających jedynie wymaganiom fantazyi niemowlęcej, lubującej się

w tworzeniu czysto fantastycznych kształtów. Oto jak nam maluje Potocki Muftego (Szeik Islamu), któremu przedstawiali się posłowie po audencyi u Wezyra: „Blady, chudy, krzywy, zgoła trupek, kamyków nawtykawszy na nić, jako słupek w miejscu stał, szepcąc swoje nikczemne pacierze“. Osman znowu przyjmując posłów, „siedzi jak bałwan, jakby sztukę balku złoconego postawił kto na katafalku. Dywan naprzód wysoki, na dywanie zatem we trzy łokcie wysokim wzniosł się majestatem. I tak siedzi, ni ręką, ni nogą nie rucho, ni głową, ni okiem, i chociaż mu mucha w nos lezie uprzykrzona, jej się nie ożenie. Właśnie takie stawiają na jarzabki cienie“ (str. 345). Są to naturalnie czysto fantazyjne rysunki, bowiem Potocki nie widział na oczy ni sułtana, ni żadnego ze wspomnianych tu dygnitarzy tureckich, mógł tylko słyszeć żartobliwe i przesadzone opowieści uczestników samej wyprawy, a może i poselstwa, z których pochwylił i przedstawił w powiększeniu najjaskrawsze rysy jedynie.

Rozmowa posłów polskich z hospodarem Radułą, który ich na obiad zaprosił, jest ciekawem odbiciem szlacheckiej dysputy o stosunkach z Turcyą, Tatarami i Wołoszczyzną. Gdy Raduł wspomniał o potrzebie dawania sułtanowi upominków w złocie: „Na on twardy sylogizm Żórawiński krząknie, już mu z serca chybki gniew do języka sięga“. Widząc to Sobieski, powstrzymuje porywczego towarzysza od wybuchu i sam „skoro kęs odpocznie, skromnie Wołoszynowi odpowiadać pocznie“. Otóż w tej „skromnej odpowiedzi“ prawi Radule, u którego był gościem, komplement, że się srodze zawiodł, rachując, że on jako „chrześcijański człowiek“ będzie zyczliwym dla chrześcijan, a tymczasem „nie będzie rys ze psa nigdy jako widzę“, że jego animusz nie jest „pośredniczy ale niewolniczy“, że „w sicie szuka sęku“, że „jako pismo na śniegu tak wołoska wiara“, że Wołochom tylko przystoi dawać daniny i haracze, „których natura jako wielbłądy i muły do ciężarów sprawiła... znakiem w herbie u was łeb bydłęcy“.

Turcy pragnąc koniecznie wytargować choć drobne ja-

kieś zadośćuczynienie, by tem swą powagę polityczną uratować po doznanych porażkach, używają rozmaitych sposobów do nastraszenia i zmiękczenia posłów polskich. Opowiadają im więc, że Osman uparł się sześć tygodni jeszcze prowadzić wojnę, że mu świeże posiłki nadchodzą, wyprowadzano w noc z obozu oddziały, które z rana „z wielką pompą“ wprowadzano do obozu koło szałasów posłów, którzy „na to wszystko pokazali figi; dobry kobuz na wróble, Ulisses na Frygi, rano było wstać ktoby chciał ich wywieść w pole“. Oddając wet za wet, posłowie znoszą się z obozem swoim, z którego Lubomirski przysyła im list, donoszący o nadchodzeniu króla z ogromnem wojskiem, a jednocześnie Sieniawski „przenocowawszy w polu na znowie z hetmanem, z wielką pompą wszedł w obóz prawie z słońcem rannem“. Na odgłos trąb i wystrzałów „turków jako podszywał, jak włókł przez nich siano“.

Nareszcie po długich sporach i naradach, gdy posłowie stanowczo oświadczyli, że zerwą układy, gdy turcy będą obstawać przy żądaniu haraczu, i powiedziawszy to „zerwą się z kobierca“, Dilawer „chwyci ich za ręce“ i słowami polskiego szlachcica, łagodzącego rozgniewanego gościa, rzecze z uśmiechem na posły: „Gorącoście kapani, byłoby to grzechem w tem was puszczać rosole do swoich“. Posłowie ochłoniawszy, przystają ostatecznie na złożenie podarków jedynie Osmanowi i dygnitarzom dworskim. „Bo Turcy — powiada objaśniając i usprawiedliwiając to poeta, — jako żaden na ziemskim padole naród, tak pragną złota... i do podobieństwa, gdyż w najpodlejszych ludzi tkają dostojenstwa. Tam wszystkim rzemieślnikom do honoru prędko przystęp; tam szewc co wiechciem wyściela napiętki, kuśnierz, krawiec, tkacz, barwierz, wstawszy od warsztatu, obok siedzie z wezyrem i wschodniemu światu prawa daje z dywanu“.

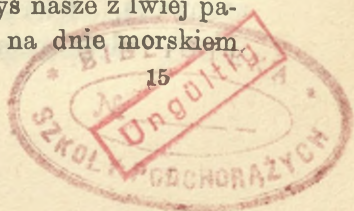
Gdy ułożono ostatecznie warunki pokoju z wezyrem, Sobieski udał się do obozu dla akceptacyi punktów przez królewicza, hetmana i komisarzy. Nie mając amunicyi ani nadziei na przybycie króla z posiłkami, nie stawiali oni trudno-

ści posłom i potwierdzili układ. Turcy też z niecierpliwością oblegali namiot posłów, wyczekując powrotu Sobieskiego, „jako psi, kiedy w jatce rzeźnika więc czują na zapach tylko mięsa pyski oblizują“. Gdy nareszcie przybył, nastąpiło uroczyste zaprzysiężenie pokoju przez obie strony i posłuchanie u Sułtana dla oddania mu podarków. Potocki korzysta z tej sposobności, by przeciwstawić Turkom postacie rycerskie posłów polskich, którzy wśród nich „jako dwie świecili kozyry, obom rycerska postać, każdy bohater, z kroju, stroju, z humoru, z kształtnej ciała tusze poznał, i zgasył brody na ich animusze“ (344).

Jowialność szlachecka, będąca w istocie dziecięcą wesołością ludzi nie troszczących się o wyższe cele życia, wyzwolonych od wszystkich uciążliwych obowiązków, zamykających oczy na klęski publiczne i upadek polityczny kraju, szukających jedynie w aktach życia publicznego i prywatnego sposobności do zabawiania się i upatrujących we wszystkim jakieś śmieszące strony i rysy—występuje dość często u Potockiego. Opisując tak doniosły i uroczysty akt jak zawarcie pokoju, nie może utrzymać powagi, jakiej zarówno od historyka jak poety wymagamy i oczekujemy. Jak uczeń, który mimo swej pilności i przykładowego sprawowania, szuka skwapliwie, czy w osobie nauczyciela lub kolegi, czy w treści lekcji lub drobiazgu życia powszedniego, pobudki do żartów i śmiechu, stanowiącego fizyczną potrzebę jego natury: tak i Potocki, mimo podniosłych pobudek, mimo idealnych celów swego poematu, nie może oprzeć się pokusie wyszukania przedmiotu do śmiechu, gdzie tylko ma do tego najmniejszą sposobność. Gdy, po dopełnionych formalnościach, Wezyr zaprosił posłów do swego namiotu, przyjął ich wschodnim obyczajem słodyczami i chłodnymi napojami, a stosując się do zwyczajów europejskich, wniósł zdrowie posłów trunkiem „wody czystej z farfury złocistej ze świeżej ambry perfumem; tak skoro koleją wszyscy w się po puharze wody onej wleją, zacznie drugą pan Bełzki za cesarskie zdrowie: na co razem klęknęli wszyscy wezyrowie—a potem go niedługo zadła-

wili sami wolały ich kwitować z ceremoniami. Trzecią wypił Sobieski, jakby wytarł płatem, za zdrowie wezyrowe wraz z całym senatem“. Na samą myśl, iż Polak mógł wnosić zdrowia perfumowaną wodą, wybuchał śmiechem tak opowiadacz tego szczegółu, jak i powtarzający go Potocki, który dla tem większego efektu dodaje, że wodę tę „z najbliższego popijano stoku“, zapominając, że poprzednio wspomina, iż miało to miejsce przy świetnie zastawionym stole w namiocie wielkiego Wezyra. „Idą ci (posłowie z powrotem do swego namiotu), coraz zimna porywa ich febra, bo mało z nich nie dopił każdy wody cebra“ — dodaje, swoim już conceptem, rozweselony kłopotliwem położeniem posłów poeta.

Załatwiwszy wszystkie formalności i ułożywszy się z Turkami co do obustronnego odwrotu wojsk, wracają posłowie do obozu „jakoby kto wołu z pługą wyprzągł“ i stawiają „z wesołą twarzą i obrotem“ wśród rycerstwa, które ich wyczekuje, zostając „między młotem a kowadłem: serce grzeje nadzieja, strach ziębi przejęty... czy przymierze i dom abszejt pożądany, czy w dzień z głodem, w noc ze snem, w dzień i w noc z pogany, uprzykrzone zapasy?“ To też gdy z ust Żórawińskiego usłyszą tak pożądaną wiadomość o zawarciu pokoju i rozpoczętym odwrocie Turków, „ledwie z wielkiej pociechy nie wyskoczą z skóry, gdyby im kto na czołach zrobił apertury“ — powiada conceptujący przy sposobności Potocki. — „Tenci koniec był wojnie, która im straszniejsza tym też dzięki wielkiemu Bogu powinniejsza za Jego świętą pomoc: On nam sam hetmanił, On pogaństwu tak harde bezpieczeństwo zganił“. To też, wracając do poważnego nastroju, poeta kończy swą różno-barwną i różno-tonną opowieść dziękczynnym, uroczystym hymnem: „Tobie, tobie monarcho szerokiego świata... Tobie w piersiach, podniosłszy tryumfalne palmy, święty pacan przez hymny głosimy i psalmy... Twoja to Wiktorya, Twój fest... że Turczyn... który wielkie kruszył fortece i narody gładził o szczyptę Twoich ludzi, jako kosa o kamień zawadził... Tyś nasze z lwiej paszczyki wydarł z Danielem, z Jonaszem na dnie morskiem



z wielorybich księńców i z ognistego pieca jako trzech młodzieńców... Ofiaręć na serc czystych kładziemy ognisko... Chciej... zdarzyć... aby pokój w tej koronie wiekował ku Twej chwale świętej, a z nas grzechu wszelakie wykorzeń ponęty, pobożność, mądrość, miłość i insze pożytki, rozmnoż Ducha świętego, a przemierzle zbytki... niech z nas Twa prawica wyplewie; daj w ojczystej swobodzie, w rządzie, w dobrej sile, wyżyć tej śmiertelności zamierzone chwile“.

Temi słowy skończył w ostatnim dniu 1670 roku swój poemat Potocki, w radosnym nastroju ducha, pełen ufności, iż wszystkie oczekiwane przezeń zmiany w życiu i losach społeczeństwa polskiego ziszczą się wkrótce, z pomocą Boga i wybranego przezeń za narzędzie króla-Piasta.

VIII.

Jak przy każdej sposobności podnosi Potocki zasługi swych współziemian małopolskich, wygłasza swe ukochane idee i zaleca ulubione cnoty; tak również nie zapomina o tych, co zasłużyli na jego nienawiść, zarówno stanach jak osobach, ideach jak wadach współczesnych, i z całą siłą sarkazmu od-twarza w zjadliwych rysach niemiłe mu postacie, gromi wstrętne sobie dążenia i wytyka ujemne strony społeczeństwa.

Głównym przedmiotem nienawiści są panowie, których zniewieściałość i samolubstwo odmalował, jak to już widzieliśmy, w tak prawdziwych choć jaskrawych obrazach, a przytem ród Wazów, z którego jeden tylko Władysław IV cieszy się względną pobłażliwością poety, prawdopodobnie dla żywionego przezeń, choć nie ziszczonego, zamiaru wielkiej wyprawy na Turków. O jego pomniejszych wyprawach i panowaniu nie wspomina nigdy, żartuje sobie tylko, że przeleżawszy przez cały czas bojów chocimskich w łóżku, był „w aptece, nie w obozie“, a mimo to, w czasie swej podróży za granicą, odbierał ciągle owacye za te niepołożone zasługi, „sławą odęty pełne panegiryków prowadził okręty“ ale

„w cudze ozdoby, w cudze pstrzyć się piórka nie siedziawszy na koniu, nie widziawszy turka, ujma enocie hetmanów“. Przecież „Bóg widzi czyj kogut, czyj baran z wysoka, niech się pstry, niech rzegoce, zawsze sroka sroka“ (str. 359 i 360). Za to nie żałuje Potocki zjadliwych docinków Zygmuntowi III, pomimo, iż z jego panowania zaledwie ostatnie lata mógł pamiętać. Już w przedmowie wylicza cały szereg zarzutów, mało znaczących zresztą, któremi zniechęcił ku sobie szlachtę, — „nienaprawione obyczaje, konwersacye z ludźmi swego, dalekiego od polskiego honoru, narodu, nie królewskie piły i kręgli zabawy, odmiana dworu polskiego na niemiecki, za onych harcerzów, których Stefan czterystu z synów koronnych przy boku swoim chował i kochał, dragonów i alebarników wprowadzenie, ze dwiema siostrami austyackimi, *sine consensu Reipublicae*, ożenienie i t. d. Nie wspomina tu przecie najważniejszego, choć niewypowiedzanego głośno przez małopolan zarzutu, iż z przeniesieniem stolicy do Warszawy, szlachta małopolska straciła swe dawniejsze polityczne znaczenie i wpływ na bieg spraw publicznych i w tem było główne źródło jej niechęci i opozycyi przeciw Wazom. To też, korzystając ze sposobności, jaką mu dostarcza opieszałość Zygmunta III, zabawiającego się polowaniem we Lwowie i trzymającego przy sobie całe pospolite ruszenie, podczas gdy pod Chocimem rozstrzygały się losy kraju, nie szczędzi Potocki jaskrawych barw dla odmalowania wzdardliwej obojętności króla na dobro powierzonego jego pieczy kraju.

Gdy podczas łowów królewskich przybywa poseł z listami od hetmanów, Zygmunt włożywszy nieczytane pismo „w skórzane pludry, w drugą zaraz dolinę ogary założy“, albowiem „psie gony milsze mu niż sława dobra, niż całość korony“. To też „o wojnie jakoby o wilku żelaznym kto mu bajął“, on tylko „pilen łowu zajęczego... z stem tysięcy młodzi sarmackiej siedzi w miejscu; taki kiedy wodzi kaczka młode kurczęta, nie masz zgody: bo kury chodzą, kaczka pływa“. Dopiero kiedy odbiera wiadomość o zawarciu pokoju, zaczyna odgrywać komedya wojennego zapalu i grozić,

że skoro bez niego zawarto traktaty, on nie zważając na te umowy, „pójdzie za turki w pogonią“ po za „Dunaj i Bałchany śnieżne i nie oprze się aż nad Helespontem... A gdybyś w serce wejrzał niesłychanie cieszy, że jutro do kochanej Warszawy pośpieszy... Spać raczej nie wojować“. Zresztą zdaniem poety lepiej się stało, że „leniwy jak zółw“ Zygmunt nie zdobył sobie wieńca sławy, który komu innemu przeznaczyły „niebieskie archiwy“. Gdyby był „Piastem, mógł być dopiąć korony, która doczekała sobie obiecanego Michała“. Jan Kazimierz znowu to „ptak obcy rodem“, który „wodząc dzieci orła biało-piórego zdzicze i w cudzy kraj ich w kłopotcie odleci“ (str. 178), to „głowa źle przystająca do ciała“ (Rzeczypospolitej). Na dworze królewskim rej wodzą „metresy, karli, skrzypkowie, pochlebce“, a „szedziwego starca zdrowa rada“ wzgardę spotyka. Równie surowym jak dla królów jest i dla współczesnego społeczeństwa, nie poprzestając na podanych powyżej satyrycznych obrazach, uzupełnia je i powtarza niejednokrotnie z małemi odmianami. Wspomniawszy, iż w armii tureckiej było dwanaście tysięcy janczarów, podczas gdy ze skarbu wydano pieniądze na dwadzieścia, ale na ośm skradziono, zwraca się ku swemu społeczeństwu, gdzie te same dostrzega nadużycia: „kto li temi czasy pańskiej bez interesu podejmuje się kasy? Każdy tam pragnie służyć kędy, okrom myta, choć co ukradnie, nikt się o to nie pyta. Nie regiestr do sumienia ale do regiestru sumienia mając pogotowiu“. Chciwość tę rodzi zbytek.

Nie poprzestajemy na tem, co własna ziemia wydaje, choć mając „chleb a piwo i tłuste mięso z chrzanem“ przy zdrowiu „dłużejbyśmy żyli i starzy i młodzi, każdyby z nas trzech Węgrów przesiedział na świecie... Nie znanoż dawno pieprzu, kanaru, cymentu, apetyt był każdemu miasto kondymentu“ to też „patrzmy co za ludzi miały tamte wieki, którzy nam tę ojczyznę dali do opieki“. Dziś gdy „na wszystkie posyłamy światy po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty, nikt do nas... w tem kmiotków naszych poty, w tem toną ich prace“. Za zbytkiem idzie zniewieściałość. „Ledwie że nie

z nogami drugi dzisiaj wlezie w szyszak przodka swego, puklerza nie dźwignie, pod mieczem jako wyżeł do ziemi się przygnie, ledwieby i ostrogę uniósł na ramieniu... Zbyt kami nieszczęsnymi, łakomymi garły, samiśmy się w pigmeów postrzygli i w karły... Co żywo na nas jeździ i wszyscy nas lubią, wszyscy nas jako własne gąski skubią“. Tu kreśli Potocki wymowny, tragiczny w swej satyryczności, obraz tego rozpadania się organizmu państwowego, szarpanego przez najbliższych sąsiadów. „Wziął turczyn Wołochy, Inflanty z Estonią szwedzi, niemcy Prusy trzymają, węgry czyha na Śpiż, Moskwa wzięła część Litwy i całe Zadnieprze... A toż wina, hatłasy, sobole i pieprze. Nie lepiejże nam było w starożytnym trybie zostając, to jeść, to pić, w tem chodzić, na skibie co się rodzi ojczystej a durnym narodom prawa dawać i wielkim rozkazywać grodom?“ (str. 176 i 177). Przy takiej bezsilności jesteśmy na łasce sąsiadów, „teraz się wszyscy cieszą śmieje wilcy polskiej wolności i nieprzyjaciele“ a my przeciw ich potędze nie możemy stawić żadnej zapory. „Wiśła?... co sucho ją pewnie zbrodzą kury... fortece? Kraków?... samychby dział burzących spadł na ziemię grzmotem“. Kto rachuje „że sąsiad z posiłkiem przyjedzie jakobyś też budował na marcowym ledzie... z braciej szlachty nie wiele rozumem pociechy... drugi jako żywo nie służył, mów ty: wojna, a on będzie: zniwo“ (str. 192). Czyż w tych rozumowaniach nie odbiły się w całej świeżości szlacheckiego humoru, języka i logiki, pogadanki polityczne ówczesnych poważniejszych i rozumniejszych ziemian małopolskich?

Jak z pomiędzy nich wyszła inicjatywa konfederacji Tyszowieckiej i wybawiciel ówczesny Rzeczypospolitej — Stefan Czarnecki, tak w dalszym ciągu konsekwentnego przeprowadzania zamiaru odrodzenia Rzeczypospolitej, przez powrót do staropolskich urzędzeń, obyczajów i męstwa, występują oni pod wodzą Lubomirskiego w energicznej opozycji przeciw dążeniom partii francuskiej i uwieńczają wreszcie swe usiłowania wyborem upragnionego Piasta w osobie Michała Wiszniowieckiego. Potocki, który rozpoczął

pisać swój poemat z zamiarem rozbudzenia w sercach całej szlachty dawnego męstwa, dawnych cnót i miłości dla staropolskich obyczajów, wierząc, iż na tej drodze jedynie można było przywrócić Rzeczypospolitej dawną potęgę, widział w królu Piaście pierwszy, nieodzowny warunek tej moralnej reformy, to też wybór Wiszniowieckiego powitał z taką radością i zapalem.

W wyobraźni Potockiego elekt ten, jako wnuk Jana Zamojskiego i syn Jeremiego, ukazał się odrodzicielem ducha rycerskiego i narodowego obyczaju. Bóg „rozeгнаwszy niemieckie żołyń, francuskie papugi, węgierskie kruki, szwedzkie sępy, gwiazdy swoje na własnem umieścił niebie“ — powiada poeta—robiąc aluzję do gwiazdy mieszczącej się w herbie Wiszniowieckich. Imię tego Bożego zesłańca, którego patron niebieski zwyciężył piekielnego smoka, zapowiadało, że i on nietylko „przewiskiem Lech (Michael = Jam Lech) i samą rzeczą mścicielem krwi szlacheckiej będzie i odsieczą“ (str. 356). Urodzony w obozie, wychowany w zbroi ojcowskiej (str. 52), skupi on w swej osobie „jakoby w jeden kościół“ doskonałości i cnoty tysiąca rodzin szlacheckich, z któremi pozostawał w pokrewieństwie. „*Jam Lech*—zapowiada przez usta swego wybrańca poeta — spustoszone osiadłości dziedzictwa orła białego, odarte i obnażone z dawnej sławy, tytuły jego zdeptane, oblane krwią tak obficie przez dwanaście wieków zaszczyty zdobyte i nagrody cnotcie oddam, oraczom role, kościołom ołtarze i koronie mojej dawny blask przywrócić“ (str. 54).

Dokonawszy tego cudownego odrodzenia w powierzonym jego pieczy społeczeństwie, powiedzie ten król-wódz hufce pałających wiarą i męstwem rycerzy na wielki bój z wrogami Boga, kościoła i ojczyzny. „Jako we dnie, niebieski przed słonecznem światłem księżyc blednie, tak ziemski (turecki półksiężyc) przed niebieskim, zwłaszcza kiedy z krzyżem się złączy (herb Wiszniowieckich), padnie paraliżem“. Z pomocą Bożą „*Azya*, pod tym tytułem, pod którym upadła, pod tym samym wstanie i wolności drogiej na-

bywszy, w chrześcijańskie wróci katalogi“. Że jak pod Michałem Paleologiem uległa przemocy niewiernych, tak za sprawą Michała, zesłanego przez Boga, odzyska swój byt samoistny. Już Tacyt, zdaniem Potockiego, „prorokował inwestyturę tego króla na tron polski“ (str. 55). Cudowne znaki, towarzyszące wyborowi Michała świadczą, iż jest przez Boga zesłanym, „któremu nie nowina nie z książęcego jako u nas domu, ale z pasterskiego królów wysadzać szalasu... Już zaszedł niepokodny sierpień, który swoje pognoił snopy“ (herb Wazów)... co je „żaba obje i chróściel wyżobie bezkarnie... (str. 356) a wrzesień (miesiąc elekcyi) nam szczęśliwej nadziei nowego posiewu na różanym wozie pośrodku niebios wstępuje“ (str. 63).

Napróżno jednak Potocki wraz z całą szlachtą wyczekiwał od upragnionego Piasta tych wielkich dzieł, jakie wraz ze stanem rycerskim miał dokonać, udzielając mu swych cnót i zapału. Ten, przez Boga zesłany, Michał okazał się o wiele nieudolniejszym królem, niż jego znienawidzony poprzednik. Małżeństwo z austriaczką, zabranie Kamieńca przez Turków, haniebny pokój w Buczaczu, swobodne rozpościeranie się po kraju zagonów tatarskich, a wreszcie Konfederacya gołąbska, która odsłoniła upadek i ducha rycerskiego i ducha obywatelskiego wśród tłumów szlacheckich, kłócących się i bijących zamiast ruszać na Turka—rozwiały stopniowo nadzieje i złudzenia poety. „Nowy Merkuryusz“ jest ciekawym bardzo wyrazem uczuć i pojęć Potockiego, wywołanych wiadomością o wzięciu Kamieńca i haniebnych warunkach traktatu buczackiego. „Haracz dają oni—oni, mówię—Polacy, co złotą swobodą wszystkie świata narody dotąd w oczy bodą... Ah kędyż staropolskie w szlachcie animusze! Dopiero widzisz smutne wolności frymarki, gdy im, ku większej hańbie a swojej pociesze, lada żyd, lada cygan kijem grzbiety ciesz!“ Ze smutkiem i goryczą doznanego zawodu przemawia do króla: „Nie stój, Michale, nie stój! — Mars pole otworzył, długoż będzie skubł pierze pod Lublinem orzeł?... Przejrzyj się w Bolesławach, Zygmuntach, Stefanach... patrz w przed-

ków twoich gniazda... im wyżej nad inne weszła twoja gwiazda, tym jaśniej ma świecić nad obliczem ziemie, a choć tak jak Janusze, Dymitry, Jeremie... Niech tureczyn nie urąga językiem zuchwałym, wziął Stambuł i Kamieniec weźmie pod Michałem... niech tryumf odniesiem u świata, że nam nie żal gdy królem mamy swego brata. Niech nie urąga węgrym, francuzi i szwedzi, że tylko *koła* robim gdy Piast w tronie siedzi"... Szczera boleść, zawiedzionego w swych najdroższych uczuciach i nadziejach poety, przebija się w tem wymownem tak wezwaniu, przechodzącym w gorzki wyrzut miejscami. Na szczęście wschodząca podówczas gwiazda Sobieskiego obudziła na nowo otuchę w sercu Potockiego, i zwróciła całą uwagę i całą miłość jego ku osobie dzielnego pogromcy Turków.

Wobec tej rycerskiej postaci, przy której blasku znikła blada figura króla, pocieszony poeta mści się za swój zawód, żartując lekceważąco ze swego niedawnego ideału w wierszu: „Koszty ogromne na pospolite ruszenie pod Gołąb“ (*Wety parnaskie*, str. 438). Opowiada tu, iż król Michał, dla wystraszenia Turków z Podola, kazał porobić ogromne kotły na czterech doboszy tak wielkie, iż cała skóra bawola ledwo wystarczała na obszycie jednego, a każdy musiał być umieszczony na oddzielnym wozie. „Pewnie tak srogich bębnow przestraszony echem, uciekłby był poganin z Kamieńca przed Lechem, rozumiejąc, że tyleż serca tyleż ma sił“ — powiada poeta — wysmiewając tak uwielbionego niedawno króla-Lecha. „Kotły one — dodaje uszczypliwie—miały być przy Jagiełłowych mieczach powieszono“, ale gdy nie mogły się zmieścić w ciasnych drzwiach skarbcza królewskiego w Krakowie „przysądzono (je) piwu. Niech nie będzie nikomu postępek ten dziwny, albow nie gorzałczany obóz i nie piwny“ (pod Gołębiem), z którego „na wieki się korona polska nie wyszuma“ ¹⁾.

¹⁾ W tym zawodzie i zwróceniu się uczuć i nadziei poety ku Sobieskiemu, upatrywać należy główny powód nieogłoszenia dru-

Zawód ten, choć bolesny, nie trafił u Potockiego na umysł nieprzygotowany do tego rodzaju niespodzianek, choć skłonny do zapału i egzaltacji, ze swego szlacheckiego, polskiego temperamentu, ulegał on, tak pod wpływem doświadczenia życiowego, z którego umiał korzystać jak i książek ascetycznych, które z upodobaniem czytywał, przystępom zniechęcenia, zwątpienia i filozoficzno-religijnej pogardy dla życia. Przedstawiając bezsenną noc znękanego niepowodzeniami Osmana i kłopoty pozbawiające snu Chodkiewicza, z uśmiechem filozofa zaznacza, jak „nie śpi stary Chodkiewicz, nie śpi Osman młody, jeden myśli o drugim“, podczas gdy ziemia „co dopiero strasznym grzmiała zgrzytem, jako makiem zasuta śpi pod cichym cytem“. Jakże śmiesznymi są ludzkie porywy i zapędy „nie mogąc na swem ciele czarnego włosa białym uczynić“, człowiek tak wiele przedsięwzięrze „nie wiedząc, że to jest już w druku o co ty biedną głowę trudzisz do rozpuku“. Bóg z uśmiechem patrzy na ludzkie wysiłki, a człowiek zwykle osiąga to, czego się nie spodziewał. „Nie być wam na tych godziech gdzie mierzycie oba, powiada poeta do Osmana i Chodkiewicza, ciebie starcze już blizka dogryzie choroba a młodziak spadłszy przykro z swej nadziei szczytu i półroczna na świecie nie będzie mieć bytu“. Jedyne to miejsce w poemacie, w którym Potocki z wyższego punktu widzenia spojrzął na strony walczące i wznosił się do zupełnej obiektywności w swej refleksyi.

Ludzie przecie w swej niewiadomości jutra, nie myślą ani o przygodach jakie mogą pokrzyżować ich plany, ani

kiem „Wojny Chocimskiej“, idei przecie, która mu przewodniczyła w tym poemacie, nie przestaje Potocki nadal wiernie służyć i stara się ją w praktyczniejszy sposób urzeczywistnić w „Poczcie herbów“, który dedykuje całemu rycerstwu, walczącemu pod wodzą ukochanego króla bohatera Sobieskiego. W tym olbrzymim rymowanym herbarzu (opartym na pracy Okolskiego), chciał on przypomnieć, każdemu po szczególe rodowi, zasługi przodków i ciężące na nim obowiązki obywatelsko-rycerskie, tudzież oddzielić prawdziwą starożytną szlachtę od „hybrydów“, jak się wyraża w przedmowie.

o śmierci, która lada chwila może położyć kres ich zabiegom i z całym zapalem oddają się rozmaitym zajęciom, dążeniom, upodobaniom. Znac ziemianina myśliciwa w tem długiem wyliczaniu zatrudnień ludzkich, bowiem opisowi łowów poświęca połowę całego ustępu, a drugą w znacznej części rolniczym zatrudnieniom (str. 318 i 319). Zajęcia rzemieślnicze pomija zupełnie poeta i kończy poczet tych prac ludzkich mozołami uczonego, który „w księgach utonął i by go kto spytał, czego się przez wiek swój tak długi doczytał? Mniemam, że na odpowiedź myśliwszy ze trzy dni, rzekłby: że wszystko próżność! snu i nocnej bredni rówien świat i to wszystko cokolwiek na świecie; wszystko bywszy nie będzie, bo śmierć wszystko zmiecie“. Z tym pesymizmem mędrca izraelskiego łączy Potocki stoicką zasadę rozwijaną przez Senekę, że człowiek „póki tylko żyje, póki tylko ziewa zawsze albo się boi albo się spodziewa“ i za swym rzymskim mistrzem przedstawia cały szereg niewolników pewnej namiętności. Oto palony żądzą wyniesienia się „w kruchej cegle wystął już za pokutę dołek, byleby nie minął go stołek“, skąpiec znowu wśród bogactw nagromadzonych umiera w nędzy, „gdy drudzy jedli, pili on połykał ślinki“. Ten znowu dumny „faworem pospółstwa w niebo pluje i stawia z tablatury pięty“. Inny znowu dla pozyskania popularności „karmi i poi, trąbi, bębni, skrzypie, wioskę sprzedaje ojcowską a pieniądze sypie“, niepomyślny na to, że „póki psu dajesz chleba tobą się opieka; przestaniesz? da kto więcej, kąsa cię i szczeka“.

Wtedy dopiero przekonywamy się o całej marności naszych zabiegów i rozkoszy, gdy „trzeci kur zapieje i przyjdzie nam umierać“, wtedy dopiero, „gdy śmierć oczy przetrze“ poznajemy, że życie nasze było „snem — marą“.

Wszystko, za czem ubiegaliśmy się: „sławę, bogactwa, rozkosz, świeckie delicye, lekki wiatr po znikomem powietrzu rozwieje“, a skoro „opadną mgły one i blask sławy szumny, aż niema nic, aż nago wleziem się do trumny, jakoś my na świat wyszli“. Jednakże okropne skutki tego snu-życia człowiek pozna dopiero „gdy straszne uderzą pobudki“ i „trąba

anielska“ powoła na sąd ostateczny, na który poeta, przybierając ton kaznodziejski, wzywa przede wszystkim wszystkich „wielkich“ tego świata, co „nad duszami i nad ciałą“... berła mają albo pastorały“.

Tak zapatrując się na życie Potocki, za Horacym i rozwijającymi jego myśl poetami polskimi XVI i XVII wieku, szuka szczęścia prawdziwego w cichem, ustronnem życiu, i swe pragnienia wypowiada w pięknym, wymownym i poetycznym ustępie:

„Mnie w odległym ustroniu spleść mej ojczyzny
 Niechaj zmarsku i późnej domieści siwizny;
 Niechaj żywszy dalekim świata tego burze,
 Na tem tylko przestając co dosyć naturze,
 Lubym wczasem bez potu, bez pracy okryty,
 Swobodnych dni i wieku tutecznego syty,
 Płynę do kresu, gdzie się kończą lata człeczce!
 Niech mnie z nich wyprowadzi śmierć, a nie wywlecze,
 Starego ziemianina co ma dosyć na tem
 Że się sam zna, z obłudnym choć się nie zna światem,
 Który dosyć wysoko swą fortunę ceni
 Gdy ani upaść może ani się odmieni;
 Cnotą zaś, co i w grobie nie boi się straty,
 Wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty!

W wyznaniu tem widzieć należy nie tyle samochwalstwo ale naiwną szczerotę poety, wypowiadającego bez wahania własne myśli. Dokonawszy obrachunku ze swem sumieniem i nie czując się winnym tych ciężkich wykroczeń przeciw moralności, jakie dokoła siebie widział zarówno wśród magnatów i dostojników jak i w średniej szlachcie, nie dostrzegłszy w sobie żadnej z tych namiętności, które wiodą człowieka ku upadkowi i bolesnym zawodom, uczuł się wyższym nad tłum niewolników żądz swych i kapryśków fortuny, nad liczny zastęp skalanych brudnemi i występniemi czynami, a mimo to zajmujących wysokie godności i ztąd śmiało twierdzi, iż cnotą swą, t. j. wiernem spełnieniem obowiązków i hamowaniem żądz „wszystkie takie na świecie przeniósł fortunaty“.

O ile pod względem moralnym góruje istotnie Potocki nad ówczesnem ziemianstwem miłością dla wyższych celów życia i podniosłem pojmowaniem obowiązków człowieka i obywatela, o tyle znowu stopniem swego umysłowego wykształcenia jest wiernym synem pogrążonej w ciemnocie epoki.

W czasie pobytu w szkołach niewątpliwie zaznajamiał się on z tem, co dla ówczesnego szlachcica było najpotrzebniejszem, co jednało mu poklask na sejmiku proszowskim i poważanie w stosunkach sąsiedzkich; a więc z pisarzami klasycznymi, których utwory objaśniały mu życie i instytucye polityczne świata starożytnego, a co najważniejsza, dostarczały wzorów wymowy i zasobu obrazów, porównań, faktów, sentencyj, potrzebnych jako argumenta i ozdoby dla każdego utworu literackiego, przemówienia publicznego, nawet listu prywatnego i poufnej pogawędki przy kielichu ¹⁾.

Odpowiednio do potrzeb słuchaczy i własnych pojęć o przedmiocie, profesor ówczesny w wykładzie autorów starożytnych zwracał uwagę głównie na retoryczne piękności sentencyi i zwrotów, uwydatniając je nie krytycznym rozbiorem ale ogólnikami wygłaszanemi z nadętą deklamacją; zastanawiał się nad cudownością przygód i czynów bohaterów i bogów, objaśniał szczegóły mitologiczne i figury retoryczne z pomocą dawnych komentatorów, nieośmielając się własnej wytworzyć opinii. Sam dźwięk uroczyscie wygłaszanych słów, powaga języka, któremu kościół nadał znamię świętości niemal, poważny strój nauczyciela, mrok panujący w słabo oświetlonych, sklepiionych izbach szkolnych, wszystko to oddziaływać musiało na młodą wyobraźnię i odwracało uwagę słuchaczy od myśli zawartych w wykładanym autorze, odu-

¹⁾ „Szlachcic byle się sprzedać po łacinie nie dał; byle rozumiał w kościele i grodzie (krzywda cudzym językiem w swym mowie narodzie), byle umiał Tacyta zażyć z Cynceronom a Seneki do tego, dosyć jest uczonym“ (str. 70), powiada sam poeta, oznaczając stopień swych wymagań.

rzając ich do pewnego stopnia i budząc uczucie religijnej czci dla tego świata starożytnego, w którym ukazywano im wzór niedoścignionej doskonałości w zakresie życia politycznego i świeckiej mądrości. Kazania, z jakimi dotąd jeszcze można się spotykać po niektórych wiejskich kościołach, przechowały nam dalekie echo formy, a po części i metody tych wykładów szkolnych w wieku XVII. Jestto ten sam ton patetyczny, utrzymujący się od początku do końca, bez względu na treść, to samo popisywanie się z erudycją nieusprawiedliwioną wymaganiem samego wykładu, to ciągle odchodzenie od przedmiotu dla przytoczenia jakiejś wyszukanej anegdoty lub szumnej sentencji, to samo prawdopodobnie dodawanie znaczenia swym słowom przez wygłaszanie ich z przesadną krzykliwą deklamacją. To jednak, co nas dziś śmieszy i wydaje się niedorzecznem, w ówczesnych słuchaczach budziło przyjemne wrażenie a może nawet podziw i zachwyt, względnie naturalnie, dla znacznie mniejszego stopnia wrażliwości ówczesnego pokolenia, lubującego się przedewszystkiem w „akcencie wspaniałym“ i donośnym głosie mówcy ¹⁾. Prawda naturalnie ulatniała się tu zupełnie, gdyż ani patetyczność nie wypływała z serca mówcy, ani podniosłość tonu nie opierała się na podniosłości wygłaszanych myśli. Czyż i dziś jeszcze dla mas ludowych, hałaśliwa fanfara muzyki wojskowej nie wydaje się wielekroć piękniejszą od symfonii Beethovena, z całym bogactwem jej harmonicznym i instrumentalnym kombinacyj, odtwarzających tak subtelnie pomysły mistrza? Rzecz naturalna, iż uczeń biorąc miarę z wrażenia, jakie na nim i kolegach sprawiał wykład nauczyciela (mam tu na myśli przedewszystkiem wykłady w akademii krakowskiej), starał się zawsze myśli swoje wyrażać, na piśmie mianowicie, w takiej formie, dobierać dla nich takich wyrazów, obrazów i porównań, jakie najlepiej nadawały się do podobnego wygłaszania.

Treść tych wykładów zapełniała umysł ale go nie zbo-

¹⁾ *Wojna Chocimska*, 346 str.

gacała, nie rozwijała wcale, obciążała pamięć, ale niezdolniała do myślenia i sądzenia samoistnego. Nie wytwarzała ona w umyśle słuchacza choćby najuboższej grupy pojęć, powiązanych z sobą w pewną organiczną całość, mogącą ulegać dalszemu rozwojowi i przekształceniom drogą przyswajania nowych idei. Przedewszystkiem wykłady te nie dopuszczały do świadomości ucznia tego wszystkiego, co dokonała ludzkość od końca epoki starożytnej zarówno w życiu dziejowem jak w sztuce, literaturze i nauce. Młodzieniec, słuchający czy to prawa czy medycyny, matematyki czy gramatyki, astronomii czy retoryki, spotykał ciągle powoływanie się na greckich i rzymskich mistrzów, których prawidła, określenia i rozwiązania przedstawiano jako ostatnie słowo nauki i prawdy niewzruszone, uważał się więc za dosyć uczonego, gdy sobie przyswoił tę mądrość starożytną i nie przyszło mu na myśl nawet, by można było wątpić o nieomyślności starożytnych lub własnem badaniem posunąć naprzód wiedzę, odkryć nieznaną prawdę. Jeżeli próbował zastanawiać się samodzielnie nad treścią własnej wiedzy, to dochodził, bardzo logicznie zresztą, do tej dziwacznej filozofii dziejów, jakiej próbkę podaje nam Potocki w przedmowie do „Wojny Chocimskiej“.

„Rzecz podziwienia godna, powiada on, że jako w enocie tak i w dowcipie pierwsze one wieki siła mają przed nami. Za cóż teraz pisma nasze, kazania, oracye, listy nawet stoją bez dawnych autorów, których jeśli nie wszystkich inszemi słowy, tedy wielką część w uczonych recytujemy sentencyach... Wiek nasz i eksperyencya starszym będąc dwiema tysiący lat a *dies diem docet* siła ma przed wczorajszym i nową niebieską nauką wsparty miał *utroque excellere* (w obu przodować)... ale za nim w obojgu mydło wozimy“. Wyszukując następnie przyczyn tego zjawiska dochodzi do przekonania, iż prawdopodobnie sześć tysięcy lat ma stać „budowa tego świata“, mianowicie dwa tysiące rość aż do czasów Abrahamy i podania zakonu Bożego; dwa tysiące w perfekcyi i sile aż do narodzenia Zbawiciela naszego; dwa tysiące do starości i końca swego“.

Nic więc dziwnego, iż „lata nasze wszystkie, duchowne porzuciwszy ćwiczenia w nauce i cnocie, świat ten przyrodzonym biegiem ziębnący i już dogorywający, zbytkami i rozpustami... budzą“...

Treść jednak tej najwyższej mądrości starożytnego świata nie przedstawiała prawie żadnego związku z praktycznymi potrzebami, dążeniami i uczuciami ówczesnego życia. Był to prawdziwy „kwiatek przy kozuchu“, sprzęt zbytko-wny, z którym nie umiały się obchodzić prostacze stosunkowo umysły. Ztąd głębsze zastanowienie się prowadziło je do przekonania, że cała mądrość ludzka to „sen i nocne brednie“, że zbytczne wysilenie umysłu a więc uczoność Greków i Rzymian doprowadziła do upadku te ludy, że podobnie przejęta od starożytnych mądrość a od Włochów polerowność sprowadziły na Rzeczpospolitą szereg klęsk, które omal że jej nie zgubiły (Twardowski), że więc jedynie wiara, jedynie nauka kościoła podaje nam prawdy i niewzruszone i pozytywne bo zapewniające żywot wieczny, wobec którego cóż warta mizerna egzystencja na dogorywającym już świecie. Lekceważy więc Potocki naukę i zabiegi mędrków, którzy „co głowa to inaczej piszą“ a między innymi takie niedorzeczności, „że ziemię jak pieczęnią obróca na różnie, słońce w mecie posadzą“, sam przecie nie może pojąć, jakim sposobem „antypodzi, naród człeczy, piętami w nasze pięty godzi, oni nam my się im też dziwujemy wzajem, że w niebo nie przepadną, gdy od ziemie wiszą?“ (str. 317).

Jeden przecie z najszkodliwszych wyników ciemnoty umysłowej, w jakiej ze swym przedstawicielem Potockim zagrożony był cały stan szlachecki, stanowiło ogólne przeświadczenie o doskonałości politycznego ustroju Rzeczypospolitej, wskutek której wszystkie ludy z zawiścią patrzą na polską wolność i nie mogąc jej posiadać, radeby ją zniszczyć. Choć współczesny Starowski i garstka światlejszych umysłów, znających koleje rozwoju dziejowego i warunki bytu politycznego państw zachodnich, pojmowali całą szkodliwość tej wolności, niedającej obywatelom bezpieczeństwa, ani należyte-

go wymiaru sprawiedliwości, jakim cieszyli się przecie poddani wschodnich sułtanów i despotów ¹⁾),—jednakże dla upartych w swej ciemnocie i dumnych w fałszywym pojęciu ludzkiej godności, wolność ta, a raczej samowola, stanowiła znamię wyższości narodu polskiego i jako najdroższy klejnot musiała być zazdrośnie strzeżoną i rozpaczliwie bronioną przed wszelkimi zamachami. Jeżeli inne państwa europejskie odmawiają Rzeczypospolitej pomocy przeciw Turkom, czynią to dla tego, jak mniema Potocki, iż „wolność nasza im w oczu solą“, że pragnęliby „po polskiej wolności deptać grobie“. Rozumnijsi i zacniejsi z pomiędzy szlachty czuli i pojmowali jednak, że tylko cnota i dzielność rycerska czynią człowieka godnym posiadania tego klejnotu, że trzeba „zwyciężyć siebie“ i pełnić sumiennie obowiązki człowieka i obywatela, by zasłużyć na miano szlachcica i korzystać ze złotej wolności, ztąd to wszyscy poeci, kaznodzieje, publicyści pracują nad poprawą obyczajów, szukając w umoralnieniu obywateli nie zaś w przekształceniu ustroju politycznego, ratunku dla upadającej Rzeczypospolitej.

Lekceważenie rozumu i wzgarda dla rezultatów jego usiłowań, choć prowadzi szlacheckie umysły ku ciemnocie i dewocyi, ma przecie swe źródło nie w niewolniczej uległości dla dogmatu i hierarchii kościelnej, lecz głównie w przewadze kierunku praktycznego nad spekulacyjnymi zaciekaniami. Nie widząc możności zużytkowania, tak w prywatnych stosunkach jak w publicznej działalności, treści udzielonej im w szkołach filozofii i nauki, nie rozumiejąc piękna, stanowiącego duszę sztuki, cenili oni to tylko, co miało związek praktyczny z interesami życia doczesnego i zagrobowego. Doskonalić się w wymowie, obznajmiać z prawem i sprawami publicznymi, wreszcie ścisłym i żarliwym wypełnianiem praktyk i przepisów religijnych zapewnić sobie zbawienie — oto najważniejsze zadania i cele duchowego życia szlachcica polskiego. Nie znał on cierpień sercowych,

¹⁾ Starowolski: *Reformacya Obyczajów*.

nie znał walk i burz, odbywających się w duszy dzieci XIX stulecia, nie potrzebował szukać w sztuce balsamu gojącego rany, wywołane wewnętrzną rozterką i silnie odczuwanymi wrażeniami otaczającego nas świata. Natura nie odsłoniła mu swych tajemnic, nie nęciła urokiem wiecznotrwalej młodości i piękności, nie zdumiewała i nie pobudzała do myślenia cudowną prawidłowością i harmonią zjawisk. Poezja pociągała go jedynie swą realną treścią, historyczną osnową, obyczajowemi obrazami i retoryczną siłą wysłowienia. Szukano w niej nie ideałów lecz faktów, nie uczuć lecz praktycznych rad i wskazówek, nie piękna lecz prawdy — dziejowej i obyczajowej. Poeci ówczesni stosują się naturalnie do pojęć i upodobań, które sami także podzielają, inaczej bowiem ich utwory, ani zrozumiane ani ocenione, pozostałyby bez żadnego wpływu na społeczeństwo.

IX.

Przedstawiając czytelnikowi wewnętrzny układ „Wojny Chocimskiej“, wykazując związki, zachodzące pomiędzy pojedynczemi ustępami poematu a interesami, pojęciami i stanem moralnym ówczesnego społeczeństwa, uwydatniając charakterystyczne właściwości tego utworu, zaznaczałem jednocześnie wybitniejsze znamiona samej jego formy, w której Potocki był nietyle tłumaczem wymagań i upodobań swej epoki, ile doskonałym a bezwiednym stenografem — że tak powiem — chwytającym i utrwalającym dla potomności mowę życia powszedniego, język towarzyski, obozowy, myśliwski. Rozmiłowany w ideałach nie mających nic wspólnego ze światem starożytnym, poeta, mimo wyniesionej ze szkół czci dla tego świata, nie zważa na jego wzory i wymagania stylistyczne, a w życiu codziennem, w zajęciach, rozrywkach, pojęciach, ulubionych zwrotach i przysłowiacli ziemianina polskiego, czerpie materyały do wytworzenia formy niezdarnej co do układu, nienadającej się co do języka i stylu do



wyrażenia podniosłych uczuć i idei, lecz, nawet w swych brackach, narodowej i przy całej nieudolności, właściwszej dla wybranego przedmiotu, niż pożyczone od Rzymian lub Greków szaty. Język, którym posługiwał się Potocki, już przestał być ludowym, stracił pierwotną obrazowość, plastykę, świeżość, a nie osiągnął jeszcze giętkości i podniosłości języka wyższej kultury; była to mowa życia na pół ucywilizowanego, interesów materialnych przedewszystkiem, język spraw sądowych, dysput politycznych, religijnych, zajęć rolniczych, życia obozowego i sejmikowego. Pierwotna poezja przyrody ginęła bezpowrotnie, nowa poezja serca i ducha miała znacznie później dopiero znaleźć w nim swe wspaniałe odbicie. Poezja wieku XVII nie jest świadomą odrębności swej odnośnie do historii, publicystyki, nauczania, a także nie umie ująć gromadzonych materiałów w odpowiednie, świeże formy. Poeta ówczesny usiłuje zwykle trzymać się wzorów starożytnych lub włoskich, lecz wtedy wykazuje zwykle całą swą artystyczną nieudolność w opanowaniu i zużytkowaniu materiału, czerpanego z życia polskiego. Układ „Wojny Chocimskiej“, ustosunkowanie podrzędnych szczegółów do głównej rzeczy, przyczepianie wtrąconych epizodów do właściwej treści, przypomina nieudolne dziecięce rysunki, w których człowiek bywa wyższym od domu, przy którym stoi, a dym z komina pod nos mu podchodzi, w których wszystkie przedmioty mieszczą się na jednym planie, a wymiary ich i ugrupowanie mają mało wspólnego z rzeczywistością, lecz są wyrazem samowolnej fantazyi rysownika, znajdującego właśnie przyjemność w swobodnym rozmachu ołówka. Potocki i w tem jeszcze przypomina takiego młodego rysownika, iż z początku trzyma się wzorów, które zamierza naśladować, lecz wkrótce znieczierpliwiony, nie mogąc zność przymusu, odrzuca wzory i puszcza wodze swemu pióru. Całe szczęście, że idea przewodnia, której nigdy nie traci z oka, miarkuje te zapędy i nie pozwala zbyt daleko odbiegać od rzeczy. Dzisiejszy czytelnik zyskuje wprawdzie na tych zbożeniach, znajdując w poemacie to, czego się nigdy nie spo-

dziewał tam napotkać, a mianowicie wierne i barwne obrazy obyczajów, epoki nie tyle tej, którą opisuje, ile tej, w której pisze, a przytem, obok zapowiedzianej na tytule parafrazy wierszowanej „Pamiętników“ Sobieskiego, anegdotyczną kronikę wyprawy chocimskiej z ustnych czerpaną tradycyi i ciekawe odbicie politycznych dążeń ówczesnej szlachty małopolskiej.

Ze względu na formę, niepodobna podciągnąć „Wojny Chocimskiej“ pod żaden ze znanych w literaturze rodzajów. W ramach poważnego religijno-rycerskiego poematu mieści się tu wierszowany dyaryusz, przechodzący często w gawędę, przeplatany satyrycznymi obrazami, filozoficznymi rozumowaniami, panegirykami, kazaniami, mowami i modlitwami, wznoszący się chwilami do podniosłości epopei, a zniżający często do trywialności anegdoty. Usuńmy na chwilę podniosłe ideały, ozłacające swym blaskiem oblicze osiwniałego poety, a stanie przed nami Jowialski, upatrujący we wszystkim sposobności do śmiechu, okazyi do wygłoszenia anegdoty lub przysłowia. Czytelnika, którego uczucie rozbudził i nastroił uroczyscie poeta, w którego sercu rozniecił zapal dla wielkich celów — rozśmiesza naraz rubasznym żartem, niweczając tem podniosły nastrój ducha.

Nietylko to częste przechodzenie „z hymnu do prostej powieści“, ale ta ciągle napotykana dysharmonia między pojęciami i uczuciami poety, a powszednią, jowialną, realistyczną formą, w jaką je przyobleka, zniechęca dzisiejszego czytelnika, rażąc jego estetyczne wymagania i nawyknięcia.

Ulubionem źródłem porównań Potockiego jest życie podwórzowe i kuchnia folwarczna. Zniechęceni brakiem żywności, żołnierze mają miny takie jakby im „psi zjedli krupy“; gdy turecy dobrą otrzymali naukę, stali się ostrożni „jak pies bity, co drugi raz nie pójdzie do kuchni, choćby nań wołać: ciu, ciu“, to znowu: „pies psa kąsa a iszcze“. Osman po przegranej wraca „pod się z chwostem“. Kandydaci do opieki nad Rzecząpospolitą w czasie bezkrólewia po abdykacyi Jana Kazimierza cisną się jak psy do kości. „Każdemu psu

kość luba, każdemu łakoma, tym się kąskiem, będzie-li chciał szczerknąć, udławi“. Kozacy znowu tak nawykli do nocnych napaści na obóz turecki, „jak gdy komu przez tajemne dziury kotowie się w mięso wnąć albo tchórze w kury“.

Muzyka turecka podobną jest do głosów „świń zamkniętych“, król cudzoziemiec, to „kaczka wodząca kurczęta“, Polak wobec nieprzyjaźni sąsiadów musi spać czujnie „jak kur na grzędzie“. Kule w czasie boju sypią się jak „groch z woru“, wielkie czyny człowieka to „świece“, których „knot z enoty“. Gdy człowiek z tych czynów daje Bogu „prezent“, on mu nawzajem „z wierzchem łaskę swą sypie“. Kłopotliwe położenie, to „rosół“. Malując swą boleść po stracie ukochanego syna, przyrównywa swe serce do kotła, cierpienie do ognia, pod którego działaniem łyż jako „likwor gotujący się w kotle, kipią przez oczy“ i „mózg przeniknąwszy parą“, znowu wracają „z pluskiem“ do serca.

Jedyny sposób zaradzenia cierpieniom polega na tem, by jak to czyni „mądra kucharka“, ująć likworu „warzęchą do poblizkiego garka... jest i sposób iny przez szumowiny“. Naśladując więc postępowanie swej kuchmistrzynie „żeby się załóść na kupie nie gniotła“, postanawia „ująć jej z kotła i rozmazawszy piórkiem po papierze tym, którzy mu jej dopomoga, szczerze użyzyć“ (*Peryody*, II, 389). Ten ostatni przykład, choć nie z „Wojny Chocimskiej“ wyjęty, dosadnie charakteryzuje jeden z najważniejszych niedostatków ówczesnej poezyi szlacheckiej, wynikający ze stanu umysłów niedolnych do ujęcia stanów duchowych i pojęć oderwanych¹⁾.

¹⁾ Zródłem, z którego Potocki czerpał wiele obrazów, porównań i wogóle poetycznych ozdób swej opowieści, jest „Jerozolima wyzwolona“, nie w oryginale jednakże lecz w przekładzie Piotra Kochanowskiego. Wpływ ten wykazany został w pomieszczonej powyżej rozprawie: Wpływ „Jerozolimy“ Tassa w przekładzie Piotra Kochanowskiego na rozwój poezyi polskiej w. XVII. Szczegółowiej ten stosunek „Jerozolimy“ do „Wojny Chocimskiej“ przedstawił p. Roman Pollack w rozprawie pomieszczonej w Bibliot. Warsz. z r. 1910.

To ubóstwo języka, przy wykształceniu szkolnem na łacinie opartem, wprowadziło do mowy i pisma mnogość łacińskich frazesów i cudzoziemskich wyrazów, cechującą tak zwany styl makaroniczny. Nizki stopień rozwinięcia duchowego, lenistwo myśli, podtrzymujące dotąd w naszym społeczeństwie francuszczyznę, której gotowe frazesy pokrywają nieudolność umysłową mówiącego, były również głównym powodem posługiwania się łacińskimi zwrotami, włoskimi, francuzkimi i tatarskimi nawet słowami, zamiast naginania własnej mowy i urabiania z jej pierwiastków nowych wyrazów za przykładem pisarzy wieku XVI. Choć utwory poetów wieku XVII są stosunkowo bez porównania mniej zanieczyszczone makaronizmami niż dzieła prozą pisane, mimo to nie brak ich w poematach Twardowskiego, Kochowskiego i Potockiego. W „Wojnie Chocimskiej“ na każdej stronie spotykamy takie wyrazy jak: speza, reza, impreza, fant, randewu, fuga i t. p.; obszerny słowniczek, zamieszczony przy końcu pierwszego wydania, a znacznie powiększony przy drugim, daje o tem wymowne świadectwo. Nie tyle ubóstwo języka, ile nizki stopień wykształcenia i nieznamość dobrych wzorów, są powodem rażącego nas niedołęstwa w malowaniu uczuć ludzkich. Osman np. „z jadu puka i omdlewa i naturę łamie w sobie tyran zgryźny“ (217). Chodkiewicz znowu „zbyć nie może z serca swego zgagi“ (219). W drugim miejscu Osman, będąc świadkiem sromotnej ucieczki swych wojsk, „w różne się przetwarzając kształty i figury, prosi, żebrze, przysięga“ (237). Po innej znowu porażce „trzy dni nie jadł, prócz że swą zjadłą pianę chlpał, a ciało sam na sobie kąsał, targał, szczypał“ (268).

Rzecz naturalna, iż niepodobna nam wymagać od Potockiego tych ozdób i efektów estetycznych, jakich dostarczyć winien trafny wybór epitetów, stopniowanie w opisach uczuć czy akcyi, odpowiadające ich naturalnemu rozwojowi; spajanie organiczne pojedynczych epizodów z główną treścią, pomijanie mniej ważnych lub wstrętnych szczegółów a uwydatnianie głównych momentów, wybitnych postaci,

kontrasty osiągnęte przez umiejętne rozłożenie światła i cienia i t. p. elementarne środki artystycznego tworzenia. Raz tylko jeden pozwala sobie Potocki przyozdobić swą opowieść zmysłowym szczegółem, lecz jednocześnie niszczy cały efekt swego pomysłu, ostrzegając z góry czytelnika, że „przerywa rzecz fabułą“. Zmysleniem tym jest sen, który jeden z wrózków tureckich opowiada Osmanowi („który choć mu lada co i psie prawi g.... wierzy jak aniołowi“). Treścią jego jest ciężka alegorya z jakiegoś sennika czy kalendarza ówczesnego zaczerpnięta. Drzewo, które widział we śnie Osman, miało oznaczać Dniestr, ponieważ zamiast ptaków „ryby się na nim leżały oczywiście“, — „orzeł srogi“, który przyleciał z zachodu i gniazdo na tem drzewie założył, to Polak. Tymczasem na niebie pojawia się „księżyc bez gwiazdy“ i „w zielonej sferze stanął nad onemi gniazdy, z którego zimna rosa tak rześisto leci, że i orła i jego potopiła dzieci“. Wreszcie z drzewa wyrosło „grono jagód rumianych“, które Osman zerwawszy „w ciasnej prasy fugi, wrzucił i wycisnął krwie purpurowej strugi“ (str. 209). Niemożna na usprawiedliwienie tego niedorzecznego pomysłu uważać go za dodatek późniejszy w starości uczyniony, gdyż łączy się ona ściśle z poprzedzającym go i następującym po nim wstępem, a przytem słowa „księżyc bez gwiazdy“ świadczą, iż pisząc to, miał na myśli świeżo obranego królem Wiśniowieckiego, w którego herbie był księżyc z gwiazdą.

Z rymowaniem, które z dziwną łatwością mu przychodzi, niewiele sobie robi zachodu Potocki, gdy mu brakuje końcówki, przedstawia najdowolniej wyrazy w zdaniu („który swoim do tego rozumem honoru“) umieszcza w końcu wiersza cudzoziemskie wyrazy (spezy-impresy, fanty-elfanty, impetu-dekretu, kauzy-cekhaury, gustem-inkaustem, bruderpluder, echem-cechem, legarty-warty), niewaha się użyć trywialnego całkiem słowa (wojsk niebieskich *zgraje* i psie prawi g..... dla rymu do „nierówno“ — Chodkiewicz, z którego każdy niechaj bierze *wzorki*); wreszcie wstawia w końcu wiersza zupełnie zbyteczne w zdaniu wyrazy: (Nieszczęśliwa

zaprawdę kondycya *i tu*, nie mieć u nieprzyjaciół i u swych kredytu—Na którego liście, ryby się łęły *oczywiście*). Rzecz naturalna, że tak zwane częstochowskie rymy co wiersz napotykamy.

Ta nieudolność formy, obfitość przysłów i porównań z życia powszedniego branych, zbliża niezmiernie „Wojnę Chocimską“ do pomników poezyi ludowej i utworów Reja. Podobieństwo to występuje wybitniej jeszcze w „Nowym zaciągu“, przedstawiającym mękę Chrystusa z punktu widzenia ludu, w obrazach przypominających malowidła zdobiące ołtarze wiejskich kościółków, i ściany chat wieśniaczych, tudzież naiwny realizm kantyczek ludowych.

Jak szlachta ówczesna była jeszcze na pół ludem i na pół narodem, tak i wytworzona przez nią literatura nosić musiała znamiona ludowej i narodowej w części poezyi.

„Gdy w rycerskiej dłoni
Zajuszona w tatarskiej krwi szabla zadzwoni,
Lecą łby jak kapusta, szyje jako głąbie,
Pole jako purpura, ten kole ów rąbie“.

Obraz ten z „Nowego Merkuryusza“ wyjęty, charakteryzuje wybornie dwoistość szlacheckiego charakteru, łączącego dzielność rycerską z kmięcym prostactwem, dwoistość występującą w każdym niemal ustępie „Wojny Chocimskiej“. Na czemże więc polega ta wiecznotrwała piękność, która przy całej nieudolności układu, niezdarnej charakterystyce postaci, niedołącznym rysunku i jaskrawych barwach obrazów, przy całym niewyrobieńczeniu stylu i zaniedbanem wierszowaniu — prześwieca jednak z takim blaskiem z tyłu miejsc „Wojny Chocimskiej“?

Piękno zjawia się zawsze tam, gdzie myśli i obrazy płyną bezpośrednio z ducha zostającego na tym stopniu podniesienia, przy którym drobiazgi życia powszedniego, nasze materialne interesa i samolubne cele przestają dla nas istnieć, pod wpływem oddania się pewnej idei i pogrążenia w pewnym idealnym uczuciu. Wprawdzie techniczne uzdolnienie

jest koniecznem dla nadania tej treści naszego ducha odpowiednich form, dla uzmysłowienia piękna i podzielenia się rozkoszą tego stanu natchnienia z drugimi, jednakże najdoskonalsza nawet forma nigdy nie odtworzy w całej pełni piękna duchowego, a będzie tylko do pewnego stopnia jego znakiem, symbolem, zmieniającym się w różnych epokach i u różnych plemion, coraz doskonalszym i wierniejszym niezawodnie, ale zawsze nieskończenie dalekim od wzrastającej w potęgę i bogactwo myśli, w subtelność i szerokość uczucia treści ludzkiego ducha.

Otóż choć idee i uczucia poety nie znajdują odpowiedniej dla siebie formy i przywdzieją niezdarnie skrajane i pozszywane szaty, nie tracą mimo to swej podniosłości i piękności, i choć tłumy przekładać zawsze będą zgrabny i lśniący strój i rozkoszować się jego wdziękami, choćby pod nim znajdował się bezduszny tylko manekin, to dla głębszych umysłów duchowe piękno stanowić będzie zawsze źródło najwyższej rozkoszy, a żebraczy płaszcz nie zasłoni przed nimi majestatu wielkiej idei.

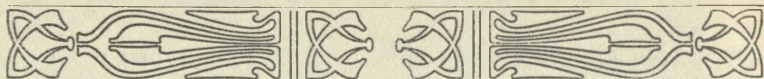
Na tem zasadza się cała piękność „Wojny Chocimskiej“. Gorące uczucie i myśli podniosłe nadają samej formie nawet miejscami to uroczystą powagę, to wdzięk ujmujący, to znowu rycerski animusz lub satyryczną werwę. Idea moralnego odrodzenia szlachty przez powrót do pierwotnej prostoty obyczajów piastowskiej epoki, choć błędna, przedstawia przecie blizkie pokrewieństwo z ideą odrodzenia społeczeństwa przez powrót do stanu natury, odgrywającą tak ważną rolę w życiu umysłowem i literaturze XVIII stulecia. Ideał rycerza obywatela, broniącego krwią własną ojczyzny i cywilizacyi europejskiej przed najazdem dziczy wschodniej, świadczy o podniosłem pojmowaniu narodu jako całości żywej, mającej swe posłannictwo cywilizacyjne i obowiązanej do jego spełniania pod groźbą utraty swego znaczenia i bytu. Wreszcie idea Opatrzności, czuwającej nad losami narodów i jednostek, służącej za nieprzeparty puklerz tym, co idą wskazanemi przez nią drogami, a karzącej bez miłosierdzia pysznych zbrodnia-

rzy, gwałcители prawdy i sprawiedliwości, stanowi u Potockiego kamień węgielny jego poglądu na świat i życie, jego prostej lecz podniosłej historyzofii. Cały poemat jest tylko bogatą i różnobarwną ilustracją powyższych idei, przypominającą, stosunkiem nieudolnej lub sztywnej formy do wspólniejszej treści, obrazy religijne natchnionych mistrzów sztuki średniowiecznej.

To podniosłe stanowisko pozwoliło Potockiemu dojrzeć zarówno nędzę moralną, kryjącą się pod przepychem życia ówczesnych panów, butą i hałaśliwym patryotyzmem średniej szlachty, jak i cierpienia milczącego choć odzieranego do koszułi niekiedy wieśniaka, umożliwiło pogodzenie żarliwej pobożności z niezależnym a niekorzystnym sądem o współczesnym duchowieństwie, i patryotycznych uczuć z uwielbieniem dla męstwa kozaków, od których świeżo tak wiele ucierpiała Rzeczpospolita.

Jak naszej sympatyi dla porywczego a rycerskiego czesznika z „Zemsty“ nie zmniejsza jego nieudolność w wypowiedaniu uczuć, gdy nie mogąc znaleźć właściwych słów, powtarza tylko swe „mocium panie“, tak samo wykazane powyżej liczne wady formy, nie powinny osłabiać naszego uznania dla autora „Wojny Chocimskiej“. Choć świat przyrody i świat ducha nie odsłoniły mu swych tajników, ale za to życie współczesne obserwował i malował tak żywo i prawdziwie, pragnienia i dążenia swych współbraci wypowiadał z taką siłą zapału i przekonania, że pod tym względem przewyższył wszystkich przedstawicieli świata szlacheckiego od Kochowskiego aż do Pola.

1880 r.



PAMIĘTNIKI HUSARZA

z pierwszych lat XVII wieku.

(SAMUEL MASZKIEWICZ).

Wszędzie — u nas zaś więcej niż gdzieindziej — badania historyczne noszą często charakter procesu, wytoczonego przeszłości o zawody, straty i krzywdy obecnej chwili; proces ten polega na roztrząsaniu nagromadzonych dokumentów i badaniu powoływanych przed trybunał historii winowajców i świadków. W procesie naszej przeszłości największe znaczenie mieć może badanie świadków i uczestników zarazem życia politycznego, których legion cały oczekuje na przesłuchanie.

Świadków tych i środków do ich wskrzeszenia, pomocy do skutecznego ich badania dostarcza dziejopisowi literatura, posiadająca w swych zabytkach liczne i wierne wizerunki jednostek, które czuły potrzebę przekazania potomnym swych przygód, przekonań i pragnień.

Jak w tufie, pokrywającym Pompeję, przechowały się odciski ciał jej mieszkańców, pozwalające nam, przy umiejętnem postępowaniu, otrzymywać odlewy osób zaskoczonych katastrofą w postawie, w jakiej je śmierć spotkała, tak wśród płataniny rozmaitych szczegółów, stanowiących osnowę licznych pamiętników i dyaryuszów, kryje się autobiografia

i charakterystyka ich autora, umozębniająca odtworzenie treści jego ducha, a więc zarówno grup pojęciowych, jak i zwiłkanej tkanki uczuć i dążeń. Poznawszy tę psychiczną podstawę jego przekonań i czynów, pochwycawszy ten kąć duchowy, pod jakim patrzył na życie, możemy, z opowieści jego przygód i wrażeń, wydobyć cały szereg wyjaśnień i wskazówek pełnych znaczenia dla wielkiego dziejowego procesu.

Życie indywidualne odbiło się tem wierniej w naszej dawnej literaturze, że piszących nie krępowały wcale względy i wymagania polityczne czy estetyczne. Pisali jak umieli i wypowiadali to, co wiedzieli i czuli. Z pod pióra ich wychodziły zwykle nie obrazy wypadków i nie wizerunki ludzi, ale tylko jakby przygotowane szkice, pojedyncze bezładnie kreślone rysy. Wysłowienie tych rysów od przypadkowego związku z drobiazgami, z którymi je splotła niezdarna ręka rysownika, zestawienie właściwe i uzupełnienie — o ile to możliwe — stanowi jedno z najwdzięczniejszych zadań krytyki literackiej.

Prócz tych oderwanych rysów, wśród suchych notatek dyaryusza, przepelnionych datami, nazwiskami, faktami, pojawiają się nam niekiedy — jak miniatury zdobiące marginesy ciężkich traktatów średniowiecznych — pełniejsze obrazki i wizerunki, narysowane od niechcenia ale z werwą wielką, zamaszystością i humorem. Nagradzają one mozolne odczytywanie urywanych i niejasnych zwykle notatek i dostarczają wskazówek, ułatwiających robotę rekonstrukcyjną. Gdy się nam uda wreszcie wcisnąć w głęb duszy i serca piszącego, zrozumieć jego pojęcia, pobudki czynów, fizjologiczne, społeczno-polityczne i psychiczne warunki życia, wtedy dopiero suche notatki nabiorą wymowy, każdy rys stanie się żywą postacią, każdy fakt obrazem i wystąpi przed nami nie tylko osoba samego autora, ale cała galeryja jego krewnych, sąsiadów, kolegów, szereg scen obyczajowych, wojennych, kościelnych uroczystości i publicznych obchodów, słowem cała różnobarwna mozaika, stanowiąca pouczającą ilustrację zarówno dziejów politycznych jak i historii literatury.

Jak fizyolog, dla poznania praw kierujących życiem skomplikowanego ustroju zwierzęcego, bierze pod mikroskop pojedyncze komórki i tkanki tego ustroju i w tych najprostszych, najdrobniejszych cząstkach odszukuje wskazówek do zrozumienia budowy całości, tak dziejopis, chcący pojąć życie społeczeństwa w pewnej epoce, wyjaśnić istotę pojawów tego życia, powinien poddać bacznemu, drobiazgowemu rozbiorowi pojedyncze czynniki organizmu społecznego, rozpaźrzeć warunki i koleje bytu jednostki.

Takim czynnikiem, taką zasadniczą komórką w organizmie dawnej Rzeczypospolitej był szlachcic polski; a jedną z najwybitniejszych i najbarwniejszych postaci, w jakich występuje on na widowni dziejowej, jest postać husarza—skrzydłatego rycerza. Zidealizowana przez poetów i malarzy, postać ta stała się niejako uosobieniem wojennej sławy narodu, wcieleniem męstwa i patryotyzmu naszych ojców.

Świetność odnoszonych przy udziale husaryi zwycięstw, odwaga i wytrwałość, jakiej niejednokrotnie dawali dowody, wreszcie malowniczy ryzsztunek — wszystko to ułatwiało idealne przekształcenie postaci husarza w wyobraźni pokoleń, które znały ją z tradycyi, książek i rysunków. Czy pod świetnemi zbrojami mieściły się równie świetne i czyste duchy, czy skrzydła sterczące u siodła odpowiadały istotnie idealnemu polotowi ich uczuć i podniosłości pojęć, czy wreszcie męstwo tych rycerzy istotnie przeważało szale boju w tyłu zwycięstwach? o to troszczono się mało.

Wprawdzie pamiętniki Paska odsłoniły, i to bardzo otwarcie, ujemne strony pancernych postaci, ale świetny humor nieporównanego gawędziarza, obfitość anegdot i scen różnorodnych, jakimi zabawia swych słuchaczy, pobudzając ich do szczerzej wesołości, nie dają czasu do robienia spostrzeżeń i usposabiają do pobłażliwości względem czynów rządzających nasze poczucie moralne. Druga połowa wieku XVII, w której żył Pasek, uznana ogólnie za epokę upadku politycznego, umysłowego i moralnego, nie daje nam prawa do

surowego sądzenia postaci, które nie mogły być lepszymi niż całe otoczenie.

Inaczej się ma rzecz z ludźmi istotnie świetnej epoki dziejów naszych, z pokoleniem, które przyszło na świat za czasów Batorego, karmiło się owocami cywilizacji rozkwitłej za Zygmunta i miało przed sobą żywe wizerunki wielkich mężów, jakich zastęp cały przyozdabiał panowanie Zygmunta III. Jeżeli gdzie, to wśród tego pokolenia winniśmy znaleźć idealne postacie, które wyobraźnia nasza zapełnia sejmy i obozy, sądy i szkoły, dwory pańskie i dworki szlacheckie. Jeżeli mamy odszukać najdoskonalszy typ husarza, to chyba upatrywać go należy wśród hufców, które walczyły pod Kircholmem, Kłuszynem, Chocimem, którym przewodniczyli Żółkiewski i Chodkiewicz.

Zadanie to ułatwia nam wielce pamiętnik skreślony przez człowieka, który może uchodzić za jednego z wybitniejszych przedstawicieli husaryi polskiej. Pamiętnik ten stanowi zarówno ciekawe źródło dziejowe, jak i zabytek literatury, przewyższający inne dyaryusze bogactwem obszernych obrazów, widniejących na suchej kanwie dziennych notatek, żywym, jasnym choć szkicowym rysunkiem wypadków, w których uczestniczył. Jak zwykle w dawniejszych wiekach, pamiętnik ten wyszedł z pod pióra nie literata z zawodu, lecz człowieka czynu: rycerza i dworaka zarazem — Samuela Maszkiewicza ¹⁾.

¹⁾ Weryha Darowski znany ze swej ekscentryczności zbieracz i poszukiwacz w zakresie dziejów polsko-ruskich prowincyj ogłosił w 1863 r. w Brukselli ciekawą i rzadką dziś biografię Maszkiewicza, doprowadzoną tylko do 1611 r. Część druga tej kilkunasto-kartkowej broszurki nie ukazała się wcale. Zapewne krewny Samuela, Bogusław Maszkiewicz, zostawił też dyaryusz wypadków od r. 1643 do 1649, ogłoszony w „Zbiorze pamiętników o dawnej Polsce“ Niemcewicza (tom. V), a następnie w przekładzie rosyjskim w zbiorze: „Memoary k'istorii jużnoj Rusi“, Kijów 1890—1896 — część I (wiek XVI) i część II (w. XVII), pod red. Antonowicza.

I.

Pochodził on z zamożnej rodziny białoruskiej — jak o tem świadczy nazwisko, — osiadłej na Litwie w powiecie nowogrodzkim. Urodził się około 1575 r. prawdopodobnie, w Serweczu stałej siedzibie rodziców, którzy posiadali jeszcze kilka innych wiosek w powiatach: nowogrodzkim, pińskim i słonimskim. Młodociane lata Samuela upływały w epoce, gdy słońce nowej cywilizacji, przedarłszy się przez zamglone puszcze i bagna Litwy, Polesia i Wołynia, rozbudziło i podnieciło wśród średnich i wyższych klas ludności, nieznaną przed tem potrzeby i popędy. Synowie tej bujnej lecz dzikiej przyrody rzucili się ku najjaskrawszym i najdostępniejszemu darom nowej kultury i oświaty, chwytając skwapliwie to, co ich olśniewało i upajało, co odpowiadało pragnieniom i popędom temperamentów, rwących się do używania i czynnego życia. Podbudzanie systematu nerwowego wygodnym życiem, nowymi napojami i przyprawami — a duszy nowymi obrazami, pojęciami i uczuciami, dostarczaniem przez starożytną i współczesną literaturę, wywołało na Litwie i Rusi, wśród szlachty naturalnie, nadmiar życia, przelewający się to w gorliwym apostołowaniu protestantyzmu i arianizmu, to w burzliwym politykowaniu, to wreszcie w skwapliwym garnięciu się do służby wojskowej bez względu na to, kto i przeciw komu ogłaszał zaciągi. Orzechowski, Wereszczyński, Maszkiewicz — to pokrewne sobie pochodzeniem i temperamentem, choć wielce różne kolejami życia, pojęciami i czynami postacie.

Pamiętnik Maszkiewicza zaczyna się od r. 1594; jest to albo data ukończenia nauk szkolych albo też termin pełnoletności, a może, co prawdopodobniejsze, na wybór tej daty wpłynęła chęć upamiętnienia dwóch ważnych wydarzeń, które przerwały zwykły bieg życia w ustronnem rodzinnem gnieździe. Wypadkami temi były: wyruszenie starszego brata, autora „pana Jana“, na wyprawę przeciw Nalewajce, co-

to wtargnąwszy na Litwę w 1594 r. „czynił złego siła“, i śmierć ojca w następnym roku (1595).

Samoistne życie p. Samuela zaczyna się dopiero z chwilą, gdy ów starszy o wiele brat, którego zawsze nazywa „panem Janem, lub panem podsędkiem“, ożeniwszy się z córką Bogdana Chreptowicza Referendarza W. ks. litewskiego, opuszcza Serwecz, gdzie rządził po śmierci ojca, i osiada w innym majątku rodzinnym, w Jarze. Zwierzchnictwo nad młodszymi braćmi przechodzi na matkę, a starszeństwo z kolei na Samuela; korzystając z uzyskanej swobody, puszcza się on zaraz na pierwszą swą wyprawę wojenną do Inflant, w chorągwi podkanclerzego litewskiego Wojny. Skromny ten debiut „na parę koni“, nie obfitował widocznie w czyny i wypadki, którymi by się można było pochwalić, zbywa go też w dyaryuszu krótką wzmianką.

Służba wojskowa pociągała wówczas ku sobie żywszą część szlacheckiej młodzieży, stanowiąc jedyny zawód, w którym mogła ona zaspokoić swe z temperamentu więcej niż z duchowych potrzeb wynikające pragnienia swobody, ruchliwego koleżeńskiego życia, silnych wrażeń, wreszcie sławy i fortuny nawet. Uczucie patriotyczne, poczucie obowiązku obywatelskiego nie odgrywało tu zwykle wydatniejszej roli. Za to silnym bodźcem była chęć poznania szerszego świata, o którym wiedział młodzieniec z opowieści lub ksiąg niekiedy, ważną również pobudkę stanowiło nieraz pragnienie wyemancypowania się z pod rodzicielskiej opieki. W domu przy ojcu, chłop choć pod wąsem, był niczem, w wojsku stawał się niezależnym, równym każdemu innemu towarzyszowi. Karność wojskowa i regulamin służbowy były wówczas tak luźne i lekkie, że nawet najniesformiejszym rzadko zaciężyc mogli.

Złudzenie moralne, jakiemu zwykle podlegamy w poglądzie na przeszłość, jest powodem fałszywego pojmowania charakteru dawniejszej służby wojskowej w różnicy od dzisiejszej. Zdaje nam się mianowicie, jakoby w ubiegłych wiekach wojsko składało się z samych ochotników, wstępują-

cych do służby przez miłość dla kraju i poczucie obowiązku obywatelskiego. Pogardliwie spoglądamy na dzisiejszych przymusowo służących żołnierzy, mając przed oczyma wymarzony ideał dobrowolnie poświęcającego się rycerza. Tymczasem w rzeczywistości inaczej się to nam przedstawia. Popolite ruszenie, zwoływane rzadko, w wyjątkowych jedynie położeniach, było w istocie służbą przymusową, nakazaną prawem pod grozą surowych kar. Wiadomo jednak z jaką niechęcią przyjmowała szlachta każde powołanie pod chorągwie, jak opieszale się zbierało i zółwim krokiem wlokło się to wojsko na plac boju, jak niesfornością swoją utrudniało działanie wojenne. Jeżeli szlachta tak niechętnie spełniała obowiązek służby wojskowej, z kądże więc brali się ci ochotnicy, zapełniający chorągwie tak zwanego kwarcianego wojska? Sprzeczność pozorna zniknie, gdy przekonamy się, że stała służba wojskowa była zawodem, „rzemiosłem wojennem“ jak ją zwano, przedstawiającym obok ponęt ruchliwego, wesołego i swobodnego życia, jeszcze dość znaczne materialne korzyści i widoki. Zaciągając się pod chorągiew szlachcic polski nie występował w roli ochotnika, śpieszącego spełnić obowiązek względem Rzeczypospolitej, ale przyjmował służbę — opartą na umowie, u potrzebującego siły wojskowej — mógł to być tak dobrze król polski jak cesarz niemiecki, car Moskwy lub hospodar mołdawski.

Do służby tej obowiązywał się stanąć w odpowiednim rynsztunku i z odpowiednim poczem (czeladzią i końmi), za co stosownie do ugody otrzymywał kwartalną płacę wysoką na owe czasy (60 do 100 czerw. zł. niekiedy na konia), i całkowite utrzymanie w naturze lub pieniędzmi (*strawne*) oraz udział w łupach wojennych. Przed upływem oznaczonego w umowie terminu mogły obie strony wypowiedzieć dalszą służbę. Forma ta zaciągu odpowiadała ówczesnemu ubóstwu skarbu państwowego; koszta rynsztunku wojennego, koni i wszelkich rekwizytów ciążyły na zaciągającym się towarzyszu; żywności dostarczały w naturze ziemie, w których woj-ska stały. Zapłata pieniężna, stanowiąca stosunkowo jedną

z mniejszych pozycji kosztów wojennych, stawała się zwykle dla rządu Rzeczypospolitej szkopułem, o który rozбивały się szersze plany polityczne. Niepłatne chorągwie, uważając się za zwolnione przez niedotrzymanie warunków umowy od dalszej służby, wypowiadały posłuszeństwo wodzom i dla skutecznego poparcia swych słusznych pretensyj, zawiązywały tak zwane „konfederacje wojskowe“. Oceniając takie postępowanie według dzisiejszej skali naszych pojęć obywatelskich i moralnych i nie wchodząc w szczegóły samego faktu, potępiamy zwykle te związki jako czyn zbrodniczy, zdradę sprawy ojczyznej; gdy jednak staniemy na stanowisku, z jakiego patrzyli na nie nasi praojcowie w XVII w., gdy poznamy ich pojęcia i uczucia, wtedy będziemy musieli sąd nasz już nie złagodzić lecz zmienić zupełnie.

Wprawdzie nietylko w XVII ale i w XVI a nawet XV wieku spotykamy się z uczuciami patryotycznymi, z podniesieniem pojęciem obowiązków obywatelskich, lecz tylko z małymi wyjątkami, w granicach Małopolski i Wielkopolski, w obszarze objętym przez kilkowiekową już kulturę. W dalszych, później wcielonych i ucywilizowanych prowincjach, zarówno niski stopień kultury, jak powolność procesu asymilacyjnego, nie dopuszczały wytworzenia się podobnych pojęć i uczuć. Z drugiej znów strony wpływ tej samej kultury, która umożliwiła wyrobienie się wyższych dusz i umysłów wśród szlachty małopolskiej i wielkopolskiej, osłabił u niej ducha wojennego i wytworzył liczny zastęp „rycerzy do miecza przypasanych“, mówiąc słowy Kochanowskiego. Na Mazowszu, Litwie i Rusi przeciwnie niższy stopień kultury, wybujałość młodzieńcza, a przytem zapewne i gorsze ekonomiczne warunki, zachęcały i zniewalały młodzież do służby wojskowej, która stawała się szkołą manier szlacheckich, polskości, ułatwiała poznanie wszystkich prowincyj Rzeczypospolitej, zawiązywanie pożytecznych stosunków, korzystne ożenienie, słowem przedstawiała liczne a ponętne widoki.

Maszkiewicz i Pasek są przedstawicielami pojęć i uczuć kół wojskowych XVII w., złożonych przeważnie z żywiół

śród niższej wychowanych kultury. Wszyscy bracia p. Samuela wstępują po kolei do służby. Koszta wyekwipowania pocztu były bardzo znaczne, to też każdy z nich musiał czekać, aż zbierze się w domu dostateczna ilość koni, własnego zwykle chowu i zapas pieniężny na sprawienie rynsztunku. Jak widzieliśmy, pierwszy z domu wyruszył najstarszy z braci Jan; ożenienie jego wyzwoliło dopiero Samuela, który z młodzieńczą niecierpliwością, nie uważając na brak środków, wrywa się „w parę koni“ na wyprawę inflancką. Przekonawszy się dowodnie, jak smutną rolę odgrywali w chorągwi biedacy wobec zasobnych towarzyszy, gdy wyrusza powtórnie na wojaczkę, zabiera ze sobą 16 koni i około ośmiu ludzi. Drugi brat Daniel, o którym niewiele i z pewną oziębłością wspomina Samuel, pomimo iż kolegowali z sobą w wyprawie do Moskwy, dość długo, do samej śmierci pozostawał w wojsku, najmłodszy wreszcie Gabryel, zaciąga się także ale dopiero w jakiś czas po wstąpieniu do służby otrzymuje swój poczet, zorganizowany za staraniem Samuela. Ponieważ poczet taki wpływał wiele na stanowisko samego towarzysza w chorągwi, wystawność bowiem i bogactwo działało tem silniej na prostacze umysły, przeto szlachta sadziła się na piękne konie, bogate zbroje, liczną służbę, obficie zaopatrzoną spiżarnię, skutkiem czego wysoki stosunkowo żołd a nawet i wojenne łupy rzadko wystarczały na pokrycie kosztów wyekwipowania i wydatków życia koleżeńskiego, tak, iż w braku zasobów gotówki, towarzyszy niejedni wpadał w długi.

Nadzieja znacznych zysków, choćby przy najmniejszym prawdopodobieństwie ich osiągnięcia, wystarcza do pobudzenia przedsiębiorczego a raczej awanturniczego ducha u ludzi nie mających przed sobą wytkniętych prostych i pociągających dróg postępowania. Nie znając wartości życia, którego nie umieją i nie mogą często należycie zużytkować, rzucają je chętnie na szale losu, by w zamian karmić się nadzieją wielkiej wygranej i wrażeniami długiej nieraz gry. Szlachcic małopolski i wielkopolski nie czuł tak próżni życia, bo mu ją

zapełniały zajęcia gospodarcze, którym z zamiłowaniem się oddawał, literatura, której niwę sam częstokroć uprawiał, życie towarzyskie bardzo rozwinięte i ogładzone w formach; zanadto miłował on swój zagon ojczysty, rodzinne i sąsiedzkie związki, wyższą kulturę obyczajową, z którą się zżył oddawna, by mogły mu się uśmiechać awanturnicze wyprawy w dalekie ziemie, pogoń gorączkowa za wrażeniami, sławą i fortuną. Jeżeli pragnął wrażeń, to puszczał się w podróż do Włoch lub Francji, stanowiska zaś i stosunków dobijał się nauką, wymową, dworską ogładą i wysługiwaniami po kancelaryach magnatów i królów. W dalszych jednak prowincjach rzeczypospolitej nie powstrzymywało, a wszystko za to zachęcało młodzież szlachecką do służby wojskowej, stanowiącej jeśli nie jedyne, to najwłaściwsze pole do zużytkowania wrodzonych przymiotów i uzdolnień.

II.

Zamęt, jaki zapanował w Moskwie w epoce Samozwańców i poparcie, jakie u magnatów polskich znalazł pierwszy z pretendentów do tronu carskiego, otworzyły szerokie pole dla awanturników wszelkiego rodzaju. Zyski i godności, ukazujące się choć w dalekiej ale świetnej perspektywie, stały się potężnym bodźcem, który pociągnął tysiączne tłumy pod chorągiew Dymitra.

Był to, na małą tylko skalę naturalnie, ruch jaki spotykamy na Zachodzie po odkryciu Ameryki. Ekonomiczne i socjalno-polityczne warunki wytwarzają od czasu do czasu takie nagromadzenie beczynnych sił, które znalazłszy dla siebie ujście, rzucają się w pewnym kierunku i jeśli mają wśród siebie zdolnych wodzów i organizatorów, dają początek trwałym kreacyom i przekształceniom politycznym: w przeciwnym razie zużywają się bezowocnie.

Pamiętniki Maszkiewicza dostarczają nam wielu danych co do natury i rozmiarów tego ruchu. On sam tłumaczy go

tem, „że wojska nie mało bez służby było w koronie i radzi byli tej okazji, szli z wielką ochotą jak na miód“. Miodem tym były widziane w wyobraźni bajeczne skarby Moskwy i dostojęstwa, jakie po objęciu tronu udzielić musi samozwaniec tym, co mu drogę utorują. Za przykładem Mniszcha, nie wahającego się swej córki rzucić na stawkę w tej grze, inni możniejsi lub śmielsi zaciągają na swoją rękę oddziały i śpieszą z nimi do obozu Dymitra. Ruch ten wzmógł się głównie po przybyciu wiadomości o wprowadzeniu do Moskwy i koronacyi Samozwańca. Nie zważając na śmierć dopiero co ukoronowanego i na wyraźne samozwaństwo drugiego Dymitra, zachęceni osiągnięciem powodzeniem, dążą tłumami ochotnicy szlacheccy i kozacy zaporozcy jak dzikie ptaki na żer. „Na siedm obozów wojsko polskie Carzykowe stało, którego się liczyło do 40,000 samego kopijnika i więcej. Kozaków zaporoskich w każdym obozie i z osobna na inszych miejscach, po wszystkiej ziemi było jak mrówek... ledwie że nie z koszem wyszli“. Jak te tłumy gospodarować musiały w upragnionem Eldorado, łatwo sobie wystawić. „Bezpieczeństwa wielkiego (t. j. wygod i korzyści) zażywali nasi po wszystkiej ziemi za mil 100. Pacholikowie i towarzystwo na przystawstwach bezpiecznie i żywność i pieniądze do obozu wozili“. Gdy i król sam uznał za potrzebne wyruszyć z wojskiem i ująć ten prąd w pewne karby, sypnęły się za chorągwiami zacieężnymi liczne poczty pańskie i chmara ochotników. „Ale jaki pożytek i przysługę z tych pocztów i wolontaryuszów miał król Jegomość, doznały tego kraje litewskie na sobie i Biała Ruś, gdzie i tam i sam przechodząc wielkie szkody poczyniły; doznało tego i wojsko piętne (kwarciane), których bardzo prędko w żywność zgłodzili, wyganiając często i wielkimi stady dobytki za granicę; doznał Jego Królewska Mość na sobie, którego jeno przy samem piętne wojsku zostawiwszy, a nic się nie bawiąc z plonem wielkim a dobytkiem nazad wracali“ (str. 12). Choć czuć w tych słowach wzgardę husarza doświadczonego dla nieznających rzemiosła wojennego ochotników i niechęć litwina ku koroniarzom, jednak, że

w istocie rzeczy chciwość była głównym bodźcem, wiodącym tak samo hufce królewskie jak tłumy ochotnicze, świadczy podany przez Darowskiego fakt, iż w metryce litewskiej przechowało się ośmset nadań poczynionych przez Zygmunta III, w obozie pod Smoleńskiem, na rachunek spodziewanej aneksyi państwa moskiewskiego.

Te same pobudki, może tylko z domieszką młodzieńczej ciekawości, gorączki nowych wrażeń, skłoniły i Samuela Maszkiewicza do wyruszenia z własnym pocztem w drogę ku obozowi Dymitra. Jednym z etapów tej wędrówki było miasteczko Brahim (pow. rzeczycki, gubernia mińska), dawne dziedzictwo W. Ks. Kijowskich, a w XVI wieku własność i siedziba Wiszniowieckich. Tu właśnie w 1604 r. pojawił się na dworze ksiązęcym Samozwaniec i pozyskaniem sobie ks. Adama Wiszniowieckiego zapewnił dalsze powodzenie swej sprawie. W chwili gdy poczet Maszkiewicza stanął w Brahimiu, Dymitr zasiadł już na tronie carskim, a opiekun jego ks. Adam bawił przy nowym dworze w Moskwie, oczekując nagrody za swe przysługi. W dworcu brahimskim tymczasem nudziła się osamotniona małżonka ksiązęca. Pojawienie się młodego wojaka nasuwało sposobność urozmaicenia nudnego życia. Obyczaje kobiet na Litwie i Rusi nie odznaczały się wówczas surowością; na dworach magnackich mianowicie panowała bardzo wielka swoboda. Świadczy o tem zarówno „Daphnis“ Twardowskiego jak „Satyry“ Opalińskiego, wreszcie obrazy obyczajów tej epoki kreślone przez takiego znawcę stosunków w prowincjach litewsko-ruskich jak dr. Rolle. Otóż i księżna Wiszniowiecka bez wielkich skrupułów zapewne zatrzymała na swym dworze młodego husarza, przekładając mu, że niema po co jechać do obozu, gdyż wojna skończona, a Dymitr zasiadł na tronie.

Dyskretny i milczący litwin, trzymając się zasady, że przy wszystkich nielegalnych położeniach najlepiej gdy „i ty cyt i ja cyt“, nie chwali się ze swego powodzenia i zaledwie półsłówkami pozwala domyślać się czytelnikowi swego stosunku z księżną. „Nie miałem się tam (do obozu) po co kwa-

pić, zostałem pod Brahimem, przy p. Janie Jundzille (zapewne marszałek dworu lub plenipotent książęcy), gdzie się *miał ledwie w niebie lepiej*". Moznaby sądzić, że to on, Jundzill, taką zapłonął przyjaźnią dla młodego wojaka, iż ten przybywszy w czerwcu siedzi aż do listopada, lecz dalej nieco dowiadujemy się, że wyjeżdżając w listopadzie dla wstąpienia do wojska (ogłoszono właśnie wtedy zaciągi), zostawia młody rycerz swój poczet u p. Jundzilla i dostaje od „księżny jejmości kilkaset złotych na sprawunki we Lwowie". Ponieważ jednym z rotmistrzów wyznaczonych do formowania chorągwi był ks. Michał Wiszniowiecki, jedzie p. Samuel do Wiszniowca, może z listem polecającym od księżny, ale tu nic nie sprawia, bo sam książę tak lekceważył przyjęte obowiązki, iż został z nich zrzucony. We Lwowie, gdzie nasz bohater przybył 20-go listopada, zaciągi już się skończyły. W istocie młody wojak nie kwapił się wcale do służby, udawał tylko że się stara, by przed rodziną i ludźmi mieć pewną wymówkę swej bezczynności. Wracając ze Lwowa zatrzymuje się przez święta Bożego Narodzenia w Chobniu (pow. rzeczycki, głucha ustroń śród bagien i lasów) u starosty Charlińskiego. Ośmielony swem powodzeniem w Brahimiu zaleca się śmiało do pani starościny, która pamiętna okazywanych jej afektów zaraz po śmierci niemłodego widocznie męża, stara się przyciągnąć na stałe chwilowego adoratora. Nie długo tu siedział p. Samuel, gdyż wierny zapewne danemu przyrzeczeniu, stawia się na Nowy Rok (1606) w Brahimiu. Zdaje się że dla obu stron sytuacja stała się dość drażliwą, a stygnące bo zaspokojone namiętności nie dodawały bodźca i energii do stawiania czoła możliwym przeszkodom w utrzymywaniu dłuższem zawiązanego stosunku. Wyjazd księżny na ślub siostrzenicy ks. Koreckiej, wychodzącej za Chlebowicza, wybrano za okazją rozerwania związku. P. Samuel „już ze wszystkim wybrawszy się, z pocztem i czeladzią“ eskortował księżną do Korca. Wyjechali w styczniu z Brahimia, 14-go przyjechali do Aleksandrowa „tu rozgniewano się na mnie ale nie na długo“. Nazajutrz stanęli w Korcu. Zdaje się, że dumny

swym stosunkiem do księżny, nie umiał w tej podróży Maszkiewicz dość taktownie się zachowywać i nie ukrywał należycie pouiałości do jakiej nawykł w ciągu osmiomiesięcznych związków. Brat księżnej, wojewoda trocki, Aleksander Chodkiewicz, przybywszy do Korca na wesele, dostrzegł to i w nieobecności męża sam ujął jego honoru obronę. „Miałem tyle biedy iżem ledwie się z niej wywikłał“ — powiada lakonicznie p. Samuel o całym zajściu, które musiało mieć dość gwałtowny charakter, skoro „rozpierzchniona czeladź“ łączy się ze swym panem dopiero w Derażni pod Barem. Być może, iż jak domyśla się Darowski, był tu w robocie kobierzec i miał miejsce doraźny, ojcowski wymiar sprawiedliwości. Trudno żądać od naszego wojaka by się przyznał do tego. „Februaryi 12-go pożegnawszy się z księżną wyjechałem z Korca z wielką nieochotą“ — powiada o swym rozstaniu się Maszkiewicz. W Derażni „wypoczywał z końmi“ przez cały mięsopust polski i następnie zgromadziwszy czeladź wyruszył do chorągwi Pretwica Kamienieckiego, która na zimowe leże rozłożyła się w Chreptyjowie na Podolu.

Po słodyczach pobytu w Brahimiu nie wesoło było p. Samuelowi siedzieć w odludnym zakątku i uganiać się za hajdamakami, „od których mieliśmy wielkie przenägabanie, że nie lża było i na przystawstwo wychylić się czeladnikowi“. Dopiero pojmanie samego herszta Sałaty, uspokoiło na jakiś czas zuchwalstwo band rozbójniczych gospodarujących swobodnie na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Przeniósłszy się z chorągwią do Płoskirowa, zaczyna p. Samuel ruchliwe aż do zbytku prowadzić życie. Opozycya szlachecka pod sterem Zebrzydowskiego przeszła w jawny rokosz; król zmuszony był gromadzić wojsko dla własnej obrony. Chorągiew Pretwica pociągnęła z Podola pod Mogielnicę, ztamtąd ją zwrócono do Glinian a w końcu pod Wislicę, gdzie przebywał król podówczas. Obóz rokoszian był pod Sandomierzem i Pokrzywnicą. Wojska królewskie dopędziły ich pod Janowem nad Wisłą; Stadnicki, jeden z przywódców rokoszian, zdołał z kilkuset ludźmi się przepawić przez Wi-

słą do Kazimierza; większość jednak, zostawszy otoczoną, weszła w układy z królem. Maszkiewicz zachowuje się naj-
obojętniej względem tej sprawy; ani król ani rokoszanie nie
mają jego sympaty, przytem zdaje się, iż nie rozumie zupeł-
nie znaczenia całego ruchu. Służy królowi, bo mu za to płacą,
lecz tak samo gotów służyć Zebrzydowskiemu, jeśli będzie
miał widoki większych korzyści. Skoro tylko król „na dosłu-
giwaniu służbę wypowiedział, niezwykłym sposobem w nie-
dziel dwie przed wyjściem ćwierci“ jedzie wraz z drugim to-
warzyszem, jako delegaci chorągwi, układać się z Zebrzy-
dowskim, to w Bełżycy, to powtórnie w Stężycy. „Nie nie
umówiwszy z panem wojewodą, wróciliśmy do króla“. Wi-
dząc, że pomimo nieregularnej wypłaty żołdu, służba królews-
ka daje większe gwarancje i lepsze widoki, zaciąga się Ma-
szkiewicz pod chorągiew ks. Poryckiego, która razem z inny-
mi poszła pod Warszawę, gdzie król gromadził swe siły.
Wkrótce przychodzi do krwawego starcia z rokoszanami pod
Guzowem i Orońskiem. „Mieliśmy potrzebę z niemi za łaską
Bożą szczęśliwie“—powiada nasz husarz, uważając za jedyny
swoją obowiązek, wierność chorągwi w której służy, do czasu
naturalnie, na jaki się zobowiązał i dokąd mu punktualnie
płacą.

Ten żołdacki prawdziwie indyferentyzm ma dla nas tem
większe znaczenie, iż Maszkiewicz innemi swemi przymiotami
zdobywa sobie coraz większe uznanie wśród towarzyszków
i może wobec potomności uchodzić za przedstawiciela ówczes-
nego husarstwa. Gdy król, nie mając pieniędzy, daje swe sre-
bra stołowe na zapłatę wojska, p. Samuel zostaje wydelego-
wany do odbioru tych sreber ze skarbu. Później nieco odbie-
ra w Kazimierzu żołd dla swej chorągwi. Widzieliśmy już,
jak jeździł do Zebrzydowskiego dla prowadzenia układów
w imieniu swych towarzyszków. Widocznie więc musiał wy-
robić sobie opinią roztropnego, uczciwego i dobrze się przed-
stawiającego, gdyż podobne delegacje niejednokrotnie i to
w ważnych sprawach podejmuje.

Obojętność na sprawy publiczne, na dążenia zarówno

króla jak i opozycji szlacheckiej, pochodzi u Maszkiewiczza ztąd, że obcą mu jest cała przeszłość dziejowa Rzeczypospolitej, tradycya prawno-politycznych dążeń szlachty małopolskiej i wielkopolskiej, jej wiekowe walki i zatargi z królami, obcym sam ideał rzeczypospolitej szlacheckiej, w którym zespoliło się z rysami czysto polskimi i niejasne odbicie przestoczonych zarysów politycznej organizacyi starożytnego Rzymu. Jest on ciekawym widzem raczej niż uczestnikiem życia publicznego. Na wyższych pojęciach i uczuciach zbywa mu zupełnie; warunki w jakich pędził życie, nie sprzyjały ich rozwinięciu.

III.

Wojska królewskie rozgromiwszy rokoszan pod Guzowem (1607 r.), poszły pod Krasnystaw a następnie stały pod Zawichostem. Na zimę chorągiew ks. Poryckiego, w której służył p. Samuel, przybyła jak zwykle do Kowla. W grudniu przyszło polecenie wymarszu aż na Podgórze karpackie dla osłony Krakowa od strony Węgier. Nowy rok (1608 rozpoczął p. Samuel w Bieczu. Z wiosną wreszcie otworzyła się młodemu husarzowi sposobność odbycia upragnionej wyprawy do Moskwy.

Po Zielonych Świątkach król wyruszył z wojskiem w pochod, a w dzień św. Michała 29 września stanął pod Smoleńskiem. Będąc, poraz pierwszy zapewne, świadkiem oblężenia warownego miasta, przypatruje się z ciekawością Maszkiewicz temu nowemu widowisku i na podstawie swych obserwacyj kreśli w pamiętniku bardzo wierny i szczegółowy obraz sytuacji obu stron walczących. Widowisko to za długo się jednak przeciągało i opóźniało tak upragniony pochod do Moskwy. Król tymczasem widząc wzrastające prawdopodobieństwo wyzyskania panującego w państwie carów zamętu na korzyść własnego tronu i Rzeczypospolitej, wyprawił posłów do obozu Samozwańca, by zapewnić sobie posłuszeństwo

i współdziałal licznych polskich hufców popierających sprawę Dymitra. Rzecz naturalna, iż nie chcąc stawać w kolizyi z własnym monarchą, który i w Moskwie samej śród bojarów pozyskał zwolenników, przekładających oddanie tronu królewiczowi polskiemu nad anarchią samozwańców — polskie chorągwie, po długich przecie targach, oświadczyły swe posłuszeństwo królowi, a Dymitr, lękając się wydania, uciekł z obozu. Jedyne wyjątek stanowi Sapieha. Wraz z podległymi mu chorągwiami, tłumem czeladzi i kozaków pozostał ambitny magnat wierny Dymitrowi i pośpieszył za nim do Kaługi. Nie pochwalając tego Maszkiewicz, dodaje: „Ze znacznych wojsk nie wiele tam poszło, motłoch wszystko, a po prostu szlachty tam mało, jeno pod husarskimi chorągwiami, których nie wiele“. Dla łatwiejszego oderwania od Dymitra chorągwi polskich, zobowiązał się Zygmunt III wypłacić całkowity należny im żołd od chwili zaciągu według warunków umowy z werbownikami (70 złp. za ćwierć na konia). Wzmocniwszy tymi chorągwiami swe siły, wyprawia król Żółkiewskiego z częścią wojsk ku Moskwie, sam zaś z resztą zostaje pod Smoleńskiem. Maszkiewicz ze swą chorągwią należy do wyprawy.

Najświetniejszą chwilą tego śmiałego i energicznie prowadzonego pochodu była bitwa pod Kłuszynem, w której przymioty husaryi polskiej zajaśniały w całym blasku. By uprzędzić koncentracją sił zagradzającego drogę i wielokroć liczniejszego nieprzyjaciela, Żółkiewski zostawia obóz z całym taborem pod strażą niewielkiej garstki, a sam, z wybozem husaryi (2500 koni) i dwoma polnymi działkami, wyrusza w cichości wieczorem i przebywszy w nocy cztery mile, dzielące go od nadchodzącego nieprzyjaciela, uderza o świcie na nieprzygotowanych. Mimo chwilowego zamieszania potężne liczebnie hufce stanęły wkrótce w szyku bojowym; Maszkiewicz liczy je razem z chłopstwem spędzonym do wozów bagaży i kobylic obozowych na 70,000 ludzi. Wziąwszy trzecią część nawet tej przesadnej widocznie cyfry, otrzymałmy ilość dziesięćkroć jeszcze większą od garstki jazdy pol-

skiej. Pamiętać tylko trzeba, że przeciwnicy nie mieli zbroi a husarze byli zabezpieczeni od strzałów i cięć w najważniejszych częściach ciała. Mimo to zadanie ich było niełatwe. Po całonocnym pochodzie na koniach zmęczonych i głodnych, bez posiłku i wytchnienia, walczyć od świtu do południa podczas gorącego, letniego dnia, na to trzeba było istotnie niepospolitej siły, wytrwałości i męstwa. „Jak w otchłań piekielną wpadłszy, długo w pośrodku nieprzyjaciół się skrywając, zaledwo kiedy że się ukażą z chorągwią, którą, coraz do sprawy wołają“. Patrząc na to zanurzanie się szczupłych chorągwi w tłumach nieprzyjaciół, hetman „zwałpił o sobie i o wszystkich nas i jako drugi Jozue ręce do góry trzymając po wszystkim czas o zwycięstwo prosił“. Po ośm do dziesięciu razy szarżowały, mówiąc dzisiejszym językiem, niektóre roty „co do wierzenia niepodobne“ — dodaje Maszkiewicz. Kopie w końcu potrzaskały się na kawałki, ryszczunek uległ rozlicznym uszkodzeniom, konie ustawały i ręce omdlewały od ciągłego boju. W zamęcie walki trudno było robić spostrzeżenia p. Samuelowi. „Tym zlecam dowodniej mówić o tem, kto patrzył jeno, ale mnie trudno było, bom też swoją głębę oganiał“. Mimo swej siły i wytrwałości, jakiej dawał dowody w dalszym ciągu kampanii, uważa on tę walkę za wysiłek nadludzki. Boddcem jedynym był dla walczących взгляд, „że w pół ziemi nieprzyjacielskiej sąśmy, a tak wielki tłum nieprzyjaciela okrutnego przed sobą mając... jeno w łasce Bożej szczęścia a w rękach nadzieja. To jeden drugiemu często a często podawając, dodawaliśmy sobie ochoty i serca“.

Kiedy nareszcie ostatni wysiłek już chwiejących się szyków zapewnił im zwycięstwo i skłonił piechotę niemiecką do przerwania się w znacznej części na stronę polską, znalazło się w husarzach dość energii do gonienia za idącymi w rozsypkę przeciwnikami „na mil dwie albo trzy“.

„Wracaliśmy już nadwieczór do swoich, zastaliśmy już i Niemców wszystkich u p. Hetmana i obozy obydwu rozszarpane, zostaliśmy też na Mszą i *Te Deum laudamus*... Mało

co koniom wytechnawszy a nie najmniej nie jedząc, ruszyliśmy się nazad ku swemu obozowi, a Niemcy z nami, i o zachodzie słońca byliśmy w obozie swoim mil cztery odtąd, gdzie była potrzeba“.

Rzeczywiście, czytając powyższe szczegóły, czujemy się pigmejczykami wobec herkulesowego pokolenia, które dostarczyło tych rycerzów.

Rzecz naturalna, iż każda namiętność wywoływała w takich organizmach objawy odpowiedniej potęgi. Gniew czy radość, zapał czy rozpacz takich olbrzymów grzmiała burzą prawdziwą, nawałem giestów, wykrzyków, ruchów. Przewodzie wojsku lub marszałkować sejmikowi złożonemu z takich jednostek było to niełatwe zadanie.

Zwycięstwo pod Kłuszynem otworzyło bramy stolicy i skłoniło bojarów do traktowania z hetmanem co do oddania korony królewiczowi Władysławowi. Po ułożeniu i zatwierdzeniu obustronnem warunków rozpoczął się obrzęd składania przysięgi nowemu carowi. Trwało to siedm tygodni, w samej Moskwie, wedle Maszkiewicza, złożyło przysięgę trzykroćstotysięcy. Gdy z nadejściem zimy trzeba było rozstawić wojska po kwaterach, wodzowie polscy nie chcieli wprowadzać chorągwi do stolicy, „a to dla zbytków od naszych, któremi rozumiał (hetman), że Moskwie by naprzykrzył“ (co potem tak było)—dodaje od siebie prawdomówny Maszkiewicz. Trafne i rozumne to postanowienie nie ostało się wobec domagania się wojska o dozwoleństwo „okiełznania Moskwy“, na co rad nierad zgodzić się musiał hetman.

P. Samuel odgrywa teraz wydatniejszą rolę w chorągwi, odkąd został awansowany na porucznika. Uczestniczy on zarówno w świetnej uczcie, jaką Żółkiewski wydaje w obozie dla bojarów, jak i w bankiecie, którym, na wywzajemnienie, książę Mściśławski podejmuje hetmana i starszyznę wojskową. Kuchnia moskiewska nie znalazła uznania p. Samuela: „nie mi się nie podobało jeno ciasta, które nakosztali francuskich mają“. Dary również któremi, starodawnym obyczajem, gospodarz obdzielił gości, zawiodły ich oczekiwania. — „Het-

manowi sorok soboli nie przednich, rotmistrzom po parze jeno soboli... jeno aby się nie obrażała Moskwa przyjmowano wrzkomo". Podniecona długiem wyczekiwaniem chciwość korzyści wybuchła z całą siłą przy wybieraniu żywności ze wsi i miast, wyznaczanych dla każdej chorągwi. „Na moją rotę—powiada Maszkiewicz—dostało się dwa gorody: Suzdał i Kostroma mil 70 od stolicy. Tameśmy rozesłali zaraz Towarzystwo z pacholikami dla wybierania żywności; ale nasi nie kontentując się, że pokój mamy od nich, tak sobie bezpiecznie poczynali, że co się komu podobało i u największego Bojarzyna, żona albo córka brali je gwałtem. Czem się wzruszyła Moskwa bardzo, a miała czem zaprawdę". Dla zapobieżenia podobnym gwałtom zamieniono dawanie żywności w naturze przez zapłatę pieniężną po 50 zł. na konia. Mimo to rozdrażnienie wzajemne wzrastało: „przyjaźń była w ustach a kamienie w zanadrzu, częstowaliśmy bankietami jeden drugiego a myśleliśmy co innego". Samozwaniec zginał, króliewicz nie przybywał, wybryki i gwałty żołnierstwa polskiego rozjątrzały ludność, która patrząc na szczupłą liczbę przewożącego nad nimi wojska, czuła się na siłach wyzwolić z narzuconej opieki. Z odjazdem Żółkiewskiego, który zdał naczelne dowództwo Gosiewskiemu, karność wojskowa znacznie osłabła a wrzenie między ludem, podbudzanym przez duchowieństwo, wzrastało z każdym dniem; katastrofa była nieuniknioną. Przeworny i przebiegły Maszkiewicz wkłęca się do domu bojara Gołowina, pod pozorem dostarczenia mu wiadomości o rodzinie brata jego, który dawno już osiadł na Litwie. Korzystając z nieświadomości bojara co do istotnego stanu rzeczy, prawił mu „co przyszło na myśl, nie nie wiedząc i udając zmyślenia za prawdę. Od tego czasu zaprzyjaźniliśmy się i jeden drugiego nazywał kumem". Poczciwy bojar osypywał swego kuma grzecznościami: zapraszał na obiady z całym towarzystwem, przysyłał prowiant, który przewożono mu z majątków, owies i siano dla koni, wreszcie „ostrzegł mnie o innych nieprzyjemnych zdarzeniach, przez co mi wyrządził ważną usługę". Zdarzenia te „nieprzyjemne“



musiały być jakimiś nieczystymi sprawkami pana Samuela, któremi nie śmiał się pochwalić.

Co się tyczy najważniejszego wypadku, to „ostrożność nasza była daremną; bunt spadł jak grom, nie wielu przewidywać go mogło“. Prawdomówny Maszkiewicz nie tai, że hasło do walki dali polscy żołnierze przez rabunek sklepów i domów. Ludzie, których pragnienie bogactw zapędziło w tak dalekie strony i podnieciło do zniesienia tyłu trudów, wiedząc, iż lada dzień będą wypędzeni z tej Moskwy, na której skarbach opierali swe nadzieje, nie mogli się oprzeć pokusie zapełnienia swych tlómczków, chociażby drogą rabunku.

„Żal uwiódł któregoś podobno“ — chciano „uprzętnąć pierwej w domu niż drudzy nastąpią... a potem już i hamować trudno było“. Naprózno Gosiewski „wypadł na koniu aby hamował... musiał im dać pokój, żeby już kończyli zaczęłą robotę“. Rzeź była naturalnym wynikiem rabunku. Ludność, z dawna przygotowana do walki, wysypała się na ulice. Śród ciasnych zaułków, przy zabarykadowaniu przejsć, wyginęłaby niechybnie co do nogi garść rycerstwa polskiego. „Radybyśmy sobie dać nie mogli i nie umieli“ — powiada Maszkiewicz o sobie i kolegach, nienawykłych i niezdolnych zupełnie, przy ciężkim rynsztunku, do walki ulicznej. W tem rozpaczliwem położeniu przyszła komuś straszna myśl szukania ratunku w podpaleniu drewnianego miasta“. Hasło „palcie domy“ obiegło w jednej chwili oddziały polskie i wnet zostało w czyn wprowadzone. Przyjazny kierunek wiatru umożliwił chorągwiom odwrót pod osłoną muru płomieni, pracę przed sobą uciekającą ludność.

W ogniu tym spłonęła i kwatera Maszkiewicza. Poprzedniego dnia właśnie brat jego Daniel, służący w regimencie Strusia, przysłał mu z Możajska na dwudziestu czterech podwodach „owoców (warzyw), wszelkich wiktuałów i karmu dla koni“. Zarówno te zapasy jak i inne rzeczy i bagaże zniszczały: „wszystko dyabeł pobrał, jedno poszarpał a drugie pogorzało“ — mówi z goryczą zawiedziony w swych rachubach wojak.

Starszyzna wojskowa nie widziała innego środka obrony w rozpaczliwym położeniu jak prowadzić dalej zaczęte zniszczenie. W nocy wydano rozkaz zapalenia miasta na wszystkich punktach i w tym celu wyprawiono z Kremla o świcie husarzów pieszo i dwie chorągwie konno, tudzież dwa tysiące piechoty niemieckiej. „Na dwie godziny przed świtaniem wyszliśmy z Kremla, pożegnawszy się z tymi, którzy zostawali w zamku, prawie bez nadziei ujrzenia się kiedykolwiek“. Nie mogąc przedostać się przez zawałone szczątkami pogorzeliisk ulice, posuwała się wyprawa rzeką po lodzie. W tem straż z wieży Iwana w Kremlu spostrzega, iż pułk Strusia, który na wieść o buncie przybiegł na pomoc z Możajska, usiłuje się wdrzeć do miasta, lecz drewniany ostrokół i bramy pozamykane a bronione tamują mu drogę. Stojący na lodzie oddział zwraca się na pomoc przybywającym i usuwa przeszkodę przez zapalenie parkanu. Zaledwie runęła „ta machina“, tworząc wał płonących głowni, Strus „człowiek wielkiego animuszu i serca, nie czekając dłużej, zwarłszy konia ostrogami krzyknie: *Za mną dzieci, kto cnotliwy* i tak przez ten płomień i węgle wpadł do nas a za nim wszyscy. Radziśmy mu byli jak Bóg dobrej duszy; otrzewiliśmy trochę, serca nam przybyło“. Powstrzymane chwilowo tym wypadkiem dzieło palenia poprowadzono z tem większą energią, podkładając ogień przez dzień cały. Straszny i wspaniały zarazem widok przedstawiać musiało w ciągu długiej marcowej nocy to morze płomieni i dymów, w którym niszczały siedziby i mienie setek tysięcy ludzi. Walka uliczna i pożar rozpoczęły się we wtorek 29 marca (wielki tydzień); pożar podsycany ciągle trwał do wielkiego piątku. „A że w piątek dorobiliśmy tej roboty właśnie jak on wiersz w psalmie „A miasto pańskie tak umiotę, iż nic tam nie zostanie — a mogę śmieieł rzec i kota“, powiada z żołnierskim humorem Maszkiewicz. Ogień jednak chwilowo zabezpieczył tylko polską załogę; pożar Moskwy, jak wielki płomienny sztandar, powołał ludność całą pod broń i zaraz po świętach wielkanocnych zebrały się pod murami stolicy ogromne siły

nieprzyjacielskie, które opasały zewsząd zamkniętą w Kremlu gromadkę. Nastąpiły chwile ciężkiej pokuty za poprzednią swawolę. I chciwość łupów ostygła wobec słabej nadziei wydobycia się z matni.

Ponieważ w pierwszym dniu rozruchu, podczas gdy jedni się bili drudzy rabowali, tak iż „ni jeden kram cały nie został w Kitajgorodzie“, przeto, wedle wojskowych zwyczajów ówczesnych, urządzono w każdym pułku tak zwany majdan. Po wykonaniu przez towarzyszków i czeladź ułożonej w tym celu przysięgi, każdy składał na majdan porabowane rzeczy, po zebraniu których delegowany towarzysz rozpoczął licytację. Towarzyskom służył przywilej nabywania sprzedawanych przedmiotów za połowę ceny ofiarowanej przez kupców i szynkarzów (obozowych zapewne). Otrzymane ze sprzedaży pieniądze dzielono później na równe części. W tym razie wypadło po 28 zł. na konia.

Rozpasane rabunkiem namiętności smutne wydawały owoce. „Po przysiędze karał Pan Bóg całe wojsko — widać, że wielu było krzywoprzysięzców“ — powiada Maszkiewicz z okazji pozabijania się w kłótni przy grze dwóch towarzyszków, u których po śmierci znaleziono wiele nieoddanych na majdan przedmiotów. Demoralizacja szerzyła się w wojsku, zwłaszcza przy ciężkich warunkach bytu w oblężonej twierdzy. Głód nieraz dokuczał żołądkom nawykłym do dostatków; „wór zboża był droższy niż wór pieprzu“, brakowało paszy dla koni, dla których z wielkim trudem i niebezpieczeństwem trzeba było sprowadzać siano z po za obozu nieprzyjacielskiego. Karność upadła: „p. Gosiewski nie chciał sądzić ekscesów na p. Hetmana składając“. Gdy w dniu 6 października zjawił się z odsieczą Chodkiewicz w 2000 ludzi, zamiast radości zniechęcenie zapanowało w załodze. „Wnet go sobie omierzwiwszy serce stracili wszyscy prócz niektórych nas“. Powodów zniechęcenia było wiele. Głównym, choć niewyjawionym głośno, był zawód osobistych nadziei i rachub każdego z uczestników wyprawy. Zamiast dostojęństw i skarbów doczekali się niepowodzeń, niebezpieczeństw i trudów

oblężenia. Liczne nadania, poczynione przez króla pod Smoleńskiem, utraciły swą wartość w obec niksącej nadziei zrealizowania ich w kraju, który nie myślał się już poddać władzy królewicza czy króla polskiego. W wojsku przytem nie zbywało na awanturnikach i różnego rodzaju malkontentach; między innymi znalazła się spora liczba „ekscesniczków inflanckich, na których się pan Hetman gniewał i z wojska inflanckiego precz kazał... a ledwo i nie wytrąbiono“.

Pobłażliwość a raczej tchórzliwość lub słabość Gosiewskiego, który patrzył na niekarność i nieład obozowy przez szpary, ozuchwiała tylko niesforne żywioły; skoro więc Chodkiewicz wziął się do ukrócenia swawoli, wybuchło ogólne oburzenie, podsycane przez owych inflanckich wichrzycieli, chcących pomścić swe zniesławienie dawniejsze. Zawiązano konfederacyą, wysłano deputatów do króla z wypowiedzeniem służby, a hetmanowi oznajmiono, że zdają mu Moskwę a sami muszą wyjść dla wypoczynku i odżywienia koni.

Nie widząc innego sposobu, uciekł się Chodkiewicz do poruszenia najczulszej struny w sercu ówczesnego rycerstwa. Ogłosił, iż postępuje płacę tym co zostaną na murach po 20 zł. na miesiąc towarzyszowi a 15 zł. pacholikowi. Ponieważ pieniędzy nie było, więc wierni królewiczowi bojarowie dali rycerstwu na zastaw odpowiednią ilość klejnotów i kosztowności ze skarbcu carskiego. Środek ten poskutkował i około 3000 pozostało w Kremlu. Hetman z resztą wojska pociągnął dalej, by osłonić stolicę i zaopatrywać załogę jej w żywność. Maszkiewicz nie został, ponieważ nie miał koni ani żywności dla swych ludzi. Pomimo iż nadszedł dzień (6 stycz. 1612) w którym się kończyła rycerstwu służba, nie myślało ono wracać do kraju, łudząc się ciągle nadzieją przybycia królewicza i powetowania poniesionych strat i trudów. Choć więc zawiązaną została konfederacya i zorganizowana cała związkowa hierarchia (marszałek — pułkownicy i deputaci), jednak „daliśmy się na perswazyą Jegomości (hetmana) namówić, żeśmy zostawili towarzystwo swoje na stolicy do 14 marca“. Nie mając dostatecznych sił do złuzowania

załogi w tym terminie, przewłókł Chodkiewicz służbę do maja. Energiczny Struś przybył wreszcie ze świeżymi siłami, szukając „sławy w dotrzymaniu stolicy królewiczowi“. Szedł on już do domu, lecz na wezwanie hetmana i ukazaną mu zapewne perspektywę świetnej nagrody, wrócił się z pod Smoleńska.

Ludzie, nie mający przed sobą jasno wytkniętych, już nie mówię wyższych, ale pospolitszych nawet celów życia i dróg postępowania, kierują się zwykle przypadkowemi zachceniemi i wpływami. Żyjąc bez planu, z dnia na dzień, zmieniają z wszelką łatwością swe postanowienia i zamiary, nie oparte na trwałej podstawie wyrozumowanych sądów i poważniejszych pragnień. Maszkiewicz, podobnie jak i Pasek, powoduje się zwykle zewnętrznemi, przypadkowemi pobudkami. Utraciwszy przy niespodziewanym napadzie na wieś, gdzie stał na zimowej kwaterze, wszystkie kosztowności jakie zebrał rozmaitemi sposobami w tej wyprawie, nie kwapi się do domu, radby zostać, choć osłabła w nim wiara w osiągnięcie świetnych korzyści. „Ja umyśliłem zostać na stolicy i czekać królewicza, ponieważm wszystko coraz stracił“. W tym celu „sam z dobrej woli“ przyłącza się do oddziału wyprawionego z obozu dla zluzowania części załogi w Kremlu i opatrzenia jej żywnością. Tymczasem zaszła zmiana w rozporządzeniach hetmana i pomimo usiłowań Gosiewskiego, który pragnął dotrwać do końca, by zdać stolicę spodziewanemu królewiczowi, obronę zamku powierzono energicznemu Strusiowi i jego pułkowi. „Tom też i ja odmienił zamysł, powiada p. Samuel..., a dobrze się tak stało za przejrzeniem Najwyższego, bobym i ja koniecznie został na stolicy by był z naszego wojska kto został a byłbym taki jako i drugi“. Rzeczywistym powodem tej zmiany było postanowienie związku wojskowego porzucenia wypowiedzianej już królowi służby. P. Samuel, wyrobiwszy sobie wydatniejsze stanowisko w wojsku i pozyskawszy względy hetmana, który go poznał jako niejednokrotnego deputata rycerstwa w sprawie związku i starał się ująć swą łaskawością, mógł

spodziewać się protekcyi do królewicza i hojnej nagrody za poniesione zasługi. Tymczasem solidarność ze związkiem, który go darzył swym zaufaniem, nie pozwalała przez pozostanie zdradzać sprawy ogółu towarzyszków. Rad nie rad ruszył w powrotny pochód, przedsięwzięty naturalnie wbrew woli hetmana. Dowiedziawszy się o tym akcie samowoli, król rozesłał uniwersały do grodów, zalecające: ponieważ „swywolnik z Moskwy wychodzi aby go wszędzie bito i niepuszczano“. Przeworny p. Samuel, dbając o swą opinię, od Smoleńska już nie odbywa drogi z wojskiem. „Jam też był pozostał trochę w Smoleńsku u brata pana Gabryela, a umyślniem to uczynił, abym przez Litwę z wojskiem nie szedł. I tak w kilka dni po nich w szkucie do Orszy popłynąłem, a ztamtąd ku domowi sam łądem“. W podobny zupełnie sposób waha się między związkiem a hetmanem i królem p. Jan Chryzostom Pasek. Wahanie obu wojaków nie pochodzi ze skrupułów sumienia, z kolizyi między uczuciem obywatelskiem a obowiązkiem solidarności koleżeńskiej, lecz po prostu z niepewności, która z obu dróg doprowadzi do większych korzyści. Sprytny Pasek dotarł aż do króla i wyzyskał z powodzeniem jego przychylność, p. Samuel byłby może tej drogi próbował, gdyby nie obawa związku, który wzrósł do wielkiej potęgi przez połączenie się z chorągwiami sapieżyńskimi. Smutne to doprawdy zjawisko ta dyktatura siedmiu tysięcy żołdaków, rozrządzających samowolnie całym krajem, terroryzujących zarówno spokojną ludność miejską jak sejm i senat swą solidarnością i energią w wyciskaniu należnej im płacy. „Z tymi (sapieżyńcami) się nasi porozumieli, abyśmy bezpieczniej zasług dojsć i potężni przeciwko tym uniwersałom być mogli“. Jakże ta liga kondotierów szlacheckich nie miała się stawiać zuchwale wobec króla i sejmu, jeżeli Zygmunt, zdecydowawszy się wreszcie wyruszyć do Moskwy dla objęcia tronu na rzecz własną nie syna, wyprawił trzech senatorów do traktowania ze związkiem o uczestnictwo w tej wyprawie. „Mieliśmy posłów od króla do siebie“, powiada Maszkiewicz, ale bezskutecznie, „bo my wrócić

się nie mogli przez zejście (brak) na wszystkim“. Zaciąg świeżych sił nie mógł królowi dostarczyć ludzi, bo właśnie w tym czasie Potocki Stefan przedsiębrał na własną rękę wielką wyprawę na Wołoszczyznę w celu osadzenia swego szwagra na gospodarstwie. Gorączka awanturnicza napędziła w jego szeregach tłumy młodzieży która, zamiast rojonych zysków i tryumfów, znalazła zgon, częścią od oręża nieprzyjacielskiego, częścią w nurtach Prutu i Dzieży w czasie pogromu. „Płacz i narzekanie matek było wielkie w Polsce o potracenie dzieci, bo z akademii, ze szkół wywiódł był na tę wojnę“ — powiada Maszkiewicz.

To jednak nie zniechęciło innych do próbowania szczęścia przy nowej sposobności. Oto Gabor Batory, wojewoda siedmiogrodzki (krewny i wychowaniec Andrzeja Batorego kardynała), prowadząc domową wojnę ze swymi poddanymi, saskimi osadnikami i własnym krewnym i sprzymierzeńcem niedawnym, Betlenem Gaborem, wyprawia swego agenta do Polski dla werbunku. Wielamowski, jeden z rotmistrzów z wojny moskiewskiej, podejmuje się tego przedsięwzięcia i otrzymawszy pieniądze zbiera do 3000 ludzi. Maszkiewicz opowiada przygody jednego z młodych ochotników, Jana Wojny, syna podkanclerzego litewskiego Gabryela. Wbrew woli ojca ucieka on z domu i zmieniawszy nazwisko zaciąga się do oddziału Wielamowskiego. Strapiony ojciec wydał 3000 zł. na daremne poszukiwania. Tymczasem synek „wrócił ztamtąd z niczem jak i drudzy“ i bojąc się ojca przyjął służbę, jako pacholek, u Dudzińskiego, towarzysza w chorągwi Młockiego, stojącej na Podgórzu. Dworzanin Radziwiłła woj. trockiego, poznawszy młodego Wojnę, doniósł o tem księciu, który uwiadomił ojca. Najlepiej na tej sprawie wyszedł ów Dudziński, bo za doprowadzenie do Lublina i wydanie ojcu młodzika wziął od Radziwiłła 200 zł. a od ojca 300 zł. Przekonawszy się dowolnie, że życie awanturnicze nie takie rozkoszne jak się wydawało w wyobraźni młodej, nasz wojak tak się zadomowił, że gorszył tem sąsiadów i znajomych, wymagających, by syn bogatego dygnitarza

synowiec biskupa, posiadacz starostwa Mereckiego, prowadził wesołe, wystawne życie. „Żał mu się Boże, bo wielki kiep z niego teraz. Po śmierci ojca z domu się ludziom nie ukaże, choć to pierwaj uciekał, rzekomo dla służby“, powiada Maszkiewicz, będący echem opinii, jaką na dworze Radziwiłłów pozyskał w późniejszych latach młody Wojno.

V.

Życie wojskowe w wieku XVII przy bliższem poznaniu okazuje się nam prawdziwą szkołą demoralizacji obyczajowej i politycznej. Zaciągając się pod chorągiew, młodzieniec wyzwalał się z zależności od wszystkich powag, mogących hamować zapędy jego namiętności. Ani rodzice, ani kościół, ani opinia publiczna, ani prawo nie mogły go tu osiągnąć. Umysł i serce były za słabo rozwinięte, zbyt ubogo wyposażone, by mogły służyć za tarczę przeciw szkodliwym wpływom i stanowić przeciwwagę ślepych popędów i sile przykłądu. Trudno żądać od ludzi, rzucających siebie samych jako stawkę na loteryi, w której wygranę stanowiły pieniądze i wesołe życie obozowe, by zachowywali jakieś wyższe pojęcia i uczucia. Kto dłużej pobyl w towarzystwie takich zuchwiałych awanturników, niepohamowanych niczem hulaaków, ten musiał, jeśli je posiadał, przytępić uczucia rodzinne, obywatelskie i religijne. Maszkiewicz nie lepszy, umiarkowańszy może i roztropniejszy od swych kolegów, kreśli nam z humorem, bez oburzenia, obrazki życia husarskiego. Najjaskrawszą z ujemnych stron tego życia stanowi pijaństwo. Typem husarza-pijaka jest taki Brzeziński z chorągwi Skuminy, lublinianin. „Był on straszny hulaka, pił gorzałkę z każdym, z kim się spotkał, nigdy się nie wychmiał, nie wiedział kiedy dzień a kiedy noc, nie zmieniał nawet bielizny i w jednej opończy tylko hulał po ulicy chodząc“. W przystępie obłądu pijackiego miał widzenie, iż dyabli chcieli go porwać do piekła, przestraszony tem wytrzeźwiał, udał się

do klasztoru i tam przez dwa tygodnie oddawał się praktykom religijnym. Pomimo to halucynacye nie przestawały go dręczyć, „zawsze mu dyabeł przed oczyma w rozmaitych postaciach to psem się przerzuci to kotem“. Egzorcyzmy nie nie pomagały i zaledwie w pół roku spokój odzyskał. „Od tego czasu przestał pić wódkę, ale za to ciągnął małmazją lepiej niż dawniej“, dodaje od siebie Maszkiewicz.

Ci nawet, co nie byli nałogowymi pijakami, nie znali miary gdy pili w kompanii. Okazyi do pijatyki nie brakowało nigdy w obozie. Brat Maszkiewicza, Daniel, gdy stał w Borysowie pod Możajskiem, budował sobie szałas. „Na zakładziny tej budowli przyszło do niego kilku towarzyszków, a że nie miał ich czem innym ugościć oprócz gorzałki, tedy brat posłał po nią. Z początku goście i gospodarz pili kieliszkami a potem całymi sztofami, jednym duszkiem. Już wszyscy z nóg się zwalili oprócz brata i jakiegoś Niedźwieckiego także z roty Kalinowskiego. Ten Niedźwiecki podał hasło pić we dwu, z tą umową, że gdy jeden osłabnie, drugi mocniejszy o nim mieć będzie staranie i wezwie księdza z cyrulikiem. I tak pili oni obadwa do tyła, iż tamten padł martwym... Brat stał na nogach i, pamiętając o umowie, posłał po mnie chłopca w skok i po cyrulika. Natychmiast go wysłałem ale już zapóźno: Niedźwiecki wyzionął ducha. Brat go pochował i był zdrowym, ale taka straszna poczestka nie mogła mu niezaszkodzić“. Częste powtarzanie choć nie w takich rozmiarach wybryków hulackich, zrujnowało zdrowie p. Danielowi tak, iż zaraz po powrocie z wyprawy wpadł w chroniczną jakąś niemoc, która wkrótce przyprawiła go o śmierć.

Ludzie z podobnemi obyczajami nie robili różnicy między krajem nieprzyjacielskim a własnym; każdy, kto nie należał do związku, był im obcym i musiał pokornie ulegać wymaganiom i kaprysom tych buńczucznych żołdaków. Chorągiew ks. Poryckiego, w której służył Maszkiewicz, miała wyznaczone sobie od władzy związkowej stanowisko w Samborze, wraz z trzema innymi. Na zebraniem w tym celu kole roz-

dzielono pomiędzy towarzyszków „przystawstwa“, t. j. wsie, obowiązane dostarczać w naturze żywność dla ludzi i koni. Maszkiewicz na 12 swych koni dostał 48 łąnów w górskich karpackich wsiach, a ponieważ rodził się tam tylko owies, a przewóz dla braku dróg był uciążliwy, przeto zamieniono dostawy na pieniądze; za trzy ćwierci wziął po 32 zł. z łąnu, a więc przeszło 1500 zł., sumę wysoką wielce na owe czasy. „Oprócz działu, przyznaje się poufnie Maszkiewicz, — dał mi był p. Pawłowski, co u nas w rocie przystawstwa rozdawał, wieś pode Lwowem, na samem przedmieściu, łąnów 6 a p. Grabiance drugą taką. I ty cyt i ja cyt. Potrzebną mi była bardzo dla przyjechania do Lwowa, bom z niej wszystkiego jak z folwarku miał dostatek“.

Ponieważ z kolei wyznaczano pułkom coraz inne przystawstwa, przy następnym rozdziale dostały się pułkowi ks. Poryckiego grody Rusi Czerwonej: Lwów, Chełm, Bełz, Kraśnystaw, Lublin. Dla porozumienia się z miastami i obliczenia przypadających na nie sum pieniężnych, wyprawiono z każdej roty po dwóch deputatów, którzy zebrali się we Lwowie i ztamtąd rozjechali do wyznaczonych dla każdej roty miejsc. Maszkiewicz, odgrywający widocznie wydatną rolę w pułku i umiejący chodzić koło swych interesów, zachował dla siebie najbogatsze z miast—Lwów. Został się tu więc z nieodstępnym Grabianką. Lwowianie jednak, opierając się na swych dawnych przywilejach, oświadczyli, że stacyi nie dadzą, bo nie są obowiązani jej dawać nawet samemu królowi. Nie zważając na to, Maszkiewicz z towarzyszem biorą się do rozpisywania gospód dla wojska i dla postrachu zapisują dwa razy więcej niż było potrzeba.

Gdy na noc udali się panowie kwatermistrze do swej gospody na przedmieściu, zwierzchność miejska poleciła zamknąć bramy i nikogo obcego nie wpuszczać. Nie mogąc się dostać do miasta, Maszkiewicz obstawił bramy swymi pacholkami, polecając im, by nie puszczali dowożonej żywności. Po trzech dniach takiego oblężenia brak świeżych zapasów i drzewa rozjątrzył niezmiernie liczną i zamożną ludność

Lwowa na zuchwalstwo kwaternistrzów, którzy przekpiwali z jej kłopotów, przechadzając się po ulicach. Gdy jednego wieczoru wracali do gospody, tuż przy samej furcie, zostali otoczeni przez gromadę zbrojnych mieszczan, która zaczęła bić idącego za nimi pachołka. Rzecz naturalna, iż pośpieszyli mu z pomocą a mieli ze sobą wszystkiego dwóch czeladników i jednego chłopca, który szedł z latarnią. „Nie był w stolicy (t. j. w Moskwie) w zmianę (zdradę) taki strach na nas jako tam“, powiada p. Samuel, „pachołka nam jednego zabito zaraz, drugiego raniono, p. Grabiankę też okrutnie pobito cepami żelaznymi i goleń mu potracono, który od tychże rąków zmarł“. Zdaje się, że p. Samuel ratował się ucieczką pod osłoną ciemnej nocy i schował się u znajomego mu krawca, nie przyznaje się naturalnie do tego i powiada tylko, że go „ratował prędko gospodarz, u któregośmy byli, Mościcki krawiec“.

Pomścili wprawdzie mieszczanie swą zniewagę, lecz musieli tę satysfakcję okupić pieniędzmi. Powiada Maszkiewicz, że kosztowało to ich z 15000 zł., z tych większą część wydali na pozyskanie sobie senatorów, pokrzywdzonym dostało się tylko 3000 zł. (było to przed śmiercią Grabianki), z których p. Samuel bierze tylko 100 zł. „bo nie było za co“, ale za to korzysta sobie bezkarnie z folwarków miejskich. „A co się też im folwarków nadskubło, tymesmy się i za stacyą kontentowali od nich“.

Bezczynne życie zachęcało do zawiązywania stosunków towarzyskich z okoliczną szlachtą. Związkowi w liczbie siedmiu tysięcy byli przeważnie litwinami i litewskimi rusinami ¹⁾, na których pojęcia, mowę i obyczaje wielki wpływ

¹⁾ Hermogenes, patriarcha moskiewski, w odezwie swej zwywał lud do powstania „protiwu Litwy“, współcześni kronikarze duchowni zowią zwykle Litwinami rycerstwo zajmujące Moskwę, „Bezbożnaja Litwa“, „ot wragow wsiego prawosławnego krestianstwa litowskich ludiej“ (Ustryałow: Skazania sowremienników—T. V, 201, 209, 223).

wywierać musiał długi pobyt w mało i wielkopolskich prowincjach. Uroda, lepsze wychowanie i obyczaje polek, pociągały ku sobie wrażliwe na wdzięki niewieście serca husarskie. Małopolska i wielkopolska szlachta szukała żon na Rusi dla wielkich posagów, tamtejsi zaś i litewscy panowie szukali w polkach urody, ogłady i wewnętrznych przymiotów. Towarzystwo szlachty polskiej, przymioty kobiet i cicha praca u pługów były najważniejszymi czynnikami w dziele pokojowej a trwałej polonizacji prowincyi, wchodzących w skład rzeczypospolitej, w dziele, które mimo anarchii i bezsilności rządu, a nawet może dzięki tym warunkom, odbywało się siłą swobodnego oddziaływania wyższej kultury na niższą.

P. Samuel miał sposobność bliżej poznać najwybitniejszych ludzi pośród szlachty małopolskiej: Zebrzydowskiego, z którym, jak widzieliśmy, traktował o przyjęcie służby w chorągwiach rokoszan i Szczęsnego Herburt, z którym zaznajomił się stojąc z chorągwią w Przemyślu, oddalonym tylko trzy mile do Dobromila. Stosunek ten pochlebiał wielce Maszkiewiczowi, gdyż z widoczną dumą i zadowoleniem opowiada, jak Herburt „człowiek wielkiej presumcy o sobie, nikomu pod słońcem świata przed sobą i w urodzeniu niedający, żonaty z księżną Zasławską Zofią... często bywał u mnie (w Przemyślu), wielką przyjaźń mi ofiarował, siła niekiedy ze mną o rzeczach wielkich mówił, bom i pułkownikiem po ożenieniu Poniatowskiego został i cokolwiek w wojsku mógł“. Herburt, niezmordowany w swych rokosзовych zabiegach, usiłował zużytkować na korzyść opozycyi szlacheckiej niechęci związkowych i starał się pozyskać dla swych planów Maszkiewicza jako pułkownika i człowieka wpływowego. „Zaciągał, aby my z chorągwiami pod Warszawę szli, pod sejm bliżki przyszły; a potężnie królowi staniu, mówi, i zasług dojdziecie i powetujecie wszystkiego i jeśli co pod rokosz opuścić się mogło, snadnie teraz poprzećcie, mając i szlachty nie mało przy sobie a pojedziem, mówi, wszyscy z wami“. Obojętny na niezrozumiałe mu dążenia

opozycyji szlacheckiej Maszkiewicz, nie umiejąc odeprzeć wymownych dowodzeń Herburta, zwracał uwagę tylko na „skwirk ubogich ludzi i krzywdę nieznośną od skupienia wojska“, na co egzaltowany rokoszanin odpowiadał: „święteż to jałowice, święteż to kokoszki, które pokój i pierwszy wiek złoty wolności ojczyźnie przywróca“. Nic jednak nie wskórał swemi wywodami i podżeganiem, bo praktyczny pułkownik widział przed sobą jeden tylko na teraz cel do osiągnięcia: odebranie zaległych a znacznych zasług, przy czem spodziewał się sam jeszcze osiągnąć dodatkowe korzyści z tytułu swego stanowiska. Poruszenie kwestyi politycznych zawiązało by tylko i utrudniło sprawę; kierownicy związku wpadli na trafny i skuteczny pomysł, postanowili mianowicie nałożyć sekwestr na dochody starostw, królew-szczyzn, biskupstw, opactw; po obliczeniu bowiem okazało się, że połowa rocznego dochodu wystarczy na zapłatę żołdu, którego suma wynosiła 7,000,000 złp. Naznaczono już delegatów do odbioru wpływów. Duchowieństwo i senatorowie, przerażeni tym postanowieniem, wymogli na królu zwołanie sejmu, drugiego już w ciągu roku, jedynie w celu uchwalenia środków zapłaty żołdu, a jednocześnie prośbami skłoniono związkowych do powstrzymania sekwestru aż do czasu uchwały sejmowej. „Jakożem ja miał listów trzy od p. Kaliskiego do siebie, abyśmy do sejmu jeno wytrwali, obiecując pewną i prędką zapłatę“.

W liczbie czterech delegatów, wyprawionych na sejm od wojska, był także i p. Samuel. Zarówno przez ostrożność, jak dla braku wymowy, nie chciał się podjąć oddawania królowi „instrukcyi, bo ostra bardzo była. „Scibor ją odprawował przed królem. Ja insze zlecenia wojskowe łagodniejsze i *petita*“. Miłe to były chwile dla p. Samuela, który odnosił teraz sowitą nagrodę za trudy wojskowe i korzystał w całej pełni ze swego wysokiego stanowiska. Delegaci otrzymali po 300 zł. strawnego i gospodę na Mostowej ulicy, z pięciu izb złożoną. Ciasno tam im było, bo „towarzystwa nie mało co po swych potrzebach na sejm pojechali i tam z nami stali“ —

ale wobec rozlicznych rozrywek, jakie nastęczała Warszawa, nie wiele czasu poświęcano spoczynkowi w gospodzie. Senatorowie i posłowie, czując, że na ich kieszenie spadnie ostatecznie ciężar zapłaty, przesadzali się w uprzejmościach dla delegatów związku, by ich ująć i wytargować lżejsze warunki. „Poszanowanie wielkie mieliśmy na tym sejmie, miejsca nam nie znaleźli, jeden przed drugim na bankiety się uganiali, tygodniem przedtem i dalej zapraszając nas na nie a drugi się i nie domieścił“.

W poufnych rozmowach dygnitarze koronni czynili najświetniejsze obietnice nagród i korzyści osobistych w zamian za ustępstwa w żądaniach. Nie chcąc w niczem drażnić wojska, pozwalano na wszelkie wybryki bawiącym w stolicy towarzyszom. „Mieliśmy wielką wolność na tym sejmie; w nocy, o północy zbroić co, posiec, zabić wolno; żaden nie śmiał słowa rzec. Warty więc mimo idą a nasi co takowego robią, nie rzekną nic, jakby nie widzieli... Gdzie którego obaczono z naszych idąc albo brojąc, to siedm tysięcy za nim chodzić, dać im pokój... Zabili nasi drabanta królewskiego, nie wykonywali *egzekucyi* choć pod sejm i pod bokiem królewskim, ale sami z ugodą nas szukali, aby się cokolwiek dało względem Boga; dano złotych 80“. Ta swawola i bezkarność cieszy p. pułkownika, tak jak w pół wieku później radować będzie p. Jana Chryzostoma swawola szlachty, zgromadzonej na elekcyą pod Wolę; to jednak nie przeszkadza mu pełnić poważnych obowiązków deputata od wojska do komisji, rozpatrującej i sądzącej *excessa* popełnione przez związkowych; „których sądów dekreta takowej wagi były jak sejmowe i infamia w ręku naszych była“ — przechwała się p. Samuel. Upragniona wypłata nareszcie nastąpiła w przewodnią niedzielę 1614 r.; Maszkiewiczowi nie doszła w całości należna suma, bo musiał płacić za swe poprzednie sprawy, o których milczy naturalnie w pamiętniku. „Mnie arestowano było zasługi o Szablowskiego i musiałem płacić Mazurom (widocznie za pobicie lub poranienie w Warszawie) a Kossakowski także przy nich był się przywiązał“. Na trzeci

dzień, we wtorek 8 kwietnia, spalono uroczystie akt konfederacyi w kościele u Fary we Lwowie, kładąc tym obrzędem koniec jej istnieniu.

VI.

Z chwilą rozwiązania konfederacyi rozpoczyna się nowa epoka w życiu Maszkiewicza. W zawodzie wojskowym doszedł on najwyższego stopnia, jaki przy swych zdolnościach i stanowisku społecznem mógł osiągnąć. W ciągu służby, a nadewszystko w czasie związku wojskowego i pełnienia obowiązków delegata, pozawiazywał stosunki z dygnitarzami i senatorami, którzy nie szczędzili mu komplementów i świetnych obietnic. Po burzliwym i ruchliwym życiu wojskowym uśmiechała mu się wesoła, wygodna i zaszczytna egzystencya starosty lub kasztelana przy bogatym ożenieniu. Jeżeli bowiem taki Ludwik Poniatowski, także pułkownik husarski i kolega p. Samuela, mógł ożenić się ze Stadnicą z Łańcuta, wdową po głośnym „Dyable“ Stadnickim, jeżeli ubogi towarzysz z jego chorągwi niejaki Ratowski, „chudzinka pacholeczek“, został mężem Ocieskiej z domu Mieleckiej, starościny Olsztyńskiej, właścicielki rozległych dóbr i 30,000 zł. rocznej intraty; to dla czegożby p. Maszkiewicz, którego brat żonaty z Chreptowiczówną, on sam zaś prócz pokrewieństwa z Wiszniowieckimi, posiadał urodę, zdrowie, stopień pułkownika, ogładę obyczajową i wreszcie skromną fortunę w ziemi, nie mógł sięgnąć po córkę dygnitarza i senatora. Dotychczasowe powodzenie u kobiet dodawało mu tem więcej otuchy. Mickiewicz w stosunku Jacka Soplicy do Horeszki odtworzył położenie, które w przeszłości powtarzało się niezmiernie często. Jedną sobie wpływową szlachtę widokiem świetnego ożenienia i koligacyi z senatorem, był to częsty bardzo i zawsze się udający fortel magnatów. Niekażdy czuł doznany zawód tak silnie jak Jacek, niekażdy Horeszka życiem opłacał swą zdradę; świadczy o tem p. Jan Chryzostom Pasek, wyzyskiwany też w podobny spo-

sób, ale na szczęście nie żywiący gorących uczuć dla obiecywanej mu panny. I u pana Samuela raczej ambicya niż serce musiało otrzymać ranę. Małomówny, jak zwykle, gdy mu przychodzi wspomnieć o stosunkach poufnych lub niepowodzeniach, mści się za doznany zawód, przeklinając jego sprawcę. „P. Kanclerz Litewski, wielką też chęć a osobliwie mnie, pokazał (w czasie sejmu w Warszawie), już za swego mnie mając i gospodarstwo mi zlecał i łaskawym bardzo obiecał być“. Maszkiewicz ani słówkiem nie wspomina, że chodziło tu zapewne o ukazaną mu perspektywę ożenienia się z blizką krewną kanclerza, a może i córką wówczas jeszcze za młodą, wydaną w cztery lata później za Radziwiłła, widoczne to jednak z powyższego ustępu. W całym pamiętniku zresztą swe sprawy sercowe i stosunki z kobietami osłania tajemnicą i zbywa lekkim, niejasnym napomknieniem, jak to widzieliśmy przy wzmiankach o romansie z księżną Wiszniowiecką. Krótko jednak trwały te złudzenia: „Ten (kanclerz) jako i wszyscy, tak ci co teraz, jako inszy dawniej (panowie naturalnie), jeśli cokolwiek uczynił kto dla którego z nas, więcej z bojaźni, niżeli z chęci; bo prędko po spaleniu konfederacyi odmiana się we wszystkich pokazała, jako i mnie Kanclerz Litewski potem, bodaj mu wszystkie ludzkie na świecie i sam Bóg częściej się okazał chętnym; nazbyt było obietnic a żaden nie dał, oprócz Gąsiewski atlasu łokci 8 dał mi“. Prawda, że zrealizowanie świetnych marzeń w ośmiu łokciach atlasu mogło goryczą napoić p. Samuela, ale nam dzisiaj naina wna forma jego żalu i złorzeczenia wydaje się wyjętą żywcem z ust naszego stróża lub małomiejskiej kumoszki, biadających na niewdzięczność ludzką. Z tych samych ust zdaje się płynąć życzenie, jakie przesyła kanclerzowi. „Oby go podobnie kat poczęstował przy pręgierni“ przy wzmiance o pobiciu jego czeladzi w drodze przez kanclerza. Musiało widocznie obustronne rozjątrzenie zajść bardzo daleko, gdy wysoki dygnitarz, znakomity i zasłużony mąż stanu w ten sposób okazywał szlachcicowi swą niechęć. P. Samuel ze swej strony rozciąga na cały ród Sapiechów uczucia, jakie ży-

wił dla kanclerza. Gdy Mikołaj Sapiecha odprawia wjazd na województwo nowogrodzkie i zgromadza szlachtę do Nowogrodka, Maszkiewicz jedzie umyślnie do Wilna na odbywającą się tam jednocześnie pogrzeb poprzedniego wojewody Teodora Skuminy: „Wolałem raczej pojechać do domu płaczu niż wesoleści“, powiada lakonicznie, nie objaśniając bliżej pobudek czynu tak sprzecznego z hulaszczemi i towarzyskami upodobaniami p. pułkownika. Niepowodzenie jednak od pewnego czasu przesładuje go na każdym kroku. Przy działach majątkowych, jakie nastąpiły (1614 r.) w Serweczu, gdzie zebrali się trzej bracia: Jan, Samuel i Gabryel i żyjąca jeszcze matka, najstarszy Jan, nie zważając ani na „łzy matki, ni na rady przyjacielskie“, nie szanując zwyczaju, „że starszy dzieli a młodszy wybiera“, przywłaszczył sobie, nie dając do działu, majątek rodzinny, który drogą procesu odebrał od nieprawego posiadacza, przytem sam sobie na własną część wyznaczył dwie wsie: Żabczyce i Jatry. „My młodzi, widząc dla siebie taką krzywdę, nie chcieliśmy się zgodzić; nasza niezgoda bardzo zasmuciła panią matkę i nadwyrężyła jej zdrowie. Tylko dla jej spokojności, Bóg temu świadkiem, skłoniłem pana Gabryela na czas ustąpić, daliśmy opisy i rozebraliśmy nasze części“. Zapomina tylko dodać p. Samuel, co widoczne z podanych szczegółów układu, że i ów chciwy i twardy p. podsędek, zmiękczył się łzami matki i zezwolił, żeby ów odebrany przezeń sądownie majątek (trzy wsie w Pińskim powiecie), stanowił wspólną własność pod dozwoziem matki. Samuelowi dostał się Serwecz ze Skorowem.

Samotne życie na wsi nie uśmiechało się p. pułkownikowi, nawykłemu do gwaru i ruchu życia obozowego i miejskiego i dla tego pragnie on gorąco się ożenić. Upatrzywszy sobie odpowiednią swym wymaganiom pannę, krewną p. Okonia, wyprawia jednego ze swych sąsiadów czy przyjaciół p. Jana Pryszczycykiego „dla zbadania myśli jego (t. j. Okonia) krewnej. Daje mu na drogę 20 zł. i konie swe z powo-

zem. „Nie wczas przybył“ dodaje, streszczając w dwóch słowach niepomyślny rezultat poselstwa.

Zniechęcony zawodem opuszcza Serwecz, by w dalszym ciągu wieść wesołe kawalerskie życie. Sposobność ku temu podało mu wezwanie Radziwiłła ordynata kleckiego ¹⁾, który znając zapewne dobrze p. Samuela jako współzemiańnika (Kleck leży w pow. nowogrodzkim, gdzie i Serwecz), a przynajmniej słysząc o nim, zawezwał go na swój dwór, by okazać figurą pułkownika husarskiego podnieść blask orszaku podczas uroczystości weselnych. Książę zaślubiał bowiem ks. Korecką. Wyjechawszy z domu 24 października (1614 r.), trzeciego dnia stanął p. Samuel w Klecku i ruszył z księciem na Kazańgroddek do Korca. Młoda para wyruszyła do swej siedziby dopiero 30 listopada (9-go był ślub), a stanęła na miejscu 10 grudnia. Maszkiewicz opuścił dwór książęcy 16 grudnia i za odegranie roli figuranta otrzymał 300 złp. prócz 24 złp. strawnego na tydzień, co wyniosło drugie 300 złp. Wynagrodzenie to bardzo świetne, gdyż ówczesne złote były dukatami. Roczna intrata Serwecza nie dochodziła może tej sumy.

Nie mając po co śpieszyć do domu, podróżuje p. Samuel „rzemiennym dyszlem“, według staropolskiego wyrażenia. Najpierwej odwiedza brata Jana, z którym się widocznie pogodził, nie zastaje go jednak w domu tylko bratową. Po czterech dniach jedzie ztamtąd do p. Jeśmana (w Obrowiu). „Był on mnie rad i żona jego przyjęła mnie grzecznie. Tańczyliśmy za północ; na świtanu urodziła pani Jeśmanowa syna“. Przez luty i marzec odbywa Maszkiewicz w dalszym ciągu objazd swej rodziny i sąsiadów dalszych. W roli swata wiezie Michała Chreptowicza do swej stryjecznej siostry pani Owsianowej, wdowy widocznie, z pomyslnym rezultatem. Konkurent przywozi w darze marcypany. Przez trzy tygodnie siedzi p. Samuel w Namejkach u szwagra swe-

¹⁾ Był to Jan VIII, Jerzy Radziwiłł, kasztelan trocki, syn Mikołaja Sierotki, urodzony 1588 roku, figura błada bez znaczenia.

go Łopateckiego. Kobięce towarzystwo stanowi nieodzowną potrzebę jego życia, wyćwiczony w sztuce zdobywania względów niewieścich, korzysta z każdej okoliczności, nie zważając na żadne względy. Dowiedziawszy się o śmierci Filipa Sopoćki w Dzieciołowicach, śpieszy tam, by zająć się przygotowaniem pogrzebowym, a jednocześnie pocieszać młodą wdzięcznie wdowę. Sam myje i ubiera nieboszczyka. „Wdowa bardzo dla mnie była grzeczna, a dalej co dyabeł każe“—dodaje ze swą zwykłą zwięzłością, zostawiając szerokie pole domysłom. W tymże roku w podróży spotyka szlachcica jadącego z córką na odpust, zabiera z nimi znajomość, a umizgi do córki prowadzi tak energicznie, że „zamiast odpustu o mało nie była rozpusta“. Już to kobiety lgnęły do urodzonego husarza, wdowy szczególnie. Owa pani Charlińska, w której domu za życia męża był gościem, owdowiawszy sądziła, iż łatwo pozyska sobie p. pułkownika, co się do niej umizgał, jeszcze jako prosty towarzysz, przed dziesięciu laty. „Proszono mnie przyjechać, lecz rozmyślałem się z powodu dalekiej drogi“—powiada dyskretnie Maszkiewicz. Wdzięczny jednak za doznane względy, ułatwia jakiś interes wdówe przez swego znajomego, któremu daje 25 złotych strawnego na podróż. Galanteria ta dla kobiet nie wyłączała przecie rubasznosci w obyczajach, zwłaszcza przy powszechnem przebieraniu miary w picu. Wino wówczas na Litwie było mało używane; miód i wódka stanowiły szlacheckie napoje. „Wypiliśmy miód, złamaliśmy nogę siostrze (tylko nie ja lecz p. podsędek) i wszyscy razem pojechaliśmy do Białowicz do p. Michalskiego“—powiada Maszkiewicz o swych odwiedziach u szwagra.

Podróże, obchody, zebrania publiczne i zabawy wypełniają teraz życie Maszkiewicza. Zamiłowanie w swobodzie kawalerskiej ostudza pragnienia rodzinnego życia. „Wtenczas łatwo mogłem się ożenić“—mówi o wyborach marszałka trybunału w Mińsku w 1617 r. „lecz niepocziwe towarzystwo odciągnęło mnie. I tak czas upłynął przyjazny“. Życie dworskie, choć narzeka ciągle na „niewdzięczność“

panów i wielkie wydatki, staje się niezbędnem dla p. Samuela. Przyłgnał on do rodu Radziwiłłów i z małemi przerwami ciągle przebywa na ich dworach. Gospodarstwo w Serweczu cierpi na tem bardzo. Wyjeżdżając do Krakowa dla asystowania ordynatowi Kleckiemu w czasie pobytu w tem mieście, przyjmuje do służby Niemca stolarza i ogrodnika i zapłaciwszy im z góry, wyznacza robotę na czas swej nieobecności. „Niemiec bezemnie uciekł natychmiast a ogrodnik nie prawie nie zrobił“ — powiada o rezultacie swych starań Maszkiewicz. Sam tymczasem wesoło się zabawiał w dalekiej podróży. Na drogę dostał od księcia trzysta złotych. Wyjeżdża z Serwecza 20 września a dopiero 7 października staje w Krakowie. Ztamtąd wraz z księciem wyjeżdża 17-go a 29 przybywa do Warszawy. Księżna, nie zatrzymując się, jedzie dalej do Klecka, a młody jej małżonek używa w stolicy swobody kawalerskiej. Mieszka księżę w domu Kosickiego w rynku; Maszkiewicz stoi razem ze swym panem i służy mu za przewodnika i obrońcę w nocnych awanturach. Według swego zwyczaju, napomyka tylko lekko p. Samuel o jednej takiej przygodzie. „30 novembra Wereszczaka i Grabowski napadli w nocy na mnie z zasadzki i lekko ranili; za to i im się dostało“. Nazwiska napastników świadczą, iż nie byli to uliczni rabusie lecz bracia szlachta, litwini, zaczepieni lub pokrzywdzeni poprzednio. Że i sam księżę miał w tem udział i sprawa cała była nieczystą, świadczy nagła ucieczka ze stolicy. „Na drugi dzień 1 decembra my z księciem wyjechać musieliśmy z Warszawy“. Zaledwie stanęli w Klecku (18 grudnia), księżę postanawia jechać do Słucka na wesele p. podczaszego (także Radziwiłła). Maszkiewicz wyrывa się tylko na kilka dni, by odwiedzić starą matkę, mieszkającą w Jatrach przy najstarszym synu i 27 grudnia wyrusza z księciem w drogę, nie na ślub jednakże, lecz w tajemniczy ku Wilnu dla leczenia się z choroby nabytej w Warszawie przy dworze. Tajemnica jednak nie mogła być utrzymana z powodu niemiłego wypadku w podróży. O kilka mil od Klecka pod Koreliczami lód na jeziorze serweckim załamał

się i kareta książęca wpadła w wodę. „Trzeba było ludzi spędzić kijami, iżby wydobyli księcia z wody“ — powiada spokojnie Maszkiewicz, na którym ten zwyczajny sposób otrzymania pomocy od ludu wiejskiego nie robił żadnego wrażenia.

Posiadłszy zaufanie księcia, załatwia p. Samuel jego sprawy w sądach, występuje jako przedstawiciel na pogrzebie Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, wojewody wileńskiego, księcia na Ołyce i Nieświeżu i daje się poznać całej rodzinie książęcej, od której otrzymuje korzystne propozycye. Książę Podczaszy ze Słucka proponuje mu aż 500 złotych płacy rocznej ale na oblig; „nie dałem się oszukać“ — powiada obeznany ze stanem tej rodziny dworak. Za to przypada mu do gustu propozycya p. Kawalera. Pod tem mianem znany był Zygmunt Radziwiłł, syn Mikołaja Sierotki i Eufemii Wiszniowieckiej, urodzony w 1591 r. w Nieświeżu. Od 1611 do 1616 r. przebywał on na Malcie i tam pozyskał stopień kawalera. Z tego powodu ojciec ustanowił na Litwie komandoryą zakonu maltańskiego z dóbr Stołowicze i Pocijki, by uzyskać dla syna godność komandora ¹⁾.

Młody, bo dwudziestopięcioletni komandor pragnął szukać dalszej karyery, na dworze królewskim, na który utorowała mu wstęp otrzymana na początek godność krajczego królowej Konstancyi. Maszkiewicz nadawał się wybornie na mentora młodzieńcowi, nieobeznanemu z obyczajami i warunkami życia dworu polskiego i stolicy, pobyt w Warszawie uśmiechał mu się więcej niż w Klecku lub Słucku. Przyjmuje przeto służbę na 400 złp. płacy, odzienie i stół i przybywa wraz z księciem do Warszawy około Zielonych Świątek. Wkrótce potem p. Kawaler, na prośbę swego brata Al-

¹⁾ Wierny religijno-rycerskim zasadom, zaszczeplianym w domu i na Malcie, walczy on, na czele zwerbowanego przez siebie w Niemczech oddziału, z Czechami pod Białą górą, bierze udział w wyprawie Chocimskiej, dowodzi Lisowczykami w służbie cesarza Ferdynanda.

brechta, jedzie jako swat do panny Plenińskiej (?), pasierbicy Niemojewskiego, starosty starogrodzkiego, mieszkającej pod Toruniem. „Wjechalimy (do Torunia) z przepyszną ceremonią. Przemieszkawszy tu półtóry niedzieli i nic nie wskórawszy, musieliśmy z niczem powrócić, straciwszy na podróż około 14000“. Ojczym niechęć wydać panny za Radziwiłła, wyjechał z nią do Gdańska.

Po powrocie do Warszawy stosunki p. Samuela z księciem stały się coraz trudniejszymi, gdyż obie strony czego innego od siebie oczekiwały, a co innego znalazły. Maszkiewicz sądził, iż będzie odgrywał rolę opiekuna i przewodnika młodego księcia i by godnie przedstawić się w tej roli, świetny sobie sformował poczet; młody komandor zaś, dumny swą godnością, znajomością świata, tytułem, widział w p. Samuele jedynie dworzanina, a co najwyżej niższego pod każdym względem towarzysza. Zaraz po przybyciu do Warszawy, gdy dla sprawy sądowej wypadło Maszkiewiczowi jechać na Litwę, „książę uwolnił mnie z tą umową, abym prędko powrócił jego końmi, a swoje abym zostawił z czeladzią w Kroszynie; życzył, abym przy nim mieszkał *jak najskromniej*“. Lubiąc hulanki i awanturki dobierał sobie p. pułkownik odpowiednią czeladź, co drażniło nawykłego do innych obyczajów i zabaw młodzieńca. Zdybawszy pewnego razu w swoim pokoju pachółka Maszkiewiczza, grającego w kości z drugim kompanem, złażał księżę pana za sługę i to było powodem rozerwania umowy.

Jeśli można wierzyć p. Samuelowi, to on pierwszy miał podziękować za służbę. „Uprzykrzyło mi się służyć u księcia; wydatki były wielkie, spraw moc nieskończona, a wdzięczności żadnej“. Pomimo więc, że księżę przysłał swego kuchmistrza z oświadczeniem, iż przebacza pachółkowi, p. pułkownik „nie nawykłszy słuchać łajania“ nie chciał pozostać. Księżę okazał się wspaniałomyślnym, gdyż za półroczną służbę zapłacił 300 złp., dał rysie futro i kawał aksamitu na dolman.

Powróciwszy na Litwę, jeździł Maszkiewicz po zabawach i weselach, chętnie widziany wszędzie jako bywalec

i domownik wielkich panów, mający do opowiadania mnóstwo szczegółów o swych wyprawach, podróżach, stosunkach. W dowód uznania i sympatyi obywatelstwo powiatu nowogrodzkiego wybiera go deputatem do sądu kryminalnego w Nowogrodku. Radziwiłłowie nie zapominają także o p. pułkowniku i wzywają go, ilekroć który z nich potrzebuje wystąpić publicznie lub urządzić jakiś obchód. Gdy król Władysław wybrał się zbyt późno do Moskwy, zamierzył po drodze wstąpić do Nieświeża, księżę Albrecht Radziwiłł przyzywa p. Samuela i wraz z nim wyjeżdża do Kroszyna naprzeciw dostojnego gościa.

Na przyjęciu w Nieświeżu „książęta mieli z sobą 300 przyjaciół i sług na koniach ozdobnie ubranych“. Choć siebie naturalnie zaliczał do rzędu „przyjaciół“ nie zaś „sług“, nie wzdragał się przecie brać pieniędzy i darów za figurowanie w książęcych obchodach. Prawda jednak, że Maszkiewicz utrzymuje w tym celu liczny poczet służby; wiemy z pamiętnika, iż kupił świeżo dla niej w Wilnie dwa postawy angielskiego sukna po 28 złp. i dwa postawy prostego po 8 złp. Prócz odzienia płaci im zasługi i daje życie. Ciągłe wyjazdy zrzadzają wielkie szkody w gospodarstwie. Ilekroć zajrzy na chwilę do Serwecza, zastaje zawsze rozmaite nadużycia i straty, z pobieranych zaś zasług przy hulaszczem usposobieniu nic z pewnością nie zaoszczędził. „Tyle mego co użyję“ — powtarzał sobie zapewne w duszy p. Samuel, zwłaszcza gdy z latami tracił coraz więcej nadzieję ożenienia się i zamilowanie do cichego życia. Wierny domowi Radziwiłłów, służy po kolei coraz to nowemu członkowi tej licznej podówczas rodziny. W jesieni 1619 roku przyjmuje służbę u jednego z najznakomitszych przedstawicieli tego rodu, ks. Krzysztofa, hetmana polnego w. ks. Litewskiego za „500 złp. rocznej płacy i bławatu na parę szat“. Dobrze płacąc nie dawał p. hetman próżnować swemu „przyjacielowi“. To wyprawia go do Dokudowa i Berezy dla zaciągów wojskowych, to bierze z sobą na sejm do Warszawy (1620 r.), ztamtąd wyprawia do Dubna „abym zmiarkował, czy nie można zająć tego miasta,

gdzie on miał tajemne stosunki“. Dubno stanowiło ordynacyę ks. Ostrogskich, która po wygaśnięciu tej rodziny przejść miała na ks. Zasławskich, a następnie dopiero na Radziwiłłów. W 1619 r. umiera ostatni ordynat z rodu ks. Ostrogskich, otóż widocznie p. hetman chciał zmienić kolej i przyspieszyć przejście ordynacyi do swej rodziny. Maszkiewicz otrzymał 500 złp. na drogę, jedzie z dwoma tylko towarzyszami w ścisłej tajemnicy, gdyż czeladź i powozy zwraca z drogi do domu. „Przyjechaliśmy nie w porę i powróciliśmy z niczym, konnica nas uprzędziła“ — powiada krótko i węzłowato p. Samuel, dotrzymując wiernie tajemnicy swego chlebowodawcy.

Na krótkiej wzmiance o sejmie z 1621 r., (o którym obiecuje szerzej w przyszłości opowiedzieć), kończy się dyaryusz Maszkiewicza. O dalszych jego losach nie mamy wiadomości; możemy tylko wnioskować z dość znacznem prawdopodobieństwem, że brał udział w wojnie, jaką wytrwale i o własnych tylko siłach prowadził ks. Krzysztof ze Szwedami od 1621 do 1623 r. Zarówno niełaska w jakiej p. hetman litewski pozostawał na dworze z powodu roli, jaką rodzony brat Janusz odgrywał w rokoszu Zebrzydowskiego, jak i skupienie wszystkich sił na walkę z Turkami pod Chocimem, wstrzymywały króla od wyprawiania posiłków na Litwę. Mimo to energiczny hetman spełniał wytrwale trudne obowiązki i odnosił nad Szwedami zwycięstwa w licznych choć drobnych walkach. W jednej z nich prawdopodobnie znalazł zgon dzielny pułkownik i śmiercią na polu bitwy chlubnie zakończył swój junacki żywot.

VII.

Posiadany przez nas pamiętnik w tej formie, w jakiej się przedstawia, został skreślony około 1620 r. Drobiazgowo oznaczenie dat i szczegółów podróży pozwala przypuszczać, iż powszechnym obyczajem prowadził p. Samuel dyaryusz swych czynności, w którym krótko i sucho notował daty i fa-

kty jedynie. W późniejszym dopiero czasie, może dla skrócenia nudów zimowego pobytu w Serwecu, po opuszczeniu służby u p. Kawalera, a może też zniewolony siedzieć w domu dla jakiej dolegliwości nabytej przy hulankach w stolicy, w każdym razie w melancholijnym nastroju ducha zabrał się nasz husarz do przerabiania i rozszerzania swego dyaryusza w pamiętnik. Zawiedziony w oczekiwaniu świetnej przyszłości, zniechęcony do ludzi za ich „niewdzięczność“, szukał w rozpamiętywaniu swej przeszłości pociechy, a przytem i zaspokojenia ambitnych pragnień przez zostawienie potomności historii swego życia. „Sam śpiewam sobie, sam pocieszam siebie“ — wypisał na czele swego rękopisu, ale mimo to nie wyrzekął się nadziei, iż praca jego znajdzie czytelników i krytyków. „Komu co się nie złubi w mojem opowiadaniu, niechaj mnie nie wini“ — dodaje jako ostrzeżenie.

Rzecz naturalna, iż przy tem odświeżaniu swych wspomnień, unikał p. Samuel starannie wszystkiego, coby go mogło w niekorzystnem świetle przedstawić. Pasek, pisząc w późnej starości, gadatliwy i szerszy, rozwodzi się szerzej o swych prywatnych sprawach, stosunkach, a jednakże milczy także i półsłówkami zbywa, gdy wypadnie mu potrącić o nieczyste sprawy; nie dziwnego, że Maszkiewicz, jeszcze w samej sile wieku, nieskory wcale z natury do zwierzeń, jak dotąd wszyscy litwini, nie chce czytelnika wtajemniczać w swe liczne miłostki z mężatkami lub przygody hulaszczego życia we Lwowie i Warszawie. Pragnie on, by potomność wiedziała, w jakich wyprawach i bitwach brał udział, jakich obchodów, zjazdów, sądów, sejmów był uczestnikiem lub widzem, z jakimi panami i dygnitarzami łączyły go stosunki, jak lubionym i cenionym był przez towarzyszy służby, jak pożądanym gościem na wszystkich weselach, chrzcinach i zabawach, jak dobrym był synem i bratem bezinteresownym, jak wreszcie „niewdzięcznymi“ byli względem niego ludzie za tyle usług, jakie im wyświadczał. Dotknięty do żywego tą niewdzięcznością, szukał pociechy w odwołaniu się do sądu przyszłych pokoleń.

Jakie czynniki złożyły się na wywołanie w duszy p. Samuela, tego pierwszego zapewne w życiu momentu refleksyi, nie dowiemy się nigdy zapewne. Kto wie, czy kalwińska atmosfera, panująca na dworze ks. Krzysztofa, nie miała wpływu na pojęcia i uczucia religijne słabo rozwinięte u Maszkiewicza. W całym pamiętniku nie znajdujemy wzmianki o jakichkolwiek praktykach religijnych, uczestniczeniu w obchodach i nabożeństwach, stosunkach z księżmi. Śmieje się z zabobonnej czci, jaką lud wielko-rosyjski oddaje obrazom świętym, stosuje raz tylko i to w żartobliwy sposób ustęp z Psalmów; jeżeli nie był kalwinem, to nie był też i gorliwym katolikiem i dla tego łatwo mógł uleść wpływowi pojęć kalwińskich.

Ten moment refleksyi, któremu zawdzięczamy powstanie pamiętnika, przypadł około 1620 r. Opowiadając przygody młodego Wojny, syna Gabryela, podkanclerzego litewskiego, pisze pod 1613 r., „Wielki z niego kiep teraz. Po śmierci ojcowskiej z domu ludziom się nie ukaże, choć to pierwaj uciekał“. Otóż Gabryel Wojno, jak świadczy o tem Niesiecki, zmarł w 1615 r. co przekonywa, iż ustęp ten pomieszczony w opisie wypadków 1613 r. skreślony był już po 1615 r., że więc pamiętnik nie był pisany współcześnie z wypadkami. Współczesność tę czuć dopiero w notatkach z 1621 r. Mówi tu o pogłoskach i wypadkach, jako rzeczach współczesnych. „Nowiny z Turek słychać nie dobre, armują się przeciwko nam, wołają po wszystkiej ziemi już w głos na lato wojnę do Polski... Wojnę uchwaliwszy na sejmie w roku przeszłym...“ (1620). Ostatni ustęp pamiętnika wygląda na początek opisu wyprawy chocimskiej, pisany już po jej ukończeniu szczęśliwym w październiku 1621 roku. Wojna ta mogła żywo interesować p. Samuela, bo brał w niej udział ks. Zygmunt Radziwiłł, ów kawaler maltański, a inni Radziwiłłowie wyprawili także pod Chocim swe chorągwie. Okoliczność ta umacnia jeszcze więcej prawdopodobieństwo mego przypuszczenia, iż p. Samuel znalazł wkrótce po spisaniu swego pamiętnika zgon na polu bitwy. Jako wierny sługa Radziwiłłów pośpieszył on

niezawodnie jeżeli nie pod Chocim, to do Inflant przy boku ks. Krzysztofa. Pozostały rękopis pamiętnika w dwóch różnych redakcyach przechował się do dni naszych; poprawniejszy i zupełniejszy egzemplarz posłużył rosyjskiemu historykowi Ustrjałowowi do ogłoszenia go w przekładzie rosyjskim w zbiorze p. t. „Skazania sowremiennikow o Dymitrii Samozwańce“ (Petersburg, 1834, tom V); drugi znajdujący się w Szczorsach na Litwie w bogatej bibliotece hr. Chreptowicza, wydany został przez p. Jana Zakrzewskiego, prof. gimn. wileńskiego w 1838 r. w Wilnie. Pomimo włączenia ze zbioru Ustrjałowa brakujących rękopisowi szczorsowskiemu ustępów, wydanie to obfituje w błędy bardzo rażące nawet. Powtórne ogłoszenie drukiem tych pamiętników, na podstawie starannego porównania obu rękopisów, byłoby wielce pożądanem, gdyż zaznajomiłoby ogół z pisarzem, który w zakresie literatury pamiętnikowej XVII w. idzie zaraz po Pasku pod względem naratorskiego uzdolnienia.

Nietylko pokrewieństwo talentu pisarskiego, ale uderzające podobieństwo temperamentu, pojęć, obyczajów, postępów nawet i kolei życia poniekąd, zbliża ze sobą te dwie postaci, oddzielone przecie półwiekowym przeciągiem czasu, stumilową przestrzenią, wreszcie odrębnością plemiennych warunków i kultury w jakiej wyrosli — jeden na południowym krańcu piaszczystego Mazowsza, wychowawiec szkół jezuickich i towarzysz z pod komendy Czarneckiego, wreszcie ziemianin krakowski; drugi syn błotnych lasów litewskich z okolic Nowogródka, uczestnik kondotierskiej wyprawy do Moskwy, dworzanin Radziwiłłów. Podobieństwo to, które uderzało także Darowskiego, jest wymownym świadectwem szybkości i powodzenia z jakim się odbywał proces swobodnej asymilacji różnorodnych pochodzeniem, obyczajami, cywilizacją, warunkami ekonomicznymi plemion, wchodzących w skład Rzeczypospolitej. Cudzoziemscy historycy traktujący z lekceważeniem dzieje nasze w XVII wieku, gdyby zechcieli rozpatrzyć się w życiu wewnętrznem, przekonaliby się, że obok anarchii, obok bezsilności rządu na zewnątrz i na

wewnątrz, rażących tak w porównaniu z postępami, jakie w życiu politycznym i państwowej organizacji osiągnęła zachodnia Europa, wielki i trudny proces narodowej jedności odbywał się tu inaczej i lepiej zarazem niż w innych krajach, żadne bowiem sztuczne nakazy i zakazy nie krępowały swobodnego oddziaływania obyczajowego i umysłowego między jednostkami, zespolonemi tylko przez tak luźne węzły organizacji państwowej. Pamiętniki Maszkiewicza, jakkolwiek pisane wtedy, gdy proces polonizacji ich autora był już ukończonym, gdy przyswoił on sobie zwyczaje, upodobania, pojęcia i język szlachty małopolskiej, pozwalają nam pochwycić ważniejsze momenty i czynniki tego wewnętrznego procesu.

O wychowaniu szkolnem p. Samuela nic nie wiemy, być może, iż go wcale nie pobierał i w domu tylko od jakiegoś wędrownego bakałarza nabył elementarnych wiadomości. Potwierdza to poniekąd bardzo słaba znajomość łaciny, widoczna w „Pamiętnikach“, gdzie, naśladowując makaroniczną mowę szlachty małopolskiej, przyozdabia swą opowieść rzadko rozsianemi wyrazami i zdaniami łacińskimi, jak: *resolute*, *insperatè*, *sic volo* i t. p. Ażeby zrozumieć i właściwie użyć ze dwa tuziny co najwyżej podobnych wyrazów i wyrażeń, nie trzeba było uczęszczać do szkół, wystarczało tu samo przestawanie ze szlachtą małopolską, której polszczyznę przyjmuje p. Samuel z taką starannością, iż rzadko bardzo wysunie mu się z pod pióra ruski zwrot lub wyraz, powszechne wówczas i dziś jeszcze na Litwie. Przebywając często i przez dłuższy czas ze swą chorągwią w koronie, bywając w Krakowie i Warszawie, przestawając z wykształconymi małopolanami (jak Herburt z Dobromila), nabywał stopniowo oglądy umysłowej, obyczajowej i wymowy czysto polskiej. Ta cywilizacya z dalszych źródeł czerpana nie sięgała do głębi tej litewsko-ruskiej duszy, tłumiała ona wrodzone przywiązanie do rodzinnej ziemi tak ubogiej, ciemnej, dzikiej w porównaniu z zamożną i ucywilizowaną Małopolską, nie budząc w to miejsce innych uczuć dla obszerniejszej ojczyzny. Nowa



cywilizacya była z początku strojem odświętnym, przybieranym od występów między ludźmi, w domu u siebie strój ten okazywał się zbyt krępującym i chętnie wracano do swojego kozucha. Życie ówczesne jednakże wciągało najskromniejsze nawet jednostki ze stanu szlacheckiego do udziału w sprawach publicznych, w licznych obchodach, wyborach, sejmikach, sądach, wyprawach wojennych. Rad nie rad człowiek musiał zrzucić domowy kozuszek i występować świątecznie, udowodniać wymową, strojem, giestami i całym zachowaniem się, że jest takim dobrym szlachcicem jak każdy małopolanin lub wielkopolanin. Powoli przywykał i do ubioru i do mowy i do obyczaju, które zrastały się z jego temperamentem, pojęciami i uczuciami.

Jednym z silniejszych bodźców, jakie przyspieszyły i utrwaliły zarówno u p. Samuela, jak i u wielu jego współrodaków przebieg tego procesu, była niewątpliwie wyprawa do Moskwy. Zwykle wtedy oceniamy należycie wartość kultury i cywilizacji, wśród której żyjemy, gdy się znajdziemy wśród odrębnej a nadewszystko niższej pod tym względem społeczności. Kraków i Moskwa w początkach XVII-go w. były to dwa światy, niemające nic wspólnego między sobą. Wstępując na obcą ziemię, pod chorągwią króla polskiego, musiał p. Samuel i jego współziemianie czuć się i przedstawiać polakami, reprezentantami cywilizacji i kultury, którą mogli się poszczycić przed wschodnimi sąsiadami i która stanowiła dla nich najważniejsze znamię odrębności dwóch narodów. Religia i język nie wielkie miały wtedy znaczenie, jako cecha wyróżniająca, dla litwinów i rusinów, nawykłych do ruskiej mowy i wschodniego obrządku — Maszkiewicz z pewnością równie dobrze mówił po rusku jak i po polsku, naturalnie biało- czy też małoruskim narzeczem — co do pojęć religijnych, to odgrywały one w życiu jego mało znaczącą rolę, a choć z kilku wzmianek pamiętnika widać, że był katolikiem, w niektórych miejscach czuć powiew pojęć protestanckich; żarliwego katolika nie raziłaby tak zabobonna

część dla świętych i obrazów, jaką uważa za ujemną stronę ludu wielkoruskiego.

Skreślone w pamiętniku obrazy życia bojarów i ludu, wynik spostrzeżeń z dwuletniego niemal pobytu w Moskwie i pobliskich prowincjach — wskazują nam co ówczesnego Litwina przywiązywało do nowej cywilizacji i zachęcało do przyswojenia sobie języka i obyczajów a stopniowo i uczuć polskich. Przedewszystkiem występują tu kultura obyczajowa — życie domowe i towarzyskie, które przy wprowadzeniu zachodnio-europejskich form i zwyczajów, zastosowano zdawna w Polsce do miejscowych warunków klimatu, gleby, temperamentu i stosunków ekonomiczno-społecznych. Zapoznawszy się z przyjemnościami i wygodami urzędzenia domów szlacheckich i mieszczańskich w Małopolsce, zasmakowawszy w starannie przyrządzanych potrawach, różnorodnego smaku przyprawach i napojach, poznawszy całą przyjemność wygodnego i wykwintnego ubioru, wprowadzali nowi obywatele chętnie i skwapliwie wszystkie te ulepszenia, do własnego życia domowego. Powoli zaczęły się wznosić na Litwie i Rusi dwory i pałace zarówno swą architekturą jak i urządzeniem kopiowane ze wzorów polskich. Prędzej jeszcze i łatwiej aklimatyzowały się wina, potrawy polskie i ubiory polskim krojem sporządzone.

Formy życia towarzyskiego, tańce, zabawy, galanterya dla kobiet nie tak łatwo już dały się przyswoić, gdyż wymagały udziału wyższej uprawy umysłowej, na którą trzeba było pracy paru pokoleń — to jednak nie przeszkadzało zaniemańskim i zabużańskim obywatelom oceniać wartość i wyższość tych form, zwyczajów i życia umysłowego polskiego. Udział w sprawach publicznych i złotą wolność cenili z tego głównie względu, iż zapewniały im tak pożądaną zarówno niedorostkom jak i młodzieńczym społeczeństwom swobodę działania i swawoli, dawały przytem patent na dojrzałość i równały z wyżej rozwiniętymi obywatelami korony. To też Maszkiewiczza najwięcej w Moskwie razi to wszystko, co było sprzecznem z pożądanymi nabytkami nowej cywilizacji. Za-

przyjaźniwszy się z bojarom Gołowinem, „ugaszczał go obiadami po polsku zgotowanemi, ku wielkiemu podziwieniu bojara, który pierwiej nie jadał naszych potraw i niewidywał ich nawet“. Ten drobny szczegół mieści ciekawą dla historyka wskazówkę. Wyższość kuchni polskiej, która dla litwinów była jedną z silniejszych pobudek przyswojenia polskiego obyczaju, służy teraz Maszkiewiczowi do zaimponowania Gołowinowi świeżo nabytą kulturą. Wyłączenie kobiet od udziału w życiu towarzyskiem i utrzymywanie ich w oddzielnych zamkniętych pokojach nie podobało się naturalnie p. Samuelowi, który tyle miłych chwil spędził na wesołych rozmowach i zalecankach do panien i mężatek; w Moskwie tymczasem był pozbawiony podobnej rozrywki. To też zebrania towarzyskie bez kobiet, muzyki i tańców, mające za jedyną rozrywkę figle i piosenki błaznów, żarty i śpiewki rozpustne wprowadzanych na to umyślnie kobiet ze służby domowej — nie mogły się podobać, niewybrednemu zresztą w swych upodobaniach, Maszkiewiczowi. „Niech to im będzie na zdrowie! niech zostaną sobie ze swemi rozrywkami nie znając lepszych“ — powiada z dumą p. Samuel.

Bliższe zapoznanie się ze sposobami wymiaru sprawiedliwości, z ostrymi karami na pijaków, nie mogło zjednać sympatyj naszego husarza dla urzędów, krępujących swobodę jednostki nawet w wyrobie i używaniu trunków. Rzecz naturalna, iż nawykli do zupełnej swobody towarzysze pancerni „zalecali im (bojarom) wolność, aby się z nami spoiwszy tejże nabyli“, argumentacya nie musiała być przekonującą, gdyż odpowiadano im: „wasza wolność wam dobra, nasza niewola nam; wolność wasza swawolą jest... możniejszy chudszy gnębi“ i t. p. Zachowywanie się nadewszystko obrońców tej złotej wolności w czasie pobytu w Moskwie nie przemawiało wcale na jej korzyść. Sam Maszkiewicz z uczciwą bezstronnością wspomina o nadużyciach i czynach swawoli, które, pomimo surowej w kilku razach represyi władzy wojskowej, nie mogły zjednać serc ludności dla sprawy popieranej przez hufce polskie.

Brak wyższej oświaty wśród bojarów nie zwróciłby uwagi Maszkiewicza, gdyby nie posłyszana anegdota o skonfiskowaniu i zniszczeniu z rozkazu rządu transportu kalendarzy, przywiezionych przez kupca polskiego, a uznanych za niebezpieczny towar. Naczytawszy się, w czasie rokoshu Zebrzydowskiego zwłaszcza, pisemek zjadliwie i bez ogródek szkalujących króla i roztrząsających jego postępowanie, znając może niejedną z licznych broszur polemicznych w sprawach religijnych, śmieje się naturalnie p. Samuel z rozporządzeń, tamujących ze względów politycznych najskromniejsze objawy życia umysłowego tak, iż chcący się uczyć łaciny i obcych języków osłaniać musieli swe studia największą tajemnicą, a ów bojar Gołowin przechowywał zakazany kalendarz jako wielką osobliwość.

Sam przecie Maszkiewicz nie żywi żadnych umysłowych upodobań i pod tym względem stoi niżej od Paska, który nie zaniedbuje uzdolnień oratorskich i rymotwórczych, których nabył w szkole, i szuka nawet sławy ze swych publicznych przemówień i krążących w odpisach wierszy. Choć nie ustępuje Paskowi odwagą na placu boju, choć zdobywa sobie wyższe stanowisko w hierarchii wojskowej, a urodzeniem, mieniem, stosunkami również wznosi się po nad skromną fortuną i ubogim rodem p. Jana Chryzostoma; mimo to, nie nawykłszy w szkołach i w życiu do publicznego przemawiania, nie ma p. Samuel ani odwagi ani łatwości mówczej a wreszcie nieodzownego wówczas zasobu formuł, cytacyi, sentencyi.

Przykry ten niedostatek usuwa go na drugi plan przy wystąpieniach publicznych i zniewala do odgrywania roli niemego figuranta. Gdy chudy-pachołek Pasek, siłą swej płynnej, dosadnej, pełnej werwy i humoru wymowy, toruje sobie drogę do samego króla, rozbraja przeciwników, jedna względy wodzów i magnatów, miłość braci szlachty i wreszcie sympatyje późnych pokoleń, to okazały i dobrze się mający pułkownik husarski, mimo swej waleczności, sprytu, układości i szerokich stosunków, nie zdobył sobie ani za życia

stanowiska odpowiedniego swym uzdolnieniom, ani też u czytelników pamiętnika uznania i zajęcia, jakie budzić winien bogatą treścią i żywą, dosadną formą opowieści. Nieśmiały w publicznych zgromadzeniach odzyskiwał p. Samuel ła-twość słowa w poufnej dopiero gawędzie, przy kielichu, w nie-licznem gronie towarzyszków. W scenach wojennych, obra-zach i spostrzeżeniach z pobytu w Moskwie, lub hulaszczego życia w czasie związku wojskowego czuć wygładzenie i potoczystość, jaką wyrobił sobie wielokrotnem powtarzaniem tych ustępów. Nie pozyskał on przecie swemi pamiętnikami ani części tej popularności, jaką cieszy się Pasek, gdyż zby-wa mu na humorze, który, jak śnieżna piana na puharze na-poju, pociąga nas ku opowieściom p. Jana Chryzostoma. Hu-mor, to produkt fermentacyi duchowej, która w należytych odbyta warunkach powinna była spłynąć potokiem świado-mej siebie literatury, lecz nie znalazłszy tych warunków wy-szumiała w pianie wesołości i panegiryczno-dewocyjnych wy-tworów, pozostawiając stosunkowo mało prawdziwego napo-ju. Gdy u małopolskich i wielkopolskich pisarzy XVI i XVII wieku pianka humoru łączy się z goryczką zdrowej satyry, to u Paska występuje tylko sama piana, odbijając w swych bańkach bez wyboru i planu postacie, obrazy i szczegóły życia współczesnego.

Pod względem moralnym za to stoi Maszkiewicz na je-dnym poziomie z Paskiem. I mazur, przy swej dość żarliwej dewocyi i litwin, przy swym indyferentyzmie religijnym, oka-zują jednakowy stopień moralnej nieczułości w stosunkach społecznych i sprawach publicznych. Dobro ogółu, prawa in-nych jednostek nie mają dla nich znaczenia, gdy stoją w ko-lizyi z ich interesami i dążeniami.

Obaj służą w chorągwiach królewskich, lecz bez waha-nia się Maszkiewicz przeszedłby do obozu Zebrzydowskiego a Pasek stanął pod sztandarem Lubomirskiego, gdyby spodziewali się tam większych korzyści materyalnych. To jedy-nie łagodzi ich dwuznaczne i chwiejne zachowanie się, że obaj nie rozumieją i nie zdolni zrozumieć istoty i doniosłości

walki, toczącej się między królami z domu Wazów a opozycją szlachecką, nie mającą jasno sformułowanego programu i ogólnej doniosłości celów. Obaj również należą do związków wojskowych, ale Maszkiewicz, gdyby nie był pułkownikiem i deputatem od wojska na sejm, postąpiłby tak samo jak Pasek i sprzedał drogo swe usługi królowi. Nie kryje on się z tem, że dał się pozyskać dla sprawy króla i rządu świetnymi obietnicami, jakie mu czynił Lew Sapieha. Jak Pasek wyzyskuje stanowisko „przystawa“ przy posłach carskich dla zapełnienia własnej kieszeni, tak Maszkiewicz, wybierając opłaty nałożone przez konfederacyą na utrzymanie wojska, „skubie“ bez miłosierdzia bogate folwarki mieszczan lwowskich i z władzami miejskimi postępuje sobie równie arbitralnie i brutalnie jak p. Jan w Nowogródku. Przy podobnej chciwości na pieniądze Maszkiewicz nie umie jednak utrzymać grosza; dla dogodzenia swej ambicji i hulaszczym upodobaniom rozprasza szybko to co zebrał, Pasek zaś poprzestaje na zadowoleniu swej próżności samochwalstwem, a hulaszcze upodobania stara się zaspokajać kosztem innych, uważając, że humor nieporównany, zasoby facecyi i opowieści, jakie z sobą przynosił, opłacały dostatecznie wino przez towarzyszków stawione. Obaj przeceniają swe zasługi i wyrzekają na niewdzięczność króla i społeczeństwa, nie ziszczających ich ambitnych marzeń, obaj złorzeczą panom a cisną się do nich skwapliwie. Pasek, gdyby się nie ożenił, byłby z pewnością został tak jak Maszkiewicz dworakiem jakiego magnata.

Staralem się szerzej nieco uwydatnić uderzające powinowactwo wewnętrzne Maszkiewicza z Paskiem, by poprzez postawione na początku niniejszej pracy twierdzenie, iż Maszkiewicz może być uważany za typ husarza, że jednoczy on w swej postaci zalety i wady charakterystyczne tego polskiego rycerstwa.

Porównanie uwydatnionych w tym zarysie szczegółów z idealnymi rysami, jakie mimowolnie prawie wyobraźnia nasuwa nam, gdy tylko zwrócimy się myślą ku ubiegłym wie-

kom przekonywa, jak dalekiem jest rzeczywiste życie przeszłości od obrazu, stanowiącego sumę kolejnych załamania pierwotnych promieni tego życia w pryzmatach uczuć i sądów wszystkich następujących pokoleń.

Załamywanie to powtarza się zawsze i wszędzie, w różnym stopniu jedynie, gdyż ściśle się wiąże z jednym uporczywie czepiającem się umysłu ludzkiego złudzeniem, jakim jest przekonanie o moralnej przewadze przeszłości nad chwilą obecną. Rozkwit nauki i literatury nowożytnej zwyciężył stanowczo utrzymujące się przez wiele wieków przeswiadczenie o niedoścignionej doskonałości umysłowej ludów starożytnych. Dziś zarówno uczeni jak literaci i artyści przestali upatrywać w Grekach i Rzymianach swych nieomylnych mistrzów. Ten kult, religijny niemal, którego przedmiotem była przez długi czas starożytność klasyczna, opierał się jednak na istotnej wyższości nauki i sztuki grecko-rzymskiej nad ubogimi zasobami budzących się do życia umysłowego ludów średniowiecznej Europy. Inaczej rzecz się ma z przekonaniem o moralnej wyższości przeszłych pokoleń narodu nad współczesnymi. Jestto złudzenie wspólne wszystkim wiekom i ludom, złudzenie popierane powagą opinii starców i zapalem zacnych a wrażliwych dusz, oburzonych widokiem złego w otaczającym ich świecie. Wielka odległość czasowa zbliża i zlewa z sobą minione stulecia w jedną niemal epokę i skupia wielkich ludzi całej przeszłości w jeden wspaniały zastęp, wobec którego obecna chwila wydawać się musi tym uboższą, im trudniej w zamęcie życia pochwycić i uwydatnić postacie wybitne przysłonięte kurzawą walki i oplątane siecią zakrywających je warunków i stosunków.

Spoglądając w przeszłość, nie dostrzegamy, w dalekich jej widnokręgach, przebytych walk i przewrotów, widzimy tylko gładką, spokojną powierzchnię, ponad którą unoszą się cienie wielkich dusz i sterczą pomniki wielkich wypadków. Nie dolatują nas stamtąd ni jęki cierpiących, ni skargi pokrzywdzonych, ni okrzyki zemsty lub tryumfu. Znużeni zgłębieniem chwili obecnej, oburzeni jej zbrodniami i niespra-

wiedliwością, rozkoszujemy się podniosłą ciszą przeszłości, tęsknimy za tym zastępem wielkich mężów, imponujących nam energią i powagą, cnotą i mądrością. To złudzenie moralnego wzroku, jak niegdyś dało początek podaniom o złoty wieku, tak utrzymuje dotąd w umysłach przeświadczenie o moralnej niższości obecnej chwili w stosunku do przeszłości.

Może i powinna być przeszłość mistrzynią terażniejszości, ale nie jako przedmiot czci, nie jako doskonalsza moralnie epoka, lecz tylko jako doświadczalna lekcyja życia, materiały analizy, muzeum szaleństw i bohaterstw, zboczeń i szczęśliwych natchnień naszych poprzedników. Spadek odebrany po przeszłości obowiązuje nas tylko do wdzięcznej pamięci dla nielicznego grona jednostek, które żyły i działały z myślą o dobru współczesnych i przyszłych pokoleń. Stopień szacunku, jaki winniśmy dla ubiegłych wieków opierać się musi na rezultatach ścisłej analizy życia każdej epoki, uwydatnieniu i ocenie rezultatów jej pracy i moralnej wartości przewodniczących w niej jednostek.

Blask idealny, w jakim się nam przedstawia ogół rycerskich postaci naszej przeszłości, ma swe źródło w naszych uczuciach dla tej przeszłości. Ludzie, którym w życiu nie przyświecała najczęściej żadna wyższa idea, nie mogli być idealnymi; piękno tych postaci polega na czysto fizycznych zaletach: wzroście, postawie, zręczności, sile i męstwie płynącymi z gorącej krwi i pewności własnej ręki, rzadko zaś z duchowych zasobów. Nie wymagajmy od przeszłości tego, czego wydać nie mogła, szanujmy taką jaką była a ziszczenie naszych ideałów zostawmy przyszłości.

1908 r.



JAN CHRYZOSTOM PASEK

I JEGO „PAMIĘTNIKI“.

Czy można coś nowego powiedzieć o Pasku, czy można w tak powszechnie znanych, tak popularnych jego „Pamiętnikach“ znaleźć nieużytkowany jeszcze materiał, nieuwzględnione dotąd szczegóły, dla oparcia na nich nowych spostrzeżeń nad postacią autora i epoką w której istniał? Pytanie to niezawodnie nasunie się samo czytelnikowi, na widok tytułu niniejszej pracy. Pomimo to, z góry wyznaję, iż rzeczywiście nie posiłkowałem się żadnymi innymi materiałami, żadnymi świadectwami i źródłami, prócz samych „Pamiętników“, w świeżem wydaniu prof. Węclewskiego¹⁾, i szczupłej garstki dokumentów, ogłoszonych przez Al. Przeździeckiego w „Książce zbiorowej“²⁾ i Feliksa Rybarskiego w „Ate-neum“³⁾. Nie sądzę nawet, by nowe świadectwa, jeżeli się kiedy znajdą, mogły więcej światła rzucić na ciekawą postać pana Jana Chryzostoma, niż skreślona przezeń autobiografia. Z tem wszystkim mniemam, iż rozpatrzenie się bliższe w tym najciekawszym pomniku naszej szlacheckiej literatury

¹⁾ Lwów, 1877 r.

²⁾ Warszawa, 1862 r.

³⁾ Zeszyt lipcowy, 1878 r.

XVII wieku, może przysporzyć wiele nowych rysów, rzucających światło na postać samego autora, jak i na współczesne mu społeczeństwo, jego obyczaje i życie polityczne.

Mimo ogólnego uznania i uwielbienia, nie doczekały się „Pamiętniki“ gruntownego rozbioru i krytycznego roztrząśnienia, na jakie zasługują więcej, niż którykolwiek inny utwór tej epoki. Wielka popularność odstręczała widocznie pracowników, szukających najchętniej mało znanych przedmiotów, jako przedstawiających dogodnie pole do odkryć i nowych spostrzeżeń. Nie mając pretensyi do skreślenia wyczerpującego studyum, chciałbym tylko powiązać w jedną całość spostrzeżenia, jakie mi się nasunęły przy niejednokrotnem odczytywaniu „Pamiętników“.

Jak to już wyżej wspomniałem, jedynym pomnikiem działalności Jana Chryzostoma Paska i jedynem źródłem do poznania jego losów i charakteru, jest zostawiony przezeń „opis biegu własnego życia“, nazwany przez wydawców „Pamiętnikami“. Troskliwy o zachowanie dla potomności licznych przygód ruchliwego swego żywota, nie spodziewał się z pewnością p. Jan, iż sławę i popularność zawdzięczać będzie pióru, nie zaś orężowi, dzielnemu władaniu językiem, nie zaś szablą. Skromny wychowaniec szkół jezuickich nie przypuszczał, by na Parnas można było wstąpić inaczej, jak za pośrednictwem upstrzonej makaronizmami oracyi, lub nadełtego panegiryku, zlepionego z pożyczanych od poetów łacińskich porównań, zwrotów, epitetów. Zamieszczone w „Pamiętnikach“ mowy i wiersze własnego utworu świadczą, że gdyby p. Jan dbał o sławę literacką, toby się mógł wcisnąć do licznego szeregu zapomnianych dziś wierszopisów z drugiej połowy XVII wieku, których imiona i utwory zapełniają większą część „Dykcjonarza poetów“ ks. Juszyńskiego.

Zawód literacki jednak nie dawał wówczas ani chleba, ani sławy, ani stanowiska, trzech rzeczy, które wielce cenił praktyczny, mimo swej „fantazyi“, Pasek. Biorąc się do opisanja własnego życia, szedł on za powszechnym podówczas u szlachty zwyczajem prowadzenia dzienników (dyaryusze,

silvae rerum) i pamiętników domowych. W fakcie tym odbija się, między innymi, przeświadczenie o ważności własnej osoby i rodziny, cechujące każdego niemal ówczesnego szlachcica. Zarówno wysocy dostojnicy i wodzowie (Albrycht Radziwiłł, Jakub Sobieski), jak i skromny dworzanin lub towarzysz chorągwi pancерnej, którym koleje wypraw wojennych lub służba na dworze magnackim dostarczały bogatego zasobu przygód i wspomnień, prowadzili mniej lub więcej szczegółowe i regularne dzienniki. Taki Samuel Twardowski, dworzanin Zbaraskiego, głośny w swym czasie poeta, jadąc w orszaku poselskim do Konstantynopola, utrzymuje dyaryusz podróży, który później przerabia na znany poemat („Przeważna legacya“), opiewający koleje tego poselstwa. W podobny sposób notuje Samuel Maszkiewicz szczegóły swego burzliwego życia.

Nie będę tu wyliczał całego szeregu ogłoszonych drukiem dyaryuszów, co zresztą stanowiłoby małą tylko częśćkę zaginionych lub ukrywających się jeszcze zabytków tego rodzaju. Pomniki te, o ile są ważne dla dziejów politycznych i historii obyczajów, o tyle po większej części w dziejach literatury nie mają dla siebie miejsca. Luźność i bezplanowość opracowania, tak w treści jak i w formie, nie pozwala wprowadzać ich w zakres literatury, inaczej bowiem zniesiemy wszelką granicę między produkcją artystyczną a prostym wyrażeniem myśli zapomocą pisma. W takim razie każdy przywilej klasztorny, akt notaryalny, lub wyrok sądowy, każda skarga lub pozew stałyby się pomnikami literatury.

Pomiędzy „Pamiętnikami“ Paska, a całą gromadą dyaryuszów zachodzi taka różnica, jak między obrazem bitwy, malowanym przez zdolnego malarza, a planem takowej, narysowanym naprędce przez naocznego świadka. Tego ostatniego nikt przecie nie nazwie dziełem sztuki, choć mimo to może on badaczowi dziejów oddać wielką przysługę. Czy Pasek, wciągu swego życia, a przynajmniej służby wojskowej, prowadził podobny dyaryusz, na to nie mamy dowodu, choć staranność, z jaką gromadzi wszelkie dokumenty, odnoszące

się do swej osoby, jak listy, mowy, instrukcje, wiersze okolicznościowe i t. p., upoważniałaby do przypuszczenia, iż dbał również o notowanie, choćby najpobieżniejsze, wydarzeń, których był świadkiem i uczestnikiem. Nie mamy przecie żadnych dowodów, ani śladów nawet, iż posiłkował się takim dyaryuszem przy opisywaniu swego życia. Nie zapominajmy bowiem, że nazwa „Pamiętniki“ została temu opisowi nadaną dopiero przez tegoczesnych wydawców, że jakkolwiek brak kart początkowych nie pozwala nam wiedzieć, jakim mianem oznaczył Pasek swe pismo, kilkakrotne przecież wzmianki po różnych miejscach świadczą wyraźnie, jaki zakres i charakter zamierzał nadać tej pracy. „Ja tu nie historią, ale bieg życia mego opisać postanowiłem“ — mówi pod 1659 r. (53 str.). W innym znowu miejscu, wspominając o bitwach, w których nie brał udziału: „Ale ja o niem (zwycięztwie) nie piszę, bom tam nie był, gdyż ten jest zamiar mój, aby opisać koleje życia mego, nie zaś stan rzeczypospolitej, żebym sobie mógł przywieść na pamięć każde czyny moje, przeczytawszy na piśmie“ (str. 119).

Nie swoje czasy więc, ale swoje czyny tylko, nie to co się działo koło niego, ale to co się tyczyło jego osoby, ma Pasek na widoku jedynie. Przywiązując wielką wagę do ruchliwych i burzliwych kolei swego życia, chce je upamiętnić najprzód dla własnej sławy, a także dla nauki i przestrogi następców. Opowiedziawszy swą przygodę z Jasińskim, dodaje: „Kto będzie po mnie sukcesorem tej książki mojej, przestrzegam i napominam, żeby się tym moim i wielu innych tymi podobnemi przykładami budował“ (str. 89). Mówiąc znowu o korzyściach, jakie przynosi uczęszczanie na obrady sejmowe, dodaje: „Kładę tedy na tem miejscu przestrogę dla młodych ludzi, którzy to po mnie czytać będą, żeby każdy, ze szkół wyszedłszy, starał się o to pilnie, aby się rzeczom przysłuchał i przypatrzył na sejmach“ (str. 248). Jakkolwiek nie myślał zapewne drukować swej pracy, jednakże przeznaczył ją dla szerszego koła czytelników, ku własnej sławie i pożytkowi moralnemu potomnych. W czasie, gdy pisał ten pa-

miętnik, nie miał i nie mógł już spodziewać się potomstwa, rzecz widoczna przeto, że nie dla najbliższych przeznaczał swe wspomnienia i przestrogi.

W ścisłym związku z powyższymi pytaniami zostaje kwestya czasu, w jakim Pasek opisał swój żywot. Że nie jest to dziennik pisany dorywczo, pod świeżymi wrażeniami, o tem świadczy sama forma opowieści, samo mistrzostwo w kreśleniu pełnych życia i humoru obrazów. Pozostaje nam tylko przekonać się, czy pamiętnik ten skreślony był częściowo w ciągu kilkunastu lub kilkudziesięciu lat, czy też stanowi on właściwie autobiografię, napisaną w znacznie krótszym przeciągu czasu.

Sąd nasz o własnych czynach i pogląd na życie ulega z każdym dniem prawie stopniowym i nieznacznym zmianom, które po upływie dłuższego czasu wytwarzają wielkie różnice w podstawach naszego sądzenia i punktach widzenia rzeczy. Inaczej się nam przedstawia, inaczej oceniamy fakt jakiś w chwili, gdy się spełnia i żywo nas dotyka, inaczej zaś, gdy patrzymy nań z odległości kilkunastoletniej i sądzimy go z całym spokojem i bezinteresownością. W braku innych dowodów, już sam ton moralnych nauk, rozsianych po „Pamiętnikach“, mógłby świadczyć, iż Pasek pisał je w podeszłym wieku. Dosyć wziąć pod uwagę przytoczone powyżej zwroty do młodzieży, lub narzekanie jego na zmienność mody w ubiorach. „Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, w czapkach, butach, w szablach, w rządziakach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, gestach, stąpaniu i witaniu“ (str. 72 pod 1660 r.).

Nie zbywa nam przecież na licznych i wyraźnych dowodach, iż opowiadane przez Paska wypadki spisane zostały dopiero w kilkadziesiąt lat później. Zaraz na początku, pod 1656 r., wspominając o Czarneckim, powiada: „Po wszystkich czas mojej służby w jego dywizyi nie uciekałem tylko raz, a gonilem, mógłbym tysiącami rachować. Poprostu wszyst-

ka moja służba była pod jego dowództwem i miła bardzo“ (str. 13).

Rzecz naturalna, iż pisał to już po wyjściu ze służby wojskowej, co nastąpiło 1666 r. Wzmianka o Gdańsku i „panu prezydencie“ tego miasta (str. 20 pod 1657 r.), które poznał dopiero w 1670 r., stanowi także pouczającą wskazówkę, zwłaszcza w zestawieniu z tem, co pod 1658 r. powiada o elektorze brandeburskim, który miał nadzieję na tron Polski po śmierci Jana Kazimierza. „Byłoby do tego przyszło, dodaje Pasek, gdyby nie podrwił poseł podczas elekcji“ (str. 23). Pod 1664 r., mówiąc o sprawie Lubomirskiego, powiada: „Jeżeli wolno było wołać do tej godności Wiszniowieckiego, Polanowskiego, toć nie było się o co gniewać, choćby też przy wolnej elekcji wołano i Lubomirskiego“ (str. 223). Widoczna rzecz, iż pisał to już po wyborze Wiszniowieckiego (1669 r.), a prawdopodobnie i po jego śmierci. Wspominając pod 1674 r. o elekcji Sobieskiego, dodaje: „Nie było jednak koronacyi, aż dopiero w trzecim roku“. Ale najdobitniejszym niezawodnie świadectwem jest ustęp pod 1672 r., w którym powiada, iż żona nie chciała mieszkać w Smogorzewie, „z przyczyny, że tam powiadali, iż to miejsce fatalne i że panowie albo panie umierały. Przeciem ja tam często przebywałem, a Pan Bóg mię zachował, choć tam byłem panem przez 20 lat“ (str. 296). Ponieważ Smogorzów objął w posiadanie 1670 r., przeto ustęp powyższy mógł pisać nie wcześniej, jak w 1690 r.

W dalszym ciągu niniejszej pracy, przy bliższem rozpatrzeniu się w kolejach życia p. Jana Chryzostoma, będziemy mieli sposobność wrócić do tej kwestyi i bliżej uzasadnić nasze domniemanie co do czasu kreślenia „Pamiętników“. Nateraz wystarczy nam pewność, iż pisał je w późniejszej epoce życia i w znacznym odstępie czasu od opisywanych wydarzeń, skutkiem czego wiele szczegółów uszło mu z pamięci, lub uległo mimowolnemu przeinaczeniu. Przytem pisał, mając na uwadze przede wszystkim siebie, swe czyny i swą pamięć pośmiertną; rzecz naturalna więc, iż pomijał

wszystkie ujemne szczegóły i strony opisywanych wypadków, a starał się, o ile można, wystawić swe postępowanie najświetniej i najkorzystniej. Przedewszystkiem powinniśmy się pozbyć szlachetnego, lubo szkodliwego złudzenia co do idealnej cnotliwości i doskonałości moralnej naszych praocjów. Przyznajemy im conajwyżej błędy, ale wad nie śmiemy przypisywać. Ostrzeżenie to wydało się nam tem potrzebniejszym, iż zarówno „Pamiętniki“, jak i sam ich autor cieszą się u nas wielką popularnością, sympatją, używając wielkiej powagi, jako źródło dziejowe i malowidło obyczajów swej epoki. Znamy Paska takim, jakim chciał się przedstawić potomności, nie zaś takim, jakim był w istocie.

Co się tyczy uszkodzeń, jakim podległy dwa znane dotąd rękopisy (Raczyńskiego i petersburski), to nie są one tak znaczne, by usprawiedliwiały mniemanie Lachowicza, uważającego dochowane części za „reszty“ pierwotnego rękopisu. Z początku prawdopodobnie brakuje bardzo niewiele, może jednej kartki. W owych wiekach nie przywiązywano tyle wagi do dzieciństwa i lat młodocianych, co za dni naszych, nie miano bowiem pojęcia o psychologicznem znaczeniu pierwszych stadyów rozwoju duchowego, nie widziano w młodości „rzeźbiarki, co wykuwa żywot cały“. Dziś w pamiętnikach spowiadamy się głównie z naszych wrażeń; to też zarówno lata szkolne, jak i pierwsze samoistne kroki na drodze życia dostarczają nam bogatego materiału. Przed dwustu laty opowiadano same fakty, czyny osobiste, lub naocznie widziane zdarzenia, te bowiem jedynie interesowały czytelników, czy słuchaczy. Refleksya wtedy była słabo rozwinięta, uczucie niezbyt głębokie; nikt nie analizował stanu swego ducha, ale zato działano szybko i stanowczo i obserwowano wybornie wszystko, co się dookoła działo. Jesteśmy też niemal pewni, że Pasek nie rozpisywał się szeroko o swej młodości. Wprawdzie w środku, w kilku miejscach, spotykamy przerwy (nieznaczne zresztą) i zakończenia brakuje; lecz uszkodzenia te nie pozbawiły nas, o ile się zdaje, ważniejszych szczegółów lub ciekawych epizodów. Jak się przekonamy

w dalszym ciągu naszej pracy, śmierć autora prawdopodobnie, nie zaś losy rękopisu, nie dozwoliły mu dokończyć opowieści ostatnich lat życia.

Nim, za przewodnictwem „Pamiętników“, przypatrzmy się bliżej kolejom życia i poznamy uwydatniające się stopniowo rysy charakteru Paska, wspomnieć musimy choć w krótkości o jego pochodzeniu i dzieciństwie.

Rodzina, którą wslawił autor „Pamiętników“, nie okazuje się ani na kartach dziejów, ani po herbarzach. Starożytnie nazwisko, służące jako znamię wspólności rodowej dla kilku rodzin, utrzymywało się w niej dłużej niż zwykle i przytłumiało niejako nazwy od siedzib, powszechnie przyjęte i ustalone. Ztąd nasz p. Jan, zamiast się zwać Gosławskim, pisał się Paskiem na Gosławicach, co brzmiało okazałej i świadczyło o starożytności rodu. Inna gałąź rodu Pasków nosiła miano Żebrowskich. Prawdopodobnie późniejsze pokolenia zarzuciły wspólne miano rodowe, a zatrzymały tylko swe rodzinne nazwiska. W XVII wieku mieszkają Paskowie na Białorusi, Litwie, w Krakowskiem i Mazowszu. Ta ostatnia prowincya była, o ile się zdaje, ich pierwotnem gniazdem, z którego, obyczajem tamtejszej szlachty, rozchodzili się po świecie za chlebem i fortuną.

Syn niezamożnych rodziców, trzymających w dzierżawie wioskę w okolicach Rawy, urodził się Jan Chryzostom Pasek około 1630 r. Daty i miejsca urodzenia nie możemy ściśle oznaczyć, lecz z faktu, iż w 1655 r. rozpoczął zawód wojskowy¹⁾, z tego co mówi o swym koniu²⁾, i z kilku wzmianek przekonujących, iż w 1660 r. uważany był jeszcze za młodego³⁾, wnosimy, że rok 1630 stanowi najprawdopodobniejszą datę; co się zaś tyczy miejsca, to brak nam wszelkich wskazówek. Wiemy wprawdzie, iż w 1660 r. ro-

¹⁾ Brał bowiem udział w walce pod Chojnicami (str. 80).

²⁾ „Żeśmy rośli z sobą“, powiada w wierszu na śmierć konia (str. 11).

³⁾ Str. 79 i 149).

dzice Paska mieszkają w Bielinach, trzy mile za Rawą; później znów przenoszą się do Węgrzynowic, naostatku zaś są właścicielami wsi Kamień. Nie zdaje się przecie, by na jednej dzierżawie siedzieli od 1630 do 1660 roku.

Mieszkając blisko Rawy, wyprawili rodzice swego jedynaka do tamtejszych szkół jezuickich, z których, dzięki wrodzonemu sprytowi i pamięci, wyniósł dość balastu erudycyjnego i wprawy w oratorskie formułki, by je z powodzeniem spożytkować przy danej sposobności.

W nieprzeliczonym zastępie ówczesnej szlachty tkwił potężny zasób sił i zdolności najróżnorodniejszych, które jedynie dla braku należytego pola i kierunku marnowały się bezpożytecznie, lub wybuchały jaskrawymi fajerwerkami, zamiast trwale i porządnie zgorzeć w odpowiednio skoncentrowanych i do wyższych celów skierowanych ogniskach. Nauka i praca nie znajdowały nigdzie zachęty i opieki. W miarę wzmagającej się ciemnoty umysłowej i materialnego ubóstwa, średnia i drobniejsza szlachta traciła poczucie godności osobistej i obowiązków obywatelskich, troszcząc się jedynie o kawałek chleba i zaspokojenie ambicyi jakimś honorowym urzędem lub tytułem, któryby podwyższył nieco przyémiony blask szlachectwa.

Zawód wojskowy stanowił wówczas dla biedniejszej młodzieży jedyną deskę ocalenia przed demoralizującym wpływem służby po pańskich dworach. Trudy i niebezpieczeństwa uszlachetniają człowieka, a poczucie osobistej zasługi wstrzymuje od poniżenia się; walka o interesa ogólne wytwarza szersze i wyższe pojęcia obywatelskich obowiązków. Z drugiej strony znowu służba wojskowa przedstawiała dla fantazyi szlacheckiej pożądane bardzo pole. Ruchliwe życie, wesołe i nieustanne towarzystwo równych urodzeniem i pojęciami ludzi, swoboda w czasie pokoju, a luźny bardzo regulamin podczas wojny, pozwalały szlachcicowi polskiemu spełniać ten obywatelski obowiązek bardzo łatwym i przyjemnym sposobem. Dobrowolną, a raczej samowolną ofiarnością, tym do wysokości zasady podniesionym nierządem,

stała Rzeczpospolita póty, póki owej fantazyi nawet w najszaleńszych wybrykach nie przestawały wyższe przyświecać cele.

Rodzicom Paska należy się słuszna wdzięczność, iż nie wahali się obrać dla swego jedynaka zawodu tak odpowiedniego jego zdolnościom, iż nie szczędzili ofiar i zachęt, by go jaknajdłużej utrzymać w służbie dla kraju. Czy kierowała nimi myśl obywatelska, czy tylko naiwna wiara, że ukochany syn zdobędzie sobie jakieś wyższe godności, o tem wiedzieć nie możemy. W każdym jednak razie nie byli to ludzie małoduszni i przywiązanie ich do syna nosi wcale podniosły i poważny charakter. Gdy na wieść o wyprawie do Danii „ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać.. ojciec mój, lubo mnie miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym Imię Boskie wzięwszy na pomoc, szedł śmieie tam, gdzie jest wola wodza, upewniając, że mi włos z głowy nie spadnie bez woli Bożej“ (str. 16). „Matka również, powiada w innem miejscu, lubo mnie jednego syna miała, ale była tej fantazyi, że od największych i najniebezpieczniejszych okazyj nigdy mnie nie odwodziła, mocno wierząc, że bez woli Bożej nic złego spotkać nie może człowieka“ (str. 142). Pełen zdrowia, sił i zapału, dobry jeździec i rębacz, opuszczał młody Pasek dom rodzicielski na swym ulubionym dereszku, z którym się razem wychowywał, pełen nadziei, iż zdobędzie sobie świetną przyszłość. Gorączkową zuchwałość i rwanie się do pierwszych szeregów wśród boju, przypłacił stratą ukochanego rumaka.

„Kiedym wsiadł na cię, tak mi się widziało,
Że na mnie wojska sto tysięcy mało;

.....
Tyś mnie donosić miał jakiej godności,
A ja też ciebie dochować starości¹⁾).

¹⁾ Por. wiersz rozpoczynający „Pamiętniki“.

Wypadek ten nastąpił prawdopodobnie podczas bitwy pod Chojnicami w 1655 r. Nie mając funduszu na konia, musiał obywać się jakimś niepozornym rumakiem, na którym „nie mógł wygodzić swej fantazyi, gdy wojska staną w zwykłej batalii“.

Przekonawszy się, że zuchwałe zapędy prowadzą tylko do strat i ran, stał się widocznie powściągliwszym i ostrożniejszym, tak iż o swym udziale w wojnie r. 1656 i wyprawie przeciw Rakoczemu w 1657 r. nie ma nic do powiedzenia. Dopiero świetna kampania duńska otwiera Paskowi, wraz z całym rycerstwem, pole do okazania niepospolitej dzielności i przymiotów żołnierskich, dostarczając zarazem „Pamiętnikom“ całego szeregu ciekawych epizodów i wypadków.

Pierwszą sposobność do odznaczenia się daje młodemu towarzyszowi pułku królewskiego szturm do duńskiej twierdzy Koldyngi, zajętej przez Szwedów. Widoczna przerwa w „Pamiętnikach“ pozbawiła nas tu niektórych szczegółów; z dalszego jednak ciągu dowiadujemy się, iż z całej chorągwi jeden Pasek tylko okazał gotowość uczestniczenia w szturmie i ztąd jemu powierzono komendę nad ochotnikami z pośród czeladzi. Choć więc zawstydzeni tem starsi towarzysze namyślili się i pozsiadali z koni, ale „komenda przy mnie po staremu została; bo mi już daną była dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę, (str. 25). Jak dzielnie się wywiązał młody wojak z podjętego obowiązku, o tem wiedzą dobrze czytelnicy „Pamiętników“ z pełnego życia i dosadności opisu, poświęconego temu szturmowi.

Drugą, innego rodzaju, sposobność pokazania swych zdolności nastąpiła Paskowi wkrótce trudna i niebezpieczna misya do miasteczka Ebelfeld, które wraz z okolicznym okręgiem przeznaczono dla chorągwi w jakiej służył. Ponieważ z powodu niebezpiecznego położenia nie mogło tam wojsko zająć kwater, przeto wyprawiono ochoczego i goniącego za przygodami Paska, w celu wybrania pieniędzmi nałożonego na ludność ciężaru. Komuż nieznany dowcipny podstęp, który ułatwił wielce wybranie kontrybucyi, rozniósł imię

skromnego towarzysza po całym wojsku i zwrócił nań uwagę samego Czarnieckiego? Śmiałość i rubaszna nieco, lecz szczerą wesołość młodego żołnierza, zjednały mu łatwo życzliwość zarówno starszych towarzyszków w służbie, jak i mieszkańców Ebelfeldu, wśród których przepędził całą zimę wesoło i wygodnie, podziwiając cuda morskiej przyrody i używając przejażdżek wodnych. Był nawet widzem i uczestnikiem bitwy morskiej między flotylą holenderską a szwedzką.

Trudów i przykrości obozowego życia niewiele doznał w ciągu całej kampanii duńskiej, gdyż większą część czasu spędził na wygodnych kwaterach w wesołym towarzystwie, wśród zabaw i rozrywek wszelkiego rodzaju. „Miałem wszelką wygodę w jadłach, zgoła wszystko, co człek zamyslił; trunki dobre, osobliwie miody; ryb rozmaitych siła... W post wielki jedli z mięsem, nawet i sami jezuici, i konfudowali kto nie jadł. Jam to zaś sobie miał za skrupuł, tak wiele ryb mając, z mięsem jeść“ (39 str.). „Miałem tam różne uciechy i zabawy, widząc takie rzeczy, których w Polsce widzieć trudno“ (str. 40).

Śród tych różnorodnych uciech i wrażeń dla ciała i ducha, w sercu młodego wojaka wzbudził się poraż pierwszy silniejszy efekt. Wprawdzie przedtem już zmierzał ku panie Teresie Krosnowskiej, podczaszance rawskiej, lecz tam prawdopodobnie życzenia rodziców i rachuby materyjalne większą grały rolę, niż prawdziwa miłość; to też stosunek ten rozchwiał się tak łatwo następnie, a teraz nie przeszkadzał p. Janowi zachwycać się zaletami i wdziękami panny Eleonory Dywarne, córki zamożnego szlachezca duńskiego. Bywając w domu jej rodziców, używał „konwersacyi tak miłej, że i w Polsce lepszejbym nie znalazł między krewnymi“. Więzy miłości do tego stopnia uplątały młodego wojaka, iż czy to z własnej inicjatywy, czy pod naciskiem rodziców panny, posunął się aż do stanowczej deklaracyi swych uczuć i zamiaru poślubienia bogatej cudzoziemki ¹⁾.

¹⁾ Jakkolwiek Pasek nie przyznaje się otwarcie do tego kroku, ale z tego, co mówi o swej spowiedzi w Częstochowie we trzy lata później (215 str.), wychodzi na jaw jego wina.

Rozkaz powrotu do obozu przerwał te rozkoszne chwile z wielką żalnością obustronną. „Były różne tentacye niejechać do obozu, powiada Pasek, rezolwowałem się jednak i pożegnałem z dobrymi przyjaciółmi, a powrót mój poprzedzało tyle gorących próśb i nadzieja, żeśmy z wojskiem mieli przyjść tamże na drugą zimę“ (str. 51). Przykrości rozłączenia osładzała częsta korespondencya; gdy jednakże nadszedł rozkaz królewski, powołujący wojska do kraju, wtedy młody wojak w ciężkiem się znalazł położeniu. „W jednej godzinie napadnie myśl, żeby zostać, w drugiej, żeby tego nie czynić, bo mi przecie żal było rzucać nie tak fortunę, jako raczej afekt taki, o który podobny trudno... Bo jako ona sama, tak i rodzice, domownicy i poddani, już mnie tam właśnie za własnego syna pańskiego mieli“ (57 i 63). Dosadnie i naiwnie maluje on wewnętrzną walkę swych uczuć: „Pasuje się tedy z owemi myślami, jak z niedźwiedziem; kiedy myśl ta przypadnie, żeby zostać, to jakaś wesołość ogarnie człowieka; skoro zaś nastąpi myśl, żeby nie zostawać, to w człowieku powstaje wzruszenie, żalując afektu owych ludzi i biorąc przed oczy, że wpadnę u nich w poderzenie o nieszczerłość i niewdzięczność“ (57). „Mnie ani dobre mienie, ani gładkość, która w owej dziewczynie niewypowiedziana była, przy takim rozumie i niezwykłej stanowi swemu nauce, ale afekt jej (ujmował), który sobie do mnie lichego człowieka uroszcila, a poprostu w liczbie mnogiej mówiąc, uroszcili“ (str. 63). Gorący i natarczywy list od panny, do której doszła wieść o wymarszu wojsk, przeważył decyzję na stronę pozostania. By ostatnie usunąć skrupuły, oświadcza mu narzeczona, zapewne za wolą rodziców, że ojciec teraz nie będzie miał nic przeciw wywiezieniu majątku po za granicę Danii, co widocznie przedtem było przedmiotem sporu. Mienie owo prawdopodobnie stanowić musiało silną ponętę dla p. Jana, obok niezwyklej, jak u kobiety, uczoności (znajomości łaciny) i zręcznej kokieteryi, którą niemłoda widocznie panna pochwyciła niedoświadczonego i nieznającego przebiegów kobiecych wojaka. Że nie była pierwszej młodości, o tem świad-

czy ustęp z jej listu, gdzie mówi, że „w całym życiu ubiegłem nie czuła do żadnego z mężczyzn, wśród tylu ubiegających się, podobnego przywiązania“ (59 str.); że zaś Pasek nie znał się zupełnie na latach i sztuczkiach kobiecych, o tem przekonywa późniejsze ożenienie się jego, gdy wziął 46-letnią kobietę, mniemając, iż nie ma więcej nad 30 lat.

Po odebraniu wspomnianego listu „jakoby kajdany włożyła na me serce. Nieodmiennie postanowiłem jechać tam i odpisałem na list, obiecując że jadę. Ułożyłem też go tak, że był pisany wyrażeniami za wyrażeniami“. Nie mówiąc nikomu, wyjeżdża, lecz po drodze wstępuje do pułku Piaseczyńskiego, dla zobaczenia się ze swym krewnym Rylskim. Zwierza się przed nim ze swej tajemnicy, pokazuje listy i prosi o radę. Serce jednak nie ciągnęło widać tak bardzo p. Jana, bo przez dwa dni bawi się pijatyką „na ową imprezę“ i tem sobie psuje szyki, gdyż trzeciego dnia nadchodzą wieści o pojawieniu się Szwedów, droga staje się niebezpieczną i pan narzeczony wraca, radnierz, do obozu. To rozchwianie się planów stanowi nową pobudkę do pijatyki, „jak to polski zwyczaj“. „Co się przypomni afekt, to się ledwo nie łzami farbuję trunek“ (62). Ofiarując to w dyspozycję Boską, a ścisnąwszy nóżki Panu Jezusowi, którego miałem na obrazie z Najświętszą Panną, to zaraz, jakbym plaster przyłożył, nastąpiła ochota jechania do Polski“. Ostatecznie ksiądz Piekarski, spowiednik, wybił do reszty z głowy ten zamiar, przedstawiając, że rodzice panny nie pozwolą mu wyjechać z żoną do Polski, że pod wpływem otoczenia zostanie lutrem, zerwie z rodziną całą, straci duszę, a wszystkie bogactwa panna Dywarna czemże są wobec zbawienia i dóbr królestwa niebieskiego?

I zapłakawszy tylko przy przejściu granicy na myśl, iż tam na północy napróżno wyglądają jego powrotu, zapomniał wkrótce p. Jan o swoim afekcie, którego pamiętką pozostał mu ostatni list panny. Naiwna otwartość, z jaką opowiada Pasek swe sercowe niepokoje i wewnętrzne walki, przedstawia nam dobitnie całe ubóstwo duchowego życia ów-

czesnej szlachty i odsłania tajemnicę tego przewybornego humoru i dziecinnej pogody umysłu, niezamąconych ani cierpieniami krzepkiego ciała, ani też pragnieniami i walkami nierozbudzonego ze snu ducha.

Te nieokreślone pragnienia i popędy młodzieńcze, których ślady znajdujemy w wierszu na śmierć konia, przybrały, po zetknięciu się z brutalną rzeczywistością obozowego życia, czysto praktyczny, realny kierunek, przechodząc w pożądanie uciech, wygod i dostatków. Jak wogóle w życiu szlachty polskiej, tak i w losach Paska miłość dla kobiety bardzo podrzędną odgrywała rolę. Nie biorąc prawie udziału w życiu towarzyskiem, zajęta jedynie domowem gospodarstwem, nie podzielała kobieta zajęć, zabaw ani dążeń swego męża, nie miała zwykle ani pojęcia o tem, co go najżywiej obchodziło, ani wpływu na jego postępowanie; ztąd marzący o przyszłości młodzieniec w planach swych skromną bardzo rolę przeznaczał przyszłej towarzysze życia i nie pojmował uroku cichego domowego szczęścia, opartego na harmonii duchowej małżonków. Jak dotąd u ludu wiejskiego, tak wówczas i wśród szlachty, uspienie duchowe powstrzymywało rozwinięcie się tego uczucia, które kwitnie wtedy jedynie wśród inteligentnych kółek mieszczaństwa lwowskiego, w otoczeniu Szymonowiczów i Zimorowiczów, tudzież na cudzoziemczalym w połowie dworze królewskim, gdzie Andrzej Morsztyn i całe grono mało znanych nam poetów kształci się na społecznej francuskiej poezji i włoskich arcydziełach epoki Odrodzenia. Szlacheccy poeci bowiem, jak Kochowski lub Potocki, patrzą na stosunek mężczyzny do kobiety albo ze swywolnego, albo z praktyczno-moralnego punktu widzenia. Duchowa, idealna strona miłości jest im nieznaną całkiem. Gdzie niema samowiedzy, tam niema ideału. Dopóki człowiek nie wejdzie w siebie, nie zajrzy w niezmierzone głębie własnego ducha, nie rozbudzi drzemiących tam pragnień i uczuć, dopóty nie ujrzy blasku ideału, który ująć można jedynie oczami duszy. Jak samowiedza czyni nas dopiero prawdziwymi ludźmi, tak ideał dopiero nadaje sztuce nieśmiertelną trwa-

łość i uniwersalną doniosłość. Przeszłości naszej zbywało, z wyjątkiem nielicznych głębszych dusz, niestety, na samowiedzy i ideale, bez których człowiek nie jest w możności pojąć i umiłować wyższych celów życia, doskonalić się umysłowo i moralnie.

Charakterystyczny fakt topienia frasunku w trunku, tak pospolity u szlachty ówczesnej i powtarzający się niejednokrotnie w opowiadaniach Paska, miał źródło swe w niemożliwym duchowem, w niemożności zdania sobie sprawy z powodów i natury cierpień i trosk moralnych i znalezienia skutecznego na nie środka. Jak dziecko chore nie potrafi objaśnić gdzie i jak cierpi, tak i prostak nie umie zwykle określić natury swego bólu i frasunku. Czuje on głównie fizyczne objawy, nierozłączne z moralnymi cierpieniami; to też jak uzewnętrznia je fizycznymi głównie oznakami, tak i w fizycznych środkach szuka na nie lekarstwa.

Chociaż religia tak wielki wpływ wywierała na ówczesne pokolenia, jednak działanie jej było przeważnie zewnętrzne; stanowiła ona potężny hamulec dla namiętności, ale nie dźwignię dla ducha. Szlachcic polski z epoki Paska nie widział w Bogu najwyższej doskonałości, ideału, ku któremu by się wznosił pragnieniami swego ducha, lecz tylko hebrajskiego Jehowę, potężnego władzcę i sędziego, wymagającego bezwarunkowego posłuszeństwa dla swych poleceń i swych ziemskich przedstawicieli — księży. To też nie śmiał on nawet prośb swych zanosić wprost do tego groźnego i niedostępnego Pana, lecz uciekał się najchętniej do bliższej mu pośredniczki „królowej“, opiekującej się Rzeczpospolitą ze szczytów Jasnogórskiej świątyni. Kto był czcicielem i rycerzem Maryi, ten, choćby się największych dopuszczał przewinień, choćby, jak Twardowski, zapisał duszę piekłu, mógł się zawsze spodziewać ratunku i zbawienia. To też, mimo istotnej i żarliwej pobożności szlachty polskiej, nie spotykamy wśród niej (mówię tu o epoce Paska), prawdziwego życia duchowego i wyższego umoralnienia. Pasek naprzykład nie śmie przełamać postu w czasie pobytu w Danii, choć go do

tego sami jezuita przykładem swoim upoważniają, lecz nie widzi on nic złego w kilkudniowej pijatyce, w towarzyszących jej zwadach i bójkach. Potulny i uległy wobec księdza, od którego przyjmuje najostrzejsze nauki, nie znosi przecie najmniejszego oporu lub nieuległości u niższych od siebie i obuchem nakazuje posłuszeństwo. Pielgrzymka do Częstochowy zmazywała wtedy wszelkie przestępstwa i uspokajała szlacheckie sumienia, niegrzeszące zresztą zbytnią drażliwością.

Mimo przyrzeczeń uroczystych, jakie go wiązały z panną Dywarne, nie waha się Pasek, zaraz po powrocie, zwrócić nanowu swych afektów ku podczaszance rawskiej. Czując się w obowiązku przywiezienia jej z tak dalekiej podróży jakiegoś daru, o czem naturalnie nie pomyślał w Danii, wpada na niezbyt fortunny pomysł. Kupuje mianowicie po drodze w Poznaniu pułtynek (rodzaj szkatułki), wysadzany hebanem i perłową macią, i umieszcza w nim parę drewnianych lipowych trzewików duńskich. Był to dar równie chłodny i sztywny, jak odświeżany afekt p. Jana. Że u podczaszanki nie wygasło dotąd dlań uczucie, że zastał ją równie życzliwą jak przed wyjazdem, temu łatwo uwierzyć; zato młody wojak wracał innym zupełnie człowiekiem. Dwuletnie doświadczenie, powodzenie w służbie wojskowej i podbój serca pięknej jakoby i edukowanej Eleonory, zmieniły bardzo jego charakter i umysł. Po zręcznej, wymownej i bogatej cudzoziemce, skromna i nieposażna może podczaszanka nie przypadła do smaku Paskowi. Poco mu było zawiązywać sobie tak młodo życie, gdy losy służby wojskowej mogły mu nasunąć sposobność zaślubienia bogatej i świetnego rodu panny? Pułtynek ten, wręczony podczaszance przy śmiesznie nadętej mowie Ołtarzewskiego, przyjaciela (i swata zapewne) Paska, zamknął wraz z trzewikami i wystygłą miłość dawnego kochanka, który, mimo nalegań panny, śpiesznie opuszcza swe rodzinne strony, śpiesząc pod chorągiew. Odtąd już nie spotykamy w „Pamiętnikach“ ani słówka o tym stosunku i dalszych losach panny Teresy.

Mądry nabytem w Danii doświadczeniem, umie teraz sobie radzić p. Jan i pamięta dobrze o swym zysku i wygrodzie. Będąc wyznaczonym do rozpisywania gospód i rozdziału prowiantu dostarczanego dla chorągwi, korzysta z dobroduszości drobnej szlachty podlaskiej i wyciąga od niej mnóstwo darów i datków, „że choćbyśmy byli nic nie wzięli na swoje poczty, tobyśmy się jednak mieli dobrze i wielu przy sobie pożywili“ (str. 76). Z tem wszystkiem umie swą wesołością i gościnnością tak ująć za serca bracią szlachtę, iż ta ochoczo dowozi wszystkiego i wysławia uprzejmość żołnierzy Czarneckiego. Sam zaś wybiera sobie kwaterę we wsi Strzale, rezydencyi kasztelana zakroczymskiego¹⁾, w którego dobrach naznaczono kilkotygodniowy wypoczynek dla chorągwi. „Ja sam jadałem i pijałem we dworze, w konwersacyi arcyszumnej, jakby w raju. Pani sama, zacna i bardzo wesoła, na każde święta kazała prosić przezemnie kompanii na karty, na taniec, bo miała muzykę swoją i panien nadwornych kilkanaście, które były z domów zacnych i miały dobre posagi“.

Możemy sobie wystawić, jak się tam sadzić musiał nasz wojak na komplementa i galanterię i że prędko zapomniał zarówno o swej duńskiej narzeczonej, jak i tęskniącej za nim podczaszance. Wesołością swą, a zapewne i urodą (czego się tylko domyślać możemy), zdobywał Pasek wszędzie serca niewieście i tym sposobem zapewniał sobie wygodne życie, nie mówiąc już o afektach. „Przystawstwo to widziało mi się jednym dniem, że to w dobrym bycie i takiego drugiego przez całą służbę nie miałem, bo mi nawet i wozy naładowano takimi specyałami, jakich nie w obozie, ale przy domowych tylko wywczasach zażywają, do obozu pod Kozieradami przysłano“ (77 str.). Na uwieńczenie tej pomyślności trafia mu się okazya do popisania się publicznego z talen-

¹⁾ Znakomicie skreślony wizerunek samego kasztelana (Tomaśa Olędzkiego), z jego szczególnym obłędem, posłużył Z. Kaczkowskiemu za pierwowzór „Męża Szalonego“.

tem oratorskim, na ogólne bowiem życzenie kolegów przemawia w kościele, przy obchodzie pogrzebowym (w Siedlcach) dwóch starych towarzyszy, zmarłych jednocześnie z ran dawniej poniesionych.

Po tych pogodnych dniach nastąpił jednak cały rok burzliwy, pełen niemiłych dla Paska przygód. Musiał teraz ciężko okupywać swą wziętość i uznanie, które nie pozwalały mu trzymać się na uboczu, lecz wystawiły go na zajścia, odzwierciadlające coraz wybitniej i różnostronniej jego charakter. Zaraz oto w obozie pod Kozieradami, dokąd przeniosła się chorągiew z pod Siedlec, trafia mu się pijacka zwada i pojedynek z Nuczyńskimi i Jasińskim. Szkoda tylko, iż w „Pamiętnikach“ nietylko pomija p. Jan wiele swoich przygód, ale i w tych, jakie opowiada, usuwa lub zmienia wszystkie szczegóły, mogące go niekorzystnie przedstawić. Jeżeli bowiem płaci Nuczyńskim aż 1200 zł. „za ból i rany“, oprócz zapłaty cyrulikowi, to widocznie sam musiał dać powód do zwady. Nie przyznaje się przecie do tego i nawiasowo tylko wspomina o sędzie wojzkowym, przed którym stawali wszyscy uczestnicy tej awantury. Zdaje się, iż protekcji swego porucznika, Pawła Borzęckiego, zawdzięczał jedynie złagodzenie kary¹⁾. Że bowiem wyrok sądu był sprawiedliwym, a p. Jan głównym winowajcą, o tem, prócz gwałtownego temperamentu i porywczosci, jakiej tyle przykładów sam podaje w „Pamiętnikach“, świadczy także przemilczenie o przebiegu sprawy i wyroku.

Nie będziemy tutaj opowiadali szczegółów kampanii na Litwie 1660 r., w której Pasek uczestniczy pod dowództwem Czarneckiego, odsyłając czytelników do mistrzowskich obrazów, w jakich malują ją „Pamiętniki“. Bohaterski charakter tych bojów, w których garstka rycerstwa dowodzi cudów waleczności w bitwach z dziesięćkroć liczniejszym nieprzyjacielem, obniżają przecie te łowy na ludzi i łupy, powtarzające

¹⁾ Na str. 102 powiada: „Pamiętając jego łaskę w nieszczęściu mojem pod Kozieradami“ i t. d.

się po każdym zwycięstwie i tak przepysznie odmalowane przez Paska, który doszedł do wielkiego mistrzostwa w podobnym polowaniu. Choć szczęśliwie przebywał te krwawe boje, jednak na kłopotach i niebezpieczeństwach mu nie zbywało.

Zaledwie uniknął surowości jednego sądu wojennego, aż tu drugi omal nad nim nie zawisł. W obozie pod Mohilewem pojawia się niespodzianie Gorzkowski, towarzysz z pod chorągwi Branickiego, ze skargą na Paska o zabicie brata, który, uderzony przezeń obuchem, wkrótce potem zmarł. Działo się to w 1657 r. Szczegółów tego wypadku nie znamy; to pewna tylko, że Pasek istotnie uderzył Gorzkowskiego i że ten wkrótce umarł, „nie czyniąc mię winnym przy śmierci“. Zbyt późne podniesienie tej sprawy, brak świadków całego zajścia, nie pozwoliły skarżącemu przedstawić dowodów należytych i uzyskać rozkazu uwięzienia winowajcy. Czarniecki kazał tylko Paskowi „sprawić się ślubem więzienia“, że po skończonej wyprawie stawi się w miejscu uczynku na inkwizycyą. Dzięki życzliwości wodza, który, ze względu iż oskarżony, choćby nawet był winnym, to poświęcaniem swego życia w tyłu bitwach i okazaniem mężstwem dostatecznie winę okupił, odprawił przybyłego powtórnie Gorzkowskiego, odsyłając go do trybunału, i sprawa poszła w odwłokę.

Pasek dotrzymał słowa i stawił się na owę inkwizycyą, lecz z powodu śmierci najważniejszych świadków, tudzież wadliwości ówczesnej procedury, zwałającej na krewnych zabitego obowiązek zbierania dowodów, świadków, słowem prowadzenie śledztwa, udowodnić mającego winę oskarżonego, sprawa cała skończyła się na niczem. W istocie rzeczy winnym był tu nie Pasek, który nie miał z pewnością zamiaru pozbawiać życia swego towarzysza, lecz obyczaj, który dopuszczał używania obucha jako argumentu w sporach, który aprobował pijatykę, jako „polską modę“. Że pomimo tego smutnego wypadku p. Jan nie przestawał się posługiwać tą bronią, o tem świadczą dość częste wzmianki w „Pamiętni-

kach". Powala nim o ziemię to niedbałego pachołka od koni, to opornego burmistrza w Nowogródku.

Nowe przykrości i kłopoty spadły niebawem na znękanego Paska. Wiemy dobrze, iż całą swą nadzieję na przyszłość pokładał w służbie wojskowej, która miała mu zapewnić i godności i chleb powszedni, doprowadzić słowem do znaczenia i fortuny. Pomimo wspomnianych powyżej niepomysłnych przygód, nie mógł dotąd narzekać na losy, bo i bez szwanku wyszedł z tyłu bitew, i zwrócił na siebie uwagę wodza, pozawiazywał wreszcie stosunki, które mogłyby mu dopomóc w zapewnieniu sobie przyszłości; wśród kolegów przysięgał cieszyć się ogólną sympatią, jaką sobie jednał swym humorem, uczynnością, dzielnością w boju i wytrwałością przy kieliszku.

Tymczasem zachodzi wypadek, mogący zniweczyć odrazu dotychczasowe zabiegi i nadzieje i stawiający istotnie Paska pomiędzy młotem a kowadłem. Wojska hetmańskiej dywizji, niepłatne od dawnego czasu, zaczęły przygotowywać ten smutny a częsty tak w w. XVII bunt o prawnych niemy formach, osłaniający się mianem związku; agitacja dosięgła i pułków pod wodzą Czarneckiego zostających. Przyczyną główną, według Paska, patrzącego z niechęcią na ten ruch, były nietyle zatrzymane zasługi, ile „praktyki i faktyce kogoś, co chciał ryby łowić w odmęcie, widząc króla bez następcy“. Sąsiedni władzca „nie żałował też smolnego łuczywa“ na podpalenie tego ognia. W istocie bowiem wojsko, a zwłaszcza chorągwie Czarneckiego, nie potrzebowały pieniędzy, bo „z Danii bogato i konno wyszło“, a i w terażniejszej kampanii pewnie nie straciło, lecz zapomogło się. W tym czasie właśnie zaciągnął się Pasek do chorągwi samego Czarneckiego, w nadziei zapewne, iż to zbliży go do wodza i utoruje drogę do wyższych godności. To też energicznie opiera się przystąpieniu do związku i jako delegat swej chorągwi domaga się, by, pomimo przystąpienia, wojsko nie wymagało posłuszeństwa wodzom i wyruszyło przeciw nieprzyjacielowi.

Jednakże patryotyczny duch i karność wojskowa oddziałów Czarneckiego zaczęły słabnąć stopniowo i chorągwie, niby przymuszone, poszły do związku. Pan Jan znalazł się teraz, jak sam powiada, „między młotem a kowadłem“, z jednej strony bowiem widział, iż takim krokiem zagradza sobie dalszą karierę i traci protekcję wodza, z drugiej znów nie chciał zrywać otwarcie ze związkiem, „mając równe z innemi zasługi“ i będąc godzien wespół z nimi używać „tłustego chleba“. Owym chlebem był obiecywany mu na przynętę „urząd kanclerski“, który mógł przynieść „więcej intraty, niżeli całej chorągwi“ (str. 138). Przebiegły Mazur, chcąc by i wilk był syty i koza cała, nie odmawiał przyjęcia urzędu, lecz wykręcał się od złożenia przysięgi, by w danym razie łatwiej było się wycofać lub wytłumaczyć. Sztuka się jednak nie udała i starszyzna związkowa oddała urząd komu innemu. W takim położeniu p. Jan decyduje się na krok stanowczy: rzuca związek, opuszcza chorągiew, wraca do domu i tam, oporządziwszy się i wypocząwszy „w dobrej kompanii“, wyrusza w wielkim sekrecie na Białoruś, dla połączenia się z chorągwiami wiernymi królowi.

Zażywając po drodze miłej kompanii krewnych i znajomych, podróżował Pasek bardzo wolno i z ciągłemi przerwami, tak iż wyjechawszy z domu w dzień św. Marcina (11 listopada), słuchał pierwszych rorat (około 1 grudnia) we wsi pod Zieloną Puszcza, na trakcie z Warszawy do Grodna. Możliwość podejrzewać go, iż zwlekał z jawnem przejściem do „regalistów“, wyczekując na dalsze losy związku. Niepilno mu też było do trudów obozowego życia w zimie, gdy tu tymczasem „mnie, czeladzi i koniom było jak w raju; nawet szpica mego na jedwabnym wezglówiu posadziwszy, u stołu na srebrnych talerzach prosto mu z półmiska jeść kładziono“ (str. 143).

Zdaje się, iż w tej wsi była urządzona stacya królewska, z okazji bytności dworu w Grodnie, czego dowodzi bytność Stanisławskiego, cześnika warszawskiego, dworzanina królewskiego, występującego tu w charakterze gospodarza,

a także i przybycie Mazepy, również dworzanina królewskiego, jadącego z Warszawy do Grodna. Niewątpliwie gadatliwy, przy kielichu mianowicie, i lubiący się chwalić Pasek musiał za dużo mówić o sobie i o ważności swej tajemniczej podróży, przyczem obraził może jakim rubasznym dowcipem młodego i drażliwego Mazepę, dosyć że ten, czy przez złość, czy przez gorliwość, za przybyciem do Grodna, przedstawił go jako posła związkowych, jadącego na Białoruś buntować chorągwie wierne królowi. Skutkiem tego niespodziewający się niczego Pasek zostaje wśród drogi, tuż pod Grodnem, zatrzymany i stawiony następnie przed króla i senatorów, dla wytłumaczenia się z tak ciężkiego zarzutu. Brak kilku kart w rękopisie pozbawił nas ciekawych szczegółów tego wydarzenia; w dalszym ciągu spotykamy odrazu sam środek obroby, jaką oskarżony wygłasza wobec króla i senatorów.

Co się działo w duszy p. Jana, odgadnąć nietrudno; on, który poświęcił zaszczytny urząd i tłusty chleb dla dotrzymania wierności królowi i wodzowi, on, który śpieszył na pole walki, by dzielić trudy i niebezpieczeństwa wiernych chorągwi, zostaje oskarżony o zdradzieckie zamiary i przedstawiony jako poseł związkowych! Cały gmach świetnych nadziei i widoków, które budował na swoim heroicznym czynie, widział obalonym; zamiast godności i korzyści, zamiast łaski wodzów i króla, spotykało go na samym wstępie więzienie i perspektywa ciężkiej kary. Poruszony do głębi, Pasek staje się prawdziwie wymownym; gniew, rozżalenie i poczucie własnej niewinności dodają mu odwagi i zuchwałej śmiałości. Cała nienawiść zagonowego szlachcica ku panom, zahartowanego w trudach obozowych żołnierza ku rozpieszczonym w wygodach dygnitarzom, wybuchła teraz w pełnym sile i prawdy przemówieniu. Oskarżony staje się oskarżycielem; zamyka usta swoim sędziom zarzutami, wobec których maleje bardzo przypisywana mu wina. Przychyłne usposobienie króla, któremu podobała się widocznie śmiałość, z jaką skromny szlachcic wyrzucał senatorom ich winy względem kraju, dodawała otuchy mówcy. Im pewniejszym się

czuł tryumfu swej niewinności, tem śmielszym się stawał i zuchwalszym. „Już ja połowę ojczystej mojej uroniłem substancyi (majątku), woła z goryczą i zjadliwą ironią, już nieraz, wiadomo to jest całemu wojsku i wodzowi memu, nieskąpo dla ojczyzny utoczyło się krwi... a przecie nie dostało mi się i wielu innym odemnie zasłużeńszym tego pokosztować chleba. A takich wielu widzę, którzy lancetem francuzkim medyanę (żyłę) otworzywszy, krew rozlewali, albo ich cyrulik nieostroźnie golił, a przecie do chleba dobrze zasłużonych najbardziej się cisną... Rzeczpospolita i majestaty jaki z nich mają pożytek? A to taki: sejmy i sejmiki zatrudniać interesami prywatnemi... chleb z gardła wydarty ludziom zasłużonym obracając na facke, korupce, do skarbu Rzeczypospolitej drzeć się jak kotka do mleka. A skoro się cokolwiek zamarszczy fortuna, albo najmniejsza jawi przeciwność, skoro przykre dmuchają akwilony, do cieplic z gęsiami, zapomniawszy starania około ojczyzny, uciec za granicę i w cudzoziemskich miastach dać się szarpać, jako Cyganie. W domu lwy, za domem liszki“. Przy końcu zręcznie i zuchwale zarazem przedstawia uczynioną sobie krzywdę, jako zniewagę dla całego wojska. „Tam jasno, tam, gdzie sześćdziesiąt tysięcy szabel błysnie w oczach, z tem prezentować się mężstwem, nie tu nad jedną osobą. Będzie to wiedziało wojsko, jako w mej osobie poniesionej upomnieć się zniewagi. Bo lubom nie konfederat, alem żołnierz, równo z nimi do zasług należący; lubom nie poseł, ale kiedy jako posłowi ten dyshonor uczyniono, zamiar stoi za skutek. W czyich rękach jest oręż, w tych mocy ocalić i zgubić Rzeczpospolitą“.

Trudno doprawdy zrozumieć—o ile wiernie powtarza Pasek swą obrończą mowę—pobłażliwość i tchórzliwość senatorów, którzy, zamiast odesłać zuchwałego szlachcica napowrót do aresztu, lub przynajmniej przerwać mu te zjadliwe filipiki, jako niemające związku z jego sprawą, łykają cierpliwie gorzkie pigułki i odpowiadają moralnemi upomnieniami lub pogrózkami. Każde odezwanie się senatora pobudza

tylko Paska do tem zjadliwszego wybuchu: „Ten trudno miał tego widzieć, woła, broniąc swych zasług wojskowych, kto w domowych wczasach siedząc, jadł ostrygi, ślimaki i trufle... Inna to rzecz, słuchając wdzięcznej melodyi, uczyć się baletów, kopreolów, tańców, szykując podkasałe nóżki jako z rejestru, i inna słuchać dźwięku marsowej kapeli; inna rozlewać słodkie likwory, inna rozlewać krew... Do ojczymów mówię ojczyzny, to sobie waruję, nie do ojców, nie do poczciwych senatorów. Kto się czuje być nożycami, ten niechaj się uraża, jeżeli chce; ja zaś, zem nigdy nie był pasierbem, ale synem ojczyzny, matki mojej... bom jest z rodowitej dawnych Polaków krwi, nie z cudzej ziemi przewoźny szlachcic, tegoby mi wrodzona nie dopuściła miłość. Na tych tedy dobrych konsyliarzów zachować te wieże i miecza pogródki, bo się ja ich nie boję. I choćby niebo runęło, niezłęknionego przywałą gruzy“.

Zaprawdę, scena ta godna geniuszu Szekspira: to gro-
no senatorów, skonfundowanych śmiałością i słusnością zarzutów biednego szlachcica, którego mieli sądzić i karać, ten król, przysłuchujący się wszystkiemu za portyera i śmiejący się z zakłopotania senatorów, niewiedzących co począć, wreszcie sam główny aktor tej sceny, odpłacający sobie sówicie chwilową trwogę i wyrządzoną zniewagę wypowiedzeniem w żywe oczy gronu najwyższych dostojników Rzeczypospolitej wszystkich win i wad, o jakie ich oskarżano, wynurzeniem wszystkich zarzutów i uraz, jaką żywiła średnia szlachta względem panów.

Zuchwalstwo tą razą na dobre wyszło Paskowi; groźnie zapowiadająca się z początku przygoda przybrała jaknajpomyślniejszy dlań obrót. Ze strzeżonego pilnie więźnia staje się gościem królewskich pokojów. Życzliwość króla hojnie nagradza chwilowy zawód i przykrości. Otrzymuje bowiem ze szkatuły swego miłościwego pana 500 dukatów, list polecający do Czarneckiego, tudzież list otwarty do miast i miasteczek, za którym miał otrzymywać w ciągu drogi do obozu

wszelkie potrzeby dla siebie i 16-tu dragonów, oddanych mu czasowo pod komendę.

Uzyskawszy od jednego razu pożyczkę, której usiłował dobić się długoletnią zasługą, nie śpieszył się wcale Pasek do obozu, choć wiózł ze sobą poufne listy królewskie do Czarneckiego. Porzuciwszy powierzonych sobie dragonów, którzy tej swobody używają na gwałtowne rekwizycje po miasteczkach, sam wraca się do „pana Tyszkiewicza, gdzie była ochota i wielka pijatyka“. Bawi tam całe dwa tygodnie „w owej miłej konwersacyi, w owych komplementach nawzajem, obiecując mi różne promocje, ofiarowując mi swoją siostrzenicę, pannę Rudominównę, dziedziczkę, która miała substancyi lepiej niżeli na sto tysięcy, tylko że dopiero dziewiąty rok była zaczęła“. Względy te i afekt zjednał sobie Pasek, jak twierdzi, swym oratorskim talentem. „Choćbyś nie więcej nie miał substancyi nad tę, która w głowie, miał mu powiedzieć Tyszkiewicz, wielka to jest dosyć substancya, na którą ja ci dam siostrzenicę moję“. Kazał sobie przytem przepisać wszystkie mowy, tak w kole związkowym, jak i do senatorów w Grodnie powiedziane, „okrutnie się delektując tem, choć nie było czem tak dalece“—dodaje p. Jan z udaną skromnością. Możnaby przecie podejrzewać, iż Tyszkiewicz więcej cenił w Pasku jego wesołość i wytrwałość przy kielichu, słowem dobrego kompana do ochoty, niż oratora. Owe też komplementa i oświadczenia, czynione po pijanemu, nie doprowadziły do niczego i nie miały żadnego znaczenia. Sam Pasek z pewnością nie wierzył tym obietnicom i powtarza je dlatego jedynie, że lubi się chwalić przy każdej sposobności.

Wyruszywszy wreszcie od Tyszkiewicza i złączywszy się ze swymi dragonami, natrafia po drodze na oddział ochotników pułkownika Muraszki, rabujących dwór ubogiej szlachcianki. Chęć uratowania mienia biednej kobiety i nienawiść ku związkowym (byli to właśnie ludzie z hetmańskiej dywizyi), żarliwego obecnie regalisty i Czarneckczyka, skłoniła p. Jana do wzięcia się w tę sprawę i odpedzenia rabu-

siów. Przybywszy do obozu, miał się z czem pochwalić przed wodzem, który przyjął go bardzo łaskawie, pomny jego zasług i męstwa z poprzednich kampanij, wdzięczny za wierność, jaką dlań okazał, porzucając związek i dotrzymując danego przed rokiem słowa ¹⁾). List króla trafił już na dobrze przygotowany grunt; to też niedługo oczekiwał Pasek na nagrodę swej wierności. Czarnecki daje mu wkrótce zaszczytną i nader korzystną misję przeprowadzenia do Warszawy posłów cara, udających się na sejm po skończonej wojnie. Przekładając pieniądze nad zaszczyty, gotów już był p. Jan ustąpić swego urzędu jednemu z towarzyszy i zgodził się na ofiarowane za to wynagrodzenie (100 talarów); dowiedziawszy się jednak, „że ta funkcyja tysiącami pachnie“, zmienia postanowienie, a dla pozbycia się przybyłego z pieniędzmi kolegi udaje pijanego i jego następnie upaja miodem do tego stopnia, iż, wychodząc, „wisiał na ramionach czeladzi“.

Zrozumiawszy teraz materyalną wartość swej nowej funkcyi, rozwija p. Jan cały spryt i energię na wynagrodzenie swej fatygi i swych poprzednich zasług kosztem mieszczan ubogich miasteczek litewskich. Nietylko nie robi sobie żadnych skrupułów w bezprawnem wybieraniu pieniędzy od tych, które dawały w naturze podwoły i żywność, ale chwali się otwarcie, iż miasteczka nieleżące nawet na trakcie, którym miał prowadzić posłów, przysyłały doń deputacye z datkami i prośbą, by je pominął. Mieszczanie Nowogródka, mając u siebie na kwaterze pułk litewski wojska związkowego, nie czuli się obowiązani i nie mogli zapewne ponosić nowych ciężarów. Nie wysłali oni naprzód deputacyi z okupem i tem źle usposobili dla siebie rozłakomionego powodzeniem przystawą. To też, spotkawszy opór w dostarczeniu kwater i podwód, rozsrożył się Pasek w sposób wielce dolegliwy dla mieszczan. Burmistrz na powitanie otrzymuje uderzenie obu-

¹⁾ W 1661 r. Pasek zaciągnął się do chorągwi Czarneckiego, do której miał wejść zaraz po skończeniu terminu służby w tej chorągwi, gdzie dotąd zostawał (str. 131).

chem, od którego pada na ziemię, żołnierze zaś (z eskorty posłów) i czeladź, na rozkaz swego zwierzchnika, rozpoczynają przymusową rekwizycję, przechodzącą w otwarty rabunek. „Pijcie, a podpiwszy, dawaj ognia na ulicach“ — brzmiała komenda Paska. „Takeśmy całą noc przegaudowali“ — powiada w Pamiętniku, — bo ta fantazja już się ze mną urodziła, że zawsze przykrość za przykrość, choćby się nadsadzić; dobrocią zaś każdy zażyje, jako chce, choćby z moją szkodą“ (201 str.). Przyciśnięci mieszczenie musieli dostarczyć wszystkiego i jeszcze znaczną sumą okupić ulgę dla podwód. Jak sam głosi, w ciągu tej drogi zebrał sobie energiczny przystaw 17000 złotych.

Przybywszy do Warszawy, uzyskał z urzędu swego wstęp do dworu, gdzie znanym już był z owej grodzieńskiej sprawy. Z chlubą wspomina, jak znajomi posłowie rawscy i łęczyccy dziwili się i winszowali mu: „konfidency z królem“, który kazał mu bywać codziennie u siebie „dla konferencji“ (!). Już to na dobrem mniemaniu o sobie nie zbywało panu Janowi.

Błogie to były dla niego czasy; pieniędzy posiadał ceniemiara, bo obok świeżo zebranych zasobów dostawał na utrzymanie z królewskiej szkatuły. To też spokojny o przyszłość, „napawał się“ bezustannie z dworskimi „jako to przy Warszawie prędko dostanie kompanii i znajomości“ (209 str.). Gdyby Pasek posiadał był więcej wykształcenia i ambicyi, toby mógł zająć wyżej, przy swej śmiałości i wymowie, mając za sobą króla i Czarneckiego. Ambicyą jednak nie grzeszył praktyczny i poziomy Mazur; nie czując się jeszcze dostatecznie wynagrodzonym, czyhał tylko na uzyskanie dochodnego urzędu, lub w ostatku jednorazowego datku. Niepomny, iż sam niedawno wyrzucał senatorom chciwość, z jaką drą się naoslep do skarba, „jak kotka do mleka“, sam szuka sobie „dojnej krowy“, gardząc tytułem. Pomimo najlepszych chęci króla, który niejednokrotnie powtarzał nasuwającemu się mu przed oczy Paskowi: „Jestem twoim dłużnikiem“, lub „upatrzcie co sobie“ — jednak i Jan Kazimierz nie mógł

z pustego skarbu wypłacić obiecaną nagrody i pan Jan nie posiadał „szczęścia do upatrzonogo”. Świetne widoki, jakie pokładał w protekcyi królewskiej, skończyły się na asygnacyi do skarbu litewskiego na 6000 złotych. Z jakim trudem i przygodami odbierał w Wilnie te pieniądze, o tem wiedzą dobrze pilni czytelnicy „Pamiętników“.

Odtąd zaczyna się nowy zwrot w życiu i przekonaniach Paska. Służba wojskowa straciła dlań cały powab i choć odprawia jeszcze kampanię 1663 r., jednakże zbywa ją w swem opowiadaniu krótką i chłodną wzmianką. W wojsku bowiem zaszły znaczne zmiany; chorągwie, które najczynniejszy brały udział w związku, porozwiazowano, inne pomieszano z sobą; dawni towarzysze, „widząc niewdzięczność“, w domach posiadali i pożenili się. Inni znowu „dobrzy żołnierze, zniewieścieli i porozpijali się aż strach“ (str. 227). Znać w tych słowach zniechęcenie do służby, po której nie spodziewał się już żadnych korzyści dla siebie. Nienawiść ku dworowi i partyi francuzkiej wzrasta zato do najwyższego stopnia. Jeżeli Pasek nie był autorem paszkwilu na Prażmowskiego, który zamieszcza w „Pamiętnikach“, co się wydaje prawdopodobnem ¹⁾, to w każdym razie podzielał wszystkie wywody i zarzuty jego autora. Nie mógł strawić wraz z całą szlachtą, iż człowiek ten, co „w młodości cielęta pasał w konopnej koszuli“, doszedł teraz najwyższej po królu godności i trzymał w swych rękach ster spraw publicznych. Główną jego zbrodnią było żarliwe popieranie kandydatury Kondeusza, „tego francuzkiego kondysa“, jak go zwie z rubaszną zajadłością wspomniany paszkwil. Wykształcenie i ogłada członków partyi francuzkiej budziły nienawiść w szlachcie, która, czując swą niższość umysłową, zawistnie

¹⁾ Ze sposobu w jaki opisują „Pamiętniki“ wręczenie tego paszkwilu Prażmowskiemu, z formy przypominającej mowę Paska miane w Grodnie, wobec senatorów, a wreszcie z przytoczenia tego pisma w całości, co czyni zwykle tylko z dokumentami blisko go dotyczącami, wnosić można, że Pasek był sam autorem albo współredaktorem jego i że brał udział w doręczeniu.

patrzyła na peruki francuzkie, „zasłaniające jasność okien“ w zamku warszawskim. „Ci którzy to widzieli—powiada Pasek—sarkali na to bardzo, że się tak dwór rozmiłował w tym narodzie, i już nawet ministrowie podrygali na śpiew koguta, sama tylko wolność polska nie miała w tem upodobania i wszyskiem tem pogardzała“ (str. 232). Być może iż która z tych „peruk“ stanęła Paskowi na zawadzie w otrzymaniu jakiegoś wakansu, lub obraziła go dumnym obejściem. Co prawda, to pan Jan niepocześnie musiał wyglądać przy takim kółku przyjaciół Morsztyna, lub młodzieży, która przedstawiała na teatrze zamkowym „Cyda“.

Nie znajdując wśród szlachty światłych i chętnych pomocników, musiał z konieczności król otaczać się cudzoziemcami. Ta sama szlachta jednak, która podnosiła bunt przeciw królowi, ilekroć który z nich chciał naprawdę panować, spełniała z pokorą każdy kaprys, każde zachcenie magnata, odwzajemniającego się zato protekcyą, chlebem, a choćby łaskawem słowem i pozorną serdecznością. W magnacie widział szlachcic swego starszego brata, prawdziwego opiekuna swobod i interesów narodu. Duma tych „królewiat“, lekceważących sobie króla i pana, imponowała każdemu karmazynowi, widzącemu w tem szczyt „fantazyi“. Dwór królewski przytem nie rozporządzał tak znacznemi środkami materialnemi, by mógł „tłustym chlebem“ i „dojnemi krowami“ znęcać sobie stronników między szlachtą. Dopóki rachował na „dochodny urząd“, był pan Jan gorliwym regalistą, gdy jednak, zgarnąwszy do worka owe 6000 złotych, przestał się spodziewać dalszych łask, stygnął coraz więcej w swem przywiązaniu do sprawy królewskiej. To też gdy wybuchnął rokosz Lubomirskiego, Pasek, lubo z obowiązku służby musiał wystąpić przeciw rokoszanom, jednak sercem i duszą był po ich stronie. „Musiałem tam być, choć mi się nie chciało być regalistą, bo chorągiew w tem tu była wojsku, ale postaremu, chociaż tu byli, tobyśmy tamtej stronie bardziej wygranej życzyli“ (str. 243).

Lubomirski w oczach szlachty i Paska staje się obrońcą

swobód i obyczajów narodowych przeciw intrydze francuzkiej. Król, choć dobry pan, jednak dał się za nos ująć i został powolnym sługą partyi, „która do wolności naszych chce wprowadzić galicyzm“, wsadzając na królestwo „jakiegoś firyka francuzkiego“.

Ta nienawiść ku partyi francuzkiej w bardzo niskich przedstawia się rysach i równie smutnymi objawia się czynami. Przytoczone przez Paska szczegóły o wystrzelaniu aktorów¹⁾ francuzkich przez gromadę podpiętej szlachty dają niezaszczytne świadectwo rozumowi i moralnej stronie tych tłumów szlacheckich, które przeprowadzają potem wybór Wiszniowieckiego. Krwawy ten żart raduje niezmiernie Paska i zyskuje u niego zupełną aprobatę, której nie cofa nawet i w 30 lat później, gdy spisuje w starości swój „Pamiętnik“. Nie obawa o swobody narodowe, nie przywiązanie do obyczaju narodowego, lecz tylko właściwa ciemnym masom zawzięcie ku wyższemu umysłowo, niechęć nawykłych do swywoli dla ładu i sprężystości władzy — oto właściwe pobudki opozycyi u przeważnej liczby stronników Lubomirskiego. Król-cudzoziemiec, to była rzecz zwyczajna w Polsce; ale rząd silny, poszanowanie prawa i władzy, dawno już przestały być rzeczą zwyczajną.

Pasek naprzykład nie ma o tem najmniejszego pojęcia; nie dostrzega on coraz groźniej występujących pojawów rozkładu i upadku. Choć przy sposobności uczęszcza pilnie na obrady sejmowe, nie dochodzi przecież do zdrowego i jaśniejszego poglądu na sprawy publiczne, nie umie się wznieść ponad chaos drobnych interesów prywatnych i powiatowych, które wyłącznie go zajmują i pochłaniają całą jego uwagę. Zalecając uczęszczanie na obrady sejmowe, jako środek nauczania się polityki, prawa „i tego o czem w szkołach jako żyw nie słyszałeś“ — rozumie przez to widocznie praktyczną

¹⁾ Zapewne była to trupa przedstawiająca jakieś pantominy i balety, może i sztuki cyrkowe.

umiejętność przedstawienia i bronienia prywatnych interesów, pod pokrywką praw i swobód narodowych.

Nie należy bowiem mniemać, by patriotyzm był pobudką Paskowi do przysłuchiwania się obradom sejmowym o własnym koszcie (w 1666 roku), by chodziło mu rzeczywiście o zapoznanie się ze stanem spraw publicznych i sposobem funkcyonowania najwyższej władzy krajowej. Ma on w tem swe własne, czysto materyalne widoki. Straciwszy nadzieję zdobycia sobie chleba i stanowiska w służbie wojskowej, lub za protekcją dworu, porzuca ostatecznie swą chorągiew i zamierza na drodze posług obywatelskich w swym powiecie dobijać się protekcji, znaczenia i mienia. Ufnym w swój talent oratorski, swe wojskowe zasługi i dawniejsze stosunki z dworem, zamysła zapewne o funkcyi poselskiej, którąby mu pozwoliła zużytkować wrodzoną i nabytą wymowę.

Nie mając własnej siedziby, prowadzi teraz ruchliwe życie, przenosząc się ciągle z domu do domu. Lubiany powszechnie, dla swego humoru i towarzyskiego usposobienia, dla nieprzebranego zasobu przygód i facecyrj, które umiał z wielką werwą opowiadać, staje się odrazu duszą całej okolicy. Żadna zabawa, żaden obchód rodzinny lub publiczny nie może obyć się bez udziału pana Jana, który to jeździ jako swat lub družba na wesela, to głosi zmarłym pochwały na pogrzebach, przemawia przy obłóczynach klasztornych, marszałkuje na sejmikach, wreszcie omal że nie posłuje do Warszawy. Jednym słowem, stara się teraz urzeczywistnić mazurecki ideał dobrego towarzysza, który scharakteryzował w następnym czworowierszu:

Kto przy mnie za łeb pójdzie, pieniędzy pożyczę,
Poradzi, a gdy jechać, siła mil nie liczy...
To mi prawy przyjaciel, takiego szanuję,
Tem czworgiem niech mi służy, ostatkiem daruję.

A każdy szlachcic jedną z tych „czterech cnót powinien mieć w sobie koniecznie“ (str. 307), dodaje Pasek, który istotnie w zwadzie szablą, w radzie wymową, przy biesiadzie



humorem i kielichem, a w każdej „imprezie“ gotowością prym trzyma. Z tem wszystkim był on już nadto statecznym człowiekiem, by mógł dalej siedzieć przy rodzicach i jeździć od komina do komina; czas było pomysleć o własnej siedzibie. Nie mogąc rachować na pomoc rodziców, musiał pan Jan w posagu żony szukać sobie podstawy bytu. Dzięki popularności, jaką się cieszył w całym powiecie, znalazł łatwo możnych i wpływowych swatów, w osobach dwóch dygnitarzy swej okolicy: Lipskiego wojewody mazowieckiego i Sładkowskiego późniejszego kasztelana sochaczewskiego. Obaj oni pragnęli pozyskać sobie Paska, potrzebując usług, jakie swojemi wpływami i wymową mógł im wyświadczyć. Pan Jan zaleca się wszelkimi sposobami wojewodzie, jeżdżąc za jego interesami do króla, do biskupa kujawskiego, witając go przemową przy wjeździe na województwo. „Bo oni (wojewoda i wice-instygator koronny) chcieli bardzo dźwigać mnie wstawieniem się za mną, powiadając: że u nas urośniesz do trzech lat najdalej“ (str. 274).

Wojewoda pragnął koniecznie na sejmiku w Rawie przeprowadzić wybór Adama Nowomiejskiego wice-instygatora koronnego, przeciwko któremu, o ile się zdaje, stawiał swą kandydaturę Sładkowski, chorąży rawski. Obie strony prześcigały się w sposobach ujęcia sobie Paska. Wojewoda wyjednywa mu komornikostwo rawskie, niską zresztą godność i niezbyt skwapliwie przyjętą przez Paska, porucza mu oddanie córki do klasztoru bernardynek w Warszawie, zaprasza na wesele drugiej córki, wychodzącej za Grzybowskiego, starościca warszawskiego, a obok tego chce go zenić ze swą krewną Radoszewską. Ta ostatnia propozycja nie przypadła bardzo do smaku Paskowi, panna bowiem była, o ile się zdaje, niezbyt majątna, niemłoda, a przytem urodzona z matki głośnej z lekkomyślnego i występnego życia. Sładkowski znowu, będąc tylko chorążym rawskim i zamierzając dopiero torować sobie drogę do wyższych godności, musiał przeciw protekcji wojewody i koligacyi z senatorem postawić inne, ponętniejsze dla Paska korzyści, jakie przed-

stawiała piękna wioska w pszennej glebie, stanowiąca posag synowicy jego po zmarłym bracie. Obaj protektorzy nie oszczędzali ciemnych barw na odmalowanie ujemnych stron proponowanej przez przeciwnika partyi. „Jam tych rzeczy słuchał, opowiada p. Jan, jak kiedy owo na dwa chóry muzyka gra, i tu pięknie i tu pięknie; bardziej mi się jednak serce chwyciło Sładkowskiej, bo tam o jej wiosce powiadali, że nietylko pszenica, ale cebula w polu na każdym zagonie gdzie ją wsiejesz, urodzi się, a mnie też bardziej apetyt pociągał do tłustej roli, niżeli do gołych pieniędzy“. Trzeba wiedzieć, iż wioska ta (Bożawola pod Błoniem), „była kupiona za 70000 wtenczas, gdy czerwone złote były po złotych 6“. Nie odstraszało Paska to nawet, iż owa panna miała być „zła jak jaszczurka i bezmała nie podpija“.

Sładkowski tymczasem, widząc wahanie się p. Jana, chwyta się fortelu. Zaprasza go do siebie na ostatki, a jednocześnie sprowadza pannę z matką i ojczymem i umawia się z księdzem o danie ślubu bez zapowiedzi. Kielich i powaby Bożej Woli miały dokonać reszty. Na nieszczęście niewiedzący o niczem Pasek przekłada wesele swego krewnego nad zapustną zabawę u Sładkowskiego, do którego przybywa dopiero nad rankiem w popielec. Skutkiem tego ślub zostaje odłożony do maja. Tymczasem umiera matka panny, Sładkowski zostaje obrany posłem i nie dbając już tak bardzo o pomoc Paska, nie popiera dalej jego małżeństwa. Zawiedziony w swych rachubach wojak, bo i wojewoda jakoś o nim zapomniał, pociesza się uwagą: „że lubo była Boża Wola, przecież nie było woli Bożej“.

Nie wyrzekając się jeszcze panny Sładkowskiej, wyrusza Pasek w Krakowskie ze swoim wujem Chociwskim, dla poznania siostry swego szwagra Remiszowskiego, świeżo owdowiałej po Łączkim, podstarościm chęcińskim i gospodarującej w Olszówce pod Wodzisławiem. „Nie damy za to nic, choć się tej damie przypatrzemy, powtarzał sobie w myśli p. Jan; jeżeli się ta nie będzie zdała, to przecie panny Sładkowskiej nikt przedemną nie weźmie“. Nie wiozą ze sobą

muzyki, by nie nadawać odwiedzinom charakteru konkurów. Remiszowski przecie, znając zmienność afektów swego powinowatego, wręcz przymawia się o muzykę, którą wreszcie sprowadzono z poblizkiego Wodzisławia.

Rozpoczęte tańce dały obu stronom sposobność okazania fizycznych zalet. Rozgrzany winem i tańcem, Pasek nie dostrzegł sztuczek toaletowych, przy pomocy których 46-letnia wdowa przybrała pozory 30-letniej kobiety. Złudzenie to umacniała ostatnia dwuletnia córeczka, budząca w panu Janie miłą nadzieję doczekania się własnego potomstwa. Wiedząc, że u wdowy chleb gotowy, bo oprócz korzystnej dzierżawy posiadała hoża gospościa kapitały i dożywocie, nie zważał porywczy wojak na obyczaj, niedozwalający pierwszego dnia czynić stanowczych kroków, i przysiadłszy się po tańcu, odrazu wypalił wdówce napuszone i rozwlekłe oświadczyzny.

Forma tych oświadczyń, opowiedzianych tak szczegółowo, stanowi dobitne świadectwo prostactwa żołnierskiego p. Jana. „Moja mościa pani, tylko za rekwizycyą jmści pana rodzonego w. m. pani wstąpiłem tu na czas krótki, ukłonić się w. m. pani, aleć tak mi się tu upodobała pasza, żebym za jedną strawę przyjął służbę do gód“. Dalej powiada „iż na starość chciałby uczyć się ekonomiki przy dobrej jakiej gospodyni, przystawszy za parobka, albo, jako tu zowią, poganiacza“. Oświadcza wkońcu, że „o zasługi w żadną nie wchodzi kontrawersyą“, dopóki się nie przekona, iż ochota jego z wdzięcznością będzie przyjęta. Wdówka w swej odpowiedzi, trzymając się tej samej przerośni, oświadcza, że „sługi tu od gód tylko przyjmują, kto zaś po św. Janie służbę obejmuje, ten zasług nie może wziąć zupełnych, tylko co dyskretya każe... Wiem, że w. m. pan, jako człek rycerski, wielkim nauczył się żyć żołdem. Ja zaś, uboga szlachcianka, mogłabym się nie zdobyć na taką zapłatę“. Zapytuje go więc wręcz „czemby się kontentował?“. Na to p. Jan odpowiada, że skoro rzuca służbę wojskową „dla terażniejszej szarzy, to snadź że pożądanego spodziewam się żołdu, o który z w. m.

panią w targ wchodzić nie chcę, ale spuszczam się na respekt i tę, o której nie powątpiewam, dyskrecją“. Prosi dalej o śpieszną odpowiedź z jej własnych ust, „bo wdzięczniejsza zawsze z ust pańskich, niżeli przez kanclerzów awizacya“.

Natarczywość ta była bardzo na rękę wdowie, czego się Pasek nie domyślał; bez wahania więc zezwala i daje mu pierścień swój, z obietnicą „osobliwego respektu na jego zasługi“. Na zapytanie kiedy termin ślubu naznacza: „Choćby jutro, gdyby nie piątek“ — odpowiada skwapliwa narzeczona i nie chce słyszeć o dwutygodniowej odwołce, której żądał Pasek, by miał czas pojechać do rodziców i zaprosić swą familią. „Zaraz niech będzie, jeżeli co ma być“ — oświadcza stanowczo wdowa i p. Jan, nienawykły do stawiania oporu niewiastom, ulega jej żądaniu, nie dopatrując w takiej skwapliwości niczego podejrzanego.

Tak porywco i dorywco skojarzony związek nie przedstawiał warunków przyszłego szczęścia, które też i nie zagościło pod strzechą Paska. O afekcie wzajemnym i mowy być nie mogło tam, gdzie pan młody, idąc do ołtarza, modlił się o natchnienie, czy odwlec ślub do przyjazdu Sładkowskiej, która go zaklinała w swym liście, by dla własnego dobra zaczekał na jej przybycie; żona zaś przysięgała mu miłość i wierność, będąc jednocześnie zaręczoną z niejakim Komorowskim, który w tydzień po ślubie Paska wybrał się z przyjaciółmi na swe wesele, lecz przestrzeżony przez karczmarza w Wodzisławiu, wrócił się jak niepyszny do domu.

Wkrótce potem z pożycia i z dokumentów przekonał się p. Jan, iż mimo pozornej młodości, małżonka jego liczyła już 46 lat. Brak potomstwa, czego przyczyną miały być czary zadane przez niechętne osoby (drewno z trumny włożone do pościeli), kłopotliwa opieka nad majątkiem dorastających pasierbów, nieniłe stosunki z rodziną żony, wszystko to nie przyczyniało się do utrwalenia szczęścia w domowem pożyciu tak niedobranego stadła. Pan Jan przecie nie brał tego do serca. Nie goniąc za ideałem, nie czuł się rozczarowanym; żeniąc się dla interesu, nie dbał wcale o wzajemność; nawy-

kły do ruchliwego życia, spędzał większą część czasu po za domem, utrzymując bardzo liczne stosunki.

Dzieje pobytu i działalności Paska w Krakowskiem tłumaczają nam tajemnicę powodzenia i wpływu kolonij mazurskich, które rozprzestrzeniły się po całym obszarze Rzeczypospolitej. Zarówno szczęśliwi i energiczni w podbijaniu serc kobiecych, jak i w dorabianiu się fortuny, szybko bardzo aklimatyzowali się przybysze mazursey w nowych siedzibach, jednając sobie poszanowanie zuchwałą odwagą, a życzliwość ogólną rubasznym humorem i towarzyskością. „Na pierwszym wstępie panowie Krakowianie poczęli mnie lekceważyć, powiada Pasek, nazywając mnie przybyszem. Dopiero tego w łeb, tego w nos, tego po plecach, i taki sobie uczyniłem pokój“ (284).

Ciekawą próbkę takiego obcesowego dobijania się praw obywatelstwa przedstawia opisana w „Pamiętnikach“ zwada i bójka z krewnymi żony, przybyłymi w odwiedzinę. Podpiszwszy sobie, zaczęli oni pokpiwać z Mazurów. Zniecierpliwiony docinkami gospodarz porywa na ręce jednego ze swych gości i uderza nim tak silnie dowcipnisią, iż obaj padają bezprzytomni. Interwencya kobiet położyła dopiero koniec bójce, do której wmieszała się obustronna czeladź. Uradowany zwycięstwem Pasek, ułożywszy spać poturbowanych przeciwników, oblewa swój tryumf winem: „piłem sobie sam na fantazyą i czeladzi mej dawać kazałem“ (str. 288).

Umiął jednakże p. Jan i innemi przyzwoitszemi sposobami jednać sobie uznanie u ludzi. Przedewszystkiem ujmował sobie bracią szlachtę wesołością i darem opowiadania. Gdziekolwiek bawi, przywozi z sobą „gębę i konceptu podostatkiem“, czem ludzi „kontentuje“, a że i gardło ochocze do kielicha, o tem nie potrzeba wspominać. Umie przecie być poważnym w potrzebie i przemówić ozdobnie i z konceptem. To też niema zebrania bez p. Jana; czy to sejmik, czy pogrzeb, czy wybory, czy sąd polubowny, wesele czy kulig, wszędzie Pasek jest pożądanym gościem, wszędzie przewodzi, wszędzie przemawia, uważając to za swą przynależność. Wy-

rzeka wprawdzie zawsze na trudy i koszta, jakie przez to poświęcenie się na usługi innym ponosi; jednak rzeczywiście znajduje w tem całą swą przyjemność i zadanie życia niejako. Liczne towarzystwo, gwar, ochocza zabawa, pijatyka — oto żywioł, w którym dopiero Pasek żyje, gdyż wtedy ma sposobność popisywać się ze swemi talentami i zadowolić miłość własną powodzeniem, jakie spotyka.

Ceniąc swą osobę, występował p. Jan między ludźmi szumnie i strojno, jak wnosić można ze wzmianki o stracie poniesionej przezeń przy pożarze karczmy w której stał, jadąc na sąd polubowny w 1678 r. Otóż, jak twierdzi, poniósł na 4000 złotych szkody w rzeczach, które spaliły się, czy też zostały rozkradzione. Fakt ten daje mu pochop do wyrzekania na niewdzięczność ludzką i nieuczynność tych, którym świadczył przysługi.

Prowadząc tak wesołe i ruchliwe życie, nie zapomniał przecie o swych interesach, owszem, zaraz po ślubie wziął się energicznie do przysparzania mienia. Gdy żona w asystencyi braci chciała zrobić zapis na niego, nie przyjął tego, powtarzając: „Ja sobie sam urobię substancją, byle było na czem“. Ponieważ dzierżawa Olszówki, którą żona trzymała od Myszkowskich, kończyła się w 1668 r., przeto Pasek bierze od Stanisława Szembeka Miławczyce z Bugłowem za 4000 rocznie. Dwa lata trzyma te wioski ze stratą, „bo były lata tanie i аренда wyciągnięta“ (str. 288). W 1670 r. obejmuje Smogorzew, na którym żona posiadała dożywocie. Wieś ta nabytą była przez pierwszego jej męża Łackiego, który także był dwukrotnie żonaty; ztąd sukcesorowie pierwszej żony wystąpili z pretensjami do spadku po niej. Ponieważ pretendentów było bardzo wielu, wynikły ztąd „dyskwizycye, klótnie, najazdy, egzekucye, wyganiania, bitwy, następnie basarunki, przez co ja wiele straciłem i ztąd i inne rodziły się okazy z moją szkodą“ (str. 370).

Gospodarstwo rolne dobre mu przynosi rezultaty; od 1670 r. corocznie prowadzi sam zboże Wisłą do Gdańska, gdzie je sprzedaje z wielką korzyścią. Czy z tego jedynie,

czy też z innych źródeł, dość że okazują się w ręku Paska dość znaczne zasoby gotowego grosza, który lokuje częściowo u Myszkowskiego, kasztelana bełzkiego, pod zastaw majątków. W 1676 r. daje 10000 zł. na Skrzypiów i Zakrzew, a jednocześnie puszcza Smogorzew w dzierżawę, żona bowiem nie chciała tam mieszkać, twierdząc, „iż to miejsce fatalne i panowie albo panie umierały“. Z tego powodu siedzibę swą obiera p. Jan w Skrzypiowie i nie przestaje zasilać Myszkowskich swemi drobnemi oszczędnościami, tak iż wkrótce ogólna suma długu dochodzi do 21000. Na zabezpieczenie swej należności robi z Myszkowskim kontrakt na dzierżawę Olszówki i Brześcia, które obejmuje dopiero po 6-ciu latach, gdy się skończył termin obecnemu dzierżawcy.

Jak widzimy, przez całe życie pociągało coś Paska do Panów. Skwapliwie korzysta on z każdej sposobności, by zawrzeć bliższą z nimi znajomość i wysługuje się gorliwie, byle zyskać w nagrodę pochlebne oświadczenie przyjaźni, „skłonić w nich ku sobie serce“, jak się charakterystycznie wyraża, a nadewszystko poufność, z którejby mógł się poszczycić przed sąsiadami. Słabość tę umieli wyzyskiwać panowie, posługując się już to jego popularnością i wpływem przy wyborach, jak Lipski, już jego kieszenią, jak to czyni Myszkowski. Nie znamy bliżej szczegółów stosunku Paska z Lanckorońskim starostą stobnickim, na cześć którego p. Jan układa długi i niezdarny panegiryk. O ile się zdaje, chodziło tu głównie o poparcie na sejmiku; skoro tylko bowiem pan starosta został posłem, niepomny przysług i pochlebstw Paska, wymawia się od popierania na sejmie jego sprawy z margrabią Myszkowskim.

Rozpatrując się w ruchliwym życiu i rozstrzelonej w tyłu kierunkach działalności Paska, podziwiać istotnie musimy u niego niewyczerpany zasób zdrowia, sił i energii. Pomyślnie rezultaty gospodarstwa świadczą, że nie zaniedbuje roli, obok czego z zapalem oddaje się myśliwstwu, a chwile odpoczynku poświęca pielęgnowaniu i obuczaniu swego zwierzęcego otoczenia, rozweselającego mu ciszę domową. To zami-

łowanie do zwierząt korzystnie świadczy o sprycie, a nawet i sercu Paska, stanowiąc zresztą jedyne jego upodobanie idealniejszej trochę natury. Domowe otoczenie nie mogło odpowiadać żywemu usposobieniu p. Jana, potrzebującego ciągłego zajęcia lub rozrywki, lubiącego wrzawę i wesołość. Tymczasem spotykamy tu starą i obojętną mu żonę, sześcioro przybranych dzieci (syn i pięć córek) i dwoje w podeszłym wieku rodziców, którzy, zwinąwszy gospodarstwo, osiedli (od 1668 r.) dla wypoczynku przy swym ukochanym jedy-naku. To też większą część roku spędza Pasek po za domem. Doroczna podróż do Gdańska ze zbożem zabiera mu przeszło miesiąc czasu; ciągle procesa wymagają nieustannych wy-jazdów; liczne stosunki i rozmaite obchody dostarczają coraz to nowych okazji do bliższych i dalszych wycieczek. Oto na-przykład w 1681 r., zaledwie powrócił z Gdańska, jedzie pan Jan „na ugodę między jmcją panem Trzemeskim, a jmcją panem Kiełczewskim o Klimontów“. Wprost ztamąd śpie-szy do Pinczowa na wesele panny Tomickiej, kasztelanki wieluńskiej, wychodzącej za Walewskiego. Nie mając dosyć na tem, jedzie z całym orszakiem gości weselnych do Krakowa na wjazd księdza biskupa Jana Małachowskiego na bis-kupstwo krakowskie i następującą zaraz potem konsekracją jmcj ks. Konstantego Lipskiego na arcybiskupstwo lwowskie. „Jeżeli wjazd pięknie się odprawował — powiada p. Jan, lubu-jący się w tego rodzaju obchodach — to nierównie piękniej konsekracya, a częstowanie było dostatnie i bogate“ (str. 328). Dla urozmaicenia wrażeń, natrafia w powrocie na zgon swego przyjaciela Aleksandra Komornickiego, na któ-rego pogrzebie zaprasza w kościele gości „na chleb żałobny z ukontentowaniem ludzi zacnych“, dodaje czuły na swe po-wodzenie i sławę oratorską.

Na procesach nie zbywa Paskowi, bo też nie stara się ich unikać. Oto naprzykład otwiera się w rodzinie Łąckich sukcesya po Elżbiecie z Nadola Łąckiej (z pierwszego męża Przerębskiej, wojewodzinie Sieradzkiej) we wsi Rączkach. Pan Jan, nie poprzestając na odebraniu części przypadającej

na pasierbów, odkupuje prawo od innych współsukcesorów (Strzeszkowskich) i przez to ściąga na siebie dużo kłopotów i nieprzyjemności¹⁾. „Com na to kosztów łożył przez lat kilka, a co turbacyi, przejażdżek, zwad, bitew, pojedynków, tego nie rachuję“—powiada, wyrzekając i chwając się zarazem, że odzyskaną w ten sposób część puszcza „z łaski, nie biorąc nic“ swej pasierbicy Jadwidze Łąckiej, która wyszła za jego siostrzeńca Samuela Dembowskiego.

Wspominaliśmy już wyżej, ile i jak długich procesów kosztowało utrzymanie się przy Smogorzewie. Nie byłyby jednak Pasek szlachcicem i Mazurem prawdziwym, gdyby nie miał żyłki do pieniactwa, lubo zdaje się, iż swą porywcznością i gwałtownością dużo sobie szkodził w sprawach. Ile energii rozwijał i jak śmiało docierał nawet do samego króla w obronie swych praw, świadczy ciekawy proces z Myszkowskimi.

Wiemy z poprzedniego, iż zostawał on w stosunkach z Myszkowskim kasztelanem bełzkim i że pożyczał mu na spłacenie długów ciężących na ordynacyi w rozmaitych czasach drobniejsze sumy, które ostatecznie urosły do 21000 złotych. Na zabezpieczenie tej należności objął w dzierżawę wsie Olszówkę i Brzeście. Tymczasem obaj małoletni ordynatowie podochodzili do lat; starszy Stanisław umiera bardzo młodo w 1685 r., a po nim obejmuje margrabstwo młodszy brat Józef. Ze stryjcem a ich opiekunem zostawał Pasek w bardzo dobrych i poufnych widocznie stosunkach, „był nie jak dzierżawca, lecz jak prawdziwy podskarbi — mówi o Pasku przed królem Chełmski, także dzierżawca wsi ordynackich — bo w każdym najcięższych potrzebach był do niego rekurs, gdyż czasem sto złotych ledwie przenocowało w jego domu. Kiedy z Gdańska wrócił, bo zaraz o nim miano pocztę, nie dano się i ucieszyć pieniędzmi, pisano mu tytuł: „dobrodziej“, afektem jego i uczynnością zaszczycano się między ludźmi“ (str. 373). Młodzi panice widocznie zgóry traktowali starego szlachcica i nie gustowali w jego towarzystwie. To

¹⁾ Por. dokumenty podane przez Rybarskiego w Ateneum.

też nie żałuje im p. Jan ciemnych kolorów. Śmierć starszego sprawia mu widocznie pewne zadowolenie. „Niebardzom go żałował, bo był, Panie Boże odpuść, człowiek chytry“ (str. 303). Młodsze go znów Józefa przedstawia w zjadliwej karykaturze. „Stanął on posłem z Sandomierskiego, a posłem niewinnym, gdyż i gęby między ludźmi nie rozdziawił, tylko siedział jak lelek (puhacz), wytrzeszczywszy oczy i na innych zapatrując się, a więcej pilnując kart“ (str. 371). Otóż młody margrabia nie chciał przyznać długu zaciągniętego w czasie jego małoletności i gdy w 1687 r. kończył się termin dzierżawy Olszówki, każe przemocą usunąć z niej Paska, który, choć miał już nową siedzibę w zadzierżawionym świeżo Madziarowie, zostawia przecie żonę w Olszówce, a sam jedzie na sejm do Grodna i przedstawia swą krzywdę posłom i królowi.

Nie wiemy jak się zakończyła ta sprawa, która poszła następnie do trybunału lubelskiego, gdyż w miejscu tem przerywają się pamiętniki na scenie posłuchania u króla. Myszkowski, cieszący się względami królowej, niewiele zapewne ucierpiał od zabiegów Paska, zwłaszcza że sam Sobieski, pod naciskiem żony, choć przyznawał słuszność staremu szlachcicowi, pragnął jednak oszczędzać margrabiego.

Żelazne prawdziwie zdrowie i niewyczerpany zasób sił pozwala p. Janowi, mimo pięciu krzyżyków, znosić z łatwością trudy ciągłych i dalekich podróży, niepowodzenia i przykrości, a wreszcie tak często powtarzające się pijatyki. „Nie pamiętam, abym się kiedy upił ze swej dobrej woli, powiada, usprawiedliwiając się p. Jan, jako znam takich niektórych; ale kiedy mnie kto szczerze rad, albo ja też komu, a osobliwie kochanemu jakiemu konfidentowi, to wtenczas naszej mody polskiej niepodobna nie obserwowac“ (str. 364).

Podkopywany atoli tym smutnym zwyczajem organizm niezawsze mógł stawiać skuteczny opór rujnującym go wpływom. W 1681 r. choruje Pasek tak niebezpiecznie, że „ledwie się od furtki wrócił“ — jak się żartobliwie wyraża; w pięć lat później „z przepicia dla nieszczęśliwej kompanii“ popa-

da w „choróbkę“, która go pozbawia przytomności na cały tydzień, pod wpływem gwałtownej gorączki. Dziś, organizm każdego z nas, po przebyciu tak ciężkiego procesu zapalnego, potrzebowałby kilku tygodni dla odzyskania dawniejszej rzeźwości i energii. Pan Jan tymczasem, zaledwie go opuściła gorączka nad ranem, wstaje odrazu, zjada „szczupaka na szaro i kwaśno“ i duży garnek „gramatki“, każe sobie zaprzędz do bryki i jedzie o 7 mil drogi do Wisły pilnować ludzi ładujących zboże, z którymi sam puszcza się wodą do Gdańska. „I głowa mnie po owej chorobie za łaską Boga świętą nie zabolala“ (str. 367).

Sprawy publiczne stosunkowo niewiele czasu zabierają Paskowi, który, mimo swych marzeń o posłowaniu, musi poprzestawać na skromnym tytule komornika krakowskiego i proszowskiego następnie. Uczestniczy on, pod chorągwią swego województwa, w elekcji Wiszniowieckiego, którą tak mistrzowsko odmalował w „Pamiętnikach“, odgrywa nieco ważniejszą rolę w konfederacji gołębskiej (1672 r.), gdzie jako dawny żołnierz otrzymuje komendę nad oddziałem pospolitego ruszenia, a następnie obrany zostaje deputatem powiatu lelowskiego do koła generalnego. Godność ta zawróciła nieco w głowie panu Janowi, który z pewną obojętnością, a nawet niechęcią patrzy odtąd na ferwor i wybryki szlachty, chcącej roznosić na szablach niechętnych królowi. „Szlachta poczęła rozjeżdżać się do domów, my tylko deputaci musieliśmy kawęczyć do końca“ — powiada z widoczną wyniosłością p. deputat powiatu lelowskiego. Zdaje się, iż to wpływ stosunków z Myszkowskimi ostudził tak u p. Jana zapal dla sprawy szlacheckiej.

Już to przekonań politycznych i prawdziwie obywatelskiego ducha darmobysmy szukali u Paska. Patriotyzm jego, to tylko przywiązanie do swobód i prerogatyw szlacheckich, do życia, obyczajów i interesów szlachty; sympatjami i pojęciami swemi nie sięga nigdy po za sferę interesów swej klasy i swej prowincyi. Nietylko w porównaniu z Rejem i Kochanowskim, ale ze współczesnymi mu: Kochowskim

i Potockim, jakże smutno przedstawia się obywatelskość Paska! A przecież doświadczenie ruchliwego życia powinno było otworzyć mu oczy na prawdziwe interesa kraju i na smutne jego położenie. Choć w ciągu służby wojskowej zwiedza wszystkie niemal prowincje Rzeczypospolitej, choć ociera się o magnatów, senatorów i do królów się zbliża, choć uczestniczy w tylu sejmach, sejmikach, elekcyach, konfederacyach, nie wynosi ztąd przecież ni szerszego poglądu, ni surowszego zdania o coraz jaskrawszych pojawach nierządu. Patrzy on na nie z humorystycznej jedynie strony. Bawi go to niezmiernie, gdy pijana szlachta, naprzekór partyi francuzkiej, strzela do aktorów francuzkich w Warszawie, gdy podczas rozruchu i strzelaniny przy elekcyi Wiszniowieckiego, zastraszeni senatorowie kryją się pod wozami i nazajutrz „po utrząśnieniu smarowali się i olejki, hyacenty pili po przestachu“ (290 str.). Porwani nieporównanym humorem opowieści, śmiejemy się wraz z Paskiem z przestachu senatorów, choć spojrzawszy poważniej na cały przebieg elekcyi i położenie rzeczy, musimy żałować naszej chwilowej wesołości.

Wróciwszy z pod Gołębia, nie zastał już Pasek swej sędziwej matki przy życiu; w pięć lat później traci ojca. Jedna tylko z pasierbic wyszła za mąż za Samuela Dembowskiego, cztery zaś pozostałe wstąpiły jednocześnie do klasztoru. „Nie z żadnego przymuszenia, albo jakiej potrzeby zostały zakonnicami, powiada Pasek, bo dziewczki były i urodziwe i z posagami, ale z samego Boskiego natchnienia“ (str. 313). Teraz już do reszty opustoszał dom p. Jana, któremu zostało tylko myśliwstwo, gospodarstwo, procesa i sąsiedzi. O godnościach przestał już myśleć zapewne, a zbierać nie było dla kogo.

Straciwszy jedynego przewodnika w urywających się na 1688 r. „Pamiętnikach“, nie możemy śledzić kolei Paska w ostatnich latach jego życia i powiązać ze sobą garstki faktów i domysłów, opartych bądź na odnalezionych dokumentach, bądź też na wzmiankach rozrzuconych po „Pamiętnikach“. Zdaje się, że niedługo mieszkał w Madziarowie (który

objął po Olszówce w 1678 r.), gdyż dokumenty z 1691 i 1696 r. świadczą, że był wtedy dzierżawcą Ucieszkowa, dóbr królewskich i prowadził procesy z niespokojnym i dokuczliwym sąsiadem, Wojciechem Wolskim z Żegocina. W 1696 r. traci żonę i przy regulowaniu stosunków majątkowych z pasierbem, czy to przez wspaniałomyślność, czy dla uniknięcia procesów, zrzeka się zupełnie swych praw do majątku nieboszczki, ustępując „na jedno pasierba uniżenie i przyjaciół instancją“ nietylko pretensyi do zwrotu kosztów, jakie ponosił „na wyderkafy, terminy prawne, wesela, obłóczyny, profesye córek... których narachowałem 40 tysięcy“ (str. 371), ale nawet i dożywocia, „nic za nie nie wzięwszy. Nawet pierścień, który mi żona była dała na zmwowę, oddałem, żeby przy mnie nic nie przyszło cudzego“.

Podpis na paktach konwentach Augusta II (z 1699 r.) jest ostatniem świadectwem, jakie posiadamy o życiu i działalności Paska. Umarł prawdopodobnie w 1699 czy 1700 r., gdyż już w 1701 r. pasierb jego Krzysztof Łącki przeznaczają 500 złotych jako wieczysty fundusz dla kościoła, na odprawienie nabożeństwa „za duszę jmci p. Jana Paska, komornika ziemskiego krakowskiego, i Anny z Romiszowic, matki p. Krzysztofa Łąckiego, zmarłej dnia 15 marca 1696 r. w Pilezycy“.

W tych ostatnich latach, gdy nadwreżone zdrowie i siwizna nie pozwalały p. Janowi prowadzić tak ruchliwego jak dotąd życia, zabrał się on do urzeczywistnienia oddawna żywionej myśli, do skreślenia „biegu swego życia“, do którego starannie gromadził wszelkie dokumenty, mogące świadczyć o jego zawodzie publicznym i stosunkach z wysoko położonemi osobami¹⁾.

Już na początku tej pracy udowodniliśmy, że znaczny

¹⁾ Dowodzi tego rozmowa z Sapiehą, hetmanem litewskim (pod 1662 r.), którego prosi o oddanie mu listu Czarneckiego, ponieważ „te i tym podobne okazy chowa sobie, aby pozostały dla potomności, jako świadectwo życia jego“ (str. 190 i 191).

przeciąg czasu oddzielał wydarzenia jego życia od ich opisu w „Pamiętnikach“, które nie mogły być wcześniej rozpoczęte, jak około 1670 r., teraz zaś wypada nam bliżej oznaczyć datę ich powstania. Główną wskazówką są tu dwie wzmianki o Smogorzewie, pierwsza pod 1672 r., z której przekonywamy się, iż była pisana po 1691 roku, druga pod 1687, gdzie Pasek mówi o ostatecznym obrachunku z pasierbem, ustąpieniu dożywocia i oddaniu pierścienia zaręczynowego, co działo się po śmierci żony, a więc po 1696 roku. Możemy śmiało przypuszczać, że jeśli nie cały „Pamiętnik“, to niezawodnie część opisująca wydarzenia po wyjściu ze służby wojskowej, powstała dopiero po 1696 r., o czym wnosić pozwala sposób, w jaki p. Jan opowiada swe konkury i ożenienie się. Zestawiwszy to z podanymi poprzednio dowodami, dochodzimy do wniosku, iż Pamiętniki napisane zostały w ostatnich latach życia Paska, że przeto uszkodzenie końcowe pozbawiło nas może jednej lub dwóch tylko kartek oryginału.

Jakimże jednak cudem człowiek tak mało rozwinięty umysłowo, który od wyjścia ze szkół nie zaglądał, chyba przypadkiem tylko, do książek i nie posiadał żadnych wzorów, mógł pod koniec życia, spędzonego wśród zajęć niemających nic wspólnego z literaturą, stworzyć obrazy tak pełne życia, prawdy i barwności, wyrobić sobie tak swobodną i potoczystą formę opowiadania? Jakim cudem wśród sztywności i panegirycznej nadętości, panującej za jego czasów nietylko w literaturze, lecz i w życiu, nietylko w książkach, lecz i w obradach publicznych, korespondencji prywatnej, w kościele i stosunkach towarzyskich, mogła zjawić się opowieść tak swobodna i naturalna, tryskająca życiem i humorem? Zagadkę tę rozwiązać łatwiej, niż się zdaje napozór. Klucza do niej szukać należy w genezie tych obrazów. O talencie oratorskim Paska świadczą dowodnie mowy, pomieszczone w „Pamiętnikach“, przedewszystkiem owa rozprawa z senatorami w Grodnie; ciągle nadarzające się sposobności do publicznego przemawiania (sejmiki powiatowe, obchody pogrzebowe i t. p.) przyczyniały się do wydoskonalenia wrodzonej

zdolności. Ubóstwo myśli, brak szerszego i głębszego poglądu na rzeczy, nagradzała siła i obrazowość wysłowienia, a jeżeli jeszcze mówił pod wpływem silniejszego wzruszenia, wtedy zapominał zwykle o szkolnej erudycji i odrzucał mitologiczno-klasyczne porównania. Dzięki tej łatwości, dosadności i malowniczości swej wymowy, był Pasek zapewne niezrównanym opowiadaczem własnych i cudzych przygód i facycyi. Dotąd jeszcze, pomiędzy znikającymi już przedstawicielami życia, obyczajów i pojęć starszlacheckich, spotykamy ten talent opowiadania wydarzeń własnego życia z taką malowniczością i humorem, że choć słyszymy to po raz dziesiąty, choć wiemy, iż ledwie połowa prawdy w tem się mieści, słuchamy jednak z zajęciem i przyjemnością. Temu to głównie talentowi zawdzięczał niezawodnie Pasek swą popularność i powodzenie, zarówno po dworach szlacheckich, jak i w rezydencyach magnatów; wszędzie go skwapliwie zapraszano, serdecznie witano i podejmowano, gdyż „gębą i konceptem“ ożywiał i zabawiał całe towarzystwo.

Rzecz naturalna, iż skutkiem częstego powtarzania jednych i tych samych opowieści, wyrabiał sobie p. Jan coraz większą łatwość wysłowienia i coraz więcej wydoskonalał samą formę, opuszczając to wszystko, co nie robiło wrażenia na słuchaczach, a kładąc tem większy nacisk na szczegóły i wyrażenia, przypadające im do smaku. Że tym sposobem wcisnęło się wiele dodatków i zaszło wiele opuszczeń, o to trudno się i gniewać na Paska, który zapewne sam w końcu zaczął wierzyć w prawdziwość swych zmysłów. Ilekroć jednak wychodzi z roli opowiadacza, a usiłuje być pisarzem, wtedy znika cała prostota, życie i prawda z jego opowieści, a pojawia się panegiryczna nadętość i styl makaroniczny. Widzimy to w pochwalce Czarnieckiego (str. 253 do 257), we wstępie do instrukcyi, jaką napisał dla posłów rawskich (str. 268), w panegiryku dla Lanckorońskiego, wreszcie w publicznych przemówieniach czy to na pogrzebie dwóch towarzyszy broni (str. 81 do 85), czy też przy obłóczynach panny Sieklickiej (str. 367—9).

Przekonywamy się ztąd, jak wielki zachodził podówczas przedział między literaturą a życiem, jak fałszywy kierunek nauczania szkolnego zabójczo oddziaływał na rozwój literatury, odsuwając ją od jedyne go źródła, w którym czerpać mogła swe pierwiastki. Nic dziwnego przeto, iż społeczeństwo ówczesne tak mało się interesowało piśmiennictwem, w którym nie znajdowało pokarmu ni dla serca, ni dla umysłu. Żywa opowieść zato pociągała i zachwycała wszystkich. Pasek mylił się wielce, mniemając, iż własnym czynom i przygodom zawdzięcza powodzenie swych opowiadań, lecz takie samochwalcze przekonanie stało się dlań pobudką do spisania tych arcydzieł samorodnego talentu. Słuchacze z zachwytem przysłuchiwali się jego opowieściom, bo każdy znajdował w nich barwne odbicie własnych wspomnień, każdy rozumiał i odczuwał uplastycznione żywym słowem wypadki i uczucia.

Rozpoczynając w późnej starości swe Pamiętniki, Pasek przystępował do tego z dokonaną dawno już rzeczą; to też nie pisał on, lecz spisywał jedynie szereg gotowych, wykończonych już opowiadań, które usiłował w bardzo niedołęzny zresztą sposób spoić w całość autobiografii. Dzięki temu niedołęstwu literackiemu, mistrzowskie obrazy ówczesnego życia nie uległy żadnym przekształceniom i uszkodzeniom. Wielokrotne powtarzanie tak urobiło ich formę i tak wpoilo ją w pamięć Paska, iż spisywał je bez namysłu, jakby za własnem dyktowaniem. W ten sam sposób powstawały pierwotne epepeje i pieśni ludowe; tworzący je poeta miał za współpracowników wszystkich, co przysłuchiwali się i powtarzali za nim te utwory; w ich zachwycie lub obojętności znajdował jedyną wskazówkę doskonałości lub błędów. Konieczność zatrzymania w pamięci i utrwalenia przez przechodzenie z ust do ust wytwarzała tę plastyczność, tę dosadność, prostotę i naturalność takich opowieści.

Znaczenie „Pamiętników“ Paska polega dla nas głównie na tem, iż odbijają one życie narodowe (szlacheckie naturalnie) w całej pełni i barwności, odtwarzają je bowiem

bezpośrednio, nie załamując jego promieni w pryzmacie jakichś wzorów i tendencyi literackich lub naukowych. Życie szlacheckie staje tu przed nami w całej swej nagości, bez idealnych blasków, które mu nie przyświecały wtedy. Przesuwa się ono przed nami nieledwie we wszystkich swych pojawach, tem łatwiejsze do uchwycenia, iż zewnętrzne tylko i jaskrawe. Nie potrzeba tu analizować uczuć i przekonań, by poznać człowieka; dość obserwować jego czyny i słowa. Nie należy zapominać tylko, iż Pasek był Mazurem i w swej autobiografii odmalował nam z całą wiernością typ szlachcica Mazura. Pod tym względem uważane, „Pamiętniki“ stanowią ciekawe świadectwo historyczne, tłumaczące nam, w jaki sposób mazowiecka szlachta rozpostarła się po całym obszarze Rzeczypospolitej, roznosząc wszędzie swe obyczaje, pojęcia, wady i nałogi, które z prowincjonalnych stawały się narodowymi. Nie ulega wątpliwości, iż w kolonizacyjnej energii tej szlachty i wywieranym przez nią wpływie szukać należy klucza do zrozumienia wielu ważnych bardzo pojawów w dziejach naszej przeszłości, naszej literatury i naszych obyczajów.

Historycy naszej przeszłości nie uwzględniali dotąd w jej dziejach wpływu różnych plemion, wchodzących w skład państwowego i narodowego organizmu Rzeczypospolitej. Plemiona te przecie, rozwijając się w odrębnych fizycznych, społecznych, a czasowo i politycznych warunkach, musiały się też różnić i duchowo. Że rozszerzenie się i przeważny wpływ niedbałej o duchową kulturę szlachty mazowieckiej odbił się także i w losach literatury, o tem nie możemy wątpić. Dość zestawić Paska z Rejem, by przekonać się, jak wielka różnica dzieli nietylko dwa stulecia, ale dwa bratnie rozwijające się plemiona.

Prąd Odrodzenia, który przy końcu XV stulecia owionął południowo-zachodnie prowincye Rzeczypospolitej, rozbudził życie duchowe nietylko wśród mieszczan, lecz i między szlachtą. Pod ciepłym technieniem tego wiosennego powiewu wystrzeliły na martwej dotąd roli zdolności, którym zawdzię-

czamy najpiękniejszą epokę dawnej naszej literatury. Najciekawszym i najwięcej obiecującym, ze względu na wytknięty przezeń kierunek, był niezawodnie samorodny talent Reja. Na pierwszy rzut oka dostrzegamy wiele podobieństwa między twórcą „Zwierciadła“ i autorem „Pamiętników“. Obaj rubaszni i weseli, obaj żwawi do kielicha i jadła, obaj rozmilowani w ucieszach życia towarzyskiego, tak iż większą część życia spędzają w gościnie, zapraszani skwapliwie i pożądanii wszędzie dla swego nieprzebranego humoru. Zachodziła przecie ogromna różnica między otoczeniem, wśród jakiego żyli. U prostaka Reja prąd Reformacyi a w części i Odrodzenia, roznieca życie duchowe i otwiera mu oczy na nieznaną dotąd światy; pobyt w Krakowie i na dworach panów małopolskich pozwala jego ciekawemu i żywemu umysłowi przeniknąć się ideami, pragnieniami i dążeniami ówczesnej ludzkości. Paska duszy ogrzać i rozbudzić nie mogły ni chłodna atmosfera lesistego Mazowsza, ni życie wojskowe, ni otoczenie hałaśliwej i poziomego umysłu szlachty. Rej, choć nie odebrał szkolnego wykształcenia, przez całe życie pracuje, rozwija się i doskonali umysłowo; Pasek, zdolny uczeń kolegium jezuickiego, poprzestaje na wyniesionej ze szkół erudycyi, nie czując potrzeby zasilania umysłu, zwróconego ku materyalnym jedynie sprawom. Rej ma ciągle przed oczami najwyższe zagadnienia życia, o których Pasek najmniejszego nie ma pojęcia. Autor „Zwierciadła“ jest prawdziwie religijnym i w moralnem udoskonaleniu widzi główne zadanie życia; podczas gdy pobożność Paska ogranicza się na czysto zewnętrznych praktykach i godzi się z zabobonnemi wierzeniami w uroki i czary. Okrzyczany ze swego prostactwa Rej jakże jednak jest poetycznym i filozoficznym w porównaniu z Paskiem, jakże on kocha przyrodę i rozumie jej piękności, jakże bacznie obserwuje zarówno zewnętrzne objawy życia ludzkiego, jak i jego wewnętrzne czynniki! Pasek opowiada gładko, żywo, z niezrównanym humorem i werwą; słuchamy go z przyjemnością i rozumiemy bez natężenia umysłu. Rej maluje i rozumuje, przeplata swe refleksye obrazami niewy-

kończonemi, ostro nakreślonymi, lecz tchnącemi głębszą prawdą, znajomością życia, na które patrzy okiem moralisty i artysty. Reja trzeba studyować, ażeby go zrozumieć i ocenić piękności ukryte pod szorstką szatą niewyrobionego języka i stylu; ztąd tak rzadko bierzemy do ręki jego pisma. Paska czytają wszyscy, lecz nikt go nie studyował. Rej jest prawdziwym humorystą; Pasek wesołym i żywym gawędziarzem. U Reja wrodzony humor łączy się z bystrą obserwacją i znajomością natury ludzkiej; Pasek, jak dziecko, bawi się tem co widzi, dopatruje się we wszystkim komicznej strony, umie barwnie i żywo opowiadać własne lub cudze przygody i na tem koniec. Blask ideału, który tyle wdzięku dodał prostakowi Rejowi, nie zabłysł ani na chwilę Paskowi i jego epoce.

1879 r.



P.S.





32526/

2